



KIJEM I MIECZEM

KRONIKI
ŻELAZNEGO
DRUIDA

KEVIN HEARNE





*Tym, którzy ujrzeni boskość w pięknie
lub
Każdemu, kto musiał kiedyś myśleć o baseballu*

Wskazówki dotyczące wymowy

Jeśli znacie już tę serię, to wiecie dobrze, że część irlandzkich słów może sprawić pewną trudność przy próbie wymówienia ich po angielsku. A jako że mam tu całą masę irlandzkich imion, wykorzystam tę okazję, by powtórzyć kilka, które ostatnio omawiałem w pierwszym tomie serii. Jak zawsze te wskazówki są dla tych, którzy by mieli ochotę wymawiać sobie wszystko poprawnie w głowie. Ale nie ma obowiązku, by to robić, i wcale się nie obrażę, jeśli będziecie wymawiać sobie te słowa, jak wam się żywnie podoba – szczególnie że prezentuję je tu głównie w dialekcie ulsterskim, tak więc ludzie, którzy mówią dialektem munsterskim, i tak by to wymówili zupełnie inaczej. To ma być dobra zabawa, do cholery, więc bawcie się dobrze bez względu na to, czy wymowa jest poprawna czy nie! Nie zrobię wam z tego sprawdzianu.

Irlandzkie słowa

Aenghus Óg = Engus Og (Epicki dupek. Już martwy)

Brighid = Brijit (Pierwsza pośród faerii, pod względem magicznych mocy dorównuje jej jedynie Morrigan)

Cnoc an Óir = Knok a Nor (Miejsce w krainie Mag Mell; znane z uzdrawiających gorących źródeł; dosłownie: „złote wzgórze”)

Creidhne = Krejnia (Jeden z Trzech Rzemieślników, specjalizuje się w brązie, mosiądzu i złocie)

Dubhlainn Óg = Duwlin Og

Emhain Ablach = Iwan Ablah (Z gardłowym h, które często jest pomijane, i wtedy końcówka brzmi po prostu -a, tak zresztą jak w słowach *Fragarach i Moralltach*. Znaczą Wyspa Jabłek)

Fand = Fand (No wiem. Zdawałoby się, że nic się nie wymawia tak jak po angielsku, a tu proszę! Córka Flidais, żona Manannána Mac Lira)

feorin = fejorin (Rodzaj faerii z irlandzkich podań ludowych. Istota zdecydowanie starsza od George'a Lucasa, wszelkie podobieństwo do gadzinowego gatunku alienów z *Gwiezdných Wojen* zupełnie przypadkowe)

Fir Darrig = Ferdarik (Trochę jak Firbolgowie, ale bardziej drewniani)

Flidais = Flidisz (Irlandzka bogini łowów)

Fragarach = Fragarah (Legendarny miecz, który przecina się przez każdą zbroję; Prawdomówny, Odpowiadacz)

geancanach = gankana (Kolejny typ faerii)

Goibhniu = Gawniu (Jeden z Trzech Rzemieślników, specjalizujący się w kowalstwie i piwowarstwie)

Granuaile = Grońjawejl (Ludzie wciąż mnie pytają, jak to się wymawia, więc proszę bardzo)

Luchta = Lukta (Literę *ch* czyta się tu gardłowo, ale ja wymawiam ją dość podobnie do głoski *k*. Jeden z Trzech Rzemieślników, specjalizujący się w drewnie. W mitach czasami nazywany także Luchtaine)

Mag Mell = Ma Mell (Jeden z irlandzkich rajów; taki bardziej ą ę)

Manannán Mac Lir = Mananon Mak Lir (Bóg morza i psychopomp pięciu krain pośmiertnych, w tym Mag Mell i Emhain Ablach)

Moralltach = Moreltah (Kolejny legendarny miecz. Wyposażony w zaklęcie obumierania, czyli jeden cios i już po tobie. Dosłownie: Wielki Gniew)

Ogma = Ogma (Jeden z Tuatha Dé Danann)

Scáthmhaide = Skaladdze (Znaczą Kij Cienia)

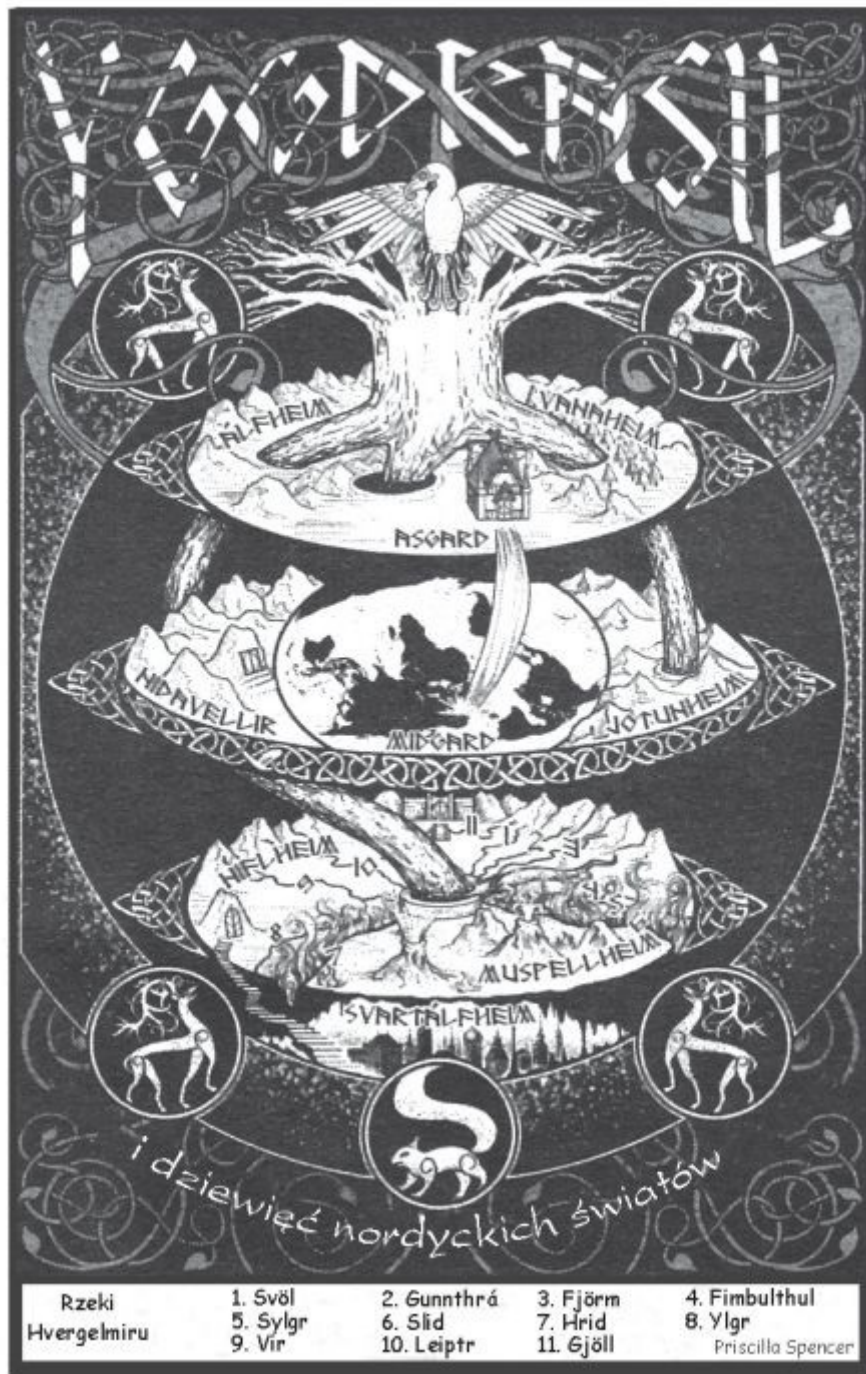
Siodhachan = Szijahan (Prawdziwe imię Atticusa nadane mu przez jego rodzoną matkę)

Tír na nÓg = Tir na Nog (Kraina Młodości. Główna kraina irlandzka, poprzez którą druidzi mogą się przenosić do innych krain)

Tuatha Dé Danann = Tua dej danan (Rasa ludzi, którzy byli pierwszymi druidami, a potem stali się bogami irlandzkich pogan)

Nordyckie słowa

Álfheim = Alfheim
einherjar = ajnherjar
Gjöll = Gjol
Hugin = Hjudzin
Munin = Munin
Nidavellir = Nidawettylir
Niflheim = Niwelheim
Sigyn = Sygin
Skadi = Skati
Svartálfheim = Swartelfheim
Vir = Wer
Yggdrasil = Igdrasyl (Drzewo Świata)
Ylgr = Ilger



Rozdział 1

Macie czasem takie niekontrolowane drgania całego ciała przed zaśnięciem, kiedy mięśnie robią głupie dowcipy mózgowi? Człowiek wybudza się wtedy zupełnie i zaraz szlag go trafia na układ nerwowy, no bo co w końcu? Łapałem się już przedtem na tym, że mówię mu: „Cholera, brachu (tak, zwracam się do mojego układu nerwowego „brachu” i brach to jakoś znosi), już prawie spałem, a teraz w pień mi wyciąłeś wszystkie te owce, które sobie spokojnie liczyłem!”.

Coś w tym stylu czułem właśnie, kiedy szedłem po płaskowyżu Kaibab, tylko że tym razem to drżała Gaja. Przez tatuaże dochodził do mnie jakiś nieprzyjemny dreszcz, jakbym wyszedł boso do garażu w zimie i by mi się zwinęły sutki. Ale zirytowałem się tak jak przy tych mimowolnych skurczach mięśni i ogarnął mnie nagły niepokój. I choć wcale nie zamierzałem właśnie zasypiać, to jednak zaraz miało nastąpić wydarzenie wieńczące dwanaście lat pilnej nauki Granuaile – i pragnę zauważyć, że z wyjątkiem kilku pierwszych miesięcy lata te minęły nam we względnym spokoju. Granuaile była wreszcie gotowa stać się pełną druidką i właśnie szukaliśmy miejsca, w którym mógłbym ją połączyć z ziemią, kiedy nagle poczułem to podejrzane drżenie. Natychmiast posłałem do żywiołaka Kaibaba zapytanie w formie koktajlu z uczuć i obrazów, którym żywiołaki posługują się zamiast języka: //Dezorientacja / Pytanie: co to było?//.

//Dezorientacja / Niepewność / Strach// brzmiała odpowiedź. Trochę mnie zmroziło. W życiu nie słyszałem o dezorientacji u żywiołaka. Co innego strach – to było na porządku dziennym. Mimo potężnej mocy żywiołaki boją się niemal wszystkiego: od kopalni złóż powierzchniowych przez budowy po korniki. Straszne z nich cykory. Ale nigdy, przenigdy nie są niepewne, jeśli chodzi o to, co dzieje się z Gają. Zamarłem, a Granuaile i Oberon obrócili się i spojrzeli na mnie pytająco. Spytałem Kaibaba, czego się boi.

//Kraina za oceanem / Śmierć / Płonie / Płonie / Płonie//

Dobra. To tylko zwiększyło moją dezorientację. Kaibab nie miał na myśli jakiegoś kraju za oceanem. Mówił (czy też „mówiła”, jak się upierała Granuaile) o całym świecie połączonym z ziemią gdzieś po drugiej stronie globu.

//Pytanie: Jaka kraina?//

//Nazwa nieznana / Bóg z krainy szuka druida / Pilne / Pytanie: podać lokalizację?//

//Pytanie: Jaki bóg?//

Odpowiedź powinna mi przy okazji wyjaśnić, jaka kraina płonie. Nastąpiła przerwa w komunikatach żywiołaka. Wykorzystałem ją, żeby rzucić kilka słów wyjaśnienia Granuaile i Oberonowi:

– Dzieje się coś niedobrego. Kaibab mi tłumaczy. Zaczekajcie.

Nie trzeba im było mówić, że mają mi nie przeszkadzać. Moje słowa automatycznie zinterpretowali jako prośbę o zaostrenie czujności, co było z ich strony bardzo bystrym posunięciem. Wszystko, co martwi awatara środowiska, które właśnie zamieszkujesz, powinno wywołać u ciebie kofeinowy stan paranoi.

//Imię boga: Perun// odpowiedział w końcu Kaibab.

Niemal nieświadomie odpowiedziałem na to: //Szok//, bo taka właśnie była moja reakcja. Słowiańska kraina stoi w ogniu? A może nawet już spłonęła? Ale dlaczego? Jakim cudem? Pozostawało mieć nadzieję, że Perun zna odpowiedzi na te pytania. Bo jeśli szukał mnie, myśląc, że ja je znam, to obu nas czeka rozczarowanie. //Tak / Podać Perunowi lokalizację//.

Dobrze byłoby też wiedzieć, skąd Perun w ogóle wie, że można pytać o mnie Kaibaba – czy ktoś go poinformował o tym, że moja śmierć dwanaście lat temu była tylko upozorowana? Nastąpiła kolejna przerwa w rozmowie z Kaibabem, którą wykorzystałem na szybkie porozumienie się z Granuaile i Oberonem.

<Hej, a Perun to nie przypadkiem ten włochaty typek, który umie się zmieniać w orła? Opowiadałeś mi o nim, nie?> spytał Oberon.

Tak, to właśnie on.

<Zawsze się zastanawiałem, dlaczego on nie reklamuje kremów do golenia albo żyletek z dwudziestoma pięcioma ultracienkimi wibrującymi ostrzami. Gdyby tylko zechciał, mógłby ożywić cały przemysł stalowy>.

Nie wiem dlaczego, ale być może będziesz miał okazję sam go o to zapytać.

//Nadciąga// poinformował mnie Kaibab. //Szybko//

– Nadciąga! – krzyknąłem w ramach ostrzeżenia.

– Co nadciąga, Atticusie? – spytała Granuaile.

– Nadciąga bóg piorunów. Powinniśmy stanąć bliżej drzewa i przygotować się do umknięcia do Tír na nÓg, gdyby zaszła taka potrzeba. I wyciągnij fulguryty!

Fulguryty chroniły nas przed piorunami. Perun dał je nam, kiedy Granuaile zaczynała dopiero naukę, ale już od lat ich nie używaliśmy, bo i tak wszyscy bogowie piorunów byli przekonani, że nie żyją.

– Myślisz, że on będzie nas chciał zaatakować? – zdziwiła się Granuaile.

Zrzuciła swój czerwony plecak i odpięła kieszonkę zawierającą piorunowce.

– No nie, ale... może. Szczerze, to pojęcia nie mam, co jest grane. A w razie wątpliwości upewnij się, że masz drogę ucieczki. Zawsze to powtarzam.

– Zawsze powtarzasz: „W razie wątpliwości zrzucaj winę na mroczne elfy”.

– Yyy. No tak. To też.

<Moim zdaniem to w ogóle nie są zbyt praktyczne rozwiązania> oświadczył Oberon. <Nie dają żadnej satysfakcji. Ja bym raczej powiedział: „W razie wątpliwości zjedz lunch sąsiada”. To znacznie lepsze wyjście z sytuacji, bo przynajmniej masz pełny żołądek>.

Staliśmy na łące porośniętej trawą i koniczyną. Niebo było błękitne, słońce składało na rudych włosach Granuaile złociste pocałunki – na moich zresztą pewnie też. Od jakiegoś czasu nie farbowaliśmy włosów, bo dawno nikt nie szukał już pary rudzielców. I po wielu latach tego niewygodnego golenia – moja kozia bródka była zbyt charakterystyczna i zbyt trudno ją było pofarbować – w końcu mogłem cieszyć się zarostem. Oberon miał taką minę, jakby chciał się rzucić na ziemię i wygrzewać w słońcu. Plecaki mieliśmy ciężkie od sprzętu kempingowego zakupionego w Peace Surplus w Flagstaff, ale gdy tylko Granuaile wyciągnęła z nich fulguryty, mimo obciążenia pomknęliśmy do najbliższego sosnowego zagajnika. Sprawdziłem, czy splot mający łączyć to miejsce z Tír na nÓg jeszcze tu działa, i czekałem na oznaki

przybycia Peruna.

Granuaile spojrzała na mnie, a potem też zadarła głowę.

– Co tam takiego jest na niebie, sensei? – spytała. – Nic nie widzę.

– Czekam na Peruna. Zakładam, że przyleci. O, widzisz? – Wskazałem jej czarną chmurkę strzelającą masą piorunów i nadciągającą z północnego zachodu. A za nią, może jakieś pięć czy dziesięć kilometrów dalej, płonęła pomarańczowa kula ognia.

Granuaile zmrużyła oczy.

– A to jakby logo drużynowe Phoenix Sunsów? To właśnie Perun?

– Nie. Perun leci przed tym i ciska w to piorunami.

– Aha. To co to jest? Meteor? Cherub? Czy jakieś jeszcze inne lichy?

– Inne lichy. Nie wygląda to przyjaźnie. To na pewno nie jest wesoly, przytulny ogień na kominku, przy którym siadasz z przyjaciółmi, żeby czytać poezję Longfellowa i opiekać sobie nad płomieniami s'moresy. To raczej napalm z nadzieniem z fosforu i piekielnym sosem.

Pioruny i kula ognia były coraz bliżej nas.

<Słuchaj, Atticusie, nie wydaje ci się, że powinniśmy wypróbować tę naszą drogę ewakuacyjną? Tylko sprawdzimy, czy działa, co?> zaproponował Oberon.

Wiem, wiem, chłopie. Ja też jestem gotów zniknąć stąd w każdej chwili. Ale zobaczmy najpierw, czy nie uda nam się jednak pogadać z Perunem.

Niebo nad nami pociemniało i zadudniło. Wszystko się zatrzęsło. Perun podróżował z prędkością ponaddzwiękową. Z hukiem walnął w łąkę z pięćdziesiąt metrów od nas, a kawałki darni trysnęły wokół świeżo stworzonego krateru. Poczulem pod stopami drzenie ziemi, a fala przesuniętego raptownie powietrza pchnęła mnie do tyłu. Nim darń zdołała opaść na ziemię, mocno umięśniona postać porośnięta grubym dywanem włosów zerwała się na równe nogi i rzuciła ku nam z paniką na twarzy.

– Atticus! Musieć uciekać z ta kraina! Nie być bezpieczna! Musieć mnie uratować!

Ogólnie rzecz biorąc, bogowie piorunów nie przejawiają skłonności do popłochu. Zdolność rozwiązywania wszelkich problemów piorunem zmienia ostrza strachu w małe, śmieszne poduszeczki nonszalancji. Toteż kiedy taki zabójczy skurczybyk jak Perun wygląda, jakby miał zaraz zrobić w gacie, chyba i ja mam prawo zrobić to samo – szczególnie że w krater opuszczony właśnie przez Peruna natychmiast runęła kula ognia i wysłała mi cały tlen z płuc.

Granuaile skuliła się i wrzasnęła zaskoczona; Oberon zaskomlał; a Perun skoczył ku nam przez powietrze jak kaskader z filmów Michaela Baya. Wylądował po skoku, z wdziękiem przetoczył się po ziemi, po czym natychmiast wstał i znów pędził ku nam.

Za nim ogień bynajmniej się nie rozproszył, tylko zaczął się kurczyć, zagęszczać i... śmiać. Tym wysokim, cienkim, maniakałym śmiechem rodem z upiornych kreskówek. Po czym płomień zawirował jak torus wokół trzymetrowej postaci i zniknął. Około pięćdziesięciu metrów przed nami stał smukły olbrzym o wąskiej twarzy, a żółte i pomarańczowe włosy wyrastały mu z czaszki niczym promienie jakiegoś upiornego słońca. Uśmiech na jego twarzy nie należał do miłych i

przyjacielskich – był to socjopatyczny grymas, i to grymas nieodwracalnie pojębłocony.

Najgorsze były jednak te oczy – stopione w kącikach, jakby przeżyły bliskie spotkanie z kwasem. Tam, gdzie normalny człowiek ma zmarszczki od śmiechu albo kurze łapki, on miał pełne pęcherzyków, różowe blizny. Białka jego oczu zasnuwane były czerwoną mgłą popękanych naczynek, a tęczę miał niebieskie jak lód i oszronione szaleństwem. Mrugał nimi szybko, jakby mu się dostało mydło do oka albo co, i zaraz zrozumiałem, że to taki nerwowy tik, bo głowa też skakała mu co jakiś czas na prawo, upodabniając go tym samym do jakiegoś straszego bobbla.

– Szybko, przyjaciel! Musieć uciekać! – nalegał Perun, posapując. Od razu położył jedną rękę na moim ramieniu, a drugą na sośnie.

Granuaile poszła za jego przykładem. Wiedziała już dobrze, co robić, tak zresztą jak i Oberon, który usiadł potulnie i jedną łapę położył na mnie, a drugą na drzewie.

– Perunie, kto to jest, do cholery? – spytałem.

Olbrzym znów się roześmiał, a ja zadrżałem mimowolnie. Jego głos był gładki i miękki jak pianki cukrowe, to jest, gdyby sprzedawali je z odłamkami szkła gratis. Poza nerwowym tikiem dysponował także ciężkim skandynawskim akcentem.

– To-to-to miejsce to Me-Me-Meryka, taaak?

Ma tik, jąka się i jeszcze uczy się angielskiego. Można oszaleć od samego słuchania.

– Tak – odparłem.

– Ha? Kto? Ty? *Jeee!* – Splunął ogniem i potrząsnął raptownie głową. Może to było coś więcej niż tik. Może to cały zespół Tourette'a. A może jeszcze coś innego. Wszystkie oznaki prowadziły do konkluzji, do której nie miałem ochoty dochodzić.

– K-k-kto bo-bo-bogiem tu? – Zachichotał pod nosem zadowolony, że udało mu się w języku obcym sformułować całe pytanie. Z jego głowy wydobywał się niepokojąco wysoki dźwięk – podobny do skwierczenia tłuszczu na patelni albo może bardziej do tego pisku, który wydaje balon, jeśli powoli wypuszcza się z niego powietrze. Olbrzym oparł dłonie na kolanach i zgarbił się, żeby unieruchomić swoją łepetynę, ale to wywołało tylko jeszcze gorszy efekt: jego płomieniopodobne włosy zmieniły się w prawdziwe płomienie. Syczący dźwięk przeszedł w hałas.

– Ty jesteś bogiem – zaryzykowałem inteligentną odpowiedź. Mogłem to niby sprawdzić w magicznym spektrum, ale nie było takiej potrzeby. Perun nie bałby się nikogo innego. – Ale nie wiem którym. Jak ci na imię?

Olbrzym odrzucił w tył głowę i zawył z radości, klaszcząc przy tym jak dziecko i tupiąc, jakbym właśnie go spytał, czy chce dostać loda. Szczeka mi opadła, a Granuaile wymamrotała tylko:

– Co jest, kurwa? – co po prawdzie odzwierciedlało moje uczucia.

Z jego umysłem było coś nie tak.

Perun poklepał mnie niecierpliwie po ramieniu.

– Atticus, to być Loki. On być wolny. My musieć uciekać. To być dobra rada.

– Bogowie niejedyni – wymamrotałem i z miejsca dostałem gęziej skórki. Gdy tylko go zobaczyłem, przemknęło mi przez myśl takie przerażające wyjaśnienie sytuacji, ale usiłowałem je odepchnąć i znaleźć jakąś mniej apokaliptyczną hipotezę

– na przykład, że armii wymknął się jakiś nowy eksperyment w stylu rekino-ośmiornicy. Ale nie, to musiał być Loki, czarny charakter *Edd*, którego uwolnienie zapowiada początek Ragnaröku. I właśnie był uwolniony i gotów do zrównania z ziemią okolicznych miast, a pewnie i większych obszarów.

<Włochaty mądrze gada, Atticusie. W ogóle nie powinno się rozmawiać z obcymi, a już w szczególności jeśli są wysocy, pełni blizn i płoną!>

Perun i Oberon mieli oczywiście rację. Najmądrzejsza rzecz, jaką mogliśmy zrobić, to opuścić tę krainę. Choć może jeszcze mądrzej byłoby zmusić przy okazji Lokiego do jej opuszczenia. Nie chciałem uciekać i zostawiać Kaibaba z takim problemem. Chciałem, żeby Loki zniknął z tej krainy jak najszybciej. Czas było więc skłamać bogu kłamstw.

– Jam jest Eldhár! – zawołałem do niego po staronordycku. Jego śmiech, który i tak już wybrzmiewał, urwał się nagle, a niebiesko-krwawe oczy skupiły się raptownie na mnie. Już kiedyś posłużyłem się tym imieniem. Po staronordycku oznacza ono po prostu „ogniwłosa”. Użyłem go wiele lat temu, kiedy wybrałem się do Asgardu ukraść złote jabłko. – Jestem tworem krasnoludów z Nidavelliru. – Czerpiąc ze szczodrych zapasów adrenaliny i sięgając do bardziej prymitywnej części mojej psychiki, uśmiechnąłem się do olbrzyma tak samo niepokojąco jak on do nas. – Cieszę się, że jesteś wreszcie wolny, Loki, oznacza to bowiem, że wolna jest też twoja żona, a ja stworzony zostałem właśnie po to, by zniszczyć ją i twoje potomstwo. To ja odetnę głowę węzowi. Ja wypatroszę wilka. A co do Hel... nawet królowa śmierci może umrzeć. – I zaśmiałem się maniakałnie, mając nadzieję, że wypadło to przekonująco, tym bardziej że miały to być też słowa pożegnania.

Nie dając mu szansy na odpowiedź, zacząłem przeciągać się po nici łączącej tę okolicę z Tír na nÓg. Granuaile, Oberona i Peruna zabierałem oczywiście z sobą. Liczyłem na to, że w ten sposób bezpiecznie opuścimy ziemię i zostawimy Lokiemu chwilę spokoju, by mógł sobie przemyśleć ten nowy problem. Uznałem, że zaraz potem wróci do swojej krainy i zacznie zadawać wszystkim masę dociekliwych pytań (pozostawało mieć nadzieję, że krasnoludy są ubezpieczone od ognia).

Ja też zresztą miałem masę pytań – do Peruna. Pozwolę sobie kilka tu wymienić: jak Loki dał radę wtargnąć do słowiańskiej krainy? Co kombinowała Hel? Gdzie znajdował się Fenris? Ale przede wszystkim: co za idiota wpadł na pomysł nauczania tego starego boga intryg języka angielskiego?!

Rozdział 2

Nie zabawiłem długo w Tír na nÓg, tylko od razu przerzuciłem nas na wyspę pośrodku Third Cranberry Lake w Manitobie. Była to jedna z moich ulubionych kryjówek, porośnięta zimozielonymi roślinami i rzadko odwiedzana przez ludzi.

Z trudem łapałem oddech, choć donikąd jeszcze nie biegłem.

– Za wcześnie – wysapałem. – Nie powinien jeszcze latać po świecie i palić. Przecież został nam jeszcze rok.

– O czym ty w ogóle mówisz? – spytała Granuaile. Skrzyżowała nogi i oparła się na swoim kiju.

– Perun będzie wiedział – powiedziałem, podchwytyjąc jego spojrzenie. – Pamiętasz, jak byliśmy na Syberii, jedliśmy zająca i opowiadaliśmy sobie różne historie, nim ruszyliśmy do Asgardu?

– Da, ja pamiętać. Ja powieść wtedy, następny raz my zjeść niedźwiedź. <Podoba mi się rozumowanie tego faceta>.

– I właśnie po tym posiłku Väinämöinen opowiedział nam historię o lewiatanie. Nic wtedy nie chciałem mówić, ale jest to stare proroctwo w stylu bomby zegarowej. Syreny wyjawily je Odyseuszowi, gdy był przywiązany do masztu... znaczy tylko to jedno jeszcze się nie spełniło, i wtedy na Syberii pomyślałem sobie, że może właśnie ruszył zegar. Przepowiednia syren brzmi tak: „Trzyście lat po tym, jak biała broda w Rosji na kolację zająca zje i o morskich węzach opowie, spłonie świat”.

– To jakieś dziwne – stwierdziła Granuaile.

– Dziwne? To nie być dziwne. To być jak nieszczęśliwy żołądek po ostrym jedzeniu. To być tyłek w ogniu – oświadczył Perun.

– Co takiego?! – wybąkała Granuaile, która nie nawykła jeszcze do Peruńskich prób ubarwiania języka angielskiego.

– Ja mieć na myśli duży dyskomfort – wyjaśnił Perun, wzruszając ramionami.

– Tyłek w ogniu nie jest dobrze, rozumiesz?

– To prawda – zgodziłem się – ale sęk w tym, że te same syreny przepowiedziały z dość dużą dokładnością panowanie Czyngis-chana, rewolucję amerykańską i zbombardowanie Hiroszimy. To sugeruje z kolei, że mówią tu o czymś większym niż zwykle ognisko czy tyłek, czy coś w tym stylu.

<A właśnie! Nigdy jakoś nie znalazłeś mi tej hordy, z którą mógłbym biegać po stepach mongolskich>.

– Ty myśleć, że mój świat jest świat z to proroctwo? – spytał Perun.

– Nie, nie wydaje mi się, żeby syreny mówiły o innych krainach niż ta. A przede wszystkim jest o rok za wcześnie. I martwi mnie, że choć przepowiednie dotyczące Ragnaröku są już niby nic niewarte, mogą się jednak spełnić, skoro Loki jest teraz na wolności. Syreny Odyseusza nigdy się jak dotąd nie pomyliły, ale może tym razem właśnie tak będzie... zresztą może tylko rąbnęły się o rok. Skąd mam to wiedzieć? Zamordowanie Norn wszystko pomieszało. W sumie wiem tylko tyle, że na wiatraczek za dziesięć dolców pędzi właśnie tsunami gówna, a my stoimy na tym

wiatraczku. Jezus mówił o kataklizmach w liczbie mnogiej i może uda nam się ich uniknąć, jeśli pozbedziemy się Lokiego i Hel, ale kto wie, czy Ganeśa i spółka pozwolą mi to teraz zrobić, bo przecież obiecałem im, że poczekam, aż...

– Atticusie – przerwała mi Granuaile, delikatnie dotykając mojego ramienia. – Bredzisz. Uspokój się.

– Racja. Dzięki. Muszę zwolnić. Wiecie, co naprawdę mnie wkurza w przepowiedniach?

– Że nigdy nie przewidują niczego miłego – zgadła Granuaile. – Choć raz chciałabym usłyszeć, jak jakiś prorok mówi komuś: „Strzeż się, wygrasz bowiem odjazdowego camaro w takim i takim teleturnieju!”.

– Słuszna uwaga, ale chodziło mi raczej o to, że wszyscy je mają. Prorocy kręcą się po tym świecie mniej więcej tak długo jak prostytutki.

<A czasem nawet po tym samym łóżku! Ha!>.

– I przez to nie sposób dojść, komu wierzyć – ciągnąłem. – Kończy się na tym, że wszystkich się olewa jako jakieś kasandry, a tymczasem niektórzy naprawdę wiedzą, co mówią. Sztuka polega więc na tym, żeby utrafić tego, którego przepowiednia się akurat spełni, i to najlepiej, zanim się spełni. Szanse na strzał w dziesiątkę mniejsze niż w ruletce.

– Ty chcesz strzelić dziesięć kobiet o imieniu Kasandra? – upewnił się Perun, marszcząc gniewnie czoło. – To nieładnie bić kobiety, nawet jak mają brzydkie imię.

– Co?! Perunie, chyba coś mnie źle zrozumiałeś.

– O. – Stropił się nie na żarty. – To mi siebie często zdarzać. Angielski nie być najlepszy język dla mnie.

– Mówię już trochę po rosyjsku, choć nie wychodzi mi to może najlepiej – zastrzegła się Granuaile. – Możemy przejść na twój język, jeśli wolisz, ale musiałbyś mówić powoli i wymawiać wszystko bardzo wyraźnie.

Perun się rozpromienił.

– Da, to być wspaniałe!

Przeszliśmy więc na rosyjski i starałem się mówić powoli ze względu na Granuaile.

– Myślałem już o tym od jakiegoś czasu – powiedziałem. – To proroctwo o spaleniu świata może być powiązane z Ragnarökiem przez to, co zrobiliśmy w Asgardzie. I dlatego właśnie widok Lokiego na wolności bardzo mnie niepokoi. W starych opowieściach jego uwolnienie zawsze stanowiło zapowiedź Ragnaröku.

– No dobra, ale czy on nie miał przypadkiem przypląć na pole Vígríðr na tym upiornym okręcie z paznokci? – Granuaile zmarszczyła brwi.

– Miał – potwierdziłem, kiwając głową. – Ale nic już nie stanie się tak, jak miało się stać. Bez względu na wszelkie proroctwa Loki na wolności to nic dobrego, i to dla nikogo. Jak on się w ogóle dostał do twojej krainy, Perunie?

Wielki słowiański bóg wzruszył ramionami, a jego imponujące poszycie osobiste dobitnie wyraziło potęgę jego frustracji.

– Pojęcia nie mam. Siedziałem sobie na Alasce w postaci orła. Jadłem sobie właśnie pstrąga prosto z rzeki, aż tu nagle poczułem, że coś jest nie tak. Wróciłem zaraz do swojej krainy, a tam już Loki wszystko mi palił. Cisnąłem go więc piorunem, ale facet mnie wyśmiał. Nic mu się od tego pioruna nie stało i jeszcze mi

powiedział, że właśnie na mnie czekał.

– Dlaczego? – spytała Granuaile.

– Był na mnie wściekły za to, że pomogłem przy zabiciu Thora – wyjaśnił

Perun.

– Ale przecież on nienawidził Thora – zauważyłem.

– Wiem. Powiedział, że marzenie o zabiciu Thora trzymało go przy życiu przez wszystkie te lata, kiedy był uwięziony pod wielkim węzem. Potem powiedział jeszcze, że skoro odebrałem mu jego największe marzenie, to on odbierze marzenie moich ludzi. Zostały mi tylko popioły.

– To okropne – szepnęła Granuaile.

Perun skinął głową z wdzięcznością.

– A potem jeszcze powiedział do mnie: „Ty jesteś zupełnie jak Thor, to zamiast niego zabiję ciebie”. Zaatakował mnie i był bardzo silny. Silniejszy, niż myślałem. Zacząłem się bać... spanikowałem i poprosiłem ziemię, żeby cię namierzyła.

Coś mi się tu nie zgadzało.

– Nie wiedziałeś, że umarłem?

Perun spojrzał na mnie uważnie.

– A kiedy umarłeś? – Dźgnął mnie palcem, jakby chciał sprawdzić, czy jestem prawdziwy. – Nie wyglądasz mi na ducha.

– Nie, no mam na myśli to, że upozorowałem swoją śmierć. Nie słyszałeś o tym?

Bóg piorunów pokręcił łbem.

– Chyba trochę za długo zostałem w postaci tego orła. Straciłem poczucie czasu.

Wiedziałem, co ma na myśli. Pozostawanie zbyt długo pod postacią jakiegoś zwierzęcia jest zwyczajnie niebezpieczne. Łatwo się skupić całkowicie na podstawowych potrzebach związanych z przeżyciem i pozwolić wszystkim innym troskom odejść w niepamięć. A gdy tylko w niepamięć odchodzą troski, wraz z nimi znikają wszelkie wspomnienia, aż w końcu tożsamość rozplywa się niczym mgła i zostaje tylko pragnienie zdobycia w lesie następnego posiłku. Mój archdruid nazywał ten stan Ostatnią Przemianą. Tak właśnie druidzi popełniają samobójstwo.

– A nie wiesz przypadkiem, kto uwolnił Lokiego?

Perun zrobił smutną minę.

– Nie powiedział. I nic nie wiedziałem o całym zajściu, póki nie poczułem, że mój świat... płonie.

Ktoś na prawo ode mnie odchrząknął. Odwróciłem się i ujrzałem faerię – jedną z tych latających, patetycznych, odzianych w zielono-srebrne szaty Dworu Faerii. Unosił się ten bufon w bezpiecznej odległości ode mnie, jakby się bał, że mu się rzucę do gardła. Bogowie niejedyni, jakim cudem w ogóle mnie znalazł?

– Witaj, Siodhachanie Ó Suileabháinie – wycedził głosem ociekającym lekceważeniem i arystokratycznym obrzydzeniem. Wymawiał każde słowo z taką precyzją, że niemal słyszało się duże litery. – Domniemany Nieboszczyku. Brighid, Pierwsza wśród Faerii, wzywa cię na audiencję na swój Dwór i oczekuje, iż odpowiesz jej na Pytania Wielkiej Wagi, w tym między innymi: Dlaczegoż to wciąż żywiesz?, a co ważniejsze: Dlaczegoż to nie poinformowałeś Brighid o tym Raczej

Istotnym Fakcie?

Przez chwilę zastanawiałem się poważnie nad unicestwieniem posłannika. Wystarczyło uścisnąć jego dłoń – lub w jakikolwiek inny sposób go dotknąć – a jako istota stworzona z magii zmieniłby się w pył pod wpływem kontaktu z zimnym żelazem z mojej aury. Wtedy jednak Brighid dowiedziałaby się, że coś się z nim stało, i po prostu wysłałaby za mną następnego. Gdybym kazał jej czekać, jej złość na mnie tylko by wzrosła. Ale i tak była to najmniej odpowiednia chwila na zaproszenie mnie na herbatkę... lub chłostę czy co też tam dla mnie przewidziała.

– Rozumiem. Akurat jestem niedysponowany i nie mogę się stawić na Dworze Faerii. Czy przekażesz jej tę wiadomość ode mnie?

– Nie. Mam przyprowadzić cię na Dwór i nic poza tym.

W końcu jego ton wyprowadził mnie z równowagi – szczególnie w połączeniu z tą elżbietańską dykcją. Uznałem, że powinienem mu jednak przypomnieć, iż nie jestem wcale poddanym Brighid.

– Doprawdy władasz mocą przyprowadzenia mnie tam, panie? – zapytałem. – Jesteś więc odporny na zimne żelazo?

Jego nadęta, zarozumiała postawa zniknęła w jednej chwili i jęknął cicho.

– Nie – przyznał.

– Zatem cała ta gadka o przyprowadzaniu mnie gdziekolwiek była tylko zwykłym chełpieniem się? – Zrobiłem krok w jego stronę, a on wycofał się skrzydłście. Uśmiechnąłem się groźnie.

– Tak – wybąkał.

– To dobrze – stwierdziłem i pokpiwając z jego akcentu i języka, dodałem: – Bardzo się to niefortunnie składa, że nie możesz zanieść twej pani wiadomości ode mnie. Wszakże możesz z pewnością zadać jej miast tego pytanie, które, gdy zyskam na nie odpowiedź, przyspieszyć może moje przybycie na jej Dwór. Czy mogę zabrać z sobą towarzyszy mych, których tu widzisz, psa nie wykluczając, i czy ręczy ona swoim słowem za ich bezpieczeństwo? Potrzebowałbym gwarancji bezpieczeństwa dla nas wszystkich w drodze na Dwór i z powrotem. Pozytywna odpowiedź zapewni jej moje natychmiastowe przybycie.

– Przekażę jej twoje pytanie.

– Będę czekał na jej odpowiedź tylko pięć minut.

Posłannik skinął głową i bez słowa dotknął tego samego drzewa, którego przed chwilą użyliśmy, żeby się tu dostać. Zniknął nam z oczu, przechodząc do innej krainy, a ja obnażyłem miecz.

– Na stanowiska i bądźcie gotowi na wszystko – powiedziałem. – Może wrócić z przyjaciółmi. Lub z bogami.

<A jeśli wróci z przysmakami?> chciał wiedzieć Oberon.

Rozdział 3

Granuaile nic nie powiedziała, ale na jej ustach zaigrał uśmiech, gdy ścisnęła w dłoni nóż do rzucania. Nie mogłem oczywiście czytać jej w myślach, ale nie było takiej potrzeby. Na twarzy miała wypisane słowa: „Wreszcie coś się dzieje!”. Po dwunastu latach treningów i walki tylko ze mną wreszcie nadarzała się okazja do prawdziwej bójki. Skryła się za innym drzewem i przykucnęła.

W przeciwieństwie do niej miałem nadzieję, że do żadnej bójki nie dojdzie. Właśnie na tym etapie straciłem mojego ostatniego ucznia, Cíbrana – pod koniec nauki, ale zanim zdążyłem spleść go z ziemią, żeby dać mu dostęp do magii. Granuaile naprawdę świetnie wyszkoliła swój umysł i ciało, ale nie miała szans na przeżycie ani jednej z takich bójek, do jakich ja byłem przyzwyczajony, bo to wymagało podkręcenia sobie prędkości i siły oraz szybkiego leczenia się z pomocą ziemi.

Zajęliśmy z Perunem odpowiednie pozycje, a Oberon położył się niczym Sfinks i wbił wzrok w drzewo splecione z Tír na nÓg, gotów w każdej chwili zerwać się do skoku i zaatakować.

Przestań wymachiwać ogonem. Ten ruch zdradzi twoją pozycję.

<Ale taki jestem przejęty! Może nawet uda mi się rzucić na jakąś faerię!>

Z tego drzewa może wyleźć coś znacznie potężniejszego niż zwykła faeria, więc nie skacz, póki się nie upewnisz na co, dobra?

<Dobra, dobra. Poczekam, aż powiesz „bierz go”!>

Było to bardzo rozsądne rozwiązanie, tym bardziej że herold faerii nie wrócił. Ktoś dotknął mojego ramienia, ale kiedy obróciłem się z gotowym do walki Moralltachem, nikogo nie zobaczyłem. Tylko ciche prychnięcie ubawienia świadczyło o tym, że ktoś tam naprawdę jest.

– Uspokój się, Atticusie – rzekł kobiecy głos, po czym bogini polowań Flidais zdjęła splot, który dawał jej pełną niewidzialność. – To tylko ja. Mam eskortować ciebie i twoich towarzyszy na Dwór. Moja obecność ma stanowić gwarancję, że w Tír na nÓg nie spotka ich żadna krzywda. Może być?

Mogło, nawet mimo że Flidais nie była ubrana zgodnie ze swoim własnym stylem. Wyraźnie postarała się tym razem wypaść dworsko. Zwykle miała na sobie skórę, łuk i kołczan nosiła na widoku, a jej rude włosy kręciły się jak szalone i przyozdobione były najróżniejszymi gatunkami flory, które można było od biedy nazwać kamuflażem. Tym razem jednak ubrała się w prostą tunikę z kremowej tkaniny, wyszywaną w zieloną plecionkę wzdłuż dekoltu i po obu bokach pod każdym z ramion. Przy pasie zwisał jej wielki nóż z rączką z wypolerowanego malachitu i masy perłowej. Nigdy go jeszcze nie widziałem, albo był to więc nowy nabytek, albo broń ozdobna noszona przez nią tylko na Dworze. Włosy miała świeżo umyte i wyszczotkowane, a kwiaty w nich wyglądały na włożone tam celowo, a nie przypadkowo. Nie dało się nie zauważyć, że w takiej odczyszczonej wersji bardzo przypominała Granuaile. Zamiast spódnicy miała na sobie luźne bawełniane spodnie, trochę jak te noszone przez adeptów sztuk walki. Ufarbowane były na taki sam

brązowy odcień jak pas. Była boso. Podejrzywałem, że reszta Tuatha Dé Danann będzie podobnie odziana. Celtycki ideał ubrania to coś na tyle luźnego, żeby dało się w tym walczyć, i na tyle łatwego do zdjęcia, żeby pozwalało na szybki numer.

– To zaszczyt mieć taką eskortę – zapewniłem ją. – Lecz czemu Brighid wysłała po nas ciebie, a nie swojego herolda?

– Przecież zasadziliście się tu na niego, prawda? – Flidais uniosła brew. – Ty i twoi przyjaciele? Brighid nie chciała posyłać go na pewną śmierć.

– Przecież bym go nie zabił – powiedziałem.

Flidais wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się kpiąco.

– Może i nie. Tak czy siak bezpieczniej było wysłać mnie niewidzialną i zapobiec wypadkowi – wyjaśniła. Spojrzała mi przez ramię i zawołała: – Już możecie wyjść! Jest bezpiecznie.

<Czy to nie jest przypadkiem ta dama, której mamy nigdy nie ufać, bo lichowie, po której jest stronie?> chciał od razu wyjaśnić sprawę Oberon, wstając ze swojej pozycji i truchtając w naszą stronę.

Tak, ale ujmijmy tę zasadę jeszcze prościej: Nie ufaj nikomu z wyjątkiem mnie i Granuaile.

<Dobra. Na pewno nie ufam Brighid. Pamiętasz, jak w zeszłym roku spaliła ci kuchnię?>

To było prawie dwanaście lat temu, ale tak, pamiętam. Najlepiej trzymaj się blisko mnie, chłopie.

<Słowo harcerza>.

– Czy to ten sam pies, którego miałeś, gdy ostatnio się widzieliśmy? – spytała Flidais.

– Tak.

– Cześć – przywitała się z Oberonem Flidais. – Może znów będziemy mieć wkrótce okazję do wspólnego polowania. – Po chwili zmarszczyła brwi, bo umiała dostroić się do myśli Oberona tak jak ja. – Zabroniłeś mi ze mną polować? – Jej oczy błysnęły groźnie.

– Wybacz, Flidais, ale gdy ostatnim razem z tobą polowaliśmy, nie obyło się bez ofiar w ludziach. Wolałbym unikać takich wypadków.

– Czy to oskarżenie? – warknęła. Och, mogłem, mogłem oskarżyć ją o dokonanie... „tak! mord. Wszelki mord ohydny, lecz ten był nadzwyczajny, niesłychany”, ale sam miewałem przecież na rękach coś więcej niż keczup, a staram się unikać hipokryzji.

– Nie. Po prostu zabroniłem mojemu psu z tobą polować. Nie ma w tym żadnego oskarżenia.

Flidais być może drażyłaby sprawę, gdyby jej uwagi nie odwróciło wielkie i włochate pojawienie się Peruna.

– To być faeria? – spytał z nadzieją w głosie i po angielsku. Jego wzrok biegał po Flidais i wyraźnie podobała mu się ta rozrywka. Brakowało mu przy tym subtelności.

Flidais odpowiedziała mu na to uśmiechem, który nie był ani ociupinę mniej lubieżny. Nie dało się ukryć, że Perun jest chodzącą górą piżma i jurności, a Flidais słyszała ze swojego apetytu. Przedstawiłem ich sobie pośpiesznie, żeby ułatwić im

wzajemne uwodzenie się, choć miałem wrażenie, że nie będzie to wymagało wiele pracy którejkolwiek ze stron.

Gdy oni skupili się na wzrokowej grze wstępnej, ja wypatrzyłem Granuaile. Stała nieco dalej, a jej twarz była poważna i nieporuszona. Poznała Flidais i Brighid na samym początku treningu i choć pogodziła się już z koniecznością rytuału *Baolach Cruatan*, czyli próby charakteru, nie miała miłych wspomnień związanych z tym wydarzeniem. Ani z Flidais.

Bogini polowania nie zatoneła tak znowu w spojrzeniu Peruna, żeby całkiem zapomnieć, po co przybyła na ziemię. Nie odrywając wzroku od boga piorunów, powiedziała do mnie:

– Zostawię ci znak, za którym podążysz, Atticusie. Zaprowadzi cię on prosto do drzewa przed Dworem Faerii. Wiem, że z twoją paranoją nie zdołasz nie obnażyć na wejściu miecza, ale proszę cię, bądź ostrożny. Upewnię się, że teren jest czysty.

<Pozostaje mi mieć nadzieję, że nie wyczyszczą go z jedzenia>.

Coś z tego musiało widać przedrzeć się przez niemal widoczną chmurę pożądania unoszącą się wokół głowy Peruna, bo nagle się zaniepokoił:

– Co takiego? Ty iść sobie?

– Będziemy jeszcze mieć okazję do rozmowy... do głębszej rozmowy – obiecała mu Flidais. – Już wkrótce.

– Najwkrótcej! – wyszeptał rozmarzony Perun.

Flidais skinęła głową Granuaile, dając jej do zrozumienia, że ją zauważyła, ale nic przy tym nie mówiąc. Moja uczennica odpowiedziała jej tym samym, a bogini podążyła bezgłośnie w stronę drzewa, w które jeszcze przed chwilą się wpatrywaliśmy. Puściła oko do Peruna, gdy kładła rękę na pniu, i przeniosła się do innej krainy.

– Na topór i niebiosy, co za kobieta! – zagrzemiał Perun, a błysk białych zębów pod brodą odjął mu lat. – Na co my czekać? My ruszać za nią!

– Jeszcze na chwilę opanuj swą chuć, Perunie, bardzo cię proszę – mruknęła Granuaile.

Entuzjazm boga piorunów ustąpił dezorientacji.

– Kim być ta Chuć? – spytał. – I czemu ja mieć nad nią panować? Ty możesz to powiedzieć pa ruski?

Granuaile zignorowała go jednak i zwróciła się do mnie:

– Jak tam będzie, Atticusie? Na co mam uważać?

– Obawiam się, że moja odpowiedź cię nie zadowoli. – Westchnąłem. – Musicie uważać na wszystko. Choć w Tír na nÓg byłem wiele razy, Dwór Faerii odwiedzałem ostatni raz, zanim nawet spotkałem Airmid, czyli jeszcze zanim ukradłem Fragaracha. Od tego czasu minęły ponad dwa tysiąclecia, pojęcia więc nie mam, jak tam teraz jest. Tuatha Dé Danann – ilu by ich tam było – będą w swoich prawdziwych postaciach, ale poza tym każda inna faeria, jaką zobaczysz, będzie pewnie w jakimś przebraniu, nie ufaj więc niczemu, co zobaczysz. Nawet meble mogą być tylko iluzją, lepiej nie siadaj na niczym i nie czuj się bezpieczna tylko dlatego, że masz za plecami ścianę.

<Ale jedzenie będzie prawdziwe, co?>

Raczej nie.

– Oberon przypomniał mi o innej ważnej sprawie – powiedziałem na głos. – Nie jedzcie ani nie pijcie, póki tam będziemy. Nie przyjmujcie żadnych podarunków, nie składajcie żadnych obietnic, nie mówcie nawet, że coś zamierzacie zrobić, bo już oni złapią was za słowo. Nigdzie indziej słowa nie są aż tak wiążące jak w Tír na nÓg. Dla bezpieczeństwa, kiedy ktoś się do was zwróci albo zada wam jakiegokolwiek pytanie, mówcie, że ja będę przemawiał w waszym imieniu. Nie dajcie się zmusić prośbą ni groźbą do samodzielnego odpowiadania. Będą próbowali tak was zastraszyć, żebyście w końcu popełnili jakiś błąd. Pod żadnym pozorem nie oddalajcie się ode mnie. Jeśli zobaczycie coś ciekawego, nie przyglądajcie się temu bliżej. Jeśli ktoś będzie chciał zdradzić wam jakąś tajemnicę, nie słuchajcie. Nie brakuje tam osób, które pragnęłyby użyć któregokolwiek z was jako zakładnika, żeby przejąć władzę nade mną, więc nie dajcie im takiej szansy, rozumiane?

<O mamusiu. Już rozumiem, dlaczego unikałeś tego miejsca!>

Gdy podeszliśmy do drzewa, które miało nas zaprowadzić z powrotem do Tír na nÓg, zacząłem się rozglądać za znakiem zostawionym przez Flidais. Dzięki niemu mieliśmy trafić w konkretne miejsce w tej krainie. Był to rodzaj skrótu, który pomagał się poruszać w obrębie Tír na nÓg. Przeniesiemy się najpierw w to samo wyizolowane miejsce w Tír na nÓg, którego użyliśmy, żeby dostać się tutaj, a potem przeskoczmy w sam środek krainy za pomocą tego znacznika bogini, który udało mi się już namierzyć w magicznym spektrum. Była to lśniąca zielona wstęga z plecionki pulsującej jak światełko w załadowanej baterii.

– Dobra – powiedziałem. – Broń ma być gotowa, a buzie zamknięte.

Zacisnąłem dłoń na mieczu. Perun miał topór, a Granuaile trzymała między palcami ostrze swego noża do rzucania.

Przenieśliśmy się do Tír na nÓg i wylądowaliśmy przed małą grupką faerii stojących na wrzosowisku. Powitały nas jednoczesne okrzyki radości i rozpacz. Małe sakiewki ze złotem i inne drobiazgi przeszły z rąk do rąk, co wyraźnie stanowiło uregulowanie jakichś długów.

– Co oni robić? – spytał Perun.

Z tłumu wyszła Flidais i pomachała nam na powitanie.

– Zakładali się, czy pojawicie się z obnażoną bronią czy nie. Chodźcie za mną.

Ruszyłem za nią, ale bardzo powoli i z mieczem gotowym do walki. Minus paranoi jest taki, że od czasu do czasu człowiek staje się obiektem podobnych rozrywek jak te zakłady, ale plus jest taki, że się żyje.

Powolne tempo pozwoliło nam rozejrzeć się nieco wokół. Poza zwykłymi *sidhe*, które trudno było odróżnić czasami od ludzi, były tu także Dębiaki, tańczące Feeoriny, Firdarrigowie, Geancanachy, Brownie oraz mała delegacja reprezentująca Niebieskich Ludzi z Minch. Wokół fruwały podniecone chochliki celtyckie i z pewnością rzucały jakieś złośliwe komentarze na nasz temat, bo co jakiś czas słyszałem ich szept, a potem wybuch śmiechu kolejnych grupek faerii.

Niebo nad nami miało dokładnie taki odcień błękitu, jaki agencje turystyczne wymarzyły sobie na swoich materiałach promocyjnych, a ja zacząłem się tak à propos niczego zastanawiać, jaki jest numer Pantone tego koloru tam, na ziemi. Tu oczywiście był to tylko element złudzenia doskonałości, o które zadbała Brighid. Na Tír na nÓg wszystko jest w jak najlepszym porządku, bo jakżeby mogło być inaczej,

skoro mamy tu tak piękną pogodę?

Dwór Faerii nie był oczywiście z tych sztywnych europejskich z marmurowymi podłogami, portretami w połączonych ramach i snującymi się wszędzie ludzkimi akcesoriami typu fircyki i błazny. Było to po prostu zalane słońcem wrzosowisko pośrodku wypielęgnowanego gaju. Gdy Flidais obiecała, że zaprowadzi nas do „drzewa przed Dworem”, miała na myśli drzewo na skraju tego wrzosowiska. Za nami kładł się na ziemi cień imponujących dębów i wiedziałem dobrze, że się w nim skrywają obserwujące nas oczy.

Po pozycji słońca można było się domyślać, że znajdujemy się na południowym skraju Dworu. Flidais prowadziła nas na północny jego kraniec, gdzie znajdowało się małe wzgórze, może wręcz pagórek albo nawet ledwie kopiec o zawyżonych ambicjach, a na nim tron Brighid. Wiedziałem, że ona sama gdzieś tam jest, ale odległość była na tyle duża, że nie mogłem dojrzeć jej wyrazu twarzy, a przede wszystkim nie stanowiła jeszcze bezpośredniego zagrożenia. Natomiast tłum faerii, który się rozstał, żeby nas przepuścić, będzie zaraz po obu naszych stronach oraz za naszymi plecami, a ta perspektywa mnie nie zachwycała.

– Flidais, czy mogłabyś, proszę, ostrzec je, żeby trzymały się z dala ode mnie i moich przyjaciół. Każdy nagły ruch możemy odebrać jako atak i odpowiednio nań zareagować.

Bogini polowań przystanęła i odwróciła się w naszą stronę.

– Czyżbyś naprawdę podejrzewał nas o taką wrogość?

– Nie wydaje mi się, żeby Brighid była dobrze do mnie nastawiona. A to wystarczy, byśmy nie tracili czujności. Faerie natomiast postępują zawsze zgodnie z jej życzeniem, wiesz o tym przecież.

Flidais prychnęła kpiąco.

– Jeśli Brighid źle ci życzy, sama się z tobą rozprawi, druidzie. Nikt nie odważy się pozbawić jej prawa do tego.

– Brighid nie ma do mnie żadnych praw. – Na co wszystkie faerie wokół rozdziawiły pyszczki, z których wydobyło się ciche „ooooo”, jakby były pewne, że zaraz słono zapłacę za takie słowa.

– Sam jej to powiedz. – Flidais odwróciła się, żeby znów ruszyć w stronę tronu, ale przez ramię zawołała jeszcze: – Już czuję, że to będzie bardzo zabawna audyencja.

<Co się może zabawnego stać w miejscu, gdzie nie wolno nic jeść ani pić? Mam nadzieję, że nie zabawimy tu długo, Atticusie>.

Też mam taką nadzieję.

Obejrzałem się kontrolnie w stronę Granuaile, a ona skinęła mi szybko głową na znak, że wszystko w porządku. Perun też jakoś sobie radził – znaczy się, był bez pamięci zagapiony w sempiterną Flidais. Jeśli o niego chodzi, to póki Flidais nie postanowi nagle zniknąć, powinien być raczej zadowolony.

Na Dwór – czy też wrzosowisko – schodziło się coraz więcej faerii, które ściągała tu z pewnością plotka roznoszona na łopoczących skrzydełkach. Szmer podniecenia wzrastał ze wszystkich stron, a publiczność rosła szybko do rozmiarów porównywalnych ze sportową.

Mała formacja chochlików – sprowokowana do tej głupoty przez swoich

przyjaciół lub może rzeczywiście zupełnie nieświadoma tego, kim jestem i jak reaguję na latające wokół mnie faerie – podfrunęła, by zatańczyć nad moją głową radosny taniec na powitanie (a przynajmniej tak mi to potem wyjaśniano). W jednej chwili było ich nade mną siedmioro, a dwie sekundy później – po kilku szybkich, przeganiających je ruchach nad moją łepetyną – już tylko troje. Niedobitki te były tak przerażone widokiem towarzyszy zmieniających się w powietrzu w proch, że zamarły na chwilę i to wystarczyło, żeby dobił je Perun różnymi błyskawiczkami.

– Tu być duże komary – zauważył, gdy po obu stronach widownia zawyła ze wściekłości.

– To nie były komary – szepnęła Granuaile, a Flidais obróciła się w naszą stronę raptownie i gniewnie.

– Co się stało? – spytała.

– Chochliki – wyjaśniłem. – Może chciały sprawdzić moje intencje.

Flidais podniosła głos i przemówiła do faerii zgromadzonych po obu stronach.

– Ostrzegałam was przecież, że to Żelazny Druid, zanim jeszcze się tu pojawił – zagrzmiała. – Naprzykrzacie mu się na własne ryzyko.

Powietrze zadrżało od trzynutowego chóru, który zaśpiewał groźnie:

– A jeśli Żelazny Druid was nie zabije, to ja to zrobię. – Był to głos Brighid.

Jako bogini poezji umiała robić te triki z włączaniem trzech nut naraz. A jeśli chciała, żeby było ją słycać wyraźnie z sześćdziesięciu metrów, też mogła to zrobić bez większego trudu. Efekt był taki, że ona mówiła coś raz, a człowiek się czuł tak, jakby mu to powtórzono trzy razy. Dawało jej to wśród faerii wielki posłuch. Kiedy jednak mówiła w ten sposób, nie mogła kłamać ani nawet mówić półprawd, więc nie stosowała tej metody zbyt często, a i wtedy starannie dobierała słowa. – Dajcie mu podejść tu w spokoju, jeśli wam życie miłe.

Zatrwożony tłum faerii ucichł i rozstąpił się jeszcze bardziej. Zadowolona Flidais odwróciła się i znów prowadziła nas w stronę tronu. Czułem się tak, jakbyśmy stanowili jakąś bardzo małą paradę, tylko że cała widownia była smutna, bo nam kwiaty jakoś tak powiędły. Bzyczenie wokół nas nie tylko przycichło, ale przeszło w bardzo wrogie tony. Flidais kroczyła przodem pewnym krokiem, przekonana, że bardzo głośne słowa Brighid i sama jej obecność stanowią wystarczającą gwarancję naszego bezpieczeństwa, ale ja nie traciłem czujności. Wokół nas zgromadziły się wszelkiego rodzaju faerie i część z nich z pewnością należała do potomstwa Aenghusa Óga. A jeżeli te chochliki zostały nasłane przez kogoś, kto chciał potwierdzić, że naprawdę jestem Żelaznym Druidem, to ten ktoś nadal tam był. I szczerze mówiąc, nie wykluczałbym też i takiej możliwości, że to Brighid i Flidais zorkiestrowały ten wypadek. Miałem przecież nie żyć już od niemal dwunastu lat, więc jedynym pewnym sposobem na sprawdzenie, czy to nie jakiś uzurpator, było nasłanie na mnie faerii, żeby zobaczyć, czy w kontakcie z zimnym żelazem w mojej aurze zmieniają się w popiół. A najlepszym sposobem, żeby pozbyć się wszelkiej odpowiedzialności za następne ataki, było publiczne pogrozenie wszystkim śmiercią. Brighid z pewnością spełniłaby zresztą swoją groźbę – nikt na jej miejscu nie chciałby, żeby nasłani na nas agenci w ostatniej chwili wygadali, kto ich nasłał.

Morrigan powiedziała mi po śmierci Aenghusa Óga, że Brighid przeprowadziła w Tír na nÓg istny pogrom. Nastąpiła bowiem jakaś rebelia w imię Óga, mnóstwo

nazbieranej magicznej broni trafiło nagle w rozgniewane ręce i w rezultacie zginęło mnóstwo faerii. Wiele z nich – jeśli nie większość – stanowiło potomstwo Aenghusa Óga, ale jestem pewien, że były i inne facje. Oznaczało to napięcia między Tuatha Dé Danann – a wszystko to z mojej winy.

No, może nie wszystko. Morrigan miała swoje zadrażnienia chyba ze wszystkimi, ale z Brighid w szczególności, i to nie ja je wywołałem, może co najwyżej zaostrzyłem. W każdym razie nie mogłem na pewno liczyć na tak miłe przyjęcie na Dworze jak dawniej. Niewykluczone, że nawet stworzyłem sobie tu jakichś nowych wrogów, toteż póki nie ustalę, kto życzy mi długiego życia, a kto wolałby mi raczej zaszerwować zemstę na zimno w sosie własnym, najlepszą strategią będzie maksymalna podejrzliwość.

Thum faerii po obu stronach kończył się raptownie jakieś dwadzieścia metrów przed tronem Brighid. Dzięki temu tworzyła się miła przestrzeń, w której poddani podczas audiencji mogli się poczuć mali i słabi. Zarazem było to miejsce dla VIP-ów, którzy mogli sobie siedzieć po obu stronach i wypowiadać jakieś złośliwe uwagi lub rzucać podstępne pytania. Po prawicy Brighid siedzieli Tuatha Dé Danann, a po lewicy przedstawiciele różnych facji faerycznych.

Szybki rzut oka na Tuatha Dé Danann wystarczył, by stwierdzić, że są tu niemal wszyscy. Manannan Mac Lir, otulony płaszczem z mgły, puścił do mnie oko spod krzaczastych, czarnych brwi. Przy nim siedziała jego żona Fand, mała, delikatna i zwiewnie piękna w swojej białej szacie ozdobionej taką samą plecionką, jaką Flidais miała przy dekolcie. Jako że Fand była córką Flidais, mogła to być jakaś rodzinna sprawa. Była pełna płynnej gracji, nawet gdy siedziała tak nieruchomo.

Stawił się i Ogma, wysoki, opalony, z ogoloną głową i dwoma wielkimi, złotymi kołami w uszach. Na szyi miał złoty torques, a poza tym już tylko kilt i nic więcej. Zawsze był nieco próżny i lubił pokazywać swoją muskulaturę. Jego mina wyrażała uprzejme zainteresowanie, ale czuło się, że pod tą maską kryje się całkowita obojętność. Przy nim siedział Goibhniu, mistrz kowalstwa i piwowarstwa, który zrobił amulety z zimnego żelaza dla Morrigan, Granuaile i Oberona. W przeciwieństwie do Ogmy był wyraźnie zainteresowany tym spektaklem o starym druidzie przychodzącym do Brighid z przyjaciółmi. Siedział na brzegu krzesła i aż się uśmiechał z przejęcia. Łokcie oparł na kolanach, a dłonie splótł razem. Brighid była jego matką, toteż należał pewnie do tych niewielu osób, które uważały, że zabawne jest widzieć, jak się wścieka. Tuż przy nim rozsiedli się jego bracia Creidhne i Luchta, o czymś cicho rozprawiając i zupełnie nie zwracając na nas uwagi.

Za nimi znajdował się drugi rząd i tu dwa siedzenia były puste. Jedno z nich pewnie należało do Flidais, ale zauważyłem też, że na uroczystości zabrakło Morrigan.

Większość Tuatha Dé Danann ubrana była skromnie i bez wielu ozdób, ale sama Brighid naprawdę się postarała, żeby wyglądać jak modelka z obrazów Frazetty. Z pełną świadomością, że to podkreśla jej rude włosy, włożyła na lewe ramię przezroczysty zielony rękaw, który związany był na górze bicepsa, a na przegubie dłoni kończył się złotą bransoletą. Złoty łańcuch na jej brzuchu podtrzymywał kaskadę przezroczystego materiału, który spływał jej między nogami, raczej podkreślając, niż zakrywając to, co tam miała. A poza tymi czysto ozdobnymi

elementami była zupełnie naga i dumnie eksponowała tatuaże na swoim prawym boku i inne rzeczy. U jej stóp leżały dwa psy. Łby miały zadarte czujnie i patrzyły, jak się zbliżamy. Oba były czarne i lśniące.

Żadnych komentarzy, Oberonie – ostrzegłem. – Pamiętaj, że ona cię słyszy.

W odpowiedzi dostałem tylko mentalny odpowiednik burknięcia.

Kiedy ostatnim razem widziałem Brighid, była równie prowokacyjna. Spytała mnie, czy zostanę jej małżonkiem, ja odmówiłem, a potem usiłowała mnie zabić, bo odkryła, że uprawiałem właśnie seks z Morrigan. Z opresji wyratował mnie Fragarach, ale teraz nie miałem go już, żeby się wesprzeć. Wzrok Brighid ześlizgnął się na mój miecz, więc schowałem go do pochwy, uznawszy, że to będzie może ciupkę bardziej dyplomatyczne niż wystawianie go w jej stronę.

Flidais zatrzymała się przed mizernym wzgórzem, na którym stał tron Brighid. Tron był z żelaza i sama go wykuła. Była mistrzynią miedzi i brązu, ale celowo nauczyła się posługiwać nowym, odpychającym magię metalem przywiezionym do Irlandii przez Milezjan. Milezjanom zdawało się, że wygnali Tuatha Dé Danann „pod ziemię”, ale tak naprawdę przyczynili się tylko do stworzenia przez nich nowej krainy magii, a co za tym idzie – byli pośrednio odpowiedzialni za narodziny olbrzymiej ilości magicznego „ludku”, który stał się plagą i błogosławieństwem dla nich i dla całych pokoleń ich potomków. Tron Brighid miał przypominać wszem i wobec, kto włada wszystkimi faeriami. Dotarło do mnie nagle coś, o czym wcześniej nie pomyślałem. Tu, w jej królestwie, już tylko moje zimne żelazo stanowiło wyzwanie. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że władam nim sprawniej niż ona. No i mogłem się z nim poruszać i w ogóle. Jej symboliczny tron tylko sobie stał. Lecz gdy zobaczyłem jej twarde spojrzenie, nie miałem wątpliwości, że ta akurat kwestia jest bardzo daleko na liście rzeczy, które ma mi za złe.

– Wasza Wysokość – przemówiła Flidais. – Druid Siodhachan Ó Suileabháin, zgodnie z twoim życzeniem.

Nieznaczny ruch głowy stanowił dla Flidais cały znak, że może już sięść razem z resztą Tuatha Dé Danann. Złapałem się na tym, że intryguje mnie, na kogo gapi się teraz Perun. Czy podąży wzrokiem za Flidais, czy też zacznie się lampić na nagie piersi Brighid?

Brighid uniosła wyczekująco brew. Wiedziałem, że jest ciekawa, jak się do niej zwrócę. Było to pierwsze z rozlicznych wyzwań, miałem pełną tego świadomość. Jeśli nazwę ją „Wysokością”, przyznam, że jestem jej poddanym, a ona może mi rozkazywać. Uklęknięcie także będzie znakiem poddaństwa, a ja nie zamierzałem robić nic z tych rzeczy. Pokłoniłem się tylko szybko i grzecznie powiedziałem:

– Chciałaś się ze mną widzieć, Brighid. – Po czym wytresowany przez te wszystkie lata w Stanach, mało nie strzeliłem: „Co mogę dla ciebie zrobić?”. To by było oczywiście katastrofalne w skutkach. Zakaszałem więc tylko, żeby jakoś zatuszować błąd, i ograniczyłem się do stwierdzenia oczywistości: – Oto jestem.

– Szybko przechodzisz do sedna – wycedziła przez zęby. Po potrójnym głosie nie zostało ani śladu, pozostał tylko czysty alt. – Powiedziano mi, że umarłeś dwanaście lat temu.

– Ktokolwiek ci to powiedział, musiał być w błędzie.

– Morrigan nigdy się nie myli w sprawie śmierci.

– Powiedziała ci dokładnie to? Że umarłem?

– Tak.

– Użyła mojego imienia?

– Tak. Powiedziała: Druid Atticus O'Sullivan leży poszatkwany na arizońskiej pustyni. Potwierdziło to kilku bogów piorunów.

– Pozwól, że zwrócę ci uwagę, iż to nie jest moje imię, Brighid.

Zmrużyła oczy.

– A zatem celowo mnie wykiwano.

Nie prosiłem o wybaczenie. Trzymałem się faktów.

– Było to oszustwo konieczne i jego celem byli wszyscy bez wyjątku. Nie chciałem wiecznie uciekać przed wzmiankowanymi bogami piorunów.

– Dlaczego ich po prostu nie pozabijałeś tak jak Thora?

– Nie zabiłem Thora. Uczynił to kto inny. A jako że zwróciłem przy okazji Fragaracha, myślałem, że to wystarczająca zapłata za niewinny wybieg.

Brighid posłała pytające spojrzenie Manannánowi Mac Lirowi, który wzruszył ramionami, jakby zupełnie czegoś nie rozumiał.

– Powtórz, co powiedziałeś, druidzie – nakazała bogini.

– Nie zabiłem Thora.

– Nie to. To o Fragarachu?

– Zwróciłem go. Przez Morrigan.

Oczy Brighid rozszerzyła wściekłość.

– Morrigan! – syknęła. – Oddałeś Fragaracha Morrigan?!

– Obiecała oddać go Manannánowi Mac Lirowi – wyjaśniłem.

– Dobrze pamiętam, co obiecałam, Siodhachanie. – Gdzieś na lewo ode mnie zazgrzytał ochryply chichot. Nagle stała tam Morrigan, naga, jeśli nie liczyć żelaznego amuletu na szyi. Skórę miała jak śmietana w porcelanie, a włosy ciemniejsze niż szyb w kopalni. Jej oczy zabłyśły czerwienią, gdy spojrzała na Brighid. Fragaracha zadarła aż nad głowę, a jej napięte ciało gotowe było do walki. – Wcale nie powiedziałam ci, *kiedy* go zwrócę.

– *Cathéide!* – wrzasnęła Brighid i z barbarzyńskiej księżniczki zmieniła się w jednej chwili w rycerza-skurczybyka, od stóp do głów zakrytego imponującą zbroją, którą sama sobie zresztą wykuła. Był to jeden z najfajniejszych splotów, jakie w życiu widziałem.

Zbroję już zresztą znałem. Zrobiła ją sobie specjalnie w ramach ochrony przed Fragarachem, żeby powstrzymać jego moc nie do powstrzymania. Zbroja miała gratis także broń: w jednej ręce bogini trzymała potężne mieczysko, a w drugiej kulę ognia. Tak przygotowana stała w obronnej pozycji przy swoim tronie.

Te dwie panie nienawidziły się, odkąd tylko pamiętam, ale jakoś nigdy nie przypuszczałem, że kiedyś rzeczywiście rzucą się sobie do gardeł. A może tylko miałem taką nadzieję. W każdym razie na pewno nie spodziewałem się, że kiedy to nastąpi, między nimi będę stał ja.

Rozdział 4

Na całym Dworze zapadło nabrzmiałe przerażeniem milczenie. Morrigan i Brighid wpatrywały się w siebie. Perun nie zdołał już dłużej kryć entuzjazmu. Po tylu latach pod postacią orła nagle w ciągu godziny przeżył poważny flirt, widział dwie niemal całkiem nagie boginie i teraz właśnie miały się one zacząć bić na jego oczach.

– O tak! Kocham Celtów! – zawył, a radość przepelniała każdą sylabę.

Faerie uznały to za świetny dowcip i wybuchnęły za nami śmiechem. Tuatha Dé Danann jakoś nie widzieli w tym nic śmiesznego – to jest z wyjątkiem Morrigan. Zachichotała i opuściła Fragaracha, ale Brighid ani drgnęła.

– Uspokój się, Brighid – powiedziała Morrigan, a jej oczy przeszły w normalny dla niej ciemny brąz. – Nie przybywam tu, by walczyć. Przybywam spełnić obietnicę. Widzisz, że mam miecz druida. Trzymam go już od dłuższego czasu. – Ton jej głosu dawał nam jasno do zrozumienia, że bawi ją podwójne znaczenie tych słów. Kąciki jej ust drgnęły ku górze. – Druid całkiem nieźle posługuje się mieczem. Wyobrażasz to sobie z pewnością. Oczywiście ty możesz sobie tylko wyobrażać.

Miałem ochotę powiedzieć jej, żeby się zamknęła, ale nie śmiałem. Była już o krok od przyznania, że wie, iż Brighid się mi zaofiarowała, a ja przecież obiecałem Brighid, że nikomu nie powiem. I nie powiedziałem. Morrigan sama się domyśliła. Brighid jednak pewnie nie interesowałyby takie niuanse, gdyby Morrigan upubliczniła teraz ten fakt z jej intymnego życia. Spotkałoby ją poniżenie na oczach wszystkich faerii i w odwecie natychmiast spaliłaby kogoś na proch.

Brighid nie poruszyła się i nic nie powiedziała. Było to najlepsze możliwe rozwiązanie. Morrigan na pewno nie chciała jej atakować teraz, gdy Brighid stała wyżej. Nieważne, że to Morrigan była Szafarką Śmierci – taka walka nie byłaby po prostu zabawna. Brighid na pewno by ją podpaliła. A wystarczyło jedno spojrzenie na wzgórze w magicznym spektrum i wiedziałem już, że jest ono porządnie zabezpieczone i najeżone obronnymi pułapkami. Żeby atakować tu Brighid, trzeba by być niespełna rozumu, a Morrigan nie była. Była podła, małostkowa i cholernie przerażająca, ale na pewno nie brakowało jej szóstej klepki.

Widziała, że Brighid puszcza mimo uszu jej przycinki, więc zdecydowała się na otwartą kpinę.

– To dość dziwne, że bogini poezji może tak zaniemówić. Czy to znaczy, że teraz wszyscy śmiertelnicy na świecie pozapominali swoje sprośne limeryki?

– Zwróć mi obiecany miecz i precz stąd odejdz wnet – rzekła Brighid.

– To ci wysiłek – zakrakała Morrigan. – Udał ci się jeden wers trzynastozgłoskowca.

Położyła sobie głównię płaską częścią na ramieniu i trzymając miecz od niechcienia niczym kij baseballowy niesiony przez gracza idącego na bazę, ruszyła na lewo w stronę Manannána Mac Lira. Zupełnie przy tym zignorowała Brighid. Wiedziała, że Brighid za nic nie będzie chciała zejść ze swojego kopca, który teraz stał się jej pułapką. Gdyby Brighid z niego zlazła, straciłaby całą swoją przewagę w walce, a jeśli się zamierza walczyć na miecze z Morrigan, to nie można rezygnować z

żadnej szansy na przewagę.

Manannán wstał z krzesła i czekał z głową skrytą w kapturze, ramionami zaś skrzyżowanymi pod płaszczem. Cały Dwór zamarł i nadstawił uszu, nie chcąc uronić ani słowa z ewentualnej wymiany zdań, bo Manannán nie miał zwyczaju często przemawiać publicznie. Morrigan przystanąła przed nim i ułożyła ostrze poziomo w dłoniach. Trzymała miecz na wysokości piersi w wyraźnie obrzędowym geście, przypominającym japoński rytuał przekazania własności.

– Manannanie Mac Lirze, jestem tu, by oddać ci Fragaracha, tak jak obiecałem to druidowi Siodhachanowi Ó Suileabháinowi. Pochwa niestety przepadła już dawno temu. Czy przyjmujesz ten miecz?

– Przyjmuję – odparł, rozczarowując wszystkich tych, którzy liczyli na jakieś bardziej dramatyczne słowa.

Ja sam byłem pewien, że Morrigan chowa jeszcze kilka asów w... no nie w rękawie, bo w stroju adamowym akurat nie ma rękawów. Potem jednak spojrzałem kątem oka na Brighid i pojąłem plan Morrigan. Brighid wciąż stała gotowa na wszelkie jej ewentualne ataki. Raptowne pojawienie się Morrigan z mieczem wypchnęło Brighid na pozycję obronną, a teraz nagle Szafarka Śmierci zachowywała się zupełnie nieagresywnie, wręcz nawet grzecznie, i Brighid wyszła na zwykłą panikarę, jeśli nie wręcz tchórza.

Morrigan ostrożnie położyła Fragaracha na wyciągniętych dłoniach Manannána i powiedziała:

– Zrobione.

Bez pożegnania czy choćby jednego spojrzenia w stronę Brighid przemieniła się we wronę i odleciała w kierunku gaju otaczającego Dwór. Bardzo dokładnie wykonała opryskliwe polecenie Brighid, która teraz wyszła na nieuprzejmą, pomijając już wszystko inne. Kula ognia nadal płonęła czerwienią w jej rękawicy, a oczy wszystkich zwróciły się ku niej, bo nagle stało się dla wszystkich jasne, że Brighid jest gotowa walczyć z nieistniejącym zagrożeniem. Uświadomiwszy to sobie, wymamrotała kilka słów i zbroja oraz kula ognia zniknęły. Ku niepomiernej radości Peruna znów odziana była – o ile w ogóle można to nazwać odzieniem – jedynie w zwiewną, przezroczystą gazę.

Jej irytacja była wyraźna. Oczy żarzyły się zielenią.

– Jak długo ona miała Fragaracha? – ryknęła.

– Myślę, że ze dwanaście lat. Ale byłem pewien, że go oddała.

– A co z amuletem?

Wzruszyłem ramionami.

– Z pewnością nad nim pracuje, ale sama przecież widziałaś, że najwyraźniej go jeszcze nie ukończyła.

– Rzecz w tym – powiedziała Brighid, a jej głos wszedł na wyższe rejestry upiorności – że pewnego dnia go ukończy. A ja wolałabym, żeby ten dzień nigdy nie nastąpił. – Czytaj: Brighid nie chciała, żeby Morrigan była odporna na kule ognia miotane przez pewną boginię. Bo ja na przykład byłem.

Dwa psy, które przez całą wizytę Morrigan leżały u podnóża wzniesienia nieruchomo, teraz wstały, wyszczerzyły zęby i zaczęły warczeć. Na mnie.

<Hej, to nie było grzeczne> oburzył się Oberon.

Na razie nic nie mów – upomniałem go.

– Jeśli masz dla mnie tylko groźby, Brighid, pójdę już – zwróciłem się do bogini.

– Nigdzie nie pójdziesz, póki ci na to nie zezwolę.

– Nie jesteśmy twoimi poddanymi i gwarantowałam nam bezpieczne przejście.

– To prawda. Lecz nie mówiłam, ile czasu to przejście zajmie.

Odnotowałem sobie w tyle głowy, żeby zawsze odtąd żądać szczegółowego dookreślenia wszelkich terminów w negocjacjach z Tuatha Dé Danann. Dać się wykiwać dwa razy na podstawie tej samej luki w umowie w ciągu zaledwie dwóch minut – to daje do myślenia.

Teraz możesz warczeć – powiedziałem Oberonowi.

Zrobił to w pięknym stylu.

– Pewnie pamiętasz, Brighid, że ty i ja mieliśmy już kiedyś pogawędkę – uniosłem głos, żeby było mnie słychać ponad warczeniem trzech psów – o niuansach prawa gościnności.

Mogła to zrozumieć dwójako. Mogła przypomnieć sobie, jak ją wtedy przechytryłem, zinterpretować moje słowa jako ostrzeżenie i się uspokoić. Lub mogła unieść się dumą (i tak już nieźle zranioną przez Morrigan) i wybuchnąć. Narastający zielony blask w jej oczach wskazywał, iż skłania się ku tej drugiej opcji, a mnie zrobiło się słabo na myśl o tym, że aby się stąd wydostać, jak nic będę musiał kogoś zabić.

<Ale jazda!> wtrącił się Oberon. <Gdybym sam nie brał udziału w tej zadymie, tobym normalnie zażądał torby z popcornem>.

Rozdział 5

Ha! Ha! Ha! – ryknął śmiechem ktoś spośród Tuatha Dé Danann. Obejrzałem się szybko w tę stronę i zobaczyłem, że wszyscy patrzą na Manannána Mac Lira, który zakrywał sobie usta dłonią. Flidais zachichotała dziewczęco i nagle wszyscy wybuchnęli śmiechem, choć oczywiście poza Tuatha Dé Danann pojęcia nie mieli, z czego się śmieją, bo nie „słyszeli” komentarza Oberona. Mój wzrok wrócił do Brighid i ujrzałem, że jeden z kącików jej ust także się unosi, a psy się uspokajają i siadają grzecznie. Rzuciłem Oberonowi komendę „spocznij”.

Chyba uratowałeś nam skórę – dodałem.

<Kurę? Masz dla mnie kurę?> zainteresował się Oberon z nadzieją w głosie. <Bo kurę tobym nawet wolał niż popcorn. I ja ją uratowałem? Atticusie, odtąd chciałbym, żebyś zwracał się do mnie per Wybawiciel Kury>.

– Bądź łaskaw wytłumaczyć nam zatem – powiedziała Brighid znacznie już miłszym tonem – dlaczego uznałeś za konieczne ukrywanie swego istnienia przede mną i resztą Tuatha Dé Danann.

– Musiałem mieć pewność, że przez kilka lat nikt mi nie przeszkodzi w szkoleniu mojej uczennicy. Może ją pamiętasz. – Wskazałem przez ramię. – Granuaile MacTiernan.

Brighid skinęła głową na znak, że owszem, pamięta, i uznałem, że Granuaile odpowiedziała tym samym. Tuatha Dé Danann zareagowali szeptami aprobaty.

Wszyscy wiedzieli, że przydałby się nowy druid.

– Ona nie jest jeszcze spleciona z ziemią – stwierdziła Brighid, zauważywszy brak tatuaży na prawym ramieniu Granuaile.

– Nie, ale jest już gotowa. Byłem właśnie w drodze, by rozpocząć ten proces, kiedy nam przerwano.

– W drodze dokąd, jeśli można spytać?

– Szukałem odpowiedniego miejsca w Arizonie.

Brighid zmarszczyła brwi.

– Nie można przecież spleść druida z ziemią w Nowym Świecie.

Tym mnie nieco zbiła z tropu.

– Nie można?

Brighid wyglądała na równie zdeprimowaną jak ja.

– Przecież to można zrobić tylko w Europie. Tylko płyta euroazjatycka zgodziła się brać udział w tym rytuale. Myślałam, że o tym wiesz.

– Nie wiedziałem.

Nigdy dotąd nie próbowałem spleść żadnego ucznia gdzie indziej. I prawdę powiedziawszy, w ogóle udało mi się spleść z ziemią bardzo niewielu uczniów. Wszyscy trzej druidzi „mojej roboty” już dawno nie żyli. Dwaj zginęli w zasadzce – a raczej zamordowano ich, bo był to strzał w plecy. Jeden zginął w wojnie domowej, która nastąpiła w wyniku rozpadu imperium karolińskiego. Po śmierci Cíbrana, mojego ostatniego ucznia, w 997 roku, nie próbowałem już nawet nikogo szkolić. Nic więc dziwnego, że nigdy nie odkryłem tej akurat klauzuli umowy, ale to miało niestety sens. W procesie splatania musiały brać udział wszystkie poziomy ziemi, od żywiołaków, przez płyty, aż po samą Gaję, a płyty miały to do siebie, że nie znosiły angażować się w nic poza własnymi powolnymi ruchami i niekończącym się tarcieniem o siebie nawzajem.

– Brighid, pozwolisz, że się wtrączę? – rzekł nagle Manannán. Machnęła na niego, żeby mówił, a on wstał i zwrócił się w moją stronę. Wszyscy zamienili się w słuch. – Trudno mi tu mówić za wszystkich, ale myślę, iż wyrażę życzenie wielu spośród Tuatha Dé Danann, gdy powiem, że chcielibyśmy serdecznie powitać Granuaile wśród druidów. Zbyt długo zaniedbywano druidyzm w krainie śmiertelników.

Jego słowa wywołały empatyczne kiwania głową wśród Tuatha Dé Danann.

– Dziękuję, Manannanie, tobie i wszystkim tym, którzy dzielają twoje zdanie – odparłem, klnąc się w duchu, że nie zdążyłem zarejestrować, kto mu nie przytaknął. – Gdybym znajdował więcej tak wspaniałych uczniów jak Granuaile, nie byłoby większej przyjemności nad uczenie ich. By jednak osiągnąć cel, potrzebuję teraz minimum bezpieczeństwa. I dlatego właśnie proszę was pokornie o utrzymanie mojego istnienia w tajemnicy, szczególnie przed bogami olimpijskimi i nordyckimi.

Ukradkowe spojrzenia między Tuatha Dé Danann stanowiły dla mnie wymowny znak ostrzegawczy – moja prośba nie była łatwa do spełnienia.

– Jeśli... to możliwe – dodałem.

Odpowiedziała mi Flidais.

– Olimpijczyk Bachus prosił, byśmy poinformowali go niezwłocznie, jeśli kiedykolwiek się tu pojawisz.

– Olimpijczyk Bachus może sobie iść dymać kozę.

Nie przepadaliśmy za sobą. Wyzwałem, go kiedyś od „bożka winogron i szklanic” i żalosnych popłuczyn po Dionizosie. Zresztą wszyscy rzymscy bogowie byli zaledwie kopiami greckich oryginałów. Ich wyznawcom nie chciało się ich nawet przenieść gdzieś z Olimpu. Trzeba nie mieć wyobraźni, żeby kazać dwóm panteonom mieszkać na tej samej łysej górze, nawet jeśli w dwóch różnych krainach.

– Próba ukrycia tego, że żyjesz, odbije się niekorzystnie na naszych stosunkach z Olimpijczykami – zauważyła Brighid.

– Może po prostu nie macie wszystkich danych. Otóż Bachus nie pytał o to, gdzie mnie znaleźć, żeby wysłać mi bukłak ze swoim najlepszym cabernet. Chce mnie zabić i tyle. Przysiągł na Jowisza, że to zrobi. Trudno mi sobie wyobrazić coś, co odbiłoby się niekorzystnie na stosunkach między nami. To chcecie mieć więcej druidów czy nie? Bo jak tak, to nie mówcie nieśmiertelnemu bogu szaleństwa, gdzie mnie znaleźć, i miejcie oko na swoje faerie.

– Z przykrością muszę zauważyć, że już może być na to za późno – przemówiła Fand głosem śpiewnym i płynnym, który idealnie pasował do jej wyglądu. – Obawiam się, że wiele faerii już rozpuściło wieść o twojej audiencji u nas. Wkrótce wszyscy już będą wiedzieć o tym, że wróciłeś z martwych. Wcześniej czy później informacja ta dotrze także do Bachusa.

Trzy rodzaje kociego gówna, Oberonie.

<I jeszcze aroganckiej rodziny wiewiórek>.

Teraz już nic nie mogłem na to poradzić.

– Skoro już mowa o powrotach po długiej nieobecności – mruknąłem – Loki, nordycki bóg oszustwa, łązi właśnie po dziewięciu światach. I wygląda na to, że ma zamiar spalić pozostałe.

Brighid się zasępiła.

– Wyjaśnij to, proszę.

Machnąłem dłonią na boga piorunów, który czał się wciąż za mną.

– Oto Perun, słowiański bóg nieba. Loki jakimś sposobem zdołał dostać się do jego krainy i ją zupełnie spalić. Jej śmierć czuć było na ziemi. Powtarzam wam po trzykroć, Gaja zatrzęsła się pod moimi stopami. Nie wiem, czy Loki zamierza zaatakować Tuatha Dé Danann lub faerie, ale biorąc pod uwagę niezliczoną liczbę ścieżek prowadzących do Tír na nÓg, radziłbym wam przedsięwziąć odpowiednie kroki i zamknąć te drogi przed intruzami. Pamiętajcie, że Loki cieszy się sławą zmiennokształtnego.

Brighid pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Wysłuchałam cię po trzykroć, Siodhachanie. – Odwróciła się na prawo i powiedziała: – Manannánie. Ogmo. Zadbajcie proszę o nasze bezpieczeństwo i opracujcie plan odparcia Lokiego na wypadek, gdyby tu dotarł. – Odwróciła się na lewo i zwróciła się do zebranych tam dygnitarzy: – Lordowie Faerii i ich wojska wam pomogą.

Lordowie pokłonili się na znak, że przyjmują rozkaz. Przemknęło mi przez myśl, że zgromadzone tu fryzury mogłyby wywołać prawdziwą rewolucję na hollywoodzkich salonach. Nie wiedziałem za wiele o Lordach Faerii i ich wojskach, ale jedno wiedziałem na pewno: jakoś za mną nie przepadają. Może to przez to moje

śmiercionośne zimne żelazo czy coś.

Jeden z lordów odchrząknął, jakby prosząc Brighid o pozwolenie, by przemówić. Ubrany był jak fircyk z epoki elżbietańskiej, przy czym miał nieszczęście posiadać posturę anorektycznego manekina. Spojrzenie spod w półprzymkniętych powiek głosiło pogardę dla całego wszechświata. Brighid popatrzyła na niego i skinęła głową, dając mu zielone światło do przemowy.

– Wasza Wysokość, być może drżenia Gai opisane przez Żelaznego Druida wyjaśniają pewne doniesienia, jakie otrzymaliśmy z Europy.

– Opowiedzcie nam o nich – poleciła Brighid.

– Większość nici łączących Europę z Tír na nÓg jest obecnie nieczynna. Być może to właśnie z powodu obumarcia krainy Słowian.

– Słucham?! – zdenerwowałem się. – Czy ty mi tu mówisz, że nie da się teraz przenieść do Europy?

Fircyk uniósł brew i kpiącym tonem rzekł:

– To właśnie mówię. Wyjątek stanowi niewielka przestrzeń na południu Grecji.

– Nici łączące nas z resztą świata działają? – spytała Brighid.

– Tak, Wasza Wysokość.

– A sekretne ścieżki faerii?

– Te działają bez zarzutu.

– I sądzisz, że przyczyny tego należy upatrywać w śmierci krainy Peruna.

– Niewykluczone.

– Gdzie konkretnie da się przejść do Grecji? – spytałem.

– Wszędzie dookoła góry Olimp.

Prychnąłem tylko.

– Olimpijczycy pragną mojej śmierci, a jedyne miejsce, gdzie mogę teraz spleść moją uczennicę z ziemią, znajduje się akurat pod ich nosem? Czy to się wam nie wydaje nieco podejrzane?

Faeria wzruszyła ramionami z całkowitą obojętnością.

– Zniszczenie krainy Słowian zbiega się w czasie z początkiem problemów na niciach. Mam świadomość, że ta korelacja nie musi być natury przyczynowej, lecz jest to wielce prawdopodobne. Czy masz odmienną hipotezę?

Nawet chciałem się powstrzymać, ale potem zmieniłem zdanie. I tak nigdy nie zaskarbię sobie sympatii żadnego wojska faerii, więc równie dobrze mogę mówić, co mi ślina na język przyniesie, i przynajmniej mieć z tego trochę radości w życiu.

– Moja hipoteza jest taka, że jesteś jak jakaś nieznośna broda łonowa – powiedziałem, ku wielkiej radości widowni za nami, która widać nie należała do wojska tego akurat lorda. Odtąd już zawsze będą go przezywać Łonobrodym i dobrze o tym wiedział. Zrobił się czerwony jak burak. – Dlaczego jedynie przestrzeń wokół Olimpu nie odczuwa żadnych zakłóceń? – spytałem, odwracając się od tej faerii.

– Być może Olimpijczycy po prostu ochronili swoje terytorium – zasugerowała Flidais i wstała z krzesła, żeby przemówić do zgromadzenia. – Jestem pewna, że chronią driady. Jeśli skutki obumarcia krainy Peruna odczuwane są na całym świecie, Olimpijczycy z pewnością uważali za swój obowiązek ochronić istoty znajdujące się w ich krainie przed wszelką krzywdą.

– W takim razie dlaczego inne panteony nie robią tego samego? – spytałem.

Flidais wzruszyła bezradnie ramionami.

– Być może nie rozumieją jeszcze, że pojawił się ten problem. Niewielu bogów polega na ziemi w swoich podróżach tak jak my. Być może w ogóle nie mają świadomości tego, co zaszło. A może są zbyt słabi, by cokolwiek zdziałać, podczas gdy Olimpijczycy nadal zachowali znaczną część swojej dawnej mocy.

Były to prawdopodobne wyjaśnienia. Nie mogłem przecież z góry zakładać, że cały świat jest przeciwko mnie, ale i oni nie powinni zakładać, że nie jest. Za ich hipotezą przemawiała czasowa zbieżność wydarzeń. Jakim cudem mogliby Olimpijczycy wymyślić coś takiego, skoro jeszcze godzinę temu nikt nawet nie wiedział o tym, że żyję? Musiałem przyznać, że choć cała ta sytuacja wygląda jak idealna pułapka na mnie, teoria Flidais była znacznie rozsądniejsza. Olimpijczycy po prostu zadbali o swoich.

– Brighid, choć wieści o moim powrocie już pewnie, jak raczyła nam zwrócić uwagę Fand, poszły w świat, czy mogłabyś nie przekazywać ich Olimpijczykom? Albo przynajmniej nie potwierdzić tej informacji oficjalnie, póki nie splotę mojej uczennicy z ziemią?

Przechyliła lekko głowę na bok.

– Po co miałabym to uczynić?

– Żeby na świecie pojawił się nowy druid. Druid – dodałem z kpiącym uśmiechem – który nie będzie może aż tak irytujący jak ja.

Przesadna skromność jest niezwykle skuteczną wazeliną towarzyską i w podobnych sytuacjach należy ją stosować obficie.

Brighid uśmiechnęła się szeroko.

– W tym celu gotowa jestem zrobić znacznie więcej. – Jej głos znów przeszedł w ten trzynutowy ton i ogłosiła: – Nikt spośród faerii i Tuatha Dé Danann nie będzie mówił o powrocie Żelaznego Druida, póki jego uczennica nie zostanie spleciona z ziemią. Złamanie tego zakazu będzie karane najsurowiej.

Pokiwalem głową w ramach podziękowań.

– Czy to wszystko, Brighid?

– Póki co, tak – odparła. – Twoja audyencja nie obyła się bez incydentów, lecz najważniejsze, że Fragarach został zwrócony i mogliśmy powitać nowego druida. – A zatem wszystko przebaczone i zapomniane. Przynajmniej oficjalnie. – Poinformuj nas, proszę, niezwłocznie, gdy tylko uda się ją spleść z ziemią.

– Tak zrobię.

– Flidais odeskortuje was, dokąd zechcecie.

Rozległo się ciche, lecz podekscytowane, „Da! Da!”. Gdy Flidais ruszyła w naszą stronę (posyłając bogu piorunów wstydlawy uśmieszek), zebrany tłum zaczął szeptem omawiać moją audyencję. Flidais powiedziała nam, że wszyscy Tuatha Dé Danann chcą poznać Granuaile. Dla nich to ona była najważniejsza tego dnia, bo reprezentowała coś nowego. Gdy tak stały obok siebie, znów uderzyło mnie, jak bardzo są podobne (to jest gdy Flidais była w tej „wyczyszczonej” wersji). Były tego samego wzrostu i miały włosy niemal tego samego koloru, choć Flidais może odrobinę bardziej wpadały w kasztanowy.

Granuaile miała w oczach ten lekko szalony błysk typowy dla absolwentów i panien młodych, przyjmujących gratulacje od niekończącej się kolejki zyczliwych.

Gdy bogowie całują cię w rękę, a boginie w policzki, może się człowiekowi lekko zakręcić w głowie, ale w sumie dobrze to zniosła. Przy nikim nie wpadła w fanhisterię, ale podejrzewam, że to tylko dlatego, że żaden z bogów nie przypominał nawet odrobiny Nathana Filliona. Z osiem lat temu zabrałem ją na Comic Con i udało jej się go tam poznać. Kiedy ujął jej dłoń i powiedział „Bardzo mi miło”, mało nie zemdląca. A potem niemal całkiem odjęło jej mowę.

– Yyy. Aaa. Znaczą. Granuaile. To ja. O bogowie! Cześć. Jaki przystojny. Jesteś. I. Wow. Sorki! Nie mogę oddychać.

Miałem niezły ubaw.

Teraz Manannán zaprosił ją do swojego domu na pintę piwa. Fand potwierdziła jego zaproszenie, zaznaczając, że obejmuje ono i resztę naszej drużyny oraz jej matkę, Flidais.

– Tak, oczywiście, wszyscy musicie do nas przyjść – podchwycił Manannán. Patrzył wyczekująco na Granuaile, ale ona spojrzała na mnie. Manannán zauważył to i pytająco uniósł brew.

– Ostrzegłem ich, żeby nie przyjmowali żadnego jedzenia ani picia, póki tu będziemy – wyjaśniłem.

– Aha! – Bóg morza pokiwał głową z namysłem. – Mądre ostrzeżenie. Powinienem być oczywiście zachować się bardziej oficjalnie i nie zapominać o manierach. – Odwrócił się znów w stronę Granuaile, ale tym razem przemówił do nas wszystkich. – Granuaile, przyjaciele, zapraszam was serdecznie i w imię gościnności. Nie oczekuję w zamian żadnej przysługi. Wasza wizyta nie spowoduje żadnych długów ani zobowiązań. Mój stół pełen jest zdrowego jedzenia.

„Zdrowe” w tym kontekście oznacza faeryczny odpowiednik ekocertyfikatu, czyli że bóg osobiście gwarantował nam, iż żywność będzie prosta, bez żadnych splotów zastosowanych przed jej produkcją, podczas lub po jej wytworzeniu.

– W takim razie przyjmujemy twoje zaproszenie na kilka godzin – odparłem. – Potem jednak musimy ruszać w drogę, by rozpocząć splatanie Granuaile z ziemią.

Manannán uśmiechnął się pod wąsem.

– Doskonale. Pójdźcie tedy za mną.

Z Fragarachem w lewej ręce i trzymając Fand za drugą, ruszył w stronę drzewa na obrzeżach Dworu i stamtąd się gdzieś przeniósł. Za nim zniknęła Flidais, a potem my znaleźliśmy znacznik splotu, który dla nas zostawił, i też przenieśliśmy się do drzewa rosnącego przed wielkim zamkiem na nadmorskim klifie. W „prawdziwym” świecie zamek ten był małą, opuszczoną kamienną chatą. Tu, w Tír na nÓg, był to cud architektoniczny położony na zapierających dech w piersi, przepięknych ziemiach. Słynne wieprze Manannána – te, które przywraca do życia po ubiciu, przez co zapewniają mu niekończący się, pyszny bekon – chrumkały niemrawo w swojej zagrodzie, emanując dekadencją. Na zielonej łące pasło się bydło, czarne i białe plamy Rorschacha. Wokół kremowych poduszczyków owiec biegały sobie psy pasterskie. Tę sielankową scenę przenikało złote światło, o którym Thomas Cole mógł tylko marzyć. Tu i ówdzie widać było faerie – zarówno te lotne, jak i te uziemione – ale choć przyglądały nam się ciekawie, żadna nie podeszła bliżej. Troje Tuatha Dé Danann czekało już na nas i uśmiechnęło się na powitanie, zapraszając nas do środka. Manannán przekazał Fragaracha smukłej służącej, która musiała być

ludzką wersją selkie. Pokłoniła mu się i zaniósła broń do zamku.

Fand od razu odesłała większość faerii z zamku, „dla waszego i ich komfortu”, jak mi wyjaśniła. Kiedy ostatnim razem gościłem u Manannána, nie byłem jeszcze znany jako Żelazny Druid i faerie nawet mnie lubiły. Okoliczności jednak znacznie się zmieniły i tak się stało, że mieliśmy ten wyjątkowy zaszczyt być obsługiwani przez samych Manannána i Fand w ich własnej kuchni. Pachniało jabłkami, a gdy o tym wspomniałem, wyjaśnili mi, że za drzwiami w kącie znajduje się prasa do wytłaczania cydru. Położyli przed nami paterę pełną owoców, serów i chleba, każdemu z nas nalali dzban piwa i wzniesli toast za nasze zdrowie. Oberonowi dostała się kość wieprzowa obrosła mięsem.

<Błagam, powiedz, że mogę to zjeść. To pachnie bosko> zaklinał mnie Oberon.

Tak, tak, możesz.

Oberon położył uszy po sobie i stanął na tylnych nogach.

<Broń się, Hamlecie, ty nikczemny tchórze!> zakrzyknął i uderzył mięso łapą kilka razy, nim chwycił je w zęby i odbiegł gdzieś, by nacieszyć się nim w spokoju.

Manannán i Fand chcieli, żeby Granuaile opowiedziała im o sobie. Pragnęli więcej się o niej dowiedzieć, jako że miała wkrótce zostać pełną druidką. Flidais i Perun szybko jednak stracili zainteresowanie i zaczęli prowadzić szeptem własną rozmowę, gdzie każda głoska wibrowała drzeniem seksualnego napięcia.

Nie minęła chwila, a już Granuaile rozmawiała bezpośrednio z Fand, czego najwyraźniej spodziewał się bóg morza, który teraz dał mi głową znak, żebyśmy przenieśli się do innego pokoju. Przez otwarte okno widać tu było pastwisko z owcami.

– Nie poleciałbyś tam ze mną na chwilę? – spytał, wskazując za okno.

Była to dość dziwna propozycja, ale nie wydała mi się niebezpieczna, więc wzruszyłem ramionami.

– Czemu nie.

Rozebraliśmy się i przemieniliśmy w ptaki. On był burzykiem wielkim, a ja puchaczem wirginijskim. Manannán chwycił w szpony swój Płaszcz Mgły i wyfrunęliśmy przez okno. Wylądowaliśmy wśród owiec i tam przemieniliśmy się z powrotem w ludzi. Manannán szybko rozpostarł swój płaszcz i okrył nas zupełnie mgłą. Potem tak splótł powietrze wokół, że z bańki wokół naszych głów nie wydobywał się żaden dźwięk.

– W tym zamku, gdzie nie spluniesz, to same faerie i zaklęcia – wyjaśnił, wskazując mi go palcem. – A niektóre to całkiem zdolne bestie i umieją paskudnie niewinnie wyglądać, kiedy podsłuchują. Chciałem tylko zamienić z tobą parę słów bez żadnego nasłuchującego ucha czy oka śledzącego nasze usta.

– Aha – powiedziałem, choć po takim wstępie ogarnęła mnie nie tylko ciekawość, ale i lekki niepokój.

– Nie tylko Bachus chce twojej śmierci – przeszedł do sedna bóg. – I nie tylko on podejrzewa, że jeszcze nie umarłeś. Kilka lat temu mieliśmy tu poselstwo ze Svartálfaru. Pytali, czy może jednak żyjesz.

– Powiniennem się był tego spodziewać – wyszeptalem. – Czyli wychodzi na to, że jednak mam powód, żeby zrzucić winę na mroczne elfy.

– Winę za co?

Wzruszyłem ramionami.

– Za wszystko, co się akurat nawinie. Od wieków są moimi prywatnymi kozłami ofiarnymi, choć prawda jest taka, że niewiele o nich wiem.

Jedną z zadziwiających cech współczesności jest to, że więcej ludzi słyszało dziś o mrocznych elfach niż kiedykolwiek wcześniej w historii ludzkości. Jest to głównie zasługa wpływu RPG i gier wideo opartych na fantastyce. A może i artystów, którzy postanowili rysować ich jako ciemnoskórych ludzi o wyczesanych białych włosach. Mają te swoje niesamowite magiczne szopy, jakby w głębinach wynaleźli jakąś nieziemską miksturę, która daje im opadające loki +5.

Nawet w literaturze coś się pomieszało. W *Eddie młodszej* Sturlusona znajduje się tylko kilka wzmianek o mrocznych elfach, ale sprawę utrudnia to, że tak jakby są tu mylone mroczne elfy z krasnoludami. Zawsze się zastanawiałem, czy to nie celowe zamylenie, bo na moje oko taki błąd jest po prostu niemożliwy.

Z drugiej jednak strony Snorri Sturluson miał inne rzeczy na głowie niż sporządzanie historii mrocznych elfów. Chciał jakoś tak zachować mity i kulturę swojego kraju, żeby nie zdenerwować tym chrześcijan będących wtedy u władzy. Musiał się nagimnastykować jak Pan Fantastic, żeby bogowie nordyccy wypadli na potomków Trojan, a zatem chrześcijan, wcale nie bogów, tylko takich sobie bohaterów... Pewnie już na wyjaśnienie sprawy mrocznych elfów nie starczyło mu inwencji. Ale jednak nie byłbym zdziwiony, gdyby mi kto powiedział, że gdy Sturluson pisał *Eddę*, Svartálfarowie złożyli mu małą wizytę i przekonująco zachęcili do przemilczenia ich egzystencji w większym stopniu, niż on sam by zamierzał.

Tak mało wiadomo o mrocznych elfach, gdyż one po prostu starają się trzymać w cieniu, a prawdę powiedziawszy, z tego, co o nich wiem, wnioskuję, że to nawet miło z ich strony. Bo jeśli już wchodzi w jakieś interakcje z ludźmi, to raczej psują tym ludziom humor na cały dzień. Co najmniej.

– Wiem o nich to i owo – powiedział Manannán. – Pewien Álfar opowiedział mi w skrócie ich historię.

– Jakiś Álfar z tobą rozmawiał? Dlaczego?

– Było to już jakiś czas temu. Historię tę opowiedział mi łowca skarbów, który pragnął, bym pomógł mu w zlokalizowaniu wraku na dnie Morza Irlandzkiego. Chciał ode mnie mapę, więc poprosiłem w zamian też o mapę. Nigdy jakoś nie mogłem zrozumieć, gdzie znajduje się na Yggdrasillu te Dziewięć Światów, więc dał mi ich mapę. Zarzekał się, że jest prawdziwa. Opowiedział mi też historię narodzin Svartálfarów. Chciałbyś ją może usłyszeć?

– Jasne. I bardzo chętnie zobaczę tę mapę. Jeśli mroczne elfy próbują mnie namierzyć, wolałbym być uzbrojony w tyle wiedzy, ile się da.

– To mądre podejście, szczególnie jeśli w grę wchodzi walka.

– Dlaczego?

– Cierpliwości, Siodhachanie. Opowiem ci wszystko tak, jak on mi opowiedział.

* * *

Wieki temu, zanim nawet do Irlandii przybyli Tuatha Dé Danann, król Álfarów

– w tamtych bowiem czasach istniał tylko jeden rodzaj elfów – zlecił sporządzenie mapy Dziewięciu Światów drzewa Yggdrasil. Asgard, Álfheim i Vanaheim znajdujące się na górze drzewa były dobrze znane, lecz znacznie mniej wiadomo było o sześciu światach położonych niżej. Największą tajemnicą owiane były trzy najniższe. Niflheim, kraina lodu znajdująca się w obrębie królestwa władanego przez Hel, pełen był jęczących, niesławnych zmarłych. Muspellheim był krainą płomieni, gdzie mieszkali jötnarowie ognia i Surtr. Tam czekali na Ragnarök, by spalić wszelkie stworzenie. Lecz była jeszcze jedna kraina – między nimi i zarazem pod nimi – podziemna, ciemna, kryjąca się pod paszczką wielkiego wyrma Nidhögga, kraina, która nawet nie była wtedy jeszcze nazwana, kraina, której czarnej ciszy nikt dotąd nie zgłębił.

Wysłano tam największy oddział Álfarów, żeby zbadali tę ziemię, ale nikt stamtąd nie powrócił. Wszystkie inne oddziały wróciły szczęśliwie i mapa rozrosła się w cały atlas, lecz król zły był, że stracił tylu ludzi. Po czterdziestu latach wysłał więc na ich poszukiwania jeszcze jeden oddział, tym razem o połowę większy, ale i ten nie wrócił. Schorowany, stary król – którego imię wymazano z pamięci Álfarów – posłał wówczas kilku pojedynczych śmiałków, by się dowiedzieli, co się stało z poprzednimi oddziałami, i przynieśli te wieści do domu: powiedziano im, by już nie badali tej tajemniczej krainy, lecz skupili się jedynie na losie swych poprzedników.

Trzy lata później pojawiło się wyjaśnienie tej zagadki. Na dworze króla Álfarów stawiło się pięciu nieznanym wojownikom. Odziani byli w szaty z białego materiału, który wyglądał jak jedwab, lecz błyszczał tak, że odbijały się w nim inne kolory. Przy każdym poruszeniu istoty te niemal buzowały barwami.

Były bardzo podobne do elfów, tylko zamiast jasnego ciała i jasnych włosów typowych dla Álfarów, miały skórę niczym obsydian i pojedyncze, wyrastające na samym czubku głowy pasmo czarnych jak gagat włosów, które opadały im aż do pasa. Spinali je srebrnymi kołami. Oczy ich były zielone i niesamowicie duże. Mieli też broń niepodobną do niczego, co widzieli dotąd Álfarowie – długie, zagięte sztylety, które trudno by nawet nazwać mieczami; nie były wykute z żelaza lub brązu, lecz z jakiegoś ciemnego materiału. Głownia, rękojeść i jelec zrobione były z tej samej atramentowej substancji.

Zbliżając się do tronu, przybysze pokłonili się przed królem, ale nie uklękli. Zażądał, by się przedstawili.

– Przynosimy pozdrowienia ze Svartálfheimu, dziewiątego świata Yggdrasillu – odpowiedział nieznanemu znajdujący się pośrodku.

– Co takiego? Wyjaśnijcie to.

Okazało się, że to potomkowie pierwszego oddziału wysłanego przez króla do podziemnego świata, do którego wejście znajdowało się pomiędzy rzekami Ylgr i Vir. Przybywali, by powiedzieć królowi i wszystkim Álfarom, że kraina ta nazywa się Svartálfheim.

– A zatem jesteście elfami! – zakrzyknął król. – Moimi poddanymi!

– Nie. Nie jesteśmy twoimi poddanymi. Jesteśmy synami twoich byłych poddanych.

Króla rozgniewał taki popis niezależności, lecz nie chciało mu się o to kłócić. Wcale nie był pewien, czy chce mieć ich za swych poddanych, bo wydawali mu się

dziwni.

– Jak to się stało, że tak wyglądacie?

– Otrzymaliśmy *Gjor at Reykr*, Podarunek Dymu. Jesteśmy teraz Svartálfarami, a wy Ljósálfarami. – Wtedy właśnie po raz pierwszy uczyniono rozróżnienie pomiędzy tymi dwiema rasami.

– Cóż to znowu za bzdura?! – zdenerwował się król.

– Svartálfheim w niczym nie przypomina Álfheimu. Pieczary nas zmieniły. Nie jesteśmy już tacy jak wy. Lecz w imię naszego byłego pokrewieństwa chcemy nawiązać z wami stosunki, by oba nasze królestwa żyły w spokoju i dostatku.

– Oba nasze królestwa?! – wybuchnął król. Spurpurowiał na twarzy i zerwał się z tronu. – Macie jakiegoś innego króla niż ja?

– Naturalnie. Jesteś Ljósálfarem, nie Svartálfarem. Przecież nie proponowalibyśmy nawet, by jeden z naszych władał waszym ludem.

– Oczywiście, że nie! Lecz wy winni jesteście mi posłuszeństwo! To ja wysłałem tę ekspedycję! Ja wspierałem rodziny, które tu zostawili wasi przodkowie! – I na myśl o tym król stwierdził raptem, że jednak powinni być jego poddanymi. – Mimo ciemnej skóry nadal jesteście Álfarami! Jam jest waszym władcą.

– Nasz władca jest w Svartálfheimie. Jesteśmy jedynie emisariuszami jego dobrej woli.

– Dobra wola oznacza uznanie swojego prawowitego króla. Jeśli nie jestem waszym władcą, to wy i wasi przodkowie jesteście zdrajcami i dezerterami.

Pięciu Svartálfarów wyprostowało się dumnie.

– Nie jesteśmy ani jednym, ani drugim – oświadczył jeden z mrocznych elfów. Nie przemawiał dotąd, ale żaden z jego towarzyszy nie oburzył się na jego słowa. – Jesteśmy odmiennym ludem, o czym zapewniają cię twoje własne zmysły. Jesteśmy twoimi dłużnikami i chętnie odwdzięczymy się za twoją hojność. Ale nie będziemy twoimi poddanymi, skoro nie jesteś jednym z nas.

Być może mniej dumny król znalazłby w sobie siłę do dalszych negocjacji. Być może mroczne elfy powiedziały dość, by sprowokować każdego króla. W każdym razie król Álfarów tej siły nie znalazł i ryknął na swych wojowników, by pojмали mroczne elfy i wrzucili je do lochów.

– Chcielibyśmy, by wszyscy tu obecni zapamiętali, że to nie my rozpoczęliśmy przemoc i że zaofiarowaliśmy się spłacić nasze długi względem Álfarów – powiedział mówca głośno. – Nie zdołacie nas zwyciężyć, ponieważ władamy sztuką walki *Sigr af Reykr*. Poślijcie po nas do Svartálfheimu, jeśli wasz nowy król zapragnie rozmawiać z nami w pokoju.

Były to dość dziwne słowa, jako że nawet się nie poruszyli, ale wkrótce stało się jasne, co mieli na myśli. Gdy wojownicy Álfarów chcieli ich pojmać, mroczne elfy zniknęły, a ich białe szaty opadły na ziemię. Srebrne ozdoby brzdęknęły, a tam, gdzie stały, wybuchł pył węglowy. Ich przedziwne noże nie upadły jednak na ziemię, ale przemieniły się wraz z nimi. Mroczne elfy zmateriałizowały się znów poza kręgiem wojowników, nagie, z tymi dziwnymi zakrzywionymi ostrzami tak czarnymi jak ich ciała. Mogły teraz zabić wszystkich Álfarów. Wystarczyło kilka ruchów nadgarstka. Zaczekały jednak, aż wojownicy się odwrócą. Tym razem Álfarowie próbowali zaatakować ich bronią. W stronę mrocznych elfów pomknęły

miecze i topory, ale przeleciały przez czarną mgłę. Cztery tumany dymu wyslizgnęły im się z zasięgu ciosu, ale jeden snuł się w stronę króla. U podnóża schodów prowadzących do tronu pojawił się mówca Svartálfarów. W lewej dłoni dzierzył czarny nóż.

– Twoje rozkazy dały życie naszemu ludowi – rzekł. – Lecz nie pozwolimy nikomu czynić sobie z nas poddanych. Przemyśl swoje rozkazy i pozwól nam porozmawiać w pokoju, inaczej ty i tylko ty zapłacisz za to nadużycie.

– Zabić ich! – krzyknął król, a jego strażnicy rzucili się go bronić.

Mroczny elf odczekał, aż ich broń już na niego spadała, i dopiero wtedy zmienił się w smugę wijącego się dymu, która wzniosła się w stronę króla. Widząc to, władca elfów sam obnażył miecz. Jego wojownicy nie mieli czasu rzucić mu się na ratunek. Zamachnął się mieczem na zbliżającą się mgłę, ale bez skutku. Długie smugi dotarły do jego ust i zakaszlał tylko raz, nim wyzionął ducha.

Mroczny elf zmaterializował się z prawą ręką w gardle króla. Szarpnął mocno i oderwał królowi szczękę, a szyja odpadła od kręgosłupa. Krew trysnęła na niego, ale zaraz znów zmienił się w mgłę, a posoka spłynęła deszczem wokół, gdy ciało nieszczęsnego króla potoczyło się po schodach, aż do stóp wojowników – niemy dowód ich porażki. To właśnie mroczne elfy nazywają *Sigr af Reykr*, Zwycięstwo Dymu.

Gdy Svartálfarowie już się wycofywali, oszołomiony dwór Álfarów zauważył dwie rzeczy: po pierwsze, mroczne elfy nigdy nie pozostawały w swojej bezcielesnej formie dłużej niż pięć sekund i zawsze materializowały się na co najmniej sekundę, nim znów przemieniały się we mgłę. Po drugie, można je było zabić. Ten drugi fakt odkryto, gdy zabójcy już wychodzili z komnaty. Łucznik wysoko na balkonie przyglądał się uważnie ich przemianom i ruchom. To on właśnie zdał sobie sprawę z tego, że pod postacią dymu nie wytrzymują dłużej niż pięć sekund. Napiął łuk i cierpliwie śledził ruchy jednego z mrocznych elfów. Gdy zbrodniarz przemienił się w dym, łucznik odliczył do pięciu i wypuścił strzałę w sam środek mgły, gdy była już ona dziesięć kroków od drzwi. Mroczny elf ucieleśnił się na ułamek sekundy, nim strzała wbiła mu się między ramię a kark, rozdzierając jego ciało i kończąc życie.

Osunął się przed progiem, a wojownicy rzucili się na niego i zadźgali go dla pewności, ale najprawdopodobniej był już wtedy martwy. W ciągu kilku sekund ciało skruszyło się, uniósł się nad nim dym i już minutę później zostało po nim tylko trochę węgla zmieszanego z jakimś płynem, mokra kałuża smoły ze strzałą łucznika w środku. Nóż elfa rozpuścił się razem z nim.

Od tamtego dnia Svartálfarowie i Ljósálfarowie nienawidzą się nawzajem. Mroczne elfy prowadzą pokojowe, choć trudne rozmowy z Azami i Wanami. Handlują z krasnoludami z Nidavelliru i z mieszkańcami Jötunheimu. W Midgardzie, jak się łatwo domyślasz, znajdują pracę jako płatni zabójcy. Ale w Álfheimie zawsze atakuje się ich na miejscu za niewybaczalną zdradę i królobójstwo.

* * *

Gdy Manannán zamilkł, zareagowałem natychmiast.

– Mów dalej – poprosiłem.

– To wszystko.

– Co takiego?! To nie może być wszystko!

– Tyle tylko mi opowiedziano. I wierz mi, że to i tak więcej, niż wie o nich większość ludzi.

– Ale z pewnością to był zaledwie początek. Stulecia wojen, rzeki elfiej krwi, bitwy trwające po trzy miesiące...

Bóg morza pokręcił głową.

– Nie. Álfarowie nienawidzą Svartálfarów jako zdrajców, ale nie chcą wojny z własnym ludem. Między nami mówiąc, myślę, że boją się, iż gdy wkroczą do Svartálfheimu, zmienia się w podobny sposób. Ten trik ze zmienianiem się we mgłę może dawać niesamowitą przewagę, ale kończy się to strasznym bałaganem po śmierci. Álfarowie uważają, że to w jakiś sposób niezdrowe. I byłaby to dla nich wysoka cena za wyeliminowanie zdrajców, którzy poza tym nie czynią królestwu żadnej krzywdy.

– Któremu królestwu?

– Źle się wyraziłem. Nie czynią krzywdy Álfheimowi.

– Aha. Opowiedz mi więcej o tym ich triku. Na czym dokładnie polega ten cały Podarunek Dymu?

Manannán wzruszył ramionami.

– To jakiś rodzaj mutagenu.

– Ło! ależ ty używasz współczesnego słownictwa!

Bóg posłał mi groźne spojrzenie.

– Nie wszyscy spośród Tuatha Dé Danann uważają, że śmiertelnicy nie mają nam nic do zaoferowania.

– Podzielam twoją opinię na ten temat, i to już od dłuższego czasu. Ale czy ktoś wie, jaki to może być mutagen?

– Mnożą się teorie, ale Svartálfarowie odmawiają udzielenia wszelkich informacji, a nikt nie zapytał się na tyle głęboko w ich ziemie, by to zobaczyć na własne oczy. Posłów przyjmują w kilku obszernych komnatach niedaleko tych mrocznych schodów, które zbudowali. Tam też handlują. Co znajduje się głębiej, tego nie wie nikt.

– Czyli trochę jak z Koreą Północną. Aż się wierzyć nie chce, że ci to opowiedział jakiś Álfar. To historia raczej mało pochlebna dla ich króla.

Manannán pokiwał głową.

– Ale to uczciwy lud.

– Lecz jeśli ta historia jest prawdziwa, oznacza to, że mroczne elfy nie są z natury złe.

– Nie. To dumny lud, który nie boi się zabijać, ale nie atakują żadnych obcych ziem i nie pragną nad nikim dominować.

– Człowiek by się tego w życiu nie domyślił, gdyby ufać temu, co o nich mówią ludzie, mnie nie wykluczając. Znaczy się, nie żebym miał przestać ich uważać za cholernie upiornych, no bo powaga, jeśli twoje ciało zmienia się w smołę, to to jest zupełnie popierzone jakieś, nie? Ale szczerze mówiąc, to jestem w szoku, że oni wcale nie chcą nas wszystkich zniszczyć. Przydałby im się jakiś porządny PR-owiec.

– Co to jest piarowiec?

– To taki typek trochę jak grecki sofista. PR-owcy bawią się słowami i umieją ci wcisnąć, że góra to dół i takie tam. Płaci się im za to, żeby namówili ludzi do

kupowania gówna, bo to inwestycja w żyzność gleby. Zawodowi kłamcy.

– A! – Manannán rozpromienił się, gdy pojął, o czym mówię. – To to samo co politycy?

– Niezupełnie. Są bystrzejsi i aparycję mają gorszą. Ale doradzają politykom.

– No cóż. W każdym razie powinieneś wiedzieć, że mroczne elfy cię szukają.

– Doceniam twoją troskę. Ale to trochę dziwne. Mówisz, że dwa lata temu się tu pojawili? Ciekawe, co ich do tego skłoniło.

– Sam się nad tym zastanawiałem, chłopcze. Liczyłem na to, że ty mi powiesz.

Przyszła mi do głowy pewna hipoteza. Sześć lat temu miałem małe spotkanie, w którego wyniku troje nordyckich bogów się dowiedziało, że jednak żyję. Któremuś z nich coś się mogło potem wymyknąć, przypadkiem lub celowo. Ale ponieważ nie wiedziałem na pewno, tylko pokręciłem głową.

– Nie. Ale to znaczy, że mam jeszcze jednego wroga, na którego powinienem uważać. Bardzo bym chciał zobaczyć tę mapę Dziewięciu Światów.

– Dam ci kopię.

– Bardzo ci dziękuję. Czy masz może jakiś bezpieczny kąt w pałacu, gdzie mógłbym odprawić wróżbę?

– Jakiego rodzaju? – zażądał od razu uściślenia Manannán.

Niektóre stare druidzkie rytuały wróżbiarskie powodują trochę bałaganu, szczególnie te ze składaniem ofiar ze zwierząt itepe. Nigdy jakoś nie przepadałem za tymi metodami. Prawda zbrukana krwią może być jeszcze bardziej gorzka niż ta, która objawia się bez poświęcania czyjegoś życia.

– Chcę tylko rzucić różdżki – zapewniłem go.

– A, oczywiście. – Machnął na to ręką. – Nie ma sprawy.

– Jest jeszcze coś, o czym chciałbym z tobą porozmawiać. Ten włochaty bóg nie ma już domu, a ściga go Loki. Czy myślisz, że Tuatha Dé Danann mogliby ewentualnie udzielić mu azylu na jakiś czas?

Manannán prychnął kpiąco.

– Mam dziwne przeczucie, że w tej chwili Flidais jest gotowa udzielić mu, czego tylko on zapragnie. Mnie to nie przeszkadza, jeśli ręczysz za jego charakter.

– Ręczę.

– W takim razie nie widzę zbyt wielu przeciwwskazań, by bawił tutaj za naszą zgodą. Zaraz pošlę jakąś faerię do Brighid.

Rozplótł zaklęcie wokół nas, zebrał swój Płaszcz Mgły i znów przemieniliśmy się w ptaki, żeby pofrunąć z powrotem do zamku. Już jako ludzie ubraliśmy się, a ja wyciągnąłem paczkę z różdżkami. Manannán pokazał mi komnatę, gdzie mogłem odprawić wróżbę. Był to pokój dla gości, cały w złocie i burgundzie. Wyciągnąłem różdżki z opakowania i wylosowałem pięć, skupiając się na pytaniu: gdzie najlepiej będzie spleść Granuaile z ziemią? Rzuciłem różdżki na ziemię przed sobą i przyjrzałem się powstałemu w ten sposób wzorowi. Gdybym był w towarzystwie, dyplomatycznie określiłbym wynik tej wróżby jako niesatysfakcjonujący. Jako że odprawiałem ją jednak sam, wymrugąłem się w pierw do woli, a potem zakląłem tak, jakbym pewnie klął, gdyby mi ktoś pęsetą wrywał włoski na mymłonie.

Wykonałem jeszcze kilka wróżb, przeformułowując pytanie i wypatrując choćby najmniejszej odrobinki wątpliwości co do znaków. Ale tak czy siak zawsze

dochodziłem do równie dołującego wniosku: nie będzie już lepszego czasu i lepszego miejsca niż teraz u podnóża Olimpu. Coś, co zaburzyło przepustowość nici między Tír na nÓg a Europą, ani drgnie przez bliżej nieokreślony czas, a każda stracona minuta to jeszcze jedna minuta więcej bezbronności Granuaile. To znaczy bezbronności w starciu z każdą istotą szybszą i silniejszą niż człowiek. A problem polegał na tym, że teraz pewnie będzie nam się trafiać mnóstwo takich właśnie istot. Nawet biorąc pod uwagę oficjalny nakaz kneblujący wydany przez Brighid, wiedziałem, że w świat już poszła plotka: cholerny druid wciąż żyje.

Rozdział 6

Choć może się to wydać dziwne, Manannánowe informacje o mrocznych elfach w pewnym sensie mnie uspokoiły. Przynajmniej nie musiałem już się nad tym zastanawiać. Cały świat był przeciwko mnie. Takie były po prostu fakty. Mimo to jednak, gdy już pożegnaliśmy się z naszymi gośćmi i znów zarzuciliśmy plecaki na plecy, a Flidais i Perun poczępali za nami, czułem się na tyle pewnie, żeby przed powrotem na ziemię pokazać jeszcze Granuaile kilka najpiękniejszych miejsc w Tír na nÓg.

– Ta kraina wiecznego lata jest też krainą umarłych, ale na szczęście umarli trzymają się razem.

– Co masz na myśli?

– No wiesz sama, z jaką łatwością można przyciągnąć starsze osoby do danej dzielnicy, jeśli tylko zapewni im się plansze do szachów i bingo. Albo jakąś miłą kafejkę z naleśnikami, żeby mogli w niej przesiadywać całe dni...

Granuaile wyglądała na trochę zagubioną.

– Co?

– Byłaś kiedyś w dzielnicowej kafejce rano w dzień powszedni, kiedy wszyscy są w pracy?

– Nie – przyznała Granuaile.

– No. To tam właśnie siedzą wszyscy emeryci z okolicy. Bo jak już stuknie ci sześćdziesiątka albo zaraz potem, nie chce ci się już więcej robić samemu naleśników.

– Tobie sześćdziesiątka stuknęła już dawno temu – zwróciła mi uwagę Granuaile.

– I nigdy nie smaży sam naleśników. Idę je jeść w kafeterii tak jak wszyscy starsi ludzie.

<To prawda! On tylko smaży omlety i... cholera. Znowu zapomniałem, że ona mnie nie słyszy>.

– Ale ja już teraz nie przepadam za smażeniem sobie naleśników – stwierdziła Granuaile. – Czy to znaczy, że zacznę je smażyć na starość?

– A skąd ja mam wiedzieć? Chodzi mi tylko o to, że pewna część Tír na nÓg przyciąga wszystkich zmarłych!

– Dlaczego ich przyciąga?

– Głównie dlatego, że nie ma tam żadnych żywych. Zmarli nie lubią, jak się im przypomina, że są martwi. A może mają tam też kafeterię z naleśnikami. Kino dwadzieścia cztery godziny na dobę. Koncerty elvisów. Tego typu atrakcje.

<Czy śpiewają *Suspicious Minds* w białym kombinezonie z wysokim kołnierzem?>

Zawsze.

– Mówisz o Tír na nÓg tak, jakby to było jakieś drugie Las Vegas – powiedziała Granuaile.

– Dobre porównanie. Bo to, co się dzieje w krainie umarłych, pozostaje w ich

krainie. Więc po prostu za wiele o niej nie wiem i wcale nie śpieszy mi się dowiadywać. Manannán i Morrigan też jakoś nie chcą nic mówić, jak się ich pyta. Nawet nie wyjaśnili mi nigdy, na jakiej podstawie rozstrzygają, kto idzie do Mag Mell, a kto do innych irlandzkich krain. Może to zresztą w ogóle nie od nich zależy. Ale chodzi mi tylko o to, że całkiem sporo ziemi zostaje dla żywych. I dla faerii, i innych osobliwości. Sama zobacz. Znaczy zaraz zobaczysz. – Wskazałem jej dąb przed nami. – Połóż ręce tutaj i szykuj się do drogi.

– Skąd wiesz, gdzie trafimy? – spytała Granuaile.

– Trudno byłoby mi to wytłumaczyć, dopóki cię nie splotę z ziemią i nie będziesz mogła spojrzeć na to w magicznym wymiarze – powiedziałem. – Ale ogólnie wszystkie miejsca mają swój układ węzłów. Coś jakby kody lotnisk na ziemi.

– I będę musiała je wszystkie wykuć na pamięć?

– Nie, chyba że w ramach jakiejś tortury. Na ziemi te węzły odpowiadają współrzędnym, ale nie w Tír na nÓg, jak się pewnie domyślasz. Musisz jakby wiedzieć, dokąd podróżujesz, bo inaczej możesz trafić w środek orgii ogrów albo na równie podobne okropieństwo. Teraz na przykład udamy się do dość popularnego miejsca. Będzie tam pełno faerii, ale że będą z nami Flidais i Perun...

<Pewien jesteś? Bo na moje oko to oni raczej liczą na to, że ich tu zostawicie>.

Obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem, że Perun niesie Flidais, podtrzymując ją dłońmi za tyłek, a ona założyła mu nogi na szyję i jakimś cudem splotła je za jego plecami. Poszli już w ślimaka i wydawali przy tym masę cichych pomruków. Granuaile podążyła za moim wzrokiem i aż się wzdrygnęła.

– Fuu. Jakim cudem ona w ogóle znalazła jego usta w tych wszystkich włosach? – szepnęła.

– Prawdę powiedziawszy, to mnie raczej zadziwia to, że wykazali dotąd tak wielką cierpliwość, bo byłem pewien, że już w zamku wymkną się do jakiegoś pokoju na uboczu. To co? Zostawiamy ich tu? Co myślisz?

Moja uczennica tylko pokiwała głową.

– No. Zabieranie ich ze sobą nie wyszłoby nikomu na dobre. Nie chcę ich nawet słyszeć.

<To brzmi trochę jak te odgłosy, które wydają kucharze w telewizji, próbując swojego własnego jedzenia pod koniec programu. Wiesz, o czym mówię?>

Nom. Żarłorgazm.

<Świetne słowo! Muszę je sobie zapamiętać>.

Przenieśliśmy się do dość często odwiedzanego rzeczno nabrzeża w Tír na nÓg i uśmiechnąłem się, gdy Granuaile odruchowo się schowała, a Oberon zaczął głośno szczeleć.

Hej. Uspokój się, chłopie. Nie dorwie nas.

<Aha. Ale następnym razem racz ostrzec psa, tak?>

– O Boże! Czy to jest smok? – jęknęła Granuaile zza pnia starego drzewa, którego użyliśmy do przeniesienia się tutaj.

– Nom. Smoczyca.

– Taka prawdziwa? Nie makieta z wosku ani nic z tych rzeczy?

– Nie. Zupełnie prawdziwa.

– To czemu się nie rusza, tylko tam wisi w powietrzu?

– Porusza się. Tylko w wolniejszym strumieniu czasu. Witaj na Wyspach Czasu. To przez nie powstały te wszystkie historie o tym, jak to niby czas płynie tu inaczej niż w świecie śmiertelników.

Staliśmy na brzegu szerokiej rzeki – może nie tak szerokiej jak Missisipi, ale jednak dość. Pośrodku nurtu kilka różnej wielkości wysp ciągnęło się w górę i w dół, oferując dość interesujące widoki. Jednym z najbardziej przejmujących była olbrzymia złota smoczyca lecąca tuż przed nami. Znajdowała się może ze trzydzieści metrów od nas, skrzydła miała rozpostarte i poruszała nimi bardzo powoli w dół, szczęki rozdziawiła, jakby sycząc. W piasku na plaży pod nią leżało jajo.

– Czy ona nas widzi?

– Nie. Jesteśmy dla niej ledwie jakimś zamazaniem, może mgiełką, bo znajdujemy się w znacznie szybszym strumieniu czasu. Spójrz na tamte wyspy. – Wskazałem jej w dole rzeki jakieś niewyraźne, zamglone kształty. – Tam wszystko porusza się szybciej niż my. Jeśli ktoś stamtąd na nas patrzy, to widzi nas jako nieruchomych lub ledwie się poruszających. Zupełnie tak samo, jak nam się wydaje, że smoczyca jest nieruchoma.

– Czyli ta smoczyca myśli, że leci w normalnym strumieniu czasu?

– No. W końcu, jeśli będzie tak leciała w tym samym kierunku, wyleci stamtąd. To będzie dla faerii niezwykle ekscytujący dzień, jeśli się kiedyś rzeczywiście zdarzy. Około tysiąca lat temu, kiedy ostatni raz tu wpadłem zobaczyć, co słyhać, pazury jej tylnych łap nadal dotykały piasku. Spójrz, ona rzuca się do ataku. Chce bronić jaja.

– Przed czym?

– Przed jakimś faerycznym dupkiem, który setki lat temu wymyślił sobie, że je ukradnie. Może zresztą któryś z Tuatha Dé Danann też był w to zamieszany, nie wiem. Ktoś chciał się koniecznie popisać.

Granuaile przechyliła głowę.

– A czy ty przypadkiem nie robisz teraz tego samego, sensei?

– Co? Ja? Nie – zapewniłem ją. – To na pewno nie jest mój popis. Ja tylko uznałem, że to może być dla ciebie coś ciekawego. Nie uważasz, że to jest fajne, odlotowe i w ogóle?

– O tak. Uważam. – Zatrzepotała rękami. – Jeszcze coś chciałeś mi pokazać?

– W górze rzeki jest ktoś, kogo być może rozpoznasz – powiedziałem. – To niedaleko. Tylko miej oczy szeroko otwarte, gdy tam będziemy szli.

Wskazałem jej drzewa, z których już obserwowało nas bacznie kilka par oczu. Chochliki i inne latające odmiany faerii unosiły się nad nami lub siedziały przycupnięte na drzewie.

– Dobra – obiecała Granuaile rzeczowym tonem. Podrzuciła na próbę swój kij. Jakiś czas temu doradziłem jej, żeby na obu końcach zainstalowała żelazne nakładki. Przyjęła moją radę ze zrozumieniem. Teraz faerie zauważyły ten dodatek i wiedziały już, że zaczynanie z nią wiąże się z pewnym ryzykiem. – Jestem gotowa.

Ruszyliśmy sami wzdłuż rzeki. Tak jak przewidział Oberon, Flidais i Perun nie dotrzymywali nam już towarzystwa. Bez wątplenia pogrążeni byli w namiętnej, włochatej uczcie cielesnej na polu Manannána.

Poprosiłem Oberona, żeby szedł na czele naszej wyprawy, za nim kroczyła

Granuaile, a ja zamykałem pochód. Dałem Oberonowi oficjalne zezwolenie na traktowanie jak wroga wszystkiego, co nie wyglądało na człowieka, jeśli tylko nie zeszło mu to z drogi.

Dawaj im jakieś warczące lub szczekające ostrzeżenie, ale jeśli to nie zadziała, niszczyć bez wyjątku – nakazałem.

<Och, jak ty to wspaniale ująłeś. Jakby ich zniszczenie było po prostu nieuniknione. Dzięki>.

No przecież jest nieuniknione. Jesteś jak pies-Terminator.

<Jesteś pewien, że chcesz użyć takiego akurat porównania? Bo jeśli ja jestem Terminatorem, to ty byś musiał być Skynetem, a zatem wrogiem Sarah Connor, a ty zawsze miałeś słabość do Lindy Hamilton>.

Oj. No racja. Odwołuję, co powiedziałem.

<Jeśli już koniecznie chcesz mnie porównywać do hollywoodzkich skurczybyków, to chcę być Julesem z *Pulp Fiction*. On był działami Nawarony! Był Super Fly T.N.T.!!>

Hola. Zapominasz o czymś. Jules nie jadał wieprzowiny. Czyli nici z bekonu i kiełbasy.

<Aaa! Nie! To nie do pojęcia! Odwołuję, co powiedziałem!>

Myślę, że jesteś skurczybykiem jedynym w swoim rodzaju, chłopie.

<Serio? I nie myślisz przypadkiem, że te psy Brighid były większymi skurczybykami, co?>

Niee. To była tylko taka psiopisowa. Założę się, że nigdy ich nie zabiera na polowanie. I nawet nie były zbyt bystre. Brighid nie nauczyła ich mówić tak, jak ja nauczyłem ciebie. W przelocie dotknąłem ich umysłów, gdy byliśmy na Dworze. Znały ledwie kilka podstawowych rozkazów i zaledwie garść słówek.

<Jakie słowa znały?>

Jeść. Nocnik. Suki.

<Ha! Ha!... Czekać no. Może ja się wcale nie powinienem śmiać. Jak tak o tym pomyśleć, to to jest dość zen, wiesz? A może nawet więcej. Wiesz, Atticusie, to może być psi odpowiednik świętej trójcy>.

A nie sądzisz, że wymienianie w tej trójcy suk jest seksistowskie? Powinieneś popatrzeć na to także z ich perspektywy, jeśli chcesz wypracować jakiś rodzaj uniwersalnego psiego dogmatu, he he.

<Ja? Dogmatyczny? Porzuć tę myśl! Ale może masz rację, że powinienem przeformułować to tak, żeby uchwycić ogólne seksualne zachowania. Może właśnie seks byłby tu najprostszym i najbardziej odpowiednim określeniem, najtrafniej ujmującym nasze podstawowe potrzeby. I wiesz co? Może jeszcze uda mi się nawet aliteracyjna trójca. Świnia, Sikanie i Święty... sieks?>

Zamierzasz być prorokiem jakiejś nowej religii?

<Czemu nie? Ponoć da się na tym zbić niezłą kasę>.

A na co ci kasa? Przecież daję ci wszystko, czego potrzebujesz.

<Mógłbym jasno zarzucić fałsz temu twierdzeniu, choćby przez przypomnienie ci, że nie, nie ma tu przecież przy mnie żadnej pudlicy, ale mniejsza z tym. Czy spiszesz mi na komputerze moje święte pismo, jeśli ci je zadedykuję?>

Jasne. A jak się ta religia będzie nazywała?

<Kupizm>.

A jaki będzie tytuł tego świętego pisma, które mam dla ciebie spisać?

<Zwoje Martwej Pchły. Proroctwo Syriusza>.

Głos Granuaile przerwał nasze plany zrewolucjonizowania psiego systemu wierzeń.

– Czy to samolot? – spytała, wskazując gdzieś w kierunku długiej, wąskiej wyspy. Metalowy dwusilnikowy samolot wisiał w powietrzu nad nią, z lewego skrzydła unosiła się mu wstęga dymu i próbował czegoś, co można było oględnie nazwać trudnym lądowaniem na wyspie.

– No. To Lockheed L-10 Electra.

– Nie. Chwileczkę. Ale tam nie ma pilota, nie?

– Pilota nie ma, jest słynna pilotka we własnej osobie.

– Kpisz sobie ze mnie. Chcesz mi wmówić, że w tym samolocie leci Amelia Earhart? Żywa?

– Dopóki się nie rozbije, to żywa. Niby zawsze może przeżyć to lądowanie, tego nie wiemy, póki się nie wydarzy. Ale ogólnie w wypadkach lotniczych raczej mało komu udaje się przeżyć.

– Masz tu żywą Amelię Earhart i tak sobie spokojnie spekulujesz, czy da radę przeżyć wypadek?! Atticusie, przecież my ją musimy uratować!

– Jak? No pomyśl: gdy tylko wejdiesz w ten strumień czasu, będziesz się poruszać równie wolno jak ona. Nie jesteś w stanie zapobiec wypadkowi. Nikt nie jest.

– Ale to straszne! Przedłużanie momentu jej śmierci...

– Dla niej nic nie jest przedłużone. To nadal tylko kilka ostatnich sekund przed rozbiciem.

– To po co to wszystko? Dlaczego ona tu w ogóle jest? Czy faerie czerpią jakąś chorą przyjemność z patrzenia na ludzką śmierć w zwolnionym tempie?

– Nie, to zupełnie nie o to tu chodzi – zaprzeczyłem zdezorientowany.

Granuaile naprawdę nie widziała w tym cudu. – Ona jest potężną inspiracją. Silna, odważna kobieta taka jak Amelia... no wiesz, światu nie zaszkodziłoby kilka milionów więcej takich jak ona.

Granuaile umilkła, żeby się nad tym zastanowić. Gniewnie zacisnęła szczęki, ale po chwili uspokoiła się i po jej policzku pociekła łza. Otarła ją zniecierpliwiona.

– I to właśnie macie tu, nad tą rzeką? Takie różne odłamki historii?

– Tak. Właśnie to tu mamy. Część z tego jest przypadkowa. Wiele statków, które zaginęły w Trójkącie Bermudzkim, wylądowało właśnie tutaj. A część jest celowa, tak jak Amelia. Zachowujemy tu to, co w innym razie przepadłoby na zawsze.

– A ty coś tu zachowałeś?

– Nie. Wracanie tutaj było dla mnie zbyt niebezpieczne, gdy czyhał na mnie Aenghus Óg. I zbyt trudno odzyskać potem te rzeczy.

– A nie powiedziałeś przypadkiem, że nie da się stąd niczego wydostać? – Zmarszczyła brwi. – Że samemu się zwolni, jeśli się będzie chciało do nich dotrzeć?

– To trochę jak w tych grach, które stoją w niektórych restauracjach i supermarketach. Tych, w których hak spada w dół i rozstrzygając o twoim losie,

wyciąga tego jedyne pluszaka. Używają w tych maszynach haków na bardzo długich kijach. Póki większa część kija pozostaje poza strumieniem czasu, kij nie zwolni. Będzie się tylko poruszał superszybko w wolnym strumieniu, co oznacza, że trzeba zachować szczególną ostrożność. Rzeczy łatwo się tu łamią. I dlatego właśnie nie możemy uratować Amelii. Gdybyśmy próbowali wyciągnąć ją z samolotu, złamalibyśmy jej kark albo cały kręgosłup.

– Dobra. Już dość zobaczyłam. Możemy stąd iść? – wycedziła przez zęby.

Wszystko poszło nie tak, jak to sobie wyobrażałem. Gdy mój archdruoid po raz pierwszy pokazał mi Wyspy Czasu, byłem zafascynowany. Podobnie zareagowali wszyscy moi poprzedni uczniowie. Granuaile natomiast tylko to zasmuciło. Takie rzeczy się zdarzają – współczesny system wartości i ten, w którym ja się wychowałem, są tak odmienne, że czasami zupełnie źle oceniam, co jest fajne, a co odrażające.

– Jasne – powiedziałem, podchodząc do najbliższego drzewa.

Trzeba będzie to przegadać, ale niekoniecznie w obecności wszystkich tych faerii podsłuchujących nas z krzaków. Nie chcąc wierzyć Łonobrodemu na słowo, położyłem dłoń na pniu i spróbowałem odnaleźć nic łączącą drzewo z moim ulubionym miejscem w Galii... znaczy się we Francji. Nic. Nie było ani tej nici, ani żadnej innej spośród prowadzących do moich ulubionych miejsc w Europie. Zrezygnowany przejrzałem wszystkie dostępne opcje i wybrałem jakieś drzewo na wschód od Olimpu. Przeciągnąłem nas tam i w półprzysiadzie nasłuchiwałem chwilę czujnie, niemal oczekując kłopotów. Gdy nic kłopotopodobnego się jednak nie pojawiło, wyprostowałem się i wpadłem w zachwyt na widok tego, co rozpościerało się poniżej.

– I oto jesteśmy – oświadczyłem, spoglądając w dół, na miasteczko z siedmioma tysiącami dusz, pomarańczowymi dachami i białymi domeczkami otulonymi zielenią. Dalej widać było błękitną flagę Posejdonowego morza, która rozciągała się aż po horyzont i tam spotykała z jaśniejszym niebem. Staliśmy pod sosną. Zresztą większość drzew dokoła to były sosny, cedry lub jodły. Groźna sylweta Olimpu majaczyła za naszymi plecami, a tuż opodal widać było ścieżkę prowadzącą na szczyt.

– Znaczy się gdzie jesteśmy? – zażądała uściślenia Granuaile.

<I czy już czas na obiad?>

– To Litochoro w Grecji. „Miasto bogów”, jeśli kupować jego turystyczną nazwę. Przewija się tutaj sporo ludzi. Trzeba będzie znaleźć jakieś bardziej odludne miejsce, gdzieś z dala od ścieżki, żebyśmy wreszcie mogli zacząć pracować nad splataniem cię z ziemią. A kiedy będą nam potrzebne zapasy, zejdziemy po nie do miasta.

– Dobra – powiedziała Granuaile. – To prowadź.

Poprowadziłem więc, wybierając drogę między drzewami trochę na południe od szlaku. Chciałem dotrzeć do koryta górskiej rzeki, licząc na to, że będziemy mieć tam dostęp do wody i w bród paliwa na opał. Oberon szedł przy mojej nodze, zamiast ruszyć w las i krążyć sobie wesoło wokół, wachać drzewa i znaczyć krzaki.

<Atticusie?> odezwał się.

Tak?

<Śmiem twierdzić, że jestem całkiem niezły w rozpoznawaniu ludzkich intonacji, toteż jako ekspert w tej dziedzinie czuję się w obowiązku poinformować cię o tym, że Granuaile nie jest szczęśliwa>.

Wiem, chłopie. Tylko nie do końca rozumiem dlaczego. Ale dowiem się jeszcze dziś wieczorem, gdy tylko rozbijemy obóz. Teraz nie ma co jej cisnąć. Zresztą może sama nie do końca wie dlaczego. Spacer da jej trochę czasu, żeby sobie wszystko przemyśleć.

<Jesteś mądry>.

Niespecjalnie. Mądry mężczyzna w ogóle by jej nie zirytował. Wyświadczyłbyś nam przysługę?

<Jasne>.

Wysuń się trochę naprzód, ale nie za daleko... tak żebyś na pewno nas słyszał. Szukamy dobrego miejsca na obóz, ale powinno nosić jak najmniej śladów ludzkiej bytności. Najlepiej żadnych śladów właściwie. I potrzebujemy też głogu.

<Zawsze mi się zdawało, że dobre miejsce na obóz to właśnie takie bez ciernistych krzewów, nie?>

Co do zasady. Ale tu zrobimy wyjątek.

<No dobra. Ty tu trzymasz przekazki, więc co mi tam>.

Oberon potruchał do przodu z nosem przy ziemi w poszukiwaniu tropu. My z Granuaile szliśmy za nim w milczeniu, wysilając nasze mizerne ludzkie zmysły, by wyłapać wszelkie ewentualne oznaki tego, że nie przedzieramy się przez krzaczory samotnie.

Normalnie nie należę do tych, którzy drą krzaki bez względu na ich naturę. Ale tu zarośla stawały się coraz gęstsze, im wyżej wchodziliśmy i im dalej odchodziliśmy od ścieżki, aż w końcu naprawdę nie było jak iść między nimi. Musieliśmy się na siłę przedzierać przez roślinność, która okazała się nieprzyjemnie kolczasta. Niemal czułem, jak chandra Granuaile pogłębia się w miarę narastania liczby zadrapań na naszych ramionach i dziur w dzinsach. Mój humor zaczynał się dostosowywać do jej nastroju.

– Nie mógłbyś poprosić ziemi, żeby nam zrobiła ścieżkę przez te kolce? – odezwała się w końcu Granuaile.

– Mógłbym – przyznałem. – Ale tego rodzaju działanie mogłoby przyciągnąć czyjąś uwagę.

– Niby czyją?

– Olimpijczyków. Obu zestawów. Jesteśmy teraz na ich terytorium. Zresztą nie tylko o nich mi chodzi, bo są jeszcze te wszystkie nimfy i driady, i cały ten mitologiczny zwierzynek, który wymyślili sobie Grecy, a Rzymianie od nich zerznąli. Jeśli zdejmę sandały i zacznę się kontaktować z tutejszym żywiołakiem, greko-rzymianie na pewno zaraz się zorientują, że ktoś pobiera magię na ich podwórku. Jeszcze się nie wyzbyłem swojej paranoi. Chcę najpierw znaleźć dla nas jakieś spokojne, wyizolowane miejsce, nim podejmę jakiegokolwiek ryzyko.

Wściekając się w milczeniu, brnęliśmy dalej przez kolczastego przestwór oceanu. Po jakiejś półgodzinie cichych katuszy z ulgą powitałem głos Oberona w głowie.

<Hej, Atticusie. Spójrz no do góry. Widzisz tego sępa?>

Nad nami szybował szeroki, czarny cień. Przesuwał się od mojej prawej do lewej, pod kątem do stromego zbocza.

Widzę.

<Popatrz, gdzie leci>.

Normalnie sępy lądują na drzewach lub na ziemi, jeśli akurat leży na niej coś martwego. Nie mają zwyczaju kryć się w pieczarach. Ale ten sęp wleciał prosto do sporej jaskini na zboczu. Nawet z odległości widziałem, że obok rośnie całkiem sporo głogu.

Jak go zauważyłeś?

<Widziałem, jak wylatywał z jaskini, i pomyślałem z początku, że to nietoperz, bo to zwykle z nich wylatuje nie? On jest jakiś dziwny. Polatał, polatał i wrócił do niej. No i proszę bardzo. Trochę wysoko, ale to w końcu jaskinia>.

No. I pewnie wolna. Ten sęp albo ma tam gniazdo, albo leży tam coś martwego. Tak czy siak, pewnie dałoby się tam wprowadzić.

Pokazałem Granuaile jaskinię i powiedziałem, że powinniśmy sprawdzić, czy się nada. Ledwie mi na to skinęła głową i ruszyła za mną w ponurej ciszy.

To zabawne, że jak już ktoś Nie Rozmawia z Tobą, to każdy ruch zdaje się mówić tyle rzeczy. Granuaile miała na obu biodrach małe kabury, a w każdej po trzy płaskie noże do rzucania o ostrzach w kształcie liścia, schowane jeden na drugim. Umiała rzucać nimi bardzo dokładnie, by wykończyć przeciwnika lub zlikwidować go z miejsca (jej kij był raczej bronią obronną, mającą bardziej rozbroić napastnika, niż zadać śmiertelny cios komuś w ciężkiej zbroi). Ale teraz te noże stukwały cicho przy każdym jej kroku, choć przedtem w ogóle ich nie słyszałem. Albo może tylko nie zauważałem. Teraz jednak zdawało mi się, że wyrażają one jej palącą potrzebę wyciągnięcia jednego i ciśnięcia nim w moje plecy.

Wspinanie się w górę było bardzo męczące i brzdękanie noży wkrótce zaczęło komunikować inną treść: „Lepiej, żeby to było warte tego wysiłku!”.

Dołączył do nas Oberon – z wywieszonym jęzorem i posapując radośnie. Dla niego las pełen był cudownych zapachów.

– Cześć, Oberonie! – powiedziała Granuaile, przystając, żeby go pogłaskać. – Dobrze się bawisz?

<Powiedz Bystrej Dziewczynie, że mówię, iż to piękny dzień> odparł, posługując się przewiskiem, jakie nadał kiedyś Granuaile. Często ją tak nazywał w dowód uznania za jej sprawność w pojedynkowaniu się ze mną zarówno słownym, jak i fizycznym. <Wszystko w tym lesie wpada w zupełny popłoch na mój widok, a ja czuję się wspaniale na szczycie łańcucha pokarmowego>.

Powtórzyłem jego słowa Granuaile, a ona się roześmiała.

– Zdecydowanie jesteś najlepszym psem na świecie – powiedziała.

<Atticusie, czy już ci mówiłem, że znalazłeś sobie bardzo mądrą uczennicę?>

No. Mówisz to za każdym razem, jak pogłaszcze twoje ego.

To miłe uczucie opuściło nas jednak szybko, gdy Oberon ruszył sprawdzić, co zaszleściło w krzakach. Znów słyszałem tylko oskarżycielskie pobrzękiwania noży Granuaile i zamartwiałem się, dlaczego się do mnie nie odzywa. Jako że byliśmy sami, nie czekała po prostu na chwilę na osobności, więc doszedłem do wniosku, że czeka na coś innego. Będę musiał po prostu poczekać razem z nią.

Oberon zatrzymał się raptownie, gdy byliśmy już przy wejściu do jaskini. Położył uszy po sobie i zawarczał cicho.

<Atticusie, coś mi tu niedobrze pachnie>.

Przystanąłem i to samo zrobiła Granuaile. Nie musiała nawet pytać, co się stało. Wiedziała, że rozmawiam z Oberonem.

Co jest nie tak?

<No, wiem, że powinienem czuć paskudnego ptaka i jakąś padlinę, i niby czuję. Tylko że poza tym czuję też człowieka. I niedźwiedzia>.

Człowieka i niedźwiedzia? To raczej nie idzie ze sobą w parze. Chyba że to jakiś człowiek w niedźwiedziej skórze.

<Na takie futro jest dziś chyba za ciepło>.

Może to tylko dywan z niedźwiedzia.

<W jaskini?>

Dobra, wejdźmy to sprawdzić. Tylko ostrożnie.

Tak cicho, jak tylko się dało, wyciągnąłem Moralltacha z pochwy i wiedziałem, że za mną Granuaile już szykuje kij i noże. Podkradłem się bliżej, a ciche szuranie stóp o kamienie na zboczu wydało mi się potwornie głośne. Przed sobą usłyszałem jakieś skrobanie i cichy, zgrzytliwy odgłos wydobywający się z ptasiego gardła.

Najpierw wystawiłem miecz i zamarłem, czekając, czy coś będzie chciało zaatakować obnażone ostrze. Gdy nic nie chciało, zaryzykowałem i zajrzałem do środka.

Dwa czarne ślepia wpatrywały się we mnie ponad ostrym dziobem. Sęp Oberona znajdował się jakieś dziesięć metrów przede mną. Stał na stercie kości i zgniłych tkanek i się na mnie gapił. Nie widziałem żadnych śladów gniazda. Była to raczej jedynie jego stołówka, czy też sępówka. I to bardzo niechlujna. Nie była zaopatrzona w wodę i strasznie tu śmierdziało, ale poza tym miejsce nadawało się do naszych celów, oczywiście po odszorowaniu. Wysoki sufit był dodatkowym plusem. Tylko najpierw trzeba będzie przekonać aktualnego lokatora do wyprowadzki.

– To tylko sęp – powiedziałem. – Chodźcie, ale uważajcie na dziób.

Sępy nie mają mocnych szponów, bo ich ofiary zwykle nie próbują im uciekać. Natomiast dzioby mają stworzone do przebijania skóry. Co dziwne jednak, nasz sęp w ogóle nie wydawał się zaniepokojony moim pojawieniem się w otworze jaskini. Nawet kiedy Granuaile podciągnęła się na rękach, żeby wejść do środka, nie zareagował żadnym groźnym rozpostarciem skrzydeł. Nadal gapił się na nas, jakby oczekiwał, że padniemy trupem i zapewni mi tym samym lunch.

Dopiero kiedy pojawił się Oberon, sęp w końcu dał po sobie poznać, że się niepokoi – i że w ogóle nie jest sępem.

Oberon zaczął szczekać, warczeć, obnażać kły i zjeżył sierść.

<Atticusie, to coś to jest Coś!>

Co?

<To nie jest normalne!>

Na naszych oczach sęp zaczął pisać, rozłożył ramiona i urósł – ale bynajmniej nie w jeszcze paskudniejszego sępa. Przemienił się w coś zupełnie innego. Jego szyja stała się gruba, dziób zmienił się w pysk, a zamiast piór pojawiło

się futro. Krótkie sępie nogi zmieniły się w krótkie ludzkie nogi, ale górna część tułowia ryknęła na nas jak...

<A! Wielki niedźwiedź!>

– Bogowie by wzięli tych cholernych Greków i ich hybrydy! – mruknąłem pod nosem, a do potwora powiedziałem po grecku: – Gadasz po ludzku czy tylko głód do ciebie przemawia?

Niedźwiedź znów ryknął, a Oberon usiłował odpowiedzieć na to jeszcze głośniejszym szczekaniem, ale potem potwór przemówił do nas po ludzku, choć nie bez sarkastycznych tonów.

– Jam jest Agrios z Tracji, syn Polyfonte. A ty kto?

Kusiło mnie, żeby powiedzieć „Nikt”, ale nie byłem Odysusem, a on nie był Polifemem.

– Jestem Atticus z... Attyki – odparłem. Gdybym powiedział cokolwiek innego, nie zrozumiałby zupełnie. Zacząłem sobie naprędce przypominać jego mit. Już dawno temu facet został zmieniony w sępa przez Hermesa i Aresa. Jego matka i brat, jako że byli „dość miłymi” potworami Tracji, zostali zmienieni jedynie w sowy. To Agrios był tym paskudnym. Urodził się dlatego, że jego matka Polyfonte zdołała olać zupełnie Afrodytę, za co bogini się na nią wściekła i kazała jej sparować się z niedźwiedziem i wrrrr, oto pojawili się Agrios i Orios.

– A nie miałeś przypadkiem pozostać w postaci sępa? – spytałem.

– Trackie wiedźmy nauczyły mnie transformacji. Służyłem im przez jakiś czas, a potem rozdarłem im brzuchy i je zjadłem. Olimp o mnie zapomniał. Mam tu święty spokój, jeśli nie poluję na jakichś mizernych ludzi i zadowalam się tym, co mi wysyłają. Minęło już wiele lat, odkąd złożono mi ostatnią ofiarę. Kto was przysłał?

– Chwileczkę. Nie jesteśmy twoimi ofiarami. Po prostu szukaliśmy najładniejszych jaskiń w Grecji i ta wydała nam się niezła. – Szybko rzuciłem Oberonowi odpowiednie instrukcje: – *Podczas walki staraj się być za nim i gryź go w zad.*

<Dobra>.

– Podoba wam się moja jaskinia? – powiedział zbity z tropu Agrios, leniwie drapiąc się po brzuchu.

– O tak. Jestem pod wrażeniem tej aranżacji padliny. Wielu ludziom w ogóle do głowy nie przychodzi użycie padliny jako tego jakże mocnego akcentu w dekoracji wnętrza. To naprawdę niezwykle. To wyznaczy nowe trendy.

– Co ty wyprawiasz? – szepnęła do mnie Granuaile po rosyjsku.

– Tylko noże. Żadnej walki wręcz – odszepnąłem w tym samym języku.

– Skoro tak cię interesuje dekoracja wnętrza, po co przyszedłeś z mieczem i tym wielkim psem, który na mnie warczy? – utyskiwał potwór.

Wzruszyłem ramionami.

– W jaskiniach zdarzają się tacy niegrzeczni ludzie. Ale od razu widać, że ty to jesteś dobrze wychowany.

Niedźwiedź odrzucił głowę w tył i wybuchnął ursusim śmiechem.

– Nóż na gardło – syknąłem do Granuaile, a ona cisnęła, nim zdążyłem dokończyć zdanie.

Teraz – poleciłem Oberonowi, a on zaatakował stwora z boku. Ja rzuciłem się

od przodu, a tymczasem Agrios ryknął dziko, poczuwszy, że ostrze wbija mu się w szyję. Nie chciałem, żeby zaatakował Granuaile. Jej kij byłby na nic w starciu z tak brutalną siłą, a noże, choć rzucała je z niesamowitą precyzją, nie wystarczą, by go pokonać. Niedźwiedź ma wyjątkowo twardą skórę, a warstwy tłuszczu tworzą z niej swoisty biologiczny kevlar.

Gdy Agrios zniżył głowę i ruszył na mnie, Oberon już był za nim. Zamiast ugryźć go w tył uda, chwycił zębami kostkę i pociągnął, a niedźwiedź runął głową do przodu wprost przede mną. Upadek wepchnął nóż jeszcze głębiej w szyję i dał mi idealną okazję do uderzenia. Zamachnąłem się Moralltchem, pewien, że tak to zakończę, ale stwor przetoczył się bardzo ludzkim ruchem na bok i wyrwał ze szczęki Oberona. Zignorował zupełnie mnie i psa, a rzucił się za Granuaile, która miała tylko te irytujące igielki i kij – czyli dla niego mniej więcej tyle co wykałaczkę. Nie miałem jak odciąć mu drogi na czas.

Oberon był szybszy niż ja. Znow capnął faceta za kostkę. Nie zatrzymało go to, ale spowolniło jego ruchy i Granuaile zdążyła cisnąć kolejny nóż. Trafiała prosto między oczy, ale ostrze nie przebiło czaszki i nie dotarło do mózgu. Z rykiem rzucił się na nią, ciągnąc Oberona ze sobą, ale ona wywinęła mu się i poturlała w dół zbocza, żeby wydostać się z zasięgu jego łap. Dzięki temu mogłem machnąć Moralltchem, nie martwiąc się, że ją też niechcący drasnę. Skoczyłem na niego, nim miał czas pogonić za nią w dół, i desperackim ruchem wbiłem mu Moralltacha w bok. Udało mi się wyrwać mu płytką ranę. Zawył i wyrwał nogę z paszczy Oberona, zostawiając ścięgna i trochę mięsa. Chodziło mu tylko o Granuaile. Stękał i miotał się, starając się nam wyszarpać, a gdy mu się to udało, ryknął zwycięsko i wypadł z jaskini. Ryk natychmiast jednak przeszedł w zdziwione skomlenie, gdy wylądował na stromym zboczu. Śmiercionośne zakłęcie już dotarło do jego serca, nie mógł więc teraz panować nad upadkiem ani w ogóle nad niczym. Wznosząc tumany kurzu, potoczył się w dół. Szerniał jeszcze po drodze. Granuaile, której udało się chwycić pień jakiegoś drzewka, patrzyła za nim z przerażeniem.

– Dobra robota, drużyno! – powiedziałem, żeby odwrócić ich uwagę od tego, że potwór okazał się znacznie szybszy, niż się spodziewałem. – Czy wszyscy są cali? <Ja tak> zameldował Oberon.

Granuaile wpatrywała się w ciało rozwalone pod nami.

– Nie wiedziałam nawet, że one istnieją. Znaczy się, wiedziałam o bogach, ale mityczne stwory też? – Oderwała wzrok od trupa i spojrzała na mnie wyczekująco.

– No... greckie bardziej niż inne. Ich mity wciąż są opowiadane i wzmacniane.

– I mantykora też? Bellerofont? Chimera? Pegaz? Wszyscy oni istnieli?

– O, i to jak. Przecież oni są o wiele większymi celebrytami niż ten tutaj.

Granuaile pokręciła głową.

– Błagam, powiedz mi tylko, że nie tu spleciesz mnie z ziemią.

– Nie. Znajdziemy jakieś inne miejsce.

– To chodźmy. Natychmiast. – Odwróciła się i zaczęła szybko iść w dół zbocza. Schowałem Moralltacha do pochwy, obiecując sobie umyć ostrze, gdy tylko będę miał chwilę.

<Wydawało mi się, że już nie może mieć gorszego humoru, a tu okazuje się, że byłem w błędzie> zauważył cierpko Oberon.

Wiem. Musimy znaleźć jakieś bezpieczne miejsce, żeby mogła się na mnie wydrzeć.

<To jest teraz bardzo bezpieczne miejsce>.

No. Ale śmierdzi. Rozumiesz.

<Czyli chcesz mieć bezpieczne i ładnie pachnące miejsce, żeby ona mogła się na ciebie wydrzeć>.

No.

<Się robi, szefie! Chodźcie za mną między te wzgórza>.

Dogoniłem ją na dole i posłałem jej uśmiech. Dała mi znak ręką, że mam prowadzić, ale nic nie powiedziała, tylko spojrzała ze smutkiem. Znów ruszyłem więc przez kolczaste krzaki. Spokoju w dolinie nie znaleźliśmy, bo go nie było między nami.

I oczywiście te nordyckie cholery musiały wybrać akurat ten moment, żeby jeszcze wszystko bardziej skomplikować.

<Atticusie, obawiam się, że wziął się na nas duch Alfreda Hitchcocka. Jak nie sęp, to teraz te dwa wielkie kruki>.

Gdzie? Zadarłem głowę i odkryłem, że prawie wszystko zasłaniają mi splątane korony drzew.

<Tam. Yyy... z tej strony, z której przylatuje Święty Mikołaj>.

Od północy? Odwróciłem się w prawo i zaraz ujrzałem dwa kruki. Były wielkie i aż nadto znajome. Hugin i Munin, kruki Odyna. Kołowały coraz bliżej, a tymczasem z nieba spłynęła tęcza i skończyła się kilka kroków przed nami. Nie zdziwiło mnie już nawet to, że nie stał tam garnek ze złotem, choć i tak byłem tym brakiem lekko rozczarowany.

Ku nam spłynęła po tęczy (a przynajmniej tak to wyglądało, jakby spłynęła) pogodna piękność. Jej długie, jasne, falujące włosy powiewały delikatnie na wietrze, a suknia w zgaszonych odcieniach pomarańcza i czerwieni zupełnie skrywała jej stopy. Materiał tak jakoś upięty był pod biustem i tak się jakoś wydymał, że postać ta niepokojąco przypominała Daleka. Poza tym jednak jej całe zachowanie znamionowało spokój i cichą siłę, a uśmiezek na jej twarzy rozświetlił nawet jej niebieskie oczy, gdy dojechała do końca tęczy i zeskoczyła wdzięcznie na ziemię.

– Miło cię widzieć, druidzie – przemówiła.

– I mnie ciebie również. Witaj, Frigg – odpowiedziałem.

Oczy Granuaile rozszerzyły się nieco, gdy przedstawiłem ją żonie Odyna.

– Jestem zaszczyczona – szepnęła. Próbowała dygnąć, ale ponieważ uświadomiła sobie, że nie jest odziana w żadną suknię, więc przemieniła to w trochę dziwny ukłon.

– Dla mnie to także zaszczyt – odparła Frigg. Jej spojrzenie wróciło do mnie. – Odyn wysłał mnie do ciebie z wizytą.

Popatrzyłem znów w niebo. Hugin i Munin nadal krążyli nad naszymi głowami, ale nie zanosilo się na to, żeby mieli wylądować.

Moja antagonistyczna relacja z bogami nordyckimi zakończyła się rozejmem około sześciu lat temu, kiedy zwróciłem Odynowi włócznie i przyznałem, że jestem ich dłużnikiem z powodu pogromu, jaki wywołałem w ich krainie.

Wspomnieli, że chcieliby, bym zapłacił za to krwią, ale nie własną na

szczęście. Jak zawsze Odyn był głównie zainteresowany zapobiegnięciem lub przynajmniej odwleczeniem w czasie Ragnaröku. Uważał, że mogę mu pomóc w tej sprawie. Zgodziłem się, jeśli będzie to w mojej mocy, bo to ja przecież byłem tym idiotą, który uruchomił całą apokalipsę – zabiwszy Norny, uczyniwszy z Odyna kalekę i w ogóle pomagając Leifowi Helgarsonowi w jego misji zabicia Thora.

To nie oznaczało jednak, że między nami wszystko jest już ładnie pięknie. Frigg po prostu lepiej wychodziło ukrywanie chęci zamordowania mnie na miejscu niż pozostałym członkom nordyckiego panteonu.

– Domyślam się, że słyszałaś już o Lokim? – zagadnąłem.

– Słyszeliśmy i widzieliśmy wiele – potwierdziła. – Czy możemy chwilę porozmawiać?

– Jasne.

– Dobrze więc. Otóż wszystko zmierza dość szybko ku zagładzie. Musimy działać natychmiast, jeśli chcemy uniknąć najgorszego.

Przygotowałem się na nie najmiłsze wieści. Bez względu na to, co tam wykombinował Loki, byłem przynajmniej częściowo odpowiedzialny za puszczenie tej całej maszyny w ruch i Frigg była łaskawa z miejsca mi o tym przypomnieć.

* * *

Wkrótce po tym, jak najechałeś na Asgard dwanaście lat temu, Hel odkryła, że może swobodnie podróżować po dziewięciu krainach Yggdrasilu, choć dotąd było jej to zakazane. Kiedy Odyn zesłał ją dawno temu do Niflheimu i dał jej władzę nad Dziewięcioma Światami, była to jedynie kontrola nad starymi, chromymi i tymi, którzy mieli pecha nie trafić do Walhalli czy Fólkvangru. Nigdy nie mogła sama opuszczać swoich mroźnych ziem, gdyż Norny zaraz by doniosły o tym Odynowi, a on zesłałby ją z powrotem na dół.

Teraz, gdy już się uwolniła, spędziła znacznie więcej czasu w Midgardzie, niż zrazu myśleliśmy. Wróciła do Niflheimu uzbrojona w nowe postanowienia, a jednym z nich było to, że musi się nauczyć angielskiego, nowego dominującego języka. Wielu Azów już wcześniej to zresztą zrobiło. Domyślamy się też, że uznała, iż Loki także powinien zacząć włączyć angielszczyznę, ponieważ wysłała mu cień obdarzony mową, żeby nauczył go tego języka. Przed wejściem do jaskini Lokiego ustawiliśmy oczywiście strażników, ale nie mogli nic zrobić, żeby powstrzymać cień. Wiedząc, że nie zdoła on przecież uwolnić Lokiego, a przy tym będzie stanowił dla niego miłą rozrywkę w niewoli, pozwoliliśmy mu tam pozostać. Zwiększyliśmy jednak liczbę strażników przed jaskinią do pięćdziesięciu einherjarów, wyposażonych w nowoczesną broń i odpowiednio przeszkolonych, a w środku umieściliśmy kilku... obserwatorów. Coś na kształt kruków Odyna.

Zaczęliśmy otrzymywać raporty, że Hel buduje w swoim królestwie kuźnię i skupuje materiały od Svartálfarów. Krasnoludy, niech im bogowie błogosławią, odmówiły jej sprzedaży broni. Podczas pobytu w Midgardzie Hel najwyraźniej dowiedziała się, że miecze i tarcze już nie wystarczą. Około dziewięciu lat temu naprawdę zabrała się porządnie do produkcji broni i szkolenia draugarów. Dysponuje teraz potężną armią wyposażonych w broń automatyczną żołnierzy, których nie da się zabić, póki nie zniszczy się im głów lub nie oderwie im ich od ciała.

Odyn oczywiście przygotowuje einherjarów do stawienia im czoła, ale nawet ze współczesną bronią nie będą mieć przewagi. Krasnoludy postanowiły zasilić nasze szeregi i czynią podobne przygotowania do ostatecznej bitwy. Mają pojazdy i broń, która przewyższa wszystko, co widziałam od wieków.

Według naszych szacunków Hel już od roku mogłaby zacząć Ragnarök i miałyby duże szanse na wygraną, szczególnie że w sprawę zaangażowali się także synowie Muspell oraz Surtr. Bez Thora, który miał się zmierzyć z Jörmungandrem, bez nikogo, kto mógłby powstrzymać Fenrisa, zwycięstwo Hel wydaje się niemal pewne... przynajmniej na papierze.

Wygląda na to, że jedyne, co ją powstrzymuje, to psychologiczna niezdolność do działania bez ojca, czyli Lokiego. Mogłaby już sama zawładnąć światem. Mogłaby zniszczyć Midgard i przekształcić go w cokolwiek tam chce, ale ona wciąż ogląda się na niego.

Kilka dni temu wykonała jednak pierwszy ruch. Przeciwno naszym pięćdziesięciu einherjarom przywiodła pod jaskinię dwa tysiące uzbrojonych draugarów. Przeszła po zasłużonych ciałach naszych wojowników i wkroczyła do jaskini pod postacią zgarbionej staruszki.

Sigyn, żona Lokiego, rozpoznała ją i kazała jej wyjść.

– Nie masz tu co robić! – krzychała. – Czy Niflheim już ci nie wystarczy?

Hel ją zignorowała i swym grobowym głosem przemówiła do Lokiego, gdy tymczasem jad węża kapał wciąż do misy, którą Sigyn trzymała nad jego twarzą.

– Ojciec – wycharczała Hel. – Możemy w tej chwili wyjść stąd i zwyciężyć w Ragnaröku. Stare proroctwa są już nic niewarte. Norny nie żyją. Heimdall, który miał cię zabić, nie żyje. Frejr nie żyje. Týr i Widar nie żyją. Nawet potężny Thor zginął, a moja armia jest gotowa.

Bóg oszustwa nawet nie drgnął, póki nie usłyszał imienia boga piorunów.

– Co takiego? – spytał. – Mówisz, że Thor zginął? Jak?

Hel opowiedziała mu o waszej inwazji na Asgard i o tym, jak nas zaskoczyliście. Wymieniła was wszystkich: wilkołaka, wampira, alchemika, druida, czarodzieja i boga piorunów.

– Jaki bóg piorunów? – chciał wiedzieć Loki.

– Perun. To słowiański bóg. Zniknął.

– Ale żyje?

– Nie wiem, ojciec. Może i nie żyje.

– Wiem, jak go znaleźć – powiedział Loki, uśmiechając się tak, jak nie uśmiechał się od wieków. – Uwolnij mnie, córko.

– Ojciec, nie mogę cię uwolnić. Tylko ty sam możesz to zrobić. Ale mogę sprawić, że zrobisz to raczej szybciej niż później.

– Jak?

– Odpowiedz mi najpierw na jedno pytanie: czy nadal kochasz tę krowę? – Hel wskazała mu brodą Sigyn, jego żonę, która przez wszystkie te lata chroniła go jak mogła przed żrącym jadem węża. Nie była matką Hel. Wszystkie potworne dzieci Lokiego zrodzone były bowiem z olbrzymki.

– Ją? – syknął Loki. – Nie, nienawidzę jej. Nie chce zabić węża ani nawet zbudować mi dachu nad głową, choć tyle razy już ją o to prosiłem. Jest zupełnie

bezmyślna. Do niczego.

– A zatem bądź wolny – rzekła Hel. Odrzuciła swoją ludzką maskę i ukazała się w prawdziwej swej postaci, wznosząc się pod samo sklepienie jaskini. Wyciągnęła ze swej piersi ten potworny miecz zwany Głodem i wbiła go w kark wiernej Sigyn.

Żona Lokiego wyzionęła ducha, a misa pełna jadu wypadła jej z rąk wprost na twarz Lokiego. Darł się i miotał jak szalony, a z paszczy węża nadal kapał jad zgodnie z nakazem bogini Skadi. Loki wyrywał się i szarpał tak, że ziemia zatrzęsała się pod stopami Hel. Przeklinał ją. Poprzysięgał zemstę. A gdy kwas wyżerał mu oczy i ciało, błagał ją o litość.

Lecz Hel nie знаła litości. Litość była dla niej pustym miejscem w sercu, gdzie nie było żadnej świętości, i żadna istota, nawet jej ojciec, nie zdołają nigdy wzbudzić w niej tego uczucia.

Loki wył i wił się, a kwas wpływał coraz głębiej w jego ciało. Rzucił się i wrzeszczał w bezsilnym proteście. Ziemia trzęsała się coraz gwałtowniej i gwałtowniej, aż w końcu jego kajdany pękły i Loki był wreszcie wolny. Po fioletowych policzkach ciekły mu łzy i krew. Chwytał węża, który torturował go tyle lat, i żywcem spalił go w rękach, bo teraz, gdy był już wolny, wróciła do niego moc ognia. Nigdy nikt nie zdobył wolności kosztem takiego cierpienia i Loki poprzysięgnął siedmiokrotną zemstę, poczynając od słowiańskiego boga piorunów.

Nie wiemy, dlaczego skupił się na Perunie, a nie na wampirze, który zabił Thora. Być może z czystej wygody. Wiedział bowiem, że wejście do słowiańskiej krainy znajduje się gdzieś w górach Ural, i tam właśnie poleciał, gdy tylko wyszedł z jaskini.

Hel zostawił za sobą, nawet jej nie podziękowawszy. Nie dał jej zezwolenia ani żadnego innego sygnału, że może już zaczynać Ragnarök. Jako że nie mogła za nim podążyć, wróciła do swojego królestwa, zła i niepewna, co robić. Tam czeka na znak od ojca.

* * *

– I dlatego właśnie musimy teraz uderzyć i zabić Fenrisa – zakończyła Frigg, wyraźnie pretendując do zdobycia wyróżnienia za błąd logiczny roku w kategorii *non sequitur*.

– Słucham? – wybąkałem.

– Musimy obniżyć morale Hel i zapobiec jej atakowi na Asgard. Odyn zdecydował, że najlepszym sposobem, by to osiągnąć, będzie zabicie Fenrisa.

– Aha. Bardzo to miło z jego strony, ale może później.

– Teraz jest idealny czas po temu.

– Nie zgodzę się z tym. Gwałtownie.

Czoło Frigg zachmurzyło się, a kruki nad nami zakrakały.

– Obiecałeś nam pomoc. Obiecałeś wesprzeć nas, jak tylko będziesz mógł, zamiast opłacać swoją winę własną krwią.

– I wesprę. Serio. Ale nie w tej chwili. Mam uczennicę, którą muszę spleść z ziemią, i póki tego nie zrobię, nie mogę się niczym innym zajmować.

Wzrok Frigg przesunął się na Granuaile. Zacisnęła usta z gniewu, bo teraz już

miała świadomość, że moja uczennica stanęła jej na drodze do realizacji celów.

– Weź ją zatem ze sobą – rzekła.

– Mowy nie ma. – Pokręciłem jeszcze głową dla podkreślenia moich słów. – Nie jest jeszcze gotowa. Gdy już będzie spleciona z ziemią, może nam się nawet przydać w tej misji, to jest: jeśli zdecyduje się nas wesprzeć. Ale teraz jest tylko ciężarem i potencjalnym zakładnikiem.

Płaską dłoń ułożyłem w kształt prowizorycznego daszka przed słońcem i rozejrzałem się po niebie za krukami Odyna.

– A jeśli moją uczennicę spotka jakikolwiek „wypadek”, Odynie, to w ogóle wam nie pomogę, słyszysz mnie? Po prostu zdobądźcie się na jeszcze odrobinę cierpliwości.

– A jeśli podczas tej naszej odrobiny cierpliwości rozpocznie się Ragnarök? – zapytała Frigg.

– Pokonam Jörmungandra własnymi rękami – oświadczyłem. – Innymi słowy: jestem pewien, że to się nie stanie, jasne? Myślę, że mamy jeszcze rok. – Przynajmniej miałem taką nadzieję.

– Skąd masz takie informacje?

– Tego akurat nie chciałbym wyjawiać. Ale to niczego nie zmienia, Frigg. Dotrzymam słowa, ale najpierw muszę spleść moją uczennicę z ziemią.

Frigg nie miała widać niczego miłego do powiedzenia, bo zamilkła. Skinęła nam tylko głową, odwróciła się plecami i popłynęła w górę po tęczy ku północy. Kruki poleciały za nią.

Miałem cichą nadzieję, że po takim spotkaniu Granuaile będzie wreszcie miała chęć pogadać, ale mój optymizm rozprysł się w drobny mak, gdy pokręciła groźnie głową i spytała:

– Ciężarem i zakładnikiem, Atticusie? Tym dla ciebie jestem?

<Padnij na kolana i czołgaj się. Szybko!>

– Ja...

<Nie? To już po tobie!>

– Wbiłam w to niedźwiedziowate coś dwa noże i odwróciłam jego uwagę, gdy pudłowałeś – wycodziła – ale jestem ci ciężarem?

– Posłuchaj, Granuaile. W starciu z ludzkimi przeciwnikami wygrałabyś chyba z każdym – zacząłem. – Ale Frigg tu mówi o zadzieraniu z mocami ponadnaturalnymi, a ty po prostu nie jesteś jeszcze w tej klasie. Ale będziesz. Już niedługo.

– Chcesz mi powiedzieć, że sęp, który się zmienia w niedźwiedzio-ludzką hybrydę, to coś zupełnie naturalnego?!

<Kładź się i pokazuj jej gardło. A, nie. Czekaaj, tak się poddają psy. Wiem już! Oddaj jej portfel!>

– No, nie, oczywiście, że nie, Granuaile, i świetnie sobie z nim poradziłaś. Ale teraz nawet nie możesz się leczyć, jeśli ktoś cię zrani. Nie możesz przyśpieszyć, rzucić kamuflażu ani wykorzystać żadnego zaklęcia, których używam regularnie, żeby przeżyć. A ja bardzo bym chciał, żebyś jednak przeżyła, więc wybac mi, proszę, niefortunny dobór słów. Chciałem się tylko pozbyć Frigg.

Posłała mi spojrzenie pełne niedowierzania i pogardy, ale widać nie chciało jej

się już dłużej o to kłócić. Odwróciła się do mnie plecami, bez wybaczenia, i ruszyliśmy na zachód, w stronę Olimpu, milcząc zapamiętane.

Po godzinie marszu w upale Oberon wreszcie miał dla nas dobre wieści.

<Atticusie, znalazłem idealne miejsce!>

Naprawdę? Gdzie?

<Widzę was stąd>.

Rozejrzałem się i nie zobaczyłem nic poza drzewami, nieustępliwymi krzaczorami i kilkoma kawałkami stromej, nagiej ściany skalnej, gdzie góra łączyła się z korytem rzeki. Słysząc już było, jak płynie wraz ze śniegiem, ale jeszcze jej nie było widać.

Ja ciebie nie widzę – powiedziałem Oberonowi.

<I o takie właśnie miejsce ci chodziło, nie?>

To prawda.

<Idź w stronę wody. Potem, jak będziesz bliżej, to cię pokieruję>.

Pocieszywszy Granuaile, że już jesteśmy blisko potencjalnego obozowiska, znów zacząłem się przedzierać przez krzaki, aż dotarłem do wody. Był to wąski, płynący w wyżłobieniu w skale strumień; w niektórych miejscach bez trudu można go było przeskoczyć, ale był dość wartki.

Nadal nas widzisz? – spytałem Oberona.

<Jasne, że tak. Rozglądasz się właśnie za dobrym miejscem do przekroczenia tego rozszalałego potoku fatum. Zwróć uwagę na ten wspaniały przykład hiperboli i personifikacji zarazem, za który należy mi się noga indyka i porządne wyszczotkowanie przez wysoką osobę o miękkich dłoniach>.

A teraz jak mamy dalej iść?

<W górę rzeki. Siedzę na półce skalnej po drugiej stronie. Jest tu jakaś sosna i trochę głogu, a poza tym jaskinia w zboczu góry>.

Spojrzałem w tę stronę i zobaczyłem miejsce, o którym mówił – a raczej zobaczyłem drzewo na półce skalnej.

Genialne miejsce. Jakież ślady zwierząt czy czegośkolwiek innego?

<Tak, ale sprzed wielu lat>.

Czy jaskinia jest na tyle głęboka, że będzie można w niej leżeć, i na tyle wysoka, żeby w niej stać?

<Na pewno jest wystarczająco głęboka. Może będziesz musiał trochę uważać na głowę, ale wydaje mi się, że będziesz mógł w niej chodzić>.

Trudności, jakie musieliśmy pokonać, żeby się dostać na półkę, tylko potwierdziły ostatecznie, że jest idealna do naszych celów. Niewielkie było niebezpieczeństwo, że ktokolwiek nam tu przeszkodzi – mało już jest ludzi, którzy pragną wyznaczać szlaki, skoro o tyle łatwiej jest chodzić wyznaczonymi.

Przeskoczyliśmy strumień jakieś trzydzieści metrów za drzewem, a potem z trudem wspięliśmy się na półkę. Oberon czekał na nas u wejścia do jaskini i machał ogonem. Sam otwór zupełnie zarósł krzakami, ale w środku było dość przestronnie.

Skąd ci w ogóle do głowy przyszło tutaj szukać? – spytałem Oberona.

<No przyszło, przyszło. Samo. Na wiewiórczych nogach. Widzisz, na tej sośnie siedział sobie taki jeden wiewiór i robił do mnie miny, gdy sobie spokojnie szedłem koło strumienia. I zaczął wygadywać te wszystkie okropne rzeczy o mojej

mamusi...>

Oberonie.

<Dobra, dobra. Nie wiem, co wygadywał, ale na pewno bardzo niegrzecznym tonem. Jak wszystkie wiewiórki zresztą. Zasłużył sobie na to, żeby go porządnie pogonić, zapędzić tutaj i potrzymać chwilę w środku. Tylko po to tu wlałem>.

To zupełnie idealne miejsce. Zawdzięczamy tej wiewiórcie niesamowitą kryjówkę.

<Hola! Hola! Jakim cudem ten wiewiór dostaje teraz wszystkie pochwały?>

Myślałem, że może on by dostał wszystkie pochwały, a ty wszystkie kielbaski.

<Och! To rzeczywiście bardzo sprawiedliwe rozwiązanie wymyśliłeś, Atticusie. Chylę czoło>.

– Czyli tu się rozbijamy? – spytała Granuaile, przełamując ciszę, i zajrzała do jaskini.

– Może – odpowiedziałem. – Najpierw wybadam sprawę.

Wykorzystując wyłącznie magię zmagazynowaną w niedźwiedzim charmsie, włączyłem szkło faeryczne i rozejrzałem się w poszukiwaniu ewentualnych magicznych pułapek czy alarmów, które mogłoby uruchomić pobieranie mocy z ziemi. Taka jaskinia mogła być przecież ulubioną kryjówką cyklopów, nimf albo czegoś jeszcze straszniejszego niż stary potwór Agrios. Staranne przeszukanie pieczary zajęło chwilę. Magia Greków nie wyglądałaby przecież tak jak moje własne celtyckie sploty. Ale nic nie znalazłem. Sklepienie jaskini nie było nawet zaczernione od dymu starych ognisk, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że jesteśmy pierwszymi ludźmi od wieków, którzy tu weszli – a może w ogóle pierwszymi ludźmi w tej jaskini.

– Wygląda nieźle – powiedziałem, zrzuciłem sandały i zdjąłem plecak. – Chyba nada się do naszych celów.

– Okej – mruknęła Granuaile, także zdejmując plecak i odkładając go na ziemię z westchnieniem ulgi.

– Oberonie, chciałbym, żebyś sprawdził wszystkie możliwe dojścia do jaskini. Dość dobrze widzimy to, co na dole, ale musimy też wiedzieć, co jest za nami. Zrobiłbyś to dla mnie?

<Z przyjemnością. A mogę przy okazji zapolować?>

– Na razie nie poluj. Skup się na zwiadach, żebyśmy wiedzieli, co jest normalne w tej okolicy. To pozwoli nam zauważyć w przyszłości wszelkich intruzów.

<Dobra. Ale upoluję coś, zanim sobie stąd pójdziemy, albo jestem mops z napięciem mięśniowym mniejszym niż w bochenku chleba>.

– Dobra.

Oberon odwrócił się i zniknął w krzakach, machając ogonem. Granuaile zaczęła się rozpakowywać w ponurym milczeniu.

Pakowanie się wygląda nieco inaczej, jeśli ma się do dyspozycji noktowizję. Wszelkie latarki czy lampki oliwne są po prostu niepotrzebne. Mieliśmy za to masę jedzenia, takiego jak zupki w proszku, suszone mięso i suszone owoce. Nie była to najbardziej urozmaicona dieta, ale mieliśmy na niej spędzić tylko kilka miesięcy, a Litochoro nie było aż tak daleko, zawsze więc mogliśmy uzupełnić zapasy. Wody i drewna na opał mieliśmy w bród. Duża sosna pomoże nam rozproszyć dym z

ogniska.

Granuaile wyciągała smakołyki ze swojego plecaka coraz szybciej i coraz gwałtowniej rzucała je na ziemię. Była coraz bardziej wściekła. Gwizdek na szybko warze miał zaraz strzelić z hukiem.

– Wal, jak tylko będziesz gotowa – powiedziałem cicho.

Zupełnie jakby mnie nie słyszała. Zostało jej jeszcze kilka rzeczy do wyrwania z plecaka i trzaśnięcia o ziemię. Rozumiałem to. Gwałtownego rozpakowywania nigdy nie należy zarzucać w połowie.

– To nie byli bogowie! – wybuchnęła w końcu.

– Słucham?

– Tuatha Dé Danann. Frigg była w porządku. Ale oczekiwałam czegoś ociupinkę szlachetniejszego, tak? A to był festiwal małostkowości i podstępów, i zatrzymywania ludzi w czasie, gapienia się na nich, zanim umrą. Dlaczego miałabym się do nich wszystkich modlić?

– Doskonałe pytanie. Nie musisz się do nich modlić.

Jej wściekła mina ustąpiła zdezorientowaniu.

– Nie muszę?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Myślałam, że wszyscy druidzi czczą Tuatha Dé Danann.

– Bo czczą. – Uśmiechnąłem się drwiąco. – Ale tylko dlatego, że jest już tylko jeden druid.

– Nie, ale mam na myśli tak ogólnie wszystkich. Z historycznego punktu widzenia.

– Różnie bywało. Druidzi na kontynencie woleli na przykład Cernunnosa znacznie bardziej niż ci z nas, którzy pochodzili z Irlandii. Na kontynencie ważniejszy był też Dzikie Łów. Nie istniała jedna centralna doktryna wszystkich Celtów.

– To znaczy, że mogę czcić, kogo chcę? Albo w ogóle nikogo?

– Jasne. Gaja ma w nosie, kogo sobie czcisz. Kiedy Tuatha Dé Danann zostali pierwszymi druidami, nie czcili przecież samych siebie. Będziesz spleciona z ziemią, Granuaile, nie z religią. Możesz przebierać się za pirata w piątki i czcić Latającego Potwora Spaghetti, jeśli taką masz ochotę. Gai to wszystko jedno, bylebyś tylko ją chroniła.

– O. – Granuaile przykucnęła, ale po chwili zarzuciła tę pozycję i starannie ułożyła nogi w kwiat lotosu. Położyła dłonie na kolanach, wyprostowała plecy i wbiła we mnie wzrok. Znałem już tę jej pozycję. Chciała się ze mną kłócić. – Wytłumacz mi, proszę, dlaczego w takim razie czcisz Tuatha Dé Danann, skoro nie musisz, a masz przecież świadomość, że nie są to istoty pozbawione wad.

Usiadłem tak jak ona, nim jej odpowiedziałem.

– Twoje pytanie zakłada, że bogowie muszą być doskonali. To przedsąd typowy dla monoteizmu. Ludzi wyznań pogańskich nie niepokoi to, że bogowie mają takie same słabości jak człowiek. To wręcz raczej pocieszające.

– Masz pewnie rację co do monoteistycznego przedsądu, ale to niczego nie zmienia. Skoro nie musisz ich czcić, skoro wcale nie straciłbyś swoich magicznych mocy, gdybyś zmienił wiarę lub w ogóle jej nie miał, to po co wierzyć?

– Chodzi mi o życie po śmierci, tak jak wszystkim zresztą.

Zmarszczyła brwi.

– Rzucasz mi tu jakimś pogańskim zakładem Pascala czy jak?

– Łap!

– Phii.

– Nie lekceważ tak tego. Jakie widzisz minusy w spędzeniu wieczności w Mag Mell czy nawet w Tír na nÓg? To bardzo ładne miejsca.

– Tak jak zresztą większość rajów.

– I dlatego właśnie zachęcam cię szczerze do wybrania sobie, w co chcesz wierzyć. Podobno w niebie pastafarian są wulkany z piwem, co mnie na przykład bardzo przekonuje. Wyobraź sobie tylko te wybuchy pysznego, czekoladowego stouta. Może mają tam nawet bar z niekończącymi się nigdy pikantnymi skrzydełkami.

Ton Granuaile stał się bardziej oskarżycielski.

– Przez czternaście lat uczyłeś mnie tych wszystkich rytuałów i pozwoliłeś, bym tkwiła w przekonaniu, że Tuatha Dé Danann i bycie druidem są nierozłączne.

– Bo dla mnie są. Mój własny przedśąd. Przepraszam za to nieporozumienie.

– Mówisz, że sami kiedyś byli tylko druidami. Tuatha Dé Danann.

– Tak. Ale nawet przedtem jeszcze byli dość uzdolnionymi użytkownikami magii.

– To jak się stali bogami? Czy ich moce wzrosły, gdy już się nimi stali?

– Stali się bogami, bo ludzie zaczęli ich czcić jako bogów. Stali się naczyniami celtyckiej wiary, kamertonami naszych pragnień, strażnikami naszych nadziei i modlitw. A moce, które zyskali, były takie, jakie im przypisali wyznawcy. Manannán Mac Lir wcale nie był psychopompem, póki ludzie nie zaczęli tak o nim myśleć. Był tylko druidem, który miał wybitne moce na morzu.

– To dlaczego przywódcy sekt nie osiągną boskości?

– Bo to megalomańskie fafkulce.

– Tak jak Thor na przykład. A przecież w Tír na nÓg też nie brakowało dzisiaj fafkulców. Pytam poważnie. Niektórzy przywódcy religijni naprawdę wzbudzają w swoich wyznawcach wielkie oddanie, czy nie powinni więc dzięki temu nabierać boskich mocy?

– Nie, bo wszyscy oni umierają po trzydziestu czy pięćdziesięciu latach, a ich kultury umierają razem z nimi. Boskość natomiast trwa przez pokolenia i wymaga wspólnej wiary większej liczby ludzi.

– Czy w takim razie to, że wierzysz, iż Manannán Mac Lir jest psychopompem, daje mu taką moc?

– Rozgryzienie tej kwestii to jeden z powodów, dla których się tu kręcę. Myślę, że pewnych wskazówek może dostarczyć Wielki Zderzacz Hadronów.

– Mówisz o fizyce cząstek elementarnych?

– Ano. Powoli zaczynają odkrywać, dlaczego mamy we wszechświecie więcej materii niż antymaterii. Ze zderzenia protonów nie powstaje wcale materia i antymateria. Niektóre cząstki zmieniają się bardzo szybko.

– W co?

– Cholera, Jim, jestem druidem, nie fizykiem!

Granuaile przewróciła oczami na tę aluzję.

– Rozumiem, ale co to ma do boskich mocy?

– Ma to, że najwyraźniej istnieją jakieś moce i procesy we wszechświecie, których nadal nie rozumiemy. Są to moce niepojęte... przynajmniej na razie. Nie wiem, jak to się dzieje, że Gaja ma magiczną naturę. Sami Tuatha Dé Danann nie będą ci umieli powiedzieć, jak to się właściwie stało, że poza mocami druidów otrzymali moce bogów. Ale na pewno mogą ci powiedzieć, że nie zawsze je mieli. Niektóre rozwijali powoli, a niektóre pojawiły się u nich nagle.

Granuaile zgarbiła się, a jej kwiat lotosu poszedł w rozsypkę. Twarz miała smutną i udręczoną.

– Co się dzieje?

– Nikt nie zna odpowiedzi, co? – spytała cicho.

– Nie. Przykro mi.

Rozdział 7

Oberon wrócił ze zwiadów i oświadczył, że teren jest póki co bezpieczny. <Znaczy się, bezpieczny dla nas. Nie dla gryzoni. One już wypiskują swoją ostatnią wolę i testamenty>.

Zdjąłem sandały i wreszcie mogłem się przywitać z olimpijskim żywiołakiem. Nigdy jeszcze nie słyszałem u żywiołaka takiej radości (a one zwykle bardzo się cieszą, gdy się pojawiają). Emocje zalały moją podeszwę z taką siłą, że aż się uśmiechnąłem.

//Serdeczne serdeczne powitanie / Najszczęsza radość i harmonia / Życzenia dobrego zdrowia i radości // powiedział, a raczej powiedziała, bo uzgodniliśmy już wcześniej z Granuaile, że będziemy ją nazywać Olimpią, a nie Olimpem.

//Harmonia// odpowiedziałem. //Cieszymy się, że tu jesteśmy//

//Pytanie: my?//

//Druid przyprował uczenicę / Gotowa do splecenia z ziemią//

Gdyby żywiołaki mogły się posikać z przejęcia, Olimpia na pewno by to uczyniła. Musiałem przeczekać zalew emocji i dopiero potem odważyłem się zwerbalizować swoją prośbę.

//Prośba: ukryć naszą obecność przed wszystkimi bogami i innymi stworzeniami// powiedziałem. //Potrzebne odosobnienie, żeby spleść uczenicę//

//Odosobnienie zapewnione// obiecała Olimpia. //Zwierzęta i bogowie odsuwani//

Położyłem prawą dłoń na karku Oberona.

//To zwierzę jest moim przyjacielem// wyjaśniłem. //Jemu pozwól robić, co chce//

//Pies przyjacielem druida// potwierdziła. //Kawałek żywiołaka idzie / Rozmawiać z uczenicą//

Mała biała kuleczka z gładkiego marmuru pojawiła się między palcami mojej stopy. Podniosłem ją i przekazałem Granuaile, żeby mogła porozmawiać z Olimpią. Uśmiechnęła się i zamknęła ją w dłoni, przedstawiając się Olimpui. Na jej twarzy malowało się uniesienie i radość jak zawsze, gdy rozmawiała z żywiołakami. Zacząłem się zastanawiać, czy moja twarz też wyraża nadal taki spokój i szczęście po tych dwóch tysiącleciach.

Gdy już się sobie przedstawiliśmy, a ja miałem pewność, że moje magiczne ślady zostaną zatuszowane, pozwoliłem Oberonowi zabrać nas na spacer dookoła jaskini. Poszedłem boso i poprosiłem ziemię, żeby ułatwiała nam drogę w tej okolicy. Gęste krzewy, również głogu, rozstępowały się przed nami, a gdy przeszliśmy, wracały na swoje miejsce. Mogliśmy się teraz poruszać bez żadnego problemu, ale każda inna osoba musiałaby tu walczyć o każdy krok tak jak my przedtem. Oberon ustalał właśnie plan patrolowania tej części okolicy, której nie dało się tak łatwo zobaczyć sprzed jaskini. Uważał, że najłatwiej byłoby nas komuś zaskoczyć od strony rzeki, nieco wyżej w górę, na zachód. Było tam trochę bardziej płasko, strumień zwalniał i poszerzał się, tworząc na tyle głębokie akweny, że można by w

nich pływać. Ze śladów wynikało, że był to popularny wodopój dla saren. Oberon z pewnością będzie tu polował.

Mówiąc na głos, żeby Granuaile mogła usłyszeć przynajmniej moją część rozmowy, powiedziałem mu:

– Pójdziemy teraz do miasta po sidła, żebyśmy mogli jakoś urozmaicać naszą dietę. Przenocujemy w mieście i wrócimy rano.

<A ja mogę tu zostać i polować?>

– Nie. Musisz iść z nami, żebyśmy wyglądali cool. Bez ciebie wypadniemy na zidiociałych turystów.

<A, tak. Zapomniałem. Irlandzki wilczarz jako najmocniejszy ludzki dodatek>.

– Jak już wrócimy, będziesz miał mnóstwo czasu na polowanie. Jakies trzy miesiące.

Oberon zaczął merdać ogonem.

<Na wielkie jeziora sosu! Trzy miesiące to mnóstwo czasu! Tak?>

– To więcej czasu, niż kiedykolwiek pozwoliłem ci spędzić na polowaniu.

<Wow! Chwilunia. Gdzie tu jest haczyk? Czegoś nie załapałem, tak?>

– Haczyk, którego nie załapałeś, polega tylko na tym, że jak czegoś nie złapiesz, to będziesz jadł suche mięso. Więc albo jesz świeże, mięciutkie mięso albo suszone, twarde i solone.

<Trudny wybór! A jednak wyzwanie to godne jest szlachetnego wilczarza>.

– Uważaj na to ego. Niedługo zupełnie cię przerośnie. A teraz chodźmy.

Zaszliśmy jeszcze do jaskini po plecaki, które były już puste i gotowe przyjąć nowe zapasy. Droga w dół była znacznie przyjemniejsza, gdyż Olimpia usuwała nam spod nóg wszelkie przeszkody. W końcu weszliśmy na szlak prowadzący do miasta i nietrudno nam było sprawiać wrażenie ludzi, którzy cały dzień spędzili w trasie. Zadzwoiłem do prawnika, Hala Hauka, i poprosiłem, żeby mi przelał ze Stanów trochę pieniędzy. Znaleźliśmy restaurację z patio przyjaznym dla czworonogów i wpałaszowaliśmy gyros i spanakopitę. Oberon nie posiadał się z radości.

<Podoba mi się ten kraj. Pozwalają mi tu jeść z wami na świeżym powietrzu i mają dobre mięso. A co tam na to mięso pakujesz? To nie jest chrzan, nie?>

Sos cacyki. Jogurt z ogórkiem.

<Mogę trochę spróbować?>

Jasne.

Nałożyłem trochę sosu na kawałek mięsa z gyrosu i podałem mu. Zjadł to, głośno mlaszcząc, bo próbował wyczuć smak językiem.

<Hm. Nie są złe te cacycki, ale trochę obniżają temperaturę i przytępiają smak mięsa. Wolę jednak czyste mięsiwo>.

Odpoczywaliśmy i rozmawialiśmy o zbliżającym się spleceniu Granuaile z ziemią. Słońce już zachodziło. W mieście przygotowanym na nawał turystów wspinających się na Olimp znajdował się oczywiście całkiem przyzwoity sklep sportowy i zamierzaliśmy zajść do niego, zanim go zamkną. Kolacja siłą rzeczy zmieniła się w małą ucztę, bo wiedzieliśmy dobrze, że przez jakiś czas nie będziemy już mieli okazji tak jeść.

Pół godziny przed zamknięciem sklepu i lekko odurzeni po butelce wyśmienitego pinot noir przeszliśmy dwie przecznice do sklepu sportowego. Oberon

zauważył obok park pełen ludzi z psami, więc rzuciłem na niego kamuflaż, życzyłem dobrej zabawy i przypomniałem, że ma być czujny na wypadek, gdybym go wołał.

Sklep miał całe rzędy półek z menażkami i jedzeniem w srebrnych torebkach oraz przebogată ofertę butów, które wyglądały tak, jakby miały rozbijać w proch najtwardsze skały nawet bez nogi w środku. I te namioty! Bogowie, architektura namiotowa niezwykle się rozwinęła od moich czasów. Ale my szukaliśmy prostych rzeczy, takich jak drut i szczypce do jego przecinania, a jeśliby tego nie było, to prosty sznurek i nożyczki wystarczyłyby nam do zrobienia sideł na wiewiórki, króliki i tym podobne. Bez trudu przecież znajdziemy gałęzie, które wytrzymają napięty sznurek.

Dzięki wpływowi Olimpii, a może i wina, Granuaile była teraz w wyśmienitym humorze, a gdy ona się tak uśmiecha, nie sposób nie kochać życia.

Mój uśmiech ulotnił się jednak natychmiast, gdy ujrzałem, że zza półki obok przygląda jej się upiornie blady łotrzyk. Brak opalenizny na skórze dyskwalifikował go jako turystę. Co tu robił taki typek?

Przestawiłem się na szkło faeryczne i z trudem powstrzymałem od wzdrygnięcia, gdy ujrzałem matową szarość wampirzej aury wokół jego głowy i czerwony węgielek żarzący się w środku.

Uznałem, że nie zrozumie staroirlandzkiego, i przemówiłem do Granuaile w tym języku, a jako że nie ma w nim słowa „wampir”, powiedziałem:

– Nie podnoś wzroku, ale półkę dalej od nas stoi chodzący trup i się na ciebie gapi. Śledzi nas. Chyba ciebie w szczególności. Choćby nie wiem co, nie patrz mu w oczy. Twój żelazny talizman nie ochroni cię przed jego urokiem.

– Co zamierzasz? – spytała w tym samym języku.

– Pogadam z nim. Zostań tu i miej cały czas spuszczonego wzrok. A teraz powiedz coś wesołym tonem i uśmiechnij się.

– Dobra, to w takim razie zostaw mnie tu samą! – oświadczyła natychmiast radośnie.

Odsunąłem się od niej, idąc wzdłuż półki, a potem zakręciłem przy stojaku z lodówkami do piwa i wszedłem w przejście, gdzie stał wampir. Spojrzał na mnie kątem oka, jakby lekko się zaniepokoił, ale natychmiast wrócił do udawania, że przygląda się tabletkom oczyszczającym wodę. Wyszeptałem cicho splot zwiększający prędkość i siłę na tak długo, na ile pozwalały mi na to zapasy z charmsa.

Wampir ubrany był w białą lnianą koszulę, niebieskie dzinsy i jakieś drogie buty do biegania. Uśmiechnąłem się mimowolnie, gdy zauważyłem, że trzyma się z dala od półki z drewnianymi śledziami do namiotów.

Zatrzymałem się kilka metrów od niego i odwróciłem do niego twarzą, po czym powitałem go po grecku.

– Dobry wieczór – odpowiedział, ukradkiem spoglądając na moją twarz, po czym natychmiast wracając wzrokiem do produktów, których na pewno nie chciał kupić. Nadal gapiłem się wprost na niego, więc dodał: – Nie pracuję tu, jeśli ma pan jakieś pytanie.

– O, tak, mam jedno pytanie. Widzi pan, dopiero przyjechałem do miasta i przydałaby mi się pańska rada, bo szukam kogoś, kto z pewnością jest pana

znajomym.

Przestał udawać, że robi zakupy, i odwrócił się twarzą do mnie.

– Czy ja pana znam?

– Nie, ale myślę, że zna pan tego pana, którego szukam. Jest to wampir, który używa czasem imienia Theophilus.

Właśnie takiej zdumionej miny się spodziewałem. Wybałuszenie oczu. Opadanie kącików ust. Próba rzucenia na mnie uroku, której też się zresztą spodziewałem. Jego usta zacisnęły się w cienką linię wściekłości, a oczy zmrużyły. Uśmiechnąłem się do niego, chroniony aurą wzmocnioną zimnym żelazem.

– Przykro mi, ale nie da się rzucić na mnie uroku. Byłby pan zatem tak uprzejmy i wskazał mi drogę do Theophilusa? Naprawdę muszę zamienić z nim parę słów.

Teraz oczekiwałem, że padnie z jego ust jakieś pytanie. Obstawiałem „Kim pan jest?”, ale w sumie „Dlaczego chce pan rozmawiać z Theophilusem?” też by miało sens. Albo nawet coś w stylu: „Czy pan coś wspominał o wampirach?”. On jednak zdecydował się na atak, taki porządny, z kocim sykiem i próbą rozdarcia mi gardła.

Ponieważ byłem na to przygotowany i już i tak odpowiednio podkreśliłem sobie siłę i prędkość, nie padłem na ziemię pod jego naporem, ale jednak wycofałem się całkiem spory kawałek. Udało mi się chwycić go za rękę.

Całkiem niedawno dodałem do mojego naszyjnika nowy charms, głównie dlatego że moje ostatnie spotkanie z wampirem mało nie zakończyło się moją śmiercią, bo nie dawałem rady dokończyć zaklęcia rozplatającego.

Dotąd nie miałem jeszcze okazji go wypróbować. Mentalne polecenie miało włączyć proxy, które odplatało namierzonego wampira. Podejrzywałem jednak, że miną całe lata, zanim uda mi się doprowadzić ten charms do stanu użyteczności. Tak w każdym razie było ze wszystkimi poprzednimi. Włączyłem charms i ze zdumieniem stwierdziłem, że wampir drgnął, a jego twarz wykrzywiła egzystencjalna panika (taka na przykład, jaką się odczuwa, kiedy człowiek siedzi sobie w gorącej kąpieli z przyjaciółmi, z których część jest niezwykle seksowna, a tu nagle skurcz w jelitach zapowiada raptowny nawrót biegunki). Nie był to pełen sukces, ale zawsze lepsze to niż nic. Zacząłem wymawiać rozplatające zaklęcie na głos.

Ten koleś nie dorównywał siłą Zdenikowi, wampirowi, który mało mnie nie wykończył. Zdenik był niemal tak stary jak ja i cała moja magia szła na utrzymanie go z dala od mojej szyi. Ten krwiopijca natomiast miał pewnie zaledwie ze sto lat i widziałem, że już zaczyna żałować, iż zwyczajnie ze mną nie pogawędził. Raptownie zmienił taktykę i postanowił mi się wymsknąć. Trzymałem go jednak mocno, wbijając mu palce w rękę. Nie zamierzałem mu pozwolić polować na ludzi przez tysiąc lat. Usiłował wykorzystać przeciwko mnie moją własną siłę i rzucił się na mnie, gdy ja wciąż ciągnąłem go w swoją stronę, ale zdążyłem puścić jedną rękę i zablokować mu dostęp do gardła. Prawie skończone. Zatopił mi kły w mięśniach przedramienia, widocznie licząc na to, że wyssie mnie powoli, ale to mi nie przeszkadzało – tak wolne odsysanie mu nie pomoże. Zrobiłem krok do tyłu, żeby myślał, że ma przewagę, a wtedy on odruchowo złapał mnie wolną ręką, żebym mu nie uciekł. Miałem go więc pod ręką, ale zapłaciłem za to wysoką cenę, gdy już skończyłem rozplatanie.

Niektóre wampiry po rozplątaniu po prostu topią się ładnie i z chłupotem spływają na podłogę. Ten typek jednak dosłownie wybuchnął, zalewając mnie swoją krwią. Tym samym zafundował mi wygląd wyjątkowo podłego mordercy.

– Fuu – skomentowała Granuaile ze swojego punktu obserwacyjnego. Ona sama była zupełnie czystuśka. – Zrobiłam unik – dodała gwoli wyjaśnienia.

Samotny pracownik sklepu zaczął kląć równo i histerycznie po grecku, a jego oczy urosły do wielkości piłeczek pingpongowych. Wyciągnął komórkę i darł się w nią, wybiegając ze sklepu najwyraźniej przekonany, że ucieka przed pewną śmiercią.

– Mamy problem – powiedziałem.

– Nie gadaj.

– To spotkanie nie poszło po mojej myśli.

– No mam nadzieję, że tak tego nie zaplanowałaś, bo to by było zupełnie chore. Jesteś cały w bebechach.

– Rzucam na nas kamuflaż. Pomóż mi znaleźć kamery. Musimy zniszczyć wszelkie ślady.

– Aha. Z wyjątkiem kałuży brei na podłodze?

– Tak. O tym mogą sobie spekulować do woli. Ale nie chcę, żeby obejrzeni wideo i doszli do wniosku, że robiłem coś magicznego albo że to był wampir.

– Okej. Mamy wszystko, czego potrzebujemy? – Uniosła mały kosz pełen sprzętu, po który tu przyszliśmy.

– Tak. – Rzuciłem na nią kamuflaż i kiedy zniknęła mi z oczu, powiedziała jeszcze, że zajrzy na zaplecze sklepu. – Ja sprawdzę kasę! – krzyknąłem i rzuciłem kamuflaż na siebie. Mój niedźwiedzi charms zaczynał być nieprzyjemnie pustawy. Długo nie dam rady utrzymać tego kamuflażu.

Przy kasie znalazłem kilka monitorów, ale pokazywały obraz generowany przez jakieś inne urządzenie.

– Tutaj, sensei! – zawołała Granuaile. Poszedłem za jej głosem na tyły sklepu, gdzie na zamkniętych drzwiach widniał napis „Tylko dla pracowników” zarówno po grecku, jak i po angielsku. Splotłem zapadkę w zamku tak, żeby przesunęła się do pozycji otwartej. W środku stało jeszcze więcej monitorów i czarna konsola z kłębówiskiem kabli.

– Jest nasza dziecina. Wygląda trochę jak ten system nagrywarek, który miałem w Trzecim Oku.

Granuaile przycisnęła kilka klawiszy naraz i wyciągnęła kilka płytek. Szukając palcami na oślep, znalazłem w koszyku szczypce i przeciąłem wszystkie kable wystające z konsoli.

Gdy tylko to zrobiłem, na monitorach pojawił się biały śnieg.

– Lepiej, żeby to nie zapisywało zapasowej kopii na dysku – mruknąłem. – Może powinniśmy go roztrzaskać.

– O tak! Wyżyjmy się na maszynie! Dawaj!

Usłyszałem szuranie, które sugerowało, że Granuaile się wycofała.

Wyobraziłem sobie, jak szykuje kij. Cisnąłem konsolę na ziemię, aż zagrzecotała, ale dopiero kiedy wbił się w nią żeliwny koniec kija Granuaile, pojawiło się na jej powierzchni spore wgniecenie.

– Jeszcze raz – stwierdziłem i konsola zdobyła szybko dwa nowe wgniecenia.

– Czekaj. Ja po prostu po niej poskaczę.

– No to już.

Wykonałem więc radosny mosh – a może było to pogo? – na konsoli, ale poza tym, że lepiej się przez to poczułem, konsola raczej nie ucierpiała.

– Patrz, jakie porządne ustrojstwo. Po prostu weźmy toto ze sobą i wrzucimy do stawu w parku.

– Dobry pomysł – zgodziła się Granuaile. Już słychać było zbliżające się syreny. – Powinniśmy możliwie szybko opuścić ten lokal.

– Tak, chodźmy.

Wykorzystując ostatnie krople magii, zakamuflowałem konsolę i płytki, które z niej wyciągnęła Granuaile, a potem konsolę wyniosłem pod pachą, a Granuaile płytki dzierżyła w koszyku. Policjanci z piskiem opon zaparkowali na ulicy i wyskoczyli z radiowozów – i tak już kwadratowe, ich ciała zdawały się jeszcze bardziej kwadratowe przez te kamizelki kuloodporne, a do tego mieli kontrastowo cylindryczną broń.

Oczywiście nie zdołali nas zauważyć, kiedy otaczali sklep. Przemknęliśmy między nimi i pobiegliśmy do parku Enikkea. Tam zawołałem Oberona, który namierzył nas bez trudu po zapachu krwi. Już od jakiegoś czasu był w parku zupełnie sam, jako że wszyscy właściciele psów wrócili do domu po zachodzie słońca. Żeby się nie nudzić, obwąchiwał wszystko dookoła i ganiał za jakimiś małutkimi stworzeniami. Rozplotłem kamuflaż i cisnąłem konsolę do kwadratowego stawu z fontanną. Granuaile połamala płytki i też wrzuciła je do wody.

– Czy ja coś przeoczyłam? – chciała wiedzieć. – Spytałeś go grzecznie o wampira imieniem Theophilus, a on z miejsca cię zaatakował?

– Tak, niczego nie przeoczyłaś.

– Kim jest Theophilus?

– Leif opowiedział mi o nim, zanim najechaliśmy Asgard. Jakoby najstarszy żyjący wampir. Znaczący nieżyjący. No wiesz, o co mi chodzi.

– I to był on?

– A skąd. Theophilus to by mnie pokonał.

– To dlaczego go szukasz?

– Chciałem go spytać, czy nie wie czegoś o rzymskim pogromie druidów.

Nawet jeśli sam nie był w to bezpośrednio zamieszany, to na pewno wie, kto był. Leif uważa, że Theophilus co roku spędza jakiś czas w Grecji, więc oczywiście każdy wampir w Grecji wie o jego terytorium.

– Czyli wcale nie zamierzałeś zabić tamtego wampira?

– A, nie, no zamierzałem. Tylko nie w tak publicznym miejscu i dopiero po tym, jakbym z niego wyciągnął coś przydatnego.

– Na moje oko wyciągnąłeś coś przydatnego. Nie zaatakowałby cię tak, gdyby nie chciał czegoś chronić. Theophilus żyje i jest gdzieś blisko.

Pokiwałem głową.

– Słuszne rozumowanie. Mimo to jednak bardzo źle się stało. Teraz Theophilus będzie już wiedział, że gdzieś w okolicy grasuje druid, bo tylko druidzi umieją tak rozplatać wampiry. Jesteś pewna, że nie masz żadnych plam od jego krwi?

– Nie wiem, jak to wygląda na plecach, ale nic nie czułam – powiedziała.

Odwróciła się tyłem i obejrzała się na mnie przez ramię. – Widzisz coś?

Wyglądało na to, że jest czysta.

– Nic. Świetnie, bo potrzebuję jeszcze nośnika do atramentu. Sam atrament już mam, ale muszę cię jeszcze wysłać po kilka butelek alkoholu etylowego. Gdyby nie było, może być mocna wódka. – Dałem jej zwitek euro. – My z Oberonem poczekamy tutaj. Może nawet wskoczę na chwilę do stawu, żeby zmyć choć trochę tę krew.

– Postaram się jak najszybciej wrócić, sensei – obiecała i pobiegła z powrotem do miasta.

Wszedłem do stawu i zacząłem ochlapywać sobie twarz i ręce. Nikogo w pobliżu nie było, więc nawet nie próbowałem zachować ostrożności.

<Bardzo dziwne uczucie. Normalnie jakbym powinien ci opowiadać jakąś historię> stwierdził Oberon. Zwykle to ja mu opowiadałem historie, gdy zapędzałem go do kąpieli.

No, czemu nie? Czas najwyższy, żebyś mi jakąś opowiedział.

<A niby skąd bym je miał brać? Jestem jedynym psem, który na tyle włada językiem, żeby móc je opowiadać>.

Myślę, że sam sobie odpowiedziałeś na to pytanie. Musisz je po prostu wymyślić.

<Dobra. Był sobie raz Doberman, który nazywał się Jean-Claude Van Hamm...>

>

Chwileczkę. Nikt by tak nie nazwał psa!

<Czyja to historia, he?>

Twoja – przyznałem.

<Dziękuję. Przez to twoje niegrzeczne przerywanie nigdy ci już nie zdołam opowiedzieć o ekscytujących przygodach Jeana-Claude'a Van Hamma, ale opowiem ci inną historię, nad którą pracuję już od dłuższego czasu, tylko pod warunkiem że obiecasz mi nie przerywać. Obiecujesz?>

Obiecuję i przepraszam, że ci przerwałem.

<Dobrze więc. Przygotuj się na prawdziwą tragedię. Będą stracone kości, stracone jaja, wiele straconych bezpowrotnie kiełbasek i w ogóle wszystko jak trzeba>.

Umieram z ciekawości!

I nie żartowałem. Gdybym miał ogon, tobym nim zamerdał.

<Oto więc moja opowieść...>

Opowieść Oberona była kryminałem w stylu Sherlocka Holmesa pod tytułem *Skradziona pudlica*. Głównymi bohaterami byli: psi detektyw imieniem Ishmael (wyżeł weimarski krótkowłosa) i jego zaufany asystent, Starbuck (boston terier), którzy pokrzyżowali nikczemne plany Abe'a Fromana, Króla Kiełbasy z Chicago.

Och, Oberonie, co za wspaniały kryminał! – zachwyciłem się, gdy skończył. – Brawo!

<Myślę, że odtąd powinieneś mi mówić sir Oberon. Arthur Conan Doyle dostał ten tytuł właśnie za takie opowieści, więc mnie też się należy>.

Królowa chyba jednak nie uhonoruje cię rycerstwem. Jest raczej mało elastyczna w tej sprawie. Ale mogę ci nadać tytuł druidzkiego rycerza, jeśli chcesz.

<Mógłbyś?>

Jasne!

<Sośnie! Sir Oberon... yyy... tu by mi się przydał jakiś majestatyczny przymiotnik>.

Sir Oberon Brudny!

<Co to, to nie. Mówię „majestatyczny”, czyli szlachetny, wspaniały, boski itp.>

Sir Oberon Skromny!

Odświeżony po kąpieli wylazłem z fontanny, żeby sprawdzić, na ile rzeczywiście się domyłem. Koszula była już na straty. Żeby ją uratować, musiałbym mieć jakiś przemysłowy wybielacz, a na pewno nie była warta zachodu. Zdjąłem ją więc i rzuciłem w trawę, gdzie rozplotłem ją zupełnie, aż jej cząsteczki zmieszały się z otoczeniem. Nie zostało nic, co mogłoby się przydać w policyjnym laboratorium.

Zaraz potem wróciła Granuaile z dwoma butelkami alkoholu etylowego w plecaku.

– Jeśli chcesz, możemy teraz znaleźć jakiś pokój w hotelu, ale najlepiej byłoby pewnie wydostać się z miasta. Masz ochotę na spacer z noktowizją?

Miała.

– Chcę zacząć jak najszybciej się da – powiedziała. – Marzę o tym od tamtej chwili, gdy Laksha powiedziała mi, kim naprawdę jesteś. Ruszajmy.

Rozdział 8

Pewne chwile w życiu brzemiennie są w rodzące się olśnienie. Chwila tuż przed tym, jak uda ci się wreszcie pojechać na rowerze. Ten moment, kiedy gasną światła na twoim pierwszym w życiu koncercie, a ludzie zaczynają wrzeszczeć, bo inni ludzie, którzy grają rock'n'rolla, wchodzą właśnie na scenę. Pełne wątpliwości spojrzenie na lśniąca puszkę, nim ją wypijesz, krztusząc się nieco, i dociera do ciebie, że jednak jesteś piwnym snobem. Ta chwila, kiedy kończy się miesiąc miodowy i nagle uświadamiasz sobie, że miesiąc miodowy naprawdę się skończył i teraz małżeństwo będzie wymagało odrobiny wysiłku. A potem ten moment tuż przed narodzinami twojego pierwszego dziecka. Są to właśnie te chwile, kiedy na bardzo krótko uświadamiamy sobie, że nasze życie zmieni się na zawsze... za chwilę.

I Granuaile właśnie miała taką chwilę. Jej mięśnie były napięte i wstrzymywała oddech, bo złapałem ją za prawą piętę i trzymałem ją w lewej dłoni, a w prawej miałem wycelowany w jej stopę ostry kolec. Był on utwardzony i zaostrzony, ale nadal przyczepiony z drugiej strony do żyjącego głogu, który z kolei nie stracił kontaktu z ziemią, a zatem z Gają.

Tuszem był sproszkowany lapis-lazuli z Kolorado, zmieszany z alkoholem.

Obydwoje byliśmy niemal w transie, choć tylko ja byłem w kontakcie z Gają. Granuaile zaciskała kurczowo w dłoni kulkę od Olimpiii, żeby przyjmować jej pomoc. Będziemy czasami przerywać, żeby jeść i spać, by podtrzymać nasze ciała przy życiu, ale generalnie, jeśli już raz zaczniemy połączenie z Gają, będziemy musieli dbać o to, by przez trzy miesiące nie zostało ono zerwane. Byliśmy teraz niezwykle narażeni na wszelkie niebezpieczeństwa i dość małomówni.

Oberon to rozumiał. Wiedział, że przez dłuższy czas będzie zdany na siebie. Wiedział też jednak, że jeśli coś nam będzie zagrażało, musi nas wyrwać z transu, bez względu na to, czy Granuaile będzie już spleciona czy nie.

Nie powiedziałem Granuaile, co się stanie, gdy po raz pierwszy przebiję jej stopę kolcem i zaleje ją świadomość Gai. Nie istniały słowa, które mogłyby przygotować kogoś na to przeżycie, więc po prostu ukułem ją, gdy Gaja poleciła mi to zrobić, a potem trzymałem moją uczennicę, gdy wpadła w drgawki, krzyczała i w końcu zemdląca.

Rozdział 9

Druidzi uczeni są wielozadaniowości i maksymalizowania wydajności umysłowej. Zachęca się ich do myślenia o rzeczach wielkich lub kilku rzeczach jednocześnie. Żaden jednak ludzki umysł nie jest w stanie dotrzymać kroku Gai. Pojedynczy umysł nie zdoła zawrzeć w sobie umysłu świata. I dlatego właśnie Granuaile zemdlą, gdy zalała ją świadomość Gai. Wiele stuleci temu zrobiłem dokładnie to samo. Każdy tak robi. Nikt jednak nie zapomina tej mocy, tej miłości i tego cierpienia, którego przeblask widzi się, nim niepamięć ratuje od szaleństwa.

Gdy Granuaile była nieprzytomna, łatwiej mi było pracować nad tatuażem na jej stopie, bo w innym wypadku byłoby to niezwykle trudne. Ilość nerwów w tym miejscu niemal uniemożliwia nakłuwanie i niewiele da się poradzić na odruchowe reakcje.

Nie miałem przygotowanego żadnego wzoru. Kształty splotów Gai pochodziły wprost od niej i w magicznym spektrum widziałem je jako zieloną warstwę na skórze Granuaile. Przypominało to trochę celtycki wianek, podobny do pętli, którą miałem na wierzchu dłoni, ale bez triskelionu w środku. Był to inhibitor, rodzaj filtra, który pozwoli Granuaile czuć obecność Gai i rozmawiać z nią, nie tracąc przytomności. Póki ta pętla nie będzie zakończona, Granuaile się nie obudzi. W ogóle. Była to jedyna część rytuału, której nie można było przerwać pod żadnym pozorem. Pracowałem więc sumiennie przez pięć godzin z rzędu, póki nie skończyłem. Sprawdziłem tatuaż, a potem poprosiłem Gaję, żeby oceniła, czy się udał.

//Dobrze// powiedziała. //Daj mi ją//

Choć stopa Granuaile nadal była zakrwawiona, położyłem ją płasko na podłodze jaskini. Granuaile jęknęła, usiadła i otworzyła oczy.

//Witaj, dziecko// zagruchała Gaja, a ja słyszałem każde jej słowo przez moje własne tatuaże. //Będziesz silną druidką//

Granuaile znów jęknęła. Wyglądała na spanikowaną.

– Rozmawiaj z nią tak, jakbyś rozmawiała z żywiołakiem – poradziłem. – Ona zrozumie twoje emocje i myśli.

//Bezgraniczna wdzięczność// powiedziały uczucia Granuaile. //Czuję się pobłogosławiona//

//Wszyscy jesteście błogosławieni//

Do oczu Granuaile napłynęły łzy i pociekły jej po policzkach. Wiedziałem dobrze, co czuje, i mnie także oczy zaszczyli łzami.

– Dziękuję, Atticusie – powiedziała. – Warto było czekać. Czekalabym na to i sto lat.

– Nie ma za co – odparłem. – Tym bardziej że twoje podziękowania mogą być przedwcześnie. Teraz już nie będzie znieczulenia na ból. Będziesz czuła każde ukłucie.

– Nie szkodzi – powiedziała, kładąc się z powrotem i kiwając głową. – Zupełnie nie szkodzi. Wiem, po co ten ból, i jest tego wart.

– Dobrze. Chcesz, żebym od razu wracał do pracy, czy mam jeszcze kilka

minut odczekać?

– Pracuj – poleciła.

– Ale powiedz, jak będziesz potrzebowała przerwy.

Nie potrzebowała ich wiele. Prawdę powiedziawszy, znosiła to o wiele lepiej niż ja swoje splatanie, ale przemilczałem ten szczegół. Okolice wokół kostki były dość słabe – to wrażliwy rejon – ale potem szliśmy już spokojnie przez wiele dni i tygodni, aż dotarliśmy do połowy uda. Granice po obu stronach całej szarfy mogły pobierać magię ziemi. Było to zabezpieczenie na wypadek, gdyby jakakolwiek część tatuażu uległa zniszczeniu, ale oznaczało to również, że Granuaile może pobierać moc każdą częścią prawej nogi, jeśli akurat ma na sobie buty. Węzły wewnątrz szarfy zmieniały się wraz z wysokością, pozwalając jej na wykonywanie różnych splotów. Pierwszy dawał jej możliwość splecenia wzroku z magicznym spektrum i uruchamiał noktowizję. Każdy z węzłów zawierał rodzaj „klauzuli”, która umożliwiała rzucenie tego samego splotu na kogoś innego.

Potem następowały węzły umożliwiające jej wykorzystywanie energii ziemi do zwiększania siły i prędkości, co pozwoli jej biec czy walczyć bez zmęczenia. Te sploty także można było rzucić na inne osoby.

Miałem właśnie zacząć następną sekwencję, kiedy do mojej świadomości przebił się zaniepokojony głos Oberona.

<Atticusie? Atticusie! Strasznie cię przepraszam, ale chyba mamy problem. To nie jest normalne. Ktoś tu z nami jest>.

Rozdział 10

Nie chcąc się całkowicie wybijać z transu, przerwałem tylko, odłożyłem kolec i przemówiłem do niego.

Skąd wiesz?

<Widzisz... Leży tu ta sztuka mięsa prosto od rzeźnika. Pięknie odrąbana, z tymi ślicznymi niteczkami tłuszczu, tak na pierwszy rzut oka to była krowa rasy aberdeen angus karmiona samiutką tylko kukurydzą. Chodzi o to, że w olimpijskiej głuszy raczej się takich nie spotyka. W każdym razie nie na moim terenie. I na pewno długo tu nie leżała, bo jakieś inne zwierzę by ją już dawno zeżarło. A to oznacza...>

Że ktoś tu jest. Masz rację. Niech to lichu stukrotnie porwie. Oceniając po zaawansowaniu w tatuażach, minęło nie więcej niż trzy tygodnie. Aha, i masz świadomość, że nie wolno ci zjeść tego mięsa?

<Hej, no przecież naoglądałem się odpowiednich filmów, nie? Psa to zawsze w nich potraktują trucizną. Zresztą masz manię zwracania mi na to uwagi>.

Wszystko to był trening na tę właśnie chwilę! Sam przyznaj, że jesteś dzięki temu żywy w przeciwieństwie do tych wszystkich martwych psów w filmach.

<Dzięki, Atticusie. Co mam robić?>

Czy widzisz jakieś ślady? Czujesz cokolwiek poza zapachem mięsa?

<Nie i to mnie martwi. A jeśli nos mi się szłowieczył?>

Na pewno nie. Przecież nadal czujesz zapach mięsa.

<O tak! I jest to piękny zapach...>

Nawet się go nie waź tknąć, Oberonie. Nawet liznąć. Na sto procent jest zatrute. Zaraz do ciebie wychodzę i sam się rozejrzę. Nigdzie się nie ruszaj, miej oczy i uszy szeroko otwarte i informuj mnie o wszystkim, co zauważysz.

<Dobra>.

I przestań gapić się na to mięso. Rozejrzyj się wokół w poszukiwaniu kogoś, kto je podłożył.

<Oj! Chwileczkę, a skąd wiedziałeś?>

Psychologia psowatych. Ale nie żartuję. Nie patrz na nie. Szukaj tego nikczemnika, który chce cię otruć.

<Aa! Nie mogę oderwać od niego wzroku! Na pewno ma wiązki przyciągające!>

Oberonie. To mięso już wypadło z gry. Jesteś silniejszy niż inne psy. Odwróć wzrok.

<Nie mogę! Ma mnie! Atticusie, ono mnie ma!>

Oberonie! Uważaj na te krowy, co spadają z nieba!

<Gdzie? Co? O. Oszukałeś mnie!>

Dobra, a teraz nie odwracaj już łba w kierunku mięsa! Szukaj tego, kto je podłożył.

<Uff. Okej. Ale to było straszne. Pośpiesz się, bo teraz to już naprawdę panikuję>.

Postaram się być tam, jak najszybciej się da.

Przeprosiłem Gaję i Granuaile. Ktoś, kto gotów był zatruć psa, nie zawaha się i nam uczynić krzywdy, więc nie mogłem tego zignorować.

//Konieczna przerwa / Wróćmy do splatania potem//

– Atticusie? Co się dzieje?

– Ktoś tam jest. Ktoś podrzucił Oberonowi sztukę mięsa. Myślę, że to trucizna. Musimy się tym zająć, zanim będziemy mogli dokończyć splatanie. Znajdź swoje noże i się przygotuj.

– Ale możemy potem tu wrócić? Dokończymy splatanie, prawda? – pytała, podnosząc noże i przyczepiając je sobie do pasa.

– Tak razy dwa. Zanim wyjdziemy, musisz rzucić swoje pierwsze zaklęcie. – Przeszukiwałem nasze graty w poszukiwaniu Moralltacha. Gdy go wreszcie namierzyłem, zarzuciłem sobie pochwę na plecy.

– Mogę to zrobić, mimo że nie skończyliśmy splatania?

– Aha. Wszystko, co dotąd zrobiliśmy, jest samo w sobie zakończone. Inhibitor na twojej stopie od razu zadziałał. I to samo z resztą węzłów. – Wziąłem kij Granuaile i zaniósłem go jej. Siedziała nieco otumaniona, może przez zmianę planów, a może dlatego że jej noga wciąż była zakrwawiona i opuchnięta. Podałem jej rękę i złapała mnie mocno. Podciągnąłem ją do pionu i powiedziałem: – Rzuć splot magicznego wzroku.

– Okej, ale jak?

– Jak to jak? Zapomniałaś słów czy co? Całe to wkuwanie poszło w las?

– Nie, ale...

– Wymów słowa, popatrz na węzły i bądź ręką, która je wiąże. Masz już teraz moc.

Granuaile nie miała charmsów, które pozwoliłyby jej rzucać sploty za pomocą mentalnych poleceń. Na razie musiała mozolnie wypowiadać każde zaklęcie. Potem będzie mogła sobie stworzyć własne charmsy. Wzięła się do pracy, a w jej oczach pojawiło się zdumienie, że naprawdę jej się udaje. Włączyłem mój charms, żeby się temu przyjrzeć. Gdy zakończyła ostatnią fazę, która włączała splot i napelniała go mocą z ziemi, ujrzałem biały błysk magii przepływający z podłogi jaskini i oświetlający jej tatuaże pod skórą. Jęknęła głucho, gdy jej oczy zobaczyły nagle znacznie więcej niż zazwyczaj. Rozłożyła bezradnie ręce, żeby nie upaść. Magiczny zawrót w wyniku przeładowania bodźcami.

– Sensei? To nie jest... o, cholera...

Podszedłem bliżej, żeby ją asekurować.

– Szukaj zarysów rzeczy.

– To wcale nie wygląda tak jak wtedy, kiedy patrzyłam przez twoje oczy. Jest tego o wiele więcej.

– Wiem. Musisz nauczyć się ignorować całą tę plątaninę nici wokół siebie. Zablokuj wszystko, co jest poniżej twoich stóp; tych wszystkich splotów naprawdę nie musisz widzieć. Musisz wytrenować umysł tak, żeby pomijał dane dotyczące tych splotów peryferyjnych, tak jak kierowcy ignorują billboardy, ograniczenia prędkości i takie tam. Rozumiesz?

– Yyy... nom? Chyba? Ojojoi!

– Kiedy siedzisz za kierownicą, nie skupiasz się na wszystkim dookoła, ale

jednak masz peryferyjną świadomość otoczenia, prawda? Koncentrujesz się na tym, co w danej chwili jest najważniejsze, na samochodzie przed tobą, dupku w mitsubishi czy syrenach za tobą. Wszystko istnieje, wszystko gdzieś tam jest, ale przecież nie musisz tego wszystkiego naraz widzieć. Rozumiesz, co mam na myśli? Nie musisz widzieć wszystkich tych splotów, które teraz widzisz. Skup się jedynie na zarysach fizycznych przedmiotów, które widziałś przedtem.

– Taaa, te krzaki to mi raczej nie dają zbyt wyraźnego zarysu, sensei, bo to tylko pieprzone krzaki.

– Masz – powiedziałem, wciskając jej kij w rękę. – To powinno być dość proste.

– Nie, bo widzę olej na moich palcach i komórki drewna i... co to jest? Jakaś larwa czy co to mieszka w moim kiju?

– Zbliź go sobie do oczu. Skup się na kształcie. Przez pole twojego widzenia przechodzi wielka krecha. I na niej się skup. Tylko na jej zarysie.

– O. Czeka. Zdziałało.

– Dobra. Teraz, pozostając w tym trybie patrzenia, obniż kij. Widzisz tylko zarysy wszystkiego wokół?

Powoli opuściła kij i odetchnęła z ulgą, gdy płatanina splotów już jej nie oślepiła.

– Tak – obwieściła, odkładając kij na ziemię i uśmiechając się do mnie. – Ale odlot. Rzuciłam właśnie pierwszy druidzki splot.

– Moje gratulacje. A teraz będziesz musiała rzucić jeszcze dwa, nim wyjdę. Jej uśmiech zniknął.

– Wyjdiesz?

– Żeby sprawdzić, co z Oberonem. Pamiętasz? Ktoś się tu kręci.

– A. Racja.

– Rzuć sploty wzmacniające siłę i prędkość. Wszystko jedno, od którego zaczniesz.

<Atticusie, tu się zrobiło megaupiornie. Wszystkie zwierzęta umilkły>.

Już do ciebie idę, chłopie. Zaraz będziemy gotowi.

Rzuciłam na siebie te same sploty. Granuaile najpierw rzuciła splot prędkości. Uśmiechnęła się promiennie.

– Ale bym teraz z tobą powalczyła.

Byłem z niej taki dumny, że wołałbym raczej ją uściskać, niż z nią trenować, ale wtedy musiałbym z kolei zacząć myśleć o baseballu, a na to nie było czasu.

– Zapamiętam to sobie. A kiedy się teraz szybko poruszam, to czy to zaburza twoją wizję?

– Nie. Nadal widzę zarysy rzeczy. I umiem już widzieć też same powierzchnie, bez szczegółów. Trochę tak jakby wszystko ma teraz taki lekki pobłysk. Wystarczy, że się na tym pobłysku nie skupiam, i jest okej.

– Doskonale. O to nam właśnie chodziło. Dobra. Nie wiem, kto tam jest. To może być jakiś użytkownik magii. Kiedy wrócę, powinienem wyglądać tak. Jeśli zobaczysz mnie plus coś jeszcze – innymi słowy, dwa różne zarysy – to to nie ja. To tylko ktoś, kto udaje mnie. Atakujesz go od razu. Albo ją. Albo to.

– To dlatego chciałeś, żebyśmy włączyła magiczne widzenie...

– Identyfikacja. Tak. Wrócę najszybciej, jak będę mógł. Czuj, czuj, czuwaj! Rzuciłem na siebie kamuflaż i wymknąłem się z jaskini, przebiegłem koło krzaków głogu i zbiegłem w dół, do strumienia.

Od jaskini w którą stronę, Oberonie?

<Na zachód. Ja jestem na południe od strumienia, tam, gdzie jest to bajoro>.

Bajoro tworzyło się na rzece w miejscu, gdzie już kończył mi się prawie zasięg komunikacji z Oberonem. Zacząłem biec w tę stronę, starając się robić to jak najciszej i jednocześnie rozglądać się wokół.

I przez cały ten czas niczego nie zauważyłeś?

<Nie>.

Ale nie gapisz się przypadkiem znowu na mięso, co?

<Nie, przysięgam, że nie dam się już tej wiązce przyciągającej dorwać>.

I nic nie słyszałeś ani nie wyczuleś?

<Nie. I to, że niczego nie słyszę, to bardzo zły znak>.

Tak. Dobra, już do ciebie biegnę, tylko staram się nie narobić hałasu. Proszę krzaki, żeby się przede mną rozstępowały. Jestem w kamuflażu.

Ja także nie słyszałem niczego – poza własnymi cichymi krokami. Oberon miał rację. Ta cisza była nienaturalna. Po pięciu minutach marszobiegu przez krzaki już byłem przy jezioru. Nic tu się nie poruszało poza wodą w strumieniu.

Stamtąd poszedłem na południe i po niecałej minucie już byłem przy Oberonie i steku.

<Atticusie? Czy to ty? Bo słyszę, że coś się zbliża>.

Tak. To ja.

Rozplotłem kamuflaż, żeby mógł mnie widzieć. Zamerdał ogonem.

<Świętej Lassie niech będą dzięki!>

Przyjrzałem się sztuce mięsa. Nie ulegało wątpliwości, że ktoś ją tu bardzo starannie położył. Nawet nie była zakurzona z boków i z góry, a przecież gdyby komuś po prostu wypadła, na pewno ubrudziłaby się przy upadku. W kilku miejscach miała dziwny kolor i nie wyglądało mi to na zwykłe przebarwienie następujące na skutek kontaktu z powietrzem. Były to tak subtelne różnice w odcieniach czerwieni, że psie oczy Oberona by tego nie wyłapały. Ktoś czymś posypał to mięso. Nie obchodziło mnie, jaki to rodzaj trucizny. Niepokoiło mnie raczej to, że Oberon upiera się, iż nie ma wokół żadnych śladów. Aż do tej chwili puszczałem to jego zapewnienie mimo uszu, pewien, że biedak nie widzi nic poza mięsem, ale tu naprawdę nie było żadnych śladów poza moimi i jego. To prowadziło do kilku nieprzyjemnych wniosków.

Prawdopodobnie nie mamy tu do czynienia z żadnym bóstwem, bo te nie uciszałyby zwierząt w ten sposób. Musiała to być jednak istota umiejąca manipulować ziemią tak jak druidzi... lub nie dotykająca ziemi w ogóle. Coś latającego.

– Musimy wrócić do Granuaile – szepnąłem. – Natychmiast!

I wtedy strzelono mi prosto w plecy.

Rozdział 11

Może powinienem to nieco rozwinąć. Otóż w chwili, gdy mówiłem do Oberona, że trzeba wracać do jaskini, on nastawił uszy i spojrzał za moje ramię. Potem bez słowa wyjaśnienia (nie licząc jednego <Atticus!>) skoczył na mnie i powalił mnie na ziemię. W rezultacie strzała, która miała trafić w sam środek moich pleców, wylądowała o wiele wyżej, wbijając się w moje lewe ramię i przecinając je w górnej części łopatki. Kiedy rąbnąłem o ziemię, siła upadku pchnęła ją na wylot i strzała mało nie zadźgała Oberona.

Niemal odruchowo rzuciłem kamuflaż na nas obu, a potem, ponieważ – gdy już kolejna strzała leciała mi nad głową – pomyślałem, że trzeba było zakamuflować tę cholerną zakrwawioną strzałę, która wystawała mi z ciała.

Ruszaj, Oberonie! Spróbuj zająć ich od tyłu.

<Tak jest!>

On od razu popędził, a ja z trudem wstałem z ziemi. Szok już mijał i zaczynałem odczuwać ból. Włączyłem charms odpowiadający za uzdrawianie, wyciągnąłem Moralltacha i rozejrzałem się w poszukiwaniu wrogów.

Długo nie musiałem się rozglądać. Brygada pięciu cisowców w bojowej linii nadciągających na mnie od strony bajora. Brązowe miecze liściowe unieśli wysoko ponad prawym ramieniem i wyglądali w ogóle nieco jak samurajowie. Ich ciemne oczka szukały mnie i znalazły. Widzieli mnie mimo kamuflażu.

Choć nie mieli nawet metra wzrostu, byli niesamowitymi istotami – sękatymi, powyginanymi ze złości, narodzonymi z konarów drzew-stróżów na torfowiskach Morrigan. Stanowili odpowiedź Morrigan na Tuatha Dé Danann, bo choć byli istotami żywymi, nie byli zwierzętami, więc nie podlegali władzy Flidais. Moralltach nic nie mógł im zrobić, bo nie mieli ciała, toteż stary miecz Aenghusa Óga mógłby im uczynić taką krzywdę co każde inne ostrze, czyli niewielką. Już więcej bym tu zdziałał toporem. Ktoś porządnie odrobił swoją pracę domową, skoro nasłał na mnie właśnie ich.

W druidzkich kręgach cis zwiastuje śmierć i złe wieści, a jeśli dodać do tego jeszcze to, że to istoty Morrigan, to nawet wśród faerii cisowcy wywoływali prawdziwy postrach. To przez nich gobliny budzą się w nocy złane zimnym potem. Przez sto lat służyli Morrigan, strzegąc jej fortecy, wciąż żądni walki, która nigdy nie następowała, aż w końcu bogini pozwoliła im się przenieść do Tír na nÓg, gdzie natychmiast zrobili karierę jako płatni mordercy.

Marna nadzieja, że pojawi się nagle Morrigan i stanie w mojej obronie. Już jakiś czas temu dała mi jasno do zrozumienia, że mam sam dbać o siebie, mimo że przecież obiecywała niby zapobiec mojej gwałtownej śmierci.

Oberonie, oni mają miecze i nie zawahają się ich użyć. Lepiej z nimi nie zaczynaj. Zamiast tego spróbuj namierzyć łucznika i powiedz mi, gdzie on jest.

<Okej>.

Ci kolesie nie umieją latać, a tymczasem strzała spadła z góry. Ktokolwiek podrzucił stek, nie był cisowcem, a co najgorsze: pewnie nadal gdzieś tam był i tylko

czekał, żeby mnie ustrzelić, warto więc zachować kamuflaż.

Ich pozycja bojowa dawała do myślenia... stanowili takie piękne cele. Szybko wyprodukowałem splot „podobne do podobnego” i ich brązowe ostrza raptownie splotły się po obu stronach miecza w środku. Wypadło to bardzo zabawnie, bo cisowcy jakoś nie bardzo chcieli się z nimi rozstać i dali się mieczom pociągnąć ku typkowi w środku, a że on trzymał już nie tylko swój miecz, ale w sumie pięć mieczy, to trochę się narobiło bałaganu i upadli wszyscy na ziemię w bezładnej stercie.

Przemknęło mi nawet przez myśl, żeby spleść tak razem samych cisowców, ale trochę się bałem, jak by się to skończyło. Były to w końcu istoty Morrigan, a na pewno nie przydałyby się na nic w walce z Tuatha Dé Danann, gdyby można było je tak łatwo splatać jak byle kawał drewna. Wieść niosła, że Morrigan je zabezpieczyła przed takim zaklęciem, ale niewykluczone, że ona sama rozpuściła takie plotki. Tylko że to by było naprawdę głupie, gdyby dało się tych cisowców splatać korą do kory. Musieli być jakoś chronieni. Może Olimpia zdoła mi tu jakoś pomóc. Cisowcy nie byli stworzeni do chodzenia po tej krainie. Należeli do świata faerii. Dla Olimpii byli tylko zwykłymi drzewami.

//Druid znalazł drzewa / Nienaturalny ruch / Pytanie: pomoc z ukorzeniem / Przywrócić harmonię?//

//Oburzenie! / Ruch nienaturalny! / Drzewa muszą mieć korzenie / Rosnąć / Karmić / Harmonia//

Cisowcy nie mieli strun głosowych. Milcząca, tajemnicza działalność należała do ich image'u skutecznych zabójców. Ale gdyby je mieli, toby zawyli z wściekłości. Tam, gdzie ich ciała dotykały ziemi, wyrastały im teraz korzenie i wbijały się łapczywie w glebę, zagarniając nieruchomości Greków niczym tanie hotele. Zapomniałszy z tego wszystkiego o mieczach, cisowcy usiłowali oderwać się od siebie nawzajem i od ziemi przede wszystkim, ale Olimpia za wszelką cenę chciała, by poczuli się jak w domu. W niespełną minutę byli już unieruchomieni, jeśli nie liczyć rąk i głów, i stanowili nowy, malutki zagajnik. Mając na celu zaprowadzenie ładu i harmonii, Olimpia będzie teraz sukcesywnie zwalczać zaklęcie Morrigan, aż staną się znów zwykłymi drzewami. Póki co jednak cisowcy aż za dobrze wiedzieli, co się z nimi dzieje i kto jest za to odpowiedzialny. Przebiegłem sobie koło nich z uśmiechem na ustach, a ich czarne oczy – pełne krwawych pogroźek – śledziły każdy mój ruch.

– Ciiii... cisowcy, ciiii... – zanuciłem im jeszcze na pożegnanie.

Strzała w moim ramieniu podskakiwała przede mną dziwnie. Gdybym nie zablokował bólu, pewnie dawałaby mi się we znaki. Skupiłem się teraz na drzewcu (pustym, aluminiowym, co odnotowałem skrzętnie) i rozplotłem cząsteczki tak, że skruszyło się jak wafelek.

Przyszło mi nawet do głowy, że powinienem był się równie spokojnie i racjonalnie zachować wtedy w Asgardzie, kiedy Ullr mnie trafił strzałą, ale podczas tamtej walki raczej trudno mi było zachować spokój i rozsądek.

Namierzylesz łuczownika? – spytałem Oberona, zbliżając się do stawu.

<Nie. Jeszcze go nie widziałem. Ale chyba go usłyszałem. Podejrzewam, że czai się gdzieś w koronach drzew>.

Póki co nie zagraża nam za bardzo, bo nas najwyraźniej nie widzi.

Pobiegnijmy do jaskini pomóc Granuaile. To i tak zresztą lepsza pozycja do obrony.
<Okej>.

Gdy Oberon obrócił się i ruszył, usłyszałem jego ciche kroki, lekkie sapanie i trochę szelestu liści. Dzięki tym odgłosom mogłem mniej więcej określić jego położenie. Gdy właśnie próbowałem ustalić, gdzie jest, z korony drzew śmignęła strzała i uderzyła w ziemię tuż nad strumieniem.

<Hej! Blisko było!>

Pędem do jaskini, Oberonie!

Wyglądało na to, że polujący na nas zabójca też ma jakiś rodzaj kamuflażu. Samym mieczem nie dorwę go przecież na drzewie. Potrzeba mi noża Granuaile. Albo wszystkich pięciu.

Oberon pomknął przez krzaki, rozdzierając je na boki, a tor jego biegu widać było jak na dłoni po drżących gałęziach i liściach. Jeśli zabójca pozostanie tam na górze, będzie miał wyjątkowo słaby kąt do ostrzelania Oberona, bo strzała zapłącze się po drodze w krzaki. Żeby dobrze wycelować, musiałby wylecieć ze swojej kryjówki i mierzyć prosto znad Oberona.

Pobiegłem nieco inną ścieżką, ale stanowiłem równie słaby cel. Moje ruchy można było prześledzić po poruszaniu się krzaków, ale pochylałem się, żeby nie dało się mnie ustrzelić z tej pozycji, którą obrał nasz przeciwnik.

Oberon powinien dotrzeć do jaskini pierwszy.

Jak już dotrzesz na miejsce, nie szczekaj na powitanie. Wślizgnij się do środka jak celtycki ninja. Żadnego sapania.

<Ty wiesz, że mówić mi, że mam nie sapać, to jak kazać tobie się nie pocić, co?>

No wiem, ale staraj się to w miarę możliwości opanować.

<Czy celtyccy ninja muszą nosić piżamy?>

Nie, głuptasie. Celtowie zawsze wietrzą klejnoty.

<Dobra. Tak się tylko upewniam>.

W drodze do jaskini nie śmignęła nade mną ani jedna strzała. Oberona też nie atakowano. Po części przyjąłem to z ulgą, po części byłem jeszcze bardziej zaniepokojony, bo nie wiedziałem, gdzie się czai morderca.

Gdy stanąłem w progu jaskini, moje uszy powitał jednostajny strumień przekleństw i niepokojący stukot. Granuaile została zaatakowana.

Do muru przyparł ją płatny zabójca faerii – taki ze skrzydełkami i w ogóle. W jaskini jednak na wiele się one nie zdały, bo była za mała na latanie. Krył się pod magicznym przebraniem – w widocznym spektrum protestował głośno, iż jest niewinny i dlatego ona go tak źle traktuje, a tymczasem tak naprawdę próbował zadźgać ją przedziwną parą srebrnych noży. Granuaile nie dawała się zwieść i walczyła z jego prawdziwą postacią. Żelazne nakładki na końcach jej kija – grube zaledwie na kilka milimetrów – nie robiły mu żadnej krzywdy. Był zakuty w mocną zbroję i Granuaile nie dotknęła jeszcze żelazem jego skóry. Nie wiedziałem, jak długo już walczyli, ale wyglądało na to, że moja uczennica dobrze sobie radzi, choć była w defensywie i nie miała już za wiele miejsca za plecami.

Zacznij szczekać jak wariat, żeby odwrócić jego uwagę – nakazałem Oberonowi. – Ale nie walcz z nim, bo to, co widzisz, to nie jest jego prawdziwa

postać. Ja się nim zajmę.

<Dobra. To mów kiedy>.

Teraz.

Oberon zabójczo daje głos, jak zechce. Jego nagłe, hałaśliwe objawienie się zupełnie zaskoczyło zabójcę, który zrobił krok do tyłu i na sekundę oderwał wzrok od Granuaile. Był to poważny błąd. Jej kij śmignął nisko i powaliła go na ziemię. Wylądował ciężko na plecach i krzyknął z bólu, bo pewnie połamał sobie skrzydła. Nim zdołał wstać, przydeptałem mu lewy nadgarstek, rozplotłem kamuflaż z wyjątkiem tego obejmującego resztki strzały i wycelowałem Moralltacha w skórę między jego oczami.

– Rzuć noże – rozkazałem. – Natychmiast.

– Niby po co? I tak już jestem jak martwy.

Granuaile przesunęła się, żeby przydeptać jego prawe ramię.

– Bo jeśli to zrobisz, powiem w Tír na nÓg, że zginąłeś z honorem. A jeśli nie, wezmę twoje ciało i powiem wszystkim, że zginąłeś jak tchórz, a na twoją rodzinę spadnie straszna hańba.

– Słowo? – spytał.

– Masz moje słowo, że powiem, iż zginąłeś z honorem, jeśli w tej chwili rzucisz broń i odpowiesz na moje pytania.

Rzucił noże.

– To żadna hańba zostać pokonanym przez Żelaznego Druida. Nazywam się Dubhlainn Óg z Shannon Heath. Kończ waść, wstydu oszczędź.

– Oszczędzę. Kto cię nasłał?

– Zapłacił mi nordycki Svartálfar.

– Co? Nie możesz zrzucić winy na mroczne elfy! Jak nas tu znalazłeś?

– Płacą mi mroczne elfy. Tak zresztą jak wszystkim tu dzisiaj. Dają za twoją głowę niezłe pieniądze. Ale twoją lokalizację zdradził ktoś z Tír na nÓg. Mnie poinformowano o niej anonimowo.

– W jaki sposób?

– Pisemnie. Jakiś chochlik przyniósł list. Było tam napisane, żeby przeszukać las wokół Litochoro. Najpierw udało mi się znaleźć psa i dzięki niemu wywabiłem ciebie.

Dużo tu było do przemyślenia.

– Celem jestem ja czy Granuaile?

– Według umowy jedno z was albo obydwój, a za obydwój dostałbym premię. Uczennica jest oczywiście łatwiejszym celem.

– Sroło Cockta – wycedziła Granuaile przez zaciśnięte zęby, czym zniszczyła dla mnie jeden z niewielu uroków lat osiemdziesiątych.

– Powiedziałaś, że mroczne elfy płacą też innym. Komu konkretnie?

Zabójca wzruszył brwiami.

– Płacą faeriom. Płacą swoim. Może komuś jeszcze.

– Kto spośród mrocznych elfów chce nas zabić?

– Tego nie mogę powiedzieć. Etyka zawodowa.

Nie po raz pierwszy pożałowałem, że nie mam przy sobie Fragaracha zamiast Moralltacha. Pewnie nie wydobylbym z niego nic więcej, ale jednak miałbym

przynajmniej pewność, że to prawda.

– Ilu was jest?

– Poza mną oddział cisowców i ich przewodnik.

Cisowcy nie potrafią sami podróżować między krainami, co było ze strony Morrigan bardzo rozsądnym zastrzeżeniem. Ich przewodnik to pewnie ten łucznik.

– Dubhlainnie Ógu z Shannon Heath, obyś bezpiecznie dotarł do Manannána – powiedziałem i spojrzałem na Granuaile. – Czy słaby cel zechciałby czynić honory?

Bez słowa wbiła żelazną końcówkę kija w czoło faerii. Zabójca stęknął, zeszytniał i zmienił się w popiół.

– Nie możemy tu zostać – powiedziałem.

– Wiem.

– Jesteś ranna?

– Nie. Całkiem nawet dobrze się czuję. – Uśmiechnęła się promiennie. –

Nieźle mu skopałam tyłek, nie?

– Tak. Moje gratulacje. Świetnie sobie radziłaś ze śledzeniem jego ruchów mimo maski. Ale co to za krew na twoim ramieniu?

Jej czoło przecięła zmarszczka.

– Gdzie? – Spojrzała najpierw na prawą rękę, potem na lewą, gdzie zobaczyła to co ja. Po wierzchu ramienia strużka krwi ciekła jej na łokieć, a stamtąd skapywała na ziemię. – Oj. Drasnął mnie. Nawet nie poczułam.

– Niedobrze. Ci kolesie lubią używać trucizny. – Nim zdołałem dokończyć to zdanie, pod Granuaile ugięły się kolana i opadła na podłogę jaskini. Jej pewność siebie ustąpiła niepokojowi. Kij wysunął jej się z bezwładnej dłoni.

W jej oczach zobaczyłem całkiem sporą dawkę paniki i obawiam się, że moje wyglądały podobnie.

– Trucizny? – wyszeptała. – Mam tylko nadzieję, że nie smoka Krayta.

– Raczej nie. Ale pewnie i tak mocna, skoro polował na nas. Pogadaj o tym z Olimpią. Poproś, żeby cię uleczyła. Pewnie chętnie to zrobi. I zobacz, tu, na nodze, masz tego więcej. Całkiem sporo.

Spojrzała na lewą łydkę. Krwawiła jej tam całkiem głęboka rana. Jeśli Granuaile w ogóle jej nie czuła, to znaczyło, że albo trucizna zawiera jakiś składnik znieczulający, albo dziewczyna ma naprawdę imponujący poziom adrenaliny.

– O cholera. Zupełnie nie boli. Dobra. To samo rozwiązanie. – Zamknęła oczy i zaczęła przemawiać do Olimpii, a ja robiłem wszystko, żeby nie pokazać po sobie niepokoju. Zmusiłem się do odsunięcia się od niej, żeby łatwiej jej się było skoncentrować, i zacząłem zbierać nasze graty.

<Idziemy stąd?> spytał Oberon.

Gdy tylko będziemy mogli. Tu już nie jest bezpiecznie. Jeśli tej grupie zabójców powiedziano, że mają nas tu szukać, to następnej pewnie powiedzą to samo. A propos, rozejrzałbyś się, co tam słyhać w naszej dolinie? Został nam tam jeszcze jeden z nich, a nie chciałbym, żeby nas znowu zaskoczył.

<Się robi>. Oberon odwrócił się w stronę wyjścia z jaskini i przepchnął przez krzaki, żeby mieć widok na strumień.

I nie zapominaj patrzeć w niebo. To latające coś.

<Dobrze, ale szczerze mówiąc, Atticusie, uważam, że powinieneś mi jednak

wymyślić jakąś broń miotającą, właśnie na wypadek podobnych sytuacji>.

Gdybym ci dał broń, tobys nią ostrzeliwał wiewiórki. Czysto?

<Tak. Nic nie widzę>.

Granuaile uniosła głowę i otworzyła oczy.

– Miałeś rację, sensei. Znieczulacz i neurotoksyna. Ale Olimpia ją wyłapała i rozbiła na części pierwsze. Teraz już czuję te rany.

– Tylko czekał, aż upadniesz od trucizny, żeby cię wykończyć. Możesz się poruszać?

– No – powiedziała, machając palcami. – Chyba tak.

– Bardzo się cieszę. Wyciągnęłabyś mi z pleców tę strzałę?

– Co? Nawet jej nie zauważyłam!

– Była zakamuflowana. – Wzdrygnąłem się, gdy ją wyciągnęła, mimo że ból miałem pod kontrolą. To po prostu nie jest miłe uczucie. – Dzięki. – powiedziałem i zacząłem zamykać ranę. – Spakuj swoje rzeczy. Musimy stąd zniknąć, nim zwali się tu tylu morderców, że sobie z nimi nie damy rady.

Oparła kij o ścianę i ruszyła się pakować, ale lekko utykała.

– Dokąd pójdziemy?

– Najpierw na chwilę do Tír na nÓg. Ktoś tam nie tylko pomógł tym mordercom nas znaleźć, ale jeszcze z jakiegoś powodu współpracuje z mrocznymi elfami. Trzeba zbadać tę sprawę.

– Kiedy dokończymy moje splatanie?

– Gdy tylko będziemy mogli. Wierz mi, że zależy mi na tym tak bardzo jak tobie.

Rozdział 12

Dzieci czasami bawią się w taką odmianę berka, że nie można ich dotknąć, jeśli dotykają bazy, czyli na przykład drzewa lub starej opony albo jeszcze czegoś innego. Jest to dla nich taka strefa bezpieczeństwa, miejsce, gdzie mogą złapać oddech i może powyzywać trochę tego, kto akurat jest berkiem.

Taką irlandzką bazą jest Mag Mell. Tu niedozwolone są wszelkie zakłócenia. Nawet faerie pracujące jako płatni mordercy nie śmiałyby złamać tego zakazu. Można tu odetchnąć, podleczyć się, a nawet popróbować szczęścia w dyplomacji, jeśli przyjdzie komuś ochota.

To tu więc zabrałem Granuaile i Oberona, gdy przenieśliśmy się z Olimpu. Stworzyłem nowe połączenie z Tír na nÓg z pomocą drzewa tuż przed jaskinią, bo wędrowanie z powrotem do naszego drzewa pod okiem polującego na nas snajpera, tym bardziej że byliśmy ranni, było wykluczone.

Krew na naszych ciałach w pierwszej chwili przeraziła i rozgniewała kilka nimf z gorącego źródła Cnoc an Óir, ale gdy wyjaśniliśmy im, że została przelana gdzie indziej, a tu tylko przybyliśmy się leczyć, nimfy przywitały nas uprzejmie i wręcz troskliwie zapytały, jak nam mogą pomóc. Poprosiłem je o przekazanie wiadomości Goibhniu oraz Manannánowi Mac Lirowi w Tír na nÓg, w której błagałem ich o natychmiastowe złożenie mi wizyty przy źródłach w pewnej pilnej sprawie. Kochane nimfy od razu wysłały dwie swoje siostry z posłaniem, a reszta zaczęła nam podawać rzeźbione mydła i bandaże, zapraszając nas do uzdrawiających źródeł.

Ziemia wokół źródeł była wyłożona miękką darnią, a każdy ze stawków otaczała bujna roślinność zapewniająca nieco prywatności. Były tu i większe stawy, dla co najmniej dwóch osób, i taki właśnie przejeżdżaliśmy z Oberonem. Granuaile zaprowadzono do jednoosobowego źródła poza zasięgiem naszego wzroku.

<Wyjaśniłbyś jeszcze raz, dlaczego właściwie nie jesteś w stanie znieść jej widoku bez ubrań?> zagaił rozmowę Oberon, gdy byłem już rozebrany i wchodziłem ochoczo do stawu.

To nie, że nie mogę znieść jej widoku. Problem w tym, że część mnie uznałaby ten widok za niezwykle podnoszący. I myślenie o baseballu nic by nie pomogło. Hm. Może powinienem zamiast tego starać się myśleć o geriatrycznym hokeju. Bardzo zimno i bardzo dużo połamanych bioder. To mogłoby pomóc.

Oberon prychnął tylko.

<Ludzkie zwyczaje kopulacyjne są głupie>.

Oberonie. Ja tu właśnie usiłuję nie nabrać z nią takiego zwyczaju.

<Ale chciałbyś>.

Nie. Wcale nie. Znaczy, tak, ale widzisz, nie mogę i... to skomplikowane.

<Nie. To głupie>.

Westchnąłem.

Może i masz rację.

<Wiesz, że mam. Psy są w tej sprawie o wiele mądrzejsze. Suka dostaje

cieczki, gra Marvin Gaye, szczeniaki za dziewięć tygodni. Zostaje masa czasu na zabawę i drzemki, bo się pies nie zamartwia tymi wszystkimi rzeczami, którymi ludzie zaprzatają sobie głowę po seksie. Powaga, że więcej czasu spędzasz na martwieniu się o to niż na robieniu tego>.

Podeszła jedna z nimf i zachowując bezpieczny dystans, poinformowała mnie, że Goibhniu już jest w drodze. Podziękowałem jej i poszła sobie.

Piwowar to w ogóle zawód do pozazdroszczenia, a Goibhniu należy do najlepszych. Owocu jego codziennego trudu wciąż chce się kosztować, a w przeciwieństwie do tych ludzi, którzy witają cię w bezdusznych hipermarketach, on może wskazać ci produkt swojej pracy i powiedzieć: „Proszę bardzo. Ja to zrobiłem”. Ostatnimi czasy zorganizował sobie nawet pub przy swojej kuźni (jako że jest również niezwykle utalentowanym kowalem) i często można go zastać za barem, nalewającego ludziom piwo z uśmiechem i dumą ze swoich dzieł. Zawsze go lubiłem. Bo też trudno nie lubić faceta, którego raduje rozdawanie piwa za darmo.

– Siodhachan! – ryknął serdecznie, podchodząc do mnie po trawie. Miał na sobie prostą brązową szatę z białymi plecionkami z kremowym pasem. W każdej dłoni niósł dużą, ciemną butelkę. Ręce rozpostarł szeroko, jakby chciał mnie przytulić tym piwem albo pozować do plakatu podpisanego „Piwo znaczy miłość”. – Dobrze cię widzieć poza tym cholernym Dworem Faerii! Musisz koniecznie spróbować mojego ostatniego draughta! – Usiadł po turecku nad stawem i otworzył butelkę za pomocą kciuka i subtelnego splotu. Podał mi ją i otworzył sobie drugą. – Nazwałem go Porter Dudy. Spokojny akord bazowy słodu oraz wysokie nuty koniczyny i wanilii tańczące ci po bokach języka.

– Na zdrowie i harmonię – powiedziałem, unosząc butelkę. Brzdęknął się ze mną szyjką i powtórzył te same słowa, a potem delektowaliśmy się smakowitymi łykami. – Wyśmienite – pochwaliłem.

– Prawda? – Goibhniu uśmiechnął się kpiąco ze swojego narcyzmu zawodowego. – Gdybyż tylko jakiś bard mógł opiewać wszystkie te wspaniałe piwa, które robię. Ech, życie! – Przystał się z siebie naśmiewać i spoważniał. – Ale wzywasz mnie ponoć w pilnej sprawie. Co się stało?

– Ktoś z Tír na nÓg chce nas dorwać. Splatanie Granuaile zostało przerwane przez grupę faerycznych zabójców. Cisowców i jakiejś pomniejszej faerii.

– Nie! Czy nic jej nie jest?

– Leczy się. W stawie obok.

Wskazałem mu kciukiem gdzieś na lewo. Goibhniu zmarszczył brwi, gdy jego oczy zatrzymały się na moim ramieniu.

– Jeśli się nie mylę, to są ślady rany – zauważył.

Nie zostało już po niej nic poza różową smugą, ale dla druida to wystarczy.

– Tak. Strzała w zasadzce.

– Ktokolwiek to uczynił, nigdy już nie dostanie ode mnie nic do picia – oświadczył.

– Sprawiedliwe i troskliwe słowa – odparłem. – Tak się zastanawiałem, czy ty i twój brat nie macie może ochoty na jakieś małe wyzwanie...

– Który brat?

– Luchta.

– Wyzwanie, he? – Oczywiście Goibhniu rozbłysły. – Już dawno w niczym nie próbowałem swych sił.

– Dawno też nie mieliśmy nowych druidów – dodałem. – Tak sobie myślałem, że można by uczcić tę okazję i stworzyć nową broń faeryczną...

Kąciki ust Goibhniu opadły.

– Kolejny miecz?

– Nie, większość zresztą zrobiłby twój brat, Luchta. Granuaile woli kije. Nie takie, jakie mają czarnoksiężnicy, ale takie do walki. Takie quarterstaffy. Czy moglibyście tak go wykonać, żeby jedna strona kończyła się żelazem przeciw faeriom, a druga srebrem przeciw wilkołakom i tym podobnym?

Twarz kowala znów się rozpromieniła.

– Ach! To by było coś zupełnie innego! Coś lekkiego i mocnego, oczywiście tak splecionego, żeby nie uległo roztrzaskaniu, a metal z obu stron musi przecież nie tylko spełniać swoją funkcję w walce, ale i zachwycać estetyką godną faerii.

– Śmiem twierdzić, że to może być trudne wyzwanie dla was obu. Nie istnieją żadne wzorce takiej broni.

– Masz rację, Siodhachanie!

– Dodaj do tego takie zaklęcia, jakie uznasz za stosowne, a powstanie broń legendarna, broń, jakiej świat jeszcze nie widział.

– W rzeczy samej, zbyt dużo czasu już upłynęło, odkąd Tuatha Dé Danann stworzyli cokolwiek wartego legendy. – Posłał mi kpiący uśmiech. – Z wyjątkiem moich piw, oczywiście.

– Jasne.

Goibhniu wypił resztę swojego piwa w zatrwajającym tempie i otarł odrobinę piany z górnej wargi.

– Muszę natychmiast omówić to z Luchtą. – Wstał i otrzepał pył ze spodni.

– Zaczekaj! Czy nie powinniśmy omówić zapłaty?

– Ha! Czyż to wspaniałe wyzwanie nie jest zapłatą samą w sobie?! A biorąc pod uwagę to, w ile kłopotów zwykle wpadasz, gdziekolwiek pokażesz swoją twarz, domyślam się, że twoja uczennica będzie miała podobne szczęście, dzięki czemu zyskam sławę na wieki. Zrozumże, Siodhachanie, to rozrywki mi brak, nie pieniędzy, a ty zapłaciłeś mi już dość i śmiem tu mówić także za mego brata. Niezwłocznie weźmiemy się do pracy!

<Zrozumże i niezwłocznie? Ten facet powinien bardziej uważać na alkohol>.

Pożegnałem się z Goibhniu i zaraz pojawiła się następna nimfa z bardzo smutną miną, bo przynosiła – jak jej się zdawało – złe wieści.

– Manannána Mac Lira nie udało się odnaleźć. Jest gdzieś w oceanie, ale niebawem ma wrócić. Jego żona, Fand, zaprasza was do ich domu.

– Doskonale. Tam właśnie się udamy. – Uśmiechnąłem się do niej z wdzięcznością.

<Niezwłocznie?>

Właśnie. Mógłbyś zaszczekać na Granuaile, żeby dać jej znać, że ruszamy?

Wypoczęci i w znacznie lepszych nastrojach przenieśliśmy się z powrotem do Tír na nÓg, żeby odwiedzić Manannána. Fand czekała na nas przed drzwiami. Na widok kuśtykającej Granuaile wykrzyknęła:

– Biedne dzieci! Wchodźcie i opowiedzcie mi wszystko!

– Mam nadzieję, że nam wybaczysz, ale wolelibyśmy zachować to dla siebie –
zaoponowałem.

Fand zrobiła ubawioną, potem zakłopotaną minę.

– Och, ależ oczywiście! Chodźcie, najedzcie się i odpocznijcie przed
powrotem Manannána.

Zaprowadziła nas do kuchni, nawijając bez przerwy o tym, co kto mówił po
naszej audiencji. Usmażyła nam też trochę bekonu ze słynnych wieprzy.

– To Bekon Wiecznej Młodości – wyjaśniła, z uśmiechem stawiając talerz
przed Granuaile. – Wyleczy cię w mig i bosko smakuje.

Granuaile zaniemówiła na widok czterech plastrów bekonu ułożonych na
niebieskim ceramicznym talerzu, który wyglądał dość wyjątkowo. Nie chodziło
zresztą o sam bekon. Już na tyle знаła sploty, by umieć odczytać białe węzły na
krawędzi talerza, które stanowiły błogosławieństwo dobrego zdrowia dla każdego,
kto zje z tego talerza.

– Ja...

– Tak, dziecko?

Ale Granuaile nic nie powiedziała.

– Trochę jest oszołomiona – wyjaśniłem.

– Rozumiem.

Fand miała też kielbaski z tych samym wieprzy, więc usmażyła ich pełną
patelnię dla Oberona i położyła przed nim na talerzu.

<Syriuszu Jedyny, Atticusie, to najlepsza kielbaska, jaką w życiu widziałem!
Manannán mógłby nią cały świat zawojować. Ba! Z taką kielbaską pewnie by zdołał
nauczyć rottweilera dobrych manier>.

Taka dobra?

<To Kielbaska w Wyjątkowej Cenie>.

Jest za darmo, Oberonie.

<Wiem. To właśnie jest ta wyjątkowa cena!>

Zamiast klócić się z nim o znaczenie słowa „wyjątkowy”, pośmiałem się w
duchu i sam skupiłem się na talerzu z bekonem i chlebem.

Fand była niezwykle gościnną gospodynią i w ogóle przeciwieństwem swojej
matki, co z kolei skłoniło mnie do zapytania o nią:

– Jak się miewa twoja matka?

– Och. – Fand się spłoniła. – Nadal jest zadurzona w tym bogu piorunów,
którego nam tu przywiozłeś.

– Perun wciąż tu jest?

– Tak. Przyznano mu pewnego rodzaju azyl. Ma prawo zostać w naszej krainie,
jak długo zechce, ale gdy już ją raz opuści, nie może wrócić bez zaproszenia. Z tego,
co wiem, nieśpieszno mu na ziemię, jako że ściga go Loki. A że matka moja jest
tak... gościnną...

Dyplomatycznie zignorowałem ten ostatni kawałek. Fand wyraźnie wstydziała
się legendarnego libido matki.

– Czy ktoś widział Lokiego? – spytałem.

– Nie. Albo się ukrył, albo wrócił do nordyckich krain.

W progu kuchni pojawiła się jakaś faeria, odchrząknęła i pokłoniła się, gdy odwróciliśmy się w tę stronę.

– Pan mój, Manannán, powrócił.

– Wspaniale – powiedziała Fand. – Powiedz mu, proszę, gdzie jesteśmy.

Kolejny pokłon, szurnięcie i już jej nie było. Manannán musiał stać tuż za nią, bo wszedł niemal natychmiast po tym, jak zniknęła faeria. Minę miał zagniewaną.

– Co to? – zagrzmiał bez słowa powitania, wpatrując się w nagie ramię Granuaile. Włosy miał mokre, w prawej ręce trzymał harpun ozdobiony plecionką, a zatem prawdopodobnie o magicznych właściwościach. Widać Manannán był na morskich łowach. – Siodhachanie, miałeś przecież splatać ją z ziemią?!

– I splatałem. Ale nam przerwano – wyjaśniłem.

– Przerwano wam?!

Zanim zdążył zapytać, kto nam przerwał, powiedziałem:

– Tak się zastanawiam, czy moglibyśmy zamienić słówko na osobności, Manannanie?

Bóg powędrował wzrokiem ku żonie, potem szybko z powrotem ku nam, i skinął głową.

– Oczywiście.

Nie Fand się bałem, ale raczej jej faerii. Pochyliłem się przed panią zamku.

– Fand, twoja gościnność jest doprawdy legendarna. Wybacz nam na chwilę.

– Moje drzwi stoją dla was otworem – odparła.

Ruszyliśmy z Granuaile za Manannánem do łupkowo-szklanej komnaty. Moja uczennica już prawie nie kuśtykała dzięki uzdrawiającej mocy wody z Mag Mell, bekonu młodości i talerza dobrego zdrowia. Gdy wchodziliśmy, z komnaty wypadła faeria, informując nas, że rozpalono w kominku. Ogień buzował ciepło, kontrastując z zimnym wnętrzem. Ściany zabudowane były niebieskavo-czarnymi kamiennymi półkami, na których spoczywały oprawione w skórę książki i rozmaite *objets d'art*. W otwartej muszli leżała olbrzymia perła, w której miękkim blaskiem odbijał się płomień z kominka. Cztery złote fotele o wysokich oparciach i granatowych poduszkach czekały na nas przed kominkiem i Oberon od razu skoczył na jeden z nich, uważając się oczywiście za uczestnika rozmowy.

<Tamte faerie mnie też zaatakowały, Atticusie, więc należy mi się wygodny fotel>.

Manannán uniósł brew na zachowanie Oberona, ale nie skomentował tego. Utkwił wzrok w drzwiach i oczy zaszły mu mgłą, co musiało oznaczać, że skupił się na magicznym spektrum. Wymamrotał splot i zamknął drzwi magicznie. Teraz nikt spoza komnaty nie będzie mógł nas dosłyszeć. Chyba że...

Włączyłem szkło faeryczne, żeby sprawdzić, czy faerie aby czegoś nie kombinują. Ufałem Manannánowi, ale jednak mieszkał w zamku pełnym faerii i nie zawsze tu był, żeby je wszystkie upilnować. Przebiegając wzrokiem po półkach z książkami, zauważyłem coś interesującego na muszli – jakiś subtelny, ledwie odróżniający się od naturalnego pobłysk. Sploty. Nieznane mi.

– Manannanie?

– He?

– Co to za sploty? – Wskazałem mu muszlę. Podszedł bliżej i zaczął się im

przyglądać, a z nim Granuaile, która także włączyła swój magiczny wzrok.

Manannán zmarszczył czoło.

– Nie jestem pewien. To nie moje dzieło, to nie ulega wątpliwości. Być może to coś zupełnie nieszkodliwego, ale nie podoba mi się to, że w mojej własnej bibliotece walają się jakieś obce sploty. Szczególnie jeśli akurat chcę porozmawiać z kimś na osobności.

Rozplótł je i z sykiem uleciały, pozostawiając tylko muszlę.

– Powinniśmy sprawdzić, czy nie ma tu tego więcej – stwierdziłem. – Muszę mieć pewność, że nikt nie usłyszy tego, co mam ci do powiedzenia.

– Jest aż tak źle?

– No.

– A może lepiej będzie, jeśli całkiem opuścimy zamek – zaproponowała Granuaile. – Przenieśmy się gdzieś w jakieś odludne miejsce na ziemi, gdzie nikt nie będzie podsłuchiwał.

– Znam jedno takie miejsce – rzekł bóg morza. – Ani słowa, póki tam nie dotrzemy.

W milczeniu wyszliśmy za nim z zamku i dotarliśmy do połączonego z ziemią drzewa. Stamtąd przenieśliśmy się na plantację kawy w Górach Błękitnych na Jamajce.

– Dobrze, więc co to takiego? – zapytał Manannán.

– Kawa! – ucieszyła się zachwycona Granuaile.

<Odlot! Mają tu bekonowe latte?>

– Co? – Irlandzki bóg wyglądał na zbitego z tropu.

– Nie, to nie na tym polega problem – pośpieszyłem z wyjaśnieniami. – Manannanie, na górze Olimp zasadziła się na nas cała banda zabójców.

– Banda?

– Kilku cisowców i dwie inne osoby. Mieli nas zabić. Mojemu psu podrzucili zatruty stek. Przerwali splotanie mojej uczennicy. I współpracowali ze Svartálfarami.

Zrelacjonowaliśmy mu całe to przykre zajście, a twarz pana mórz zachmurzyła się burzowo.

– Możecie mieć pewność, że zbadam tę sprawę – zapowiedział.

– To bardzo miło z twojej strony – odrzekłem. – Ale czy domyślasz się może, kto mógł stać za tą zasadzką?

Manannán westchnął.

– Nie jesteś na bieżąco ze sprawami Dworu, co? – stwierdził. – Ostatnimi czasy mogła to być chyba każda faeria.

– Aż taką się cieszę złą opinią? – Zmarszczyłem brwi.

– Obawiam się, że tak. I nie polepszyłeś sprawy podczas audiencji. Widownia raczej cię nie pokochała. Teraz, gdy Aenghus Óg już nie żyje, a większość jego ludzi została usunięta, Brighid niemal sra w swoje piękne szaty ze strachu przed zamachem stanu ze strony Morrigan. – Nagle przerwał, podsunął mi pięść pod sam nos, a w jego oczach zobaczyłem groźbę najgorszego. – Ale zbiję ci mosznę na kwaśne jabłko, jeśli kiedykolwiek piśniesz choć słówko o tym, że to ja ci to powiedziałem, słyszysz, chłopcze?

– Oczywiście. Będę trzymał gębę na kłódkę. – Z trudem przełknąłem ślinę.

– Dobra. – Jego pięść wróciła do jego boku. – Otóż musisz zrozumieć jedno: w obozie Brighid niejedna faeria zalicza cię do armii Morrigan, po prostu dlatego że nie stoisz po stronie Brighid. Obaj dobrze wiemy, że faerie mają mózgi wielkości połowy tych, którymi mogą się pochwalić kiszone śledzie, więc łatwo można sobie wyobrazić, jak ich sympatie zależą od tej smętnej resztki rozsądku. W ich mniemaniu wyeliminowanie ciebie oznacza wyeliminowanie rosnącego zagrożenia ze strony Morrigan. Wydaje im się, że bez ciebie nigdy nie zdoła dokończyć amuletu. A zdoła?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie pokazałem jej jeszcze ostatniego etapu procesu. Co nie znaczy, że trzeba jej go pokazywać. Teorię już zna. Może jej się udać i beze mnie.

– Hm. Cóż, bez względu na to Kiszone Śledzie, jeśli tak je możemy nazwać, myślą, że zarobią u Brighid masę dodatkowych punkcików, jeśli tylko pokrzyżują jakiegokolwiek plany Morrigan. I pewnie mają rację, jak już mam być szczery. Lecz oczywiście żaden z nich by się nie odważył otwarcie walczyć z Bitewną Wroną. O falo i przyplynie, nie sądzę, żebym ja sam się odważył na coś takiego! Toteż uznali, że ciebie będzie odrobinę łatwiej zabić. Nie bierz tego do siebie. To nie twoja wina, że twoje życie stoi na drodze ich osobistych ambicji.

– Czyli to z mojej strony czysta głupota, że się obrażam.

– Właśnie. Moim zdaniem jest tylko jeden sposób, żeby pozbyć się tych wszystkich Kiszonych Śledzi.

– Jaki?

– Ozeń się z Brighid.

– Po moim trupie! – Granuaile, która w milczeniu delektowała się dotąd aromatem kawy i głaskała Oberona, zakryła sobie usta dłonią, gdy wraz z Manannánem obróciliśmy się w jej stronę. – Przepraszam – wybąkała. – Powiedziałam to na głos?

– Ona ma rację, Manannanie – stwierdziłem. – To nie jest wykonalna opcja.

<Co ja mówiłem o ludzkich zwyczajach kopulacyjnych?>

– Nie jest? – Bóg miał przez chwilę minę, jakby chciał drażnić przyczyny tej niemożności, ale widać zmienił zdanie, bo tylko wzruszył ramionami. – Hm. No to w takim razie pozostaje nam tylko stara irlandzka metoda.

– Aha. A skoro już mówimy o walce, mam jeszcze jedną sprawę do omówienia. Teraz, gdy już moja egzystencja jest jak gdyby powszechnie wiadomym faktem, czy istniałaby możliwość wymienienia Moralltacha na Fragaracha?

Usta Manannána ułożyły się w małą, czarną dziurę zdziwienia, nim odchrząknął, żeby to zatuszować.

– Cóż, tak poważna sprawa wymagałaby przemyślenia...

Do tego nie mogłem dopuścić. Ktoś go przekona na nie.

– Moralltach to miecz, który zabił Thora. Jego sława znacznie przerosła Fragaracha. Zyskałbyś na tym całe buszle punkcików wśród żadnych krwi typków.

– Hm. Dobrze mieć ich po swojej stronie – przyznał Manannán.

– Gwarantuję ci też, że gdy będę miał Fragaracha, życie stanie się ciekawsze. Manannán Mac Lir prychnął ubawiony.

– To ci się udał argument. Dobrze więc. Strach pomyśleć, co na to powie Brighid, jak się dowie, ale niech to licho. W końcu to mój miecz i mogę z nim robić,

co zechcę. I niech szlag trafi wszystkie te Kiszone Śledzie. Wracajmy. Wymienimy miecze i po sprawie. Ale ani słowa o tym, póki jesteście w Tír na nÓg, chłopcze. Ktokolwiek nas podsłuchuje, nie zorientuje się przez wiele dni, żeśmy się zamienili. A ty wracaj splatać swoją uczennicę z ziemią.

Uśmiechnąłem się do niego wesoło.

– Jesteś moim ulubionym bogiem morza i wiesz o tym.

– Iii tam. Zabieraj ten swój nos z mojej dupy. Tylko żeby życie było takie interesujące, jak obiecałeś, zrozumiano?

Rozdział 13

Trudno mi było się nie uśmiechać szeroko jak przeciętny geek na konwencji Trekkie, gdy przenosiłem się z Tír na nÓg z Fragarachem w pochwie.

Znów go miałem. Po długich dwunastu latach znów go miałem! I tym razem wcale nie musiałem go kraść, bo podarował mi go jeden z Tuatha Dé Danann!

Ogarnęła mnie taka euforia, że aż mi się kręciło w głowie. Miałem ochotę piszczeć jak byle fan, bo znów czułem się supercool – niemożliwie, nieludzko cool, niczym sam Laurence Fucking Fishburne – ale oczywiście zdusiłem tę chęć, bo gdybym naprawdę pisnął, tobym już nie był cool.

– Dlaczego się trzęsiesz? – zaniepokoiła się Granuaile. – Zimno ci?

– A. Nie. Yyy. Nadmiar energii. Radość z tego, że zaczynam od nowa. – Żeby się jakoś uspokoić, opowiedziałem Granuaile tę dziwną historię powstania mrocznych elfów i w jaki sposób będziemy musieli z nimi walczyć, jeśli kiedykolwiek do tego dojdzie. Nie zatrzymywać się, ataki z boku i za wszelką cenę mieć cały czas zamknięte usta.

– A nos i uszy?

– Nie wydaje mi się, żeby te otwory im jakoś pomagały. Gdy tylko się materializują, mają ciało i krew, a kości czaszki przecięłyby im ręce. Jeśli są w stanie znieść to, żeby cię zabić, to rzeczywiście trzeba by się martwić i o te dziury... W każdym razie w gardle są same miękkie tkanki. Samym zmaterializowaniem się rozdierają ci szczęki, miażdżą mięśnie i rozrywają przełyk. A gdy potem wyciągają ramię, już po gardle.

Granuaile przełknęła ślinę i odruchowo złapała się za szyję.

– Dzięki za wizualizację.

Znów wylądowaliśmy na wydętych spódnicach Olimpu, ale tym razem po jego zachodniej stronie. Nie musieliśmy już szukać odpowiedniego miejsca, gdyż Olimpia wiedziała, czego nam trzeba, i z chęcią poprowadziła nas do kryjówki idealnej do splatania Granuaile. Była to jaskinia podobna do tej na wschodnim zboczu, także zasłonięta krzakami głogu i położona z trzydziści metrów od małego strumienia, który będzie nam dostarczał wody. Sklepienie jaskini było tym razem niżej, nie była ona równie głęboka i wygodna jak poprzednia i jakiś mały futrzak zostawił w niej całkiem sporo bobków, ale się nadawała. Ustaliliśmy trasy do patrolowania dla Oberona oraz ścieżki ewakuacyjne, a potem wyczyściliśmy jaskinię. Połączenie się z Gają nie zajęło tym razem dużo czasu, bo nas oczekiwała, i już po chwili znów kłutem Granuaile kolcem, jakbyśmy w ogóle nie mieli żadnej przymusowej przerwy.

Współczesne pistolety do tatuaży nakłuwają skórę około 80–120 razy na sekundę. Mnie udawało się wkłuwać kolce może raz na sekundę. Końcówka była zaostzona i utwardzona splotem, ale i tak był to proces niezwykle powolny i krwawy. A do tego miałem problemy z koncentracją.

Bo tego. Bo wiecie.

Naga noga Granuaile.

Pod moimi palcami.

Istnieje całe mnóstwo trików ułatwiających okiełznanie libido – myślenie o baseballu na przykład – ale jako że w grę wchodziły uda, była to walka bez końca. Gładkie, kształtne uda, które wyginały się i... oż, cholera. Aż w końcu doszliśmy tak wysoko, że musiała zdjąć spodenki.

Ja wiem, że artyści tatuażu nawet takich rzeczy nie zauważają. Kiedy pracują, ciało jest dla nich tylko płótnem, które trzeba zakrwawić i zatuszować. Tylko że ja nie byłem steranym artystą tatuażu, a Granuaile nie była dla mnie płótnem. To był raczej mój święty Grrr-al (wymawiać z tym charakterystycznym szkockim „r”).

Chciała od razu przy okazji zdjąć bieliznę, ale ją powstrzymałem.

– Nie zdejmuj – powiedziałem, w duchu błagając dalejlamę o wsparcie w odrzucaniu ziemskich pokus. Granuaile była przecież wciąż moją uczennicą.

– Dlaczego? Przecież i tak je będę musiała potem zdjąć.

– Nie, jakoś je ominiemy.

– To czyste wariactwo. Przecież mi się całe zapaćkają krwią. – Uniosła pupę z podłogi jaskini i włożyła sobie kciuki po obu stronach majtek. Zsunęła je nieco, ukazując tę piękną płaską przestrzeń w dolinie między biodrami, prowadzącą w dół ku... Bogowie!

– Kupię ci nową parę. Obiecuję. Tylko. Błagam. Nie zdejmuj ich.

– Aha. Rozumiem. – Jej głos był zupełnie bezbarwny, gdy kładła się z powrotem, a potem odwróciła plecami do mnie. – Nadal udajesz.

Nieco urażony tym oskarżeniem odparłem:

– Niczego nie udaję. Zawsze stawiałem sprawę jasno. Relacje między nami muszą pozostać czysto zawodowej natury.

– Jasne. Powtarzaj to sobie, ile ci się żywnie podoba. Tylko już naprawdę nie możesz dłużej udawać, Atticusie, więc przestań, dobra? Dobrze wiesz, że obydwójce czujemy coś znacznie więcej.

– Nie możemy czuć więcej, Granuaile. Ja nie mogę.

– A co się stanie, gdy już zostanę w pełni spleciona? Czy wtedy będę mogła robić, co mi się będzie podobało?

– Z technicznego punktu widzenia tak. Ziemia rozpozna cię jako druida i odpowie na twoje wołania. Będziesz mogła iść, gdzie zechcesz. Zwykle nowi druidzi pozostają jednak przez jakiś czas ze swoimi archdruidami, żeby nauczyć się porządnie podróżować między krainami i po nich.

Odwróciła się, żeby na mnie spojrzeć. Minę miała groźną. Nagle uderzyła mnie mocno w ramię.

– Au!

– Jesteś taki tępy. I chcesz być tępy! Jak na człowieka, który widzi powiązania między żywymi istotami, jesteś wybitnie ślepy na swoje własne. Filtrujesz swoją wizję, żeby widzieć tylko to, co chcesz, czy jak?

Panika zalała mój płat czołowy i zamarłem, choć Granuaile zobaczyła tylko, że szczęka mi lekko opada. Miała rację – filtrowałem dość intensywnie. Widziałem tylko to, czego Gaja potrzebowała podczas splatania. I nagle zrozumiałem, że to słaba wymówka.

– Yyy – powiedziałem bystrze.

Prawda była taka, że mogłem spojrzeć na Granuaile w magicznym spektrum w

każdej chwili w ciągu tych ostatnich dwunastu lat, ale tego nie robiłem, chyba że musiałem ją czegoś nauczyć. A nawet gdy już na nią patrzyłem, odfiltrowywałem wszystko, co nie dotyczyło danego zadania, zupełnie tak jak teraz przy tatuowaniu. Tak, było to psychologiczne wyparcie, proste i skuteczne.

Gdy teraz usunąłem klapki z oczu i spojrzałem na emocjonalne więzi między nami, od razu wiedziałem dobrze, co widzę. Znałem już te węzły. Część z nich oznaczała pożądanie. A część, te, których nie śmiałem sprawdzać ze strachu, że ich tam nie będzie, oznaczały miłość.

Granuaile też je już teraz widziała i nie potrzebowała moich wyjaśnień, żeby się domyślić, co one oznaczają. Miała rację. Nie mogłem już dłużej udawać.

Mogłem natomiast czuć się jak skończony kretyn. Znowu.

Straciłem już rachubę, ile razy tak się czułem w związku. Jakimś cudem, choć miałem przecież znacznie więcej doświadczenia niż ktokolwiek inny, nigdy jakoś się nie nauczyłem, jak się tak nie poczuć. To jak zamawianie czegokolwiek średniego w kinie – ten nastoletni pracownik zawsze, ale to zawsze zapyta cię, czy nie chcesz dużej porcji za dodatkowe pięćdziesiąt centów. Nawet jeśli zawczasu poprosisz go grzecznie, żeby nie próbował ci wciskać tej dużej porcji, to i tak to zrobi, bo słowo „średni” włącza automatyczną reakcję w jego mózgu. I z zakochiwaniem się jest podobnie. Zawsze się w pewnym momencie człowiek czuje jak kretyn, nawet jeśli wie, że to się stanie i że nie da się tego uniknąć.

Nim zdołałem wykrztusić coś więcej niż żalostną monosylabę, do mojej głowy wbił się głos Oberona.

<Atticusie, w waszym kierunku idą trzy kobiety i mężczyzna w bieli. I mają te jakieś srytytyty, o których mi opowiadałeś>.

Znaczy się tyrsy?

<O, toto. Mówią w jakimś nieznanym mi języku i ich zęby wyglądają na ostre>.

Panika chwyciła mnie za gardło. Namierzyły nas bachantki.

Rozdział 14

Słuchaj, chłopie. Oni są superniebezpieczni. Dzięki za ostrzeżenie. Padnij, gdziekolwiek jesteś, i ani drgnij. Nie walcz z nimi, nie śledź ich i nie odzywaj się więcej do mnie, póki ja nie nawiążę kontaktu. Rozumiesz?

<Kumam. To ja się zdrzemnę>.

Doskonały plan. Bez odbioru.

Granuaile od razu zobaczyła po mojej minie, że coś się stało.

– Co jest? – spytała.

Nim jej odpowiedziałem, wysłałem pośpieszne błaganie do Olimpji.

//Ukryć druidów / Niebezpieczeństwo//

//Ukryci//

– Natychmiast wyłącz magiczny wzrok. Rozłącz się z Gają i włóż spodnie.

Musimy przerwać.

– Znowu?

– Tak. Nie pobieraj mocy z ziemi. Żadnej. Odłóż kulkę od Olimpji, jeśli tak wolisz. Ale żadnej magii.

Kulka zaszurała na kamiennej podłodze, gdy Granuaile wykonała moje polecenie.

– Dobra. Powiedz mi, co się dzieje.

– Oberon widział bachantki. One umieją wywęszyć magię, a już są blisko.

– Jak się niby wywachuje magię?

Zniżyłem głos.

– Sam nie wiedziałem, że to w ogóle możliwe, dopóki nie musiałem z nimi walczyć krótko po tym, jak cię poznałem. Pamiętasz, jak wtedy w Scottsdale Laksha mi z nimi pomagała? Stałem wtedy nieruchomo, zakamuflowany, i była ciemna noc. Powinienem być nie do namierzenia, tak? Ale jedna z bachantek wzięła głęboki wdech i z drugiego końca parkingu podeszła prosto do mnie. Rozmawialiśmy. Nie skupiła na mnie wzroku, ale bez wątpienia wiedziała, gdzie jestem. Smród mojego ciała przecież nie jest aż tak paskudny, nie? To co wyczuła? Mój kamuflaż.

– Czyli tu ściągnął je nam zapach naszego rytuału splatania?

– Tak.

Ułożyliśmy się płasko na brzuchach, żeby mieć widok na strumień i las pod naszą małą jaskinią. Kątem oka zauważyłem białe błysnięcia na południu i ruchem głowy wskazałem je Granuaile.

Pojawiło się więcej białego. Białe fałdy powiewały na wietrze i płynęły przez listowie, a zwierzęta milkły przerażone. Nie słyhać było nic poza cichym szemraniem strumienia pod nami.

Powoli zaczęliśmy widzieć skórę odbijającą się na tle tej zjadliwej bieli. Ręce i głowy. Ciemne plątaniny włosów, ułożone przez samą boginię Elektrostatykę lub może rozbrykane kocięta, stanowiły chaotyczną ramę dla bladych, symetrycznych twarzy. Może i dla kogoś mogłyby być piękne, gdyby nie ich oczy – szkliste i zbrukane szaleństwem.

Trudno zresztą, żeby takie nie były. Tuż za trzema kobietami kroczył sam Bachus, pan szaleństwa. W przeciwieństwie do tego, jak wyglądał poprzednim razem, teraz wydawał się spokojny i w pełni władz umysłowych. Więcej – wyglądał na świeżo wyszorowanego i nawilżonego, jakby wyłonił się właśnie z salonu piękności, a nie spędził kilka godzin na wędrówce przez pustkowia. Jego usta nie uśmiechały się, nie miały nawet kącików zwróconych ku górze, ale jednak biło od niego absolutne zadowolenie, a senne powieki świadczyły o obecności w niedalekiej przeszłości jakichś epikurejskich luksusów typowych dla tej androginicznej piękności opitej szlachetnym winem i nazartej serami o niewymawialnych nazwach. Gdy tak patrzyłem na niego, uświadomiłem sobie, że on zaznał przyjemności, których ja nigdy nie poznam, i zawiść ścisnęła mnie za gardło. Wielu zrobiłoby wszystko, by skosztować choć łyk tych epickich rozkoszy, których on próbował w swym nieśmiertelnym życiu. A gdy tylko zanurzyli w nich języki, czekała ich już wieczna niewola, bo gotowi byli znieść najgorszą torturę, by znów poczuć tę przyjemność. A jeśli Bachus odmawiał im jej na dłużej, odchodzili od zmysłów. Wychodziło na jedno – Bachus był czczony i służono mu z pokorą.

Pokusa niemyślenia, zwierzęcego błogostanu jest potężna. Zawsze nas wzywa w ten sam sposób jak krawędź klifu czy fale oceanu: „Skacz!”. To immanentna część naszej natury, wypełniona w równym stopniu potrzebą rozkoszy co niebezpieczeństwa. Lecz umysł wyszkolony w języku, nauczony wyłapywania subtelności i cieszenia się nimi, może się szybko znudzić takimi prostymi, bardziej przyziemnymi sprawami. Choć i w tym właśnie czai się wielkie niebezpieczeństwo – skłonność do wczuwania się w ból zawarty w słowach zachęca poetów do unikania prawdziwego życia, a zbyt namiętne umiłowanie ksiązek może zamknąć nas w klasztorze wzniesionym tam, gdzie powinna królować wolność. Już dawno temu postanowiłem, że – by zachować jasność umysłu wśród analfabetów i bezmyślnych – będę dbał w moim życiu o poezję. Ale i o pieprzenie. Że będę miał i to, i to, ale zawsze przestrzegając mądrej rady współczesnych reklam piwa, wzywających do rozsądku, kiedy się prowadzi. A bóg wina bardzo źle się prowadził.

Bachantki zatrzymały się przed wejściem do jaskini, ale nas nie widziały. Uniosły nosy do góry i wachały zapamiętałe. Jedna rzuciła łaciną, którą obydwójce z Granuaile znaliśmy dobrze.

– To było tu albo gdzieś blisko. Ale zniknęło.

Druga dodała:

– Jest jeszcze coś w powietrzu. Pożądanie. Może to jakaś magia seksualna.

– Ta zawsze jest najlepsza.

– Mmm. Panie mój, Bachusie, czy możemy tu odpocząć? Jestem w nastroju.

Wzdrygnąłem się. Jej nastrój, jeśli tylko nietrzymany na wodzy, zabije nas obydwójce. Mój amulet nie dawał mi absolutnie żadnej ochrony przeciw bachanaliom, a gdy bachantki już nas w nie wciągną, będziemy w ich mocy. Z całego serca liczyłem na to, że Bachusa boli głowa.

Nie bolała. Bolało go co innego.

– Nie. Nie możemy marnować czasu na rozrywki. Faun nie może przecież trzymać go tu wiecznie. Musimy kontynuować poszukiwania.

Bachantki jęknęły rozczarowane. Mało ich nie przedrzeźniłem, co by

oczywiście zdradziło naszą obecność, ale ugryzłem się w język i milczałem, póki nie zniknęli na północy i póki ptaki znów nie zaczęły świergotać.

Unosząc palec do ust, szepnąłem do Granuaile:

– Uciekamy. Zabierz dowód tożsamości i broń. Resztę zostawiamy. Będziemy biec szybko, ale bez magii. Choćby nie wiem co, nie sięgaj po moc ziemi.

– Dobra – odszepnęła. – Ale zaraz będzie ciemno. Nie powinniśmy użyć noktowizji?

– Nie. To zaklęcie zostawi ślad, który wyczują. Mam inny pomysł.

Wymknęliśmy się z jaskini najciszej jak się dało, ale teraz, gdy już miałem pewność, że Olimpijczycy mnie szukają, nasze kroki wydały mi się nienaturalnie głośne. Żelazny amulet chronił mnie przed wywróceniem i Olimpijczycy pewnie nie wiedzieli dość o Granuaile czy Oberonie, żeby próbować namierzyć mnie przez nich, ale mimo to miałem wrażenie, że oczy Jowisza śledzą każdy mój ruch. Na wszelki wypadek wzniosłem do nieba środkowy palec.

– A to po co? – zainteresowała się Granuaile.

– Dla zasady – mruknąłem. – Znajdźmy Oberona i spadajmy stąd.

Pobiegliśmy na południe wzdłuż strumienia i dopiero z pół kilometra dalej udało nam się namierzyć Oberona. Nasze mentalne połączenie nie należało chyba do specjalnie mocnej magii, ale pewnie jakaś cisza radiowa by się jednak przydała, bo może i to dało się wywęszyć.

Oberonie? Jesteśmy przy strumieniu i idziemy na południe. Zejdź tu do nas, proszę.

<Się robi, Atticusie! Idziemy na kolację?>

Niestety nie. Musimy zniknąć stąd, i to w stylu ninjowym. Nie powinniśmy też za dużo rozmawiać, na wypadek gdyby dało się nas przez to namierzyć.

<Przyjąłem. Widzimy się zaraz>.

Oberon dołączył do nas już po chwili, wesoło wymachując ogonem.

Uśmiechnąłem się i pogłaskałem go, a do Granuaile szepnąłem:

– Teraz pojedziesz na oklep.

– Niby na czym?

– Na mnie. Kiedy jestem jeleniem, całkiem nieźle widzę po ciemku nawet bez noktowizji.

– Przemiana nie wyda przypadkiem naszego położenia?

– Być może. Ale to jednorazowe zaklęcie, a gdy tylko już je rzucę, wygalopujemy stąd co jeleń wyskoczy. – Zdjąłem Fragaracha i podałem jej go, potem odwróciłem się i zacząłem rozbierać.

– Mam ci przypomnieć, żebyś nie zdejmował bielizny? – spytała.

– Mogłabyś, gdybym w ogóle ją miał.

Przekształciłem się sprawnie w jelenia, gdy tylko dzinsy spadły mi z bioder. Granuaile wskoczyła mi na plecy z Fragarachem na ramieniu i kijem w prawej dłoni. Nie miałem żadnej grzywy, której mogłaby się złapać, więc pochyliła się i złapała mnie za szyję, a potem powiedziała, że już jest gotowa.

Pogalopowałem na wschód w takim tempie, które – jak mi się wydawało – mogłem utrzymać przez dłuższą chwilę bez większego zmęczenia. W końcu będę musiał pobrać trochę energii ziemi, żeby tak biec, ale zamiast cały czas ciągnąć

odrobinę, lepiej chyba będzie, jeśli pobiorę raz większy zapas albo nawet w ogóle żadnego, jeśli tylko dam radę. Prawdę powiedziawszy, bardzo wątpiłem, żeby udało im się wyczuć spalanie moich własnych zapasów energii, ale na wszelki wypadek zmniejszyłem to do minimum.

Długa ucieczka z olimpijskiego pustkowiecia dała nam obojgu dużo czasu na przemyślenia. W takich sytuacjach zwykle rozmawiam z duchem mojego archdruida, którego ostry język i surowe zachowanie są wciąż żywe w mej pamięci. Zawsze sobie myślałem, że lepsze już to niż gadanie do samego siebie, i naprawdę było trochę tak, jakbym odwiedzał przy tym inną głowę. Mój archdruid miał wyjątkowy talent do rozkładania skomplikowanych problemów na proste rozwiązania. Nie zawsze się z nim zgadzałem, ale jego sposób myślenia czasami bardzo się przydawał. Tym razem zwierzyłem mu się więc z mojej niemożliwej relacji z Granuaile i świeżo odkrytego dowodu na to, że cała ta szopka z Olimpem jednak była po prostu pułapką zastawioną na mnie. Pułapką, z której nadal nie umknęliśmy.

– Jeśli uciekniecie – rzekł archdruid – parz się z panną, kiedy tylko się da. Już i tak nie możesz jej uczyć, a zresztą i tak zaraz umrzecie.

– Obawiam się, że przemawiasz zdesperowanym głosem mojego libido – zauważyłem. – Więc to zignoruję. Moim zdaniem najbezpieczniejszym wyjściem z sytuacji jest uciec i dać na przeczekanie.

– Znowu zaczynasz – gderał archdruid. – Do myślenia używaj mózgu, a nie okrzężnicy. Wydaje ci się, że myślisz, bo się narobisz jak dziki, ale od tego stękania gówna tylko wyciskasz. Co ci da uciekanie, chłopcze? Pokażesz tylko swojej uczennicy, że żaden z ciebie wojownik i że aby pokonać druida, wystarczy mu utrudnić życie. A poza tym musisz przecież jeszcze pomóc bogom nordyckim, tak im obiecałeś. Nie możesz się teraz wybrać na wakacje do Mag Mell, skoro tu, po ziemi, lata Loki i tylko kombinuje, jak ją spalić.

– To co proponujesz?

– Porozbijaj kilka czerepów, chłopcze! Przejdź do ofensywy! Dowiedz się, co tu się tak naprawdę dzieje!

Takiej rady nie dało się zignorować. Działo się z pewnością o wiele więcej, niż ktokolwiek z Tír na nÓg chciał przyznać. Dwaj rzymscy bogowie zmówili się przeciwko mnie, przy czym niewykluczone, że współpracowali z mrocznymi elfami, wampirami i jakimiś potężnymi członkami Tuatha Dé Danann. Nikt nie zgłosił się na ochotnika, żeby mi wyjaśnić tę sytuację. Musimy sami przycisnąć kogo trzeba.

Rozdział 15

Jednym z dziwów typowych dla sklepów sportowych jest to bogactwo stali i linii prostych. Atmosfera wokół jest zawsze twarda i fluorescencyjna, bo na jakimś etapie planowania scenerii szef wszedł i powiedział: „Że co? Okien wam się zachciało? Światła słońca i blasku księżycy? Po moim trupie”.

Gdyby przyroda była Czerwonym Kapturkiem, a sklepy sportowe Złym Wilkiem, przyroda powiedziałyby:

– Babciu, a dlaczego ty masz takie ładnie ułożone rzędkie syntetycznych produktów?

Na co sklep by odpowiedział:

– Żeby cię lepiej zdominować, wnuczusiu.

Ludzie niby wchodzą do sklepów sportowych, żeby się przygotować na zbliżenie do przyrody, ale tak naprawdę robią coś dokładnie odwrotnego za każdym razem, kiedy kupują kolejny plastikowy gadżet.

A jednak jeśli akurat chcesz wypaść przed jakimiś bachantkami i ich szefem na Rambo rodem z epoki brązu, w sklepie sportowym znajdziesz całą masę rzeczy przydatnych do organizowania pułapek. Liny. Sznury. Siatki. Najróżniejszego rodzaju ostre szpikulce zdatne do rzucania i dźgania.

Ale żeby mieć naprawdę dobry wybór, musisz wyprawić się do większego miasta, pełnego ludzi, którzy są gotowi kupić wszystko, byle być bliżej natury. I dlatego właśnie postanowiliśmy jechać z Granuaile do sklepu w Salonikach, dużym mieście portowym na północ od Olimpu. Chcieliśmy przejrzeć tam dział przyrządów ostrych zaprojektowanych z myślą o zabijaniu i patroszeniu wszystkich tych zwierząt, które tak kochają ludzie. Moja hipoteza była taka, że ktoś musi przecież produkować noże z brązu lub wszelkiego materiału innego niż stal i że jeśli zbierzemy takich narzędzi dość, mamy nawet szansę poradzić sobie z kilkoma bachantkami.

Z olimpijskiej głuszy wyłoniliśmy się w okolicy wsi Petry i tam wynajęliśmy samochód, żeby dojechać aż do Salonik. Na miejsce dotarliśmy w porze kolacji i wzięliśmy sobie pokój w hotelu, żeby się jako tako domyć. Przyciąłem sobie brodę, która po tygodniach zaniedbania zrobiła się nieco krzaczasta, i od razu poczułem się lepiej bez włosów na szyi. Wystarczyło tylko kilka minut surfowania po kanałach i namierzaliśmy stację ze starymi amerykańskimi filmami, więc Oberon był szczęśliwy. Zostawiliśmy go rozwalonego na małżeńskim łóżu. Oglądał sobie *Kiedy Harry poznał Sally*.

Spodoba ci się – powiedziałem mu na odchodnym. – *Potwierdzi twoje przekonanie, że ludzkie zwyczaje kopulacyjne są głupie.*

<Dowody prowadzą do raczej jednoznacznych wniosków, Atticusie. To nie jest przekonanie. To aksjomat. Z jego pomocą mógłbym przeprowadzać całe dochodzenia>.

Czyżby?

<Tylko czekaj, a zobaczysz. Pewnego dnia będę miał szczeniaki i posadzę je

przed sobą czy pod sobą i powiem im tak: „Atticus i Bystra Dziewczyna to ludzie. Ludzie mają zwyczaj kopulacyjny. Ludzkie zwyczaje kopulacyjne są głupie. Ergo: Patrzcie tylko, jak je zaraz zaczną. Q.e.d.”>.

Coś mi się wydaje, że to wnioszkowanie nie było najpoprawniejsze z punktu widzenia logiki, ale nie poddawaj się.

Moja uczennica i ja zjedliśmy kolację w dziwnej atmosferze, a niewypowiedziane słowa z jaskini pozostały niewypowiedziane i wisiały nad nami niczym dymki z komiksów, które ktoś wymazał. Trudno mi mówić za nią, ale ja czułem, że nasz osobisty dramat musi poczekać na bezpieczne dekoracje opery mydlanej stworzone wprost do wyrażania uczuć i tym podobnych. Już dwa razy przerwano nam splatanie jej z ziemią i nie zanosilo się na to, żeby ci, którzy chcieli nas zabić, mieli zaprzestać przerywania nam. Zbyt łatwo było nas namierzyć. Czas najwyższy zmienić lokalizację, co do tego zgadzaliśmy się obydwój. A jedynym sposobem na to było rozgryzienie, w jaki sposób Olimpijczycy – a w każdym razie Bachus – zdołali zastawić na nas tę pułapkę. I jak się z niej wydostać. Znow musielimy więc wrócić.

W sklepie sportowym nie obyło się bez kilku podejrzliwych spojrzeń. Ja miałem przy sobie Fragaracha, ale zakamuflowanego. Granuaile miała tylko „kij do chodzenia”. Ale sęk w tym, że nabyliśmy nieco więcej kołków do namiotów i egzotycznej broni ostrej, niż mogłoby się przydać na typowej wycieczce w góry.

Wszystkie te noże znajdowały się w dodatku w zamkniętej gablotce, więc musielimy poprosić sprzedawcę o pomoc. Niko – jak głosiła jego plakietka – był młodym chłopakiem po dwudziestce, dość przystojnym, niezwykle serdecznym dla Granuaile i chętnym do pomocy, jako że ja siedziałem cicho. Jego błąd polegał jednak na tym, że założył sobie, iż Granuaile nie ma żadnego pojęcia o nożach. Zresztą może się niesłusznie czepiam. Może tylko chciał wypaść na kompetentnego sprzedawcę, gdy prawil jej o wyważeniu, wadze i tym podobnych, ale wypadło to lekko upupiająco i wkurzyło mnie, mimo że nie było skierowane do mnie. Prawda była taka, że Granuaile już jakiś czas temu znacznie prześcignęła mnie w tej dziedzinie. Cela to miała w ogóle lepszego ode mnie, a przez dwanaście lat ćwiczyła wytrwale i ze świetnymi rezultatami.

Nie trzeba było długo czekać na dowód na to, że Granuaile podziela moją irytację. Uniosła jeden z noży, wykonała nim kilka zawijasów, które wyglądały na znacznie bardziej skomplikowane, niż w rzeczywistości były, obróciła się w prawo i cisnęła nim w tarczę do strzałek tuż za głową Nika, trafiając w samą dziesiątkę.

Niko już nie próbował nic więcej jej wyjaśniać.

Odwróciłem się, po części, żeby ukryć rozbawienie, po części, żeby wykonać rutynową kontrolę otoczenia. Wokół kłębili się klienci w ciężkim obuwiu. Wskaźnik flaneli był o wiele wyższy niż w innych miejscach, przy czym mam tu na myśli zarówno manekiny, jak i kupujących. Nikt jakoś chyba nie uważał tego za dziwny czy głupi pomysł.

Para klaunów z białymi makijażami i czerwonymi nosami prowadziła jakąś ożywioną dyskusję nad dwoma zwojami liny. Ich poważne miny nie pasowały do krzykliwych uśmiechów wymalowanych na ich twarzach i wielkich, kolorowych peruk. O cóż takiego mogli się kłócić? Czy jedna lina jest z natury śmieszniejsza niż

druga?

W ogóle sama ich obecność tutaj była nieco dziwna, ale to jakoś na nas z Granuaile skupiły się wszystkie spojrzenia. Mogłem oczywiście wyjaśnić to sobie na modłę Johnny'ego Bravo i założyć, że po prostu świetnie wyglądamy w dzinsach, ale moja wrodzona podejrzliwość nie pozwalała mi wyzbyć się złych przeczuć co do tego tłoku. Przerwałem zakupy Granuaile, żeby po staroirlandzku powiedzieć jej, że jeśliby miała potrzebę, może sięgać do moich zapasów magii z charmsa. Sformułowałem splot i pokazałem jej, jak z niego korzystać.

– Dzięki, sensei. – Uśmiechnęła się i dotknęła lekko mojego ramienia. Znacnie to uczucie, że powinniście się wzdrygnąć, a zamiast tego się rumienicie i szlag by to trafił, dlaczego ci łapacze Diamondbacksów byli tacy beznadziejni w zeszłym roku...? Oj, tak. Nie było ze mną dobrze.

Granuaile wróciła do przeglądania broni Nika, a ja podjąłem wartę. W drzwiach mignęło mi coś białego. Była to biała flaga – zależnie od sytuacji symbol pokoju, rokowań lub kapitulacji. Mój wzrok zsunął się z flagi na dłoń w kolorze papieru, a stamtąd na czarny sportowy płaszcz i bladą twarz otoczoną prostymi włosami blond o tak jasnym odcieniu, że niemal białymi.

Był to Leif Helgarson, cały i zdrowy, to jest o tyle, o ile martwy facet może być zdrowy.

Natychmiast zmieniłem się w nerwową kupkę WTF, wyciągnąłem Fragaracha i zdjąłem kamuflaż, żeby mój były prawnik go widział. Granuaile usłyszała, że coś się dzieje, i obróciła się z kijem w lewej i nożem w prawej ręce.

– Atticusie, co... o cholera.

W rzeczy samej. Zauważywszy zmianę naszej mowy ciała z typowej dla klientów na typową dla bojowników, Niko zaczął od razu wołać ratunku. Poczułem lekkie pobranie mocy z niedźwiedziego charmsa, gdy Granuaile wymawiała słowa wywołujące magiczne widzenie.

Gdy ostatnim razem miałem wątpliwą przyjemność widzieć wampira Leifa Helgarsona, wyglądał na niezwykle zadowolonego, bo właśnie zrobił mnie w zabicie swego stwórcy, Zdenika, co pozwoliło mu odzyskać chwilowo utracone terytorium. Przy okazji mało nie zginął Oberon, że już o mnie nie wspomnę. Od tego czasu dbaliśmy o to, by się trzymać od siebie z daleka. Pomogło to, że przez mojego prawnika Hala Hauka poinformowałem Leifa, że rozplotę go na miejscu, gdy tylko go zobaczę.

No i właśnie go widziałem. Po dwunastoletniej przerwie. Wymachującego białą flagą w sklepie sportowym w Salonikach. Jak się dowiedział, że tu będę? Czego chciał? Na pierwsze pytanie sam sobie zaraz odpowiedziałem: nim nasze drogi się rozeszły, nałapał się całkiem sporo mojej krwi. Pewnie mógłby mnie znaleźć na końcu świata. Zacząłem wymawiać słowa rozplatania. Zobaczył, że moje usta się poruszają, i wiedział dobrze, co to znaczy.

– Atticusie, proszę. Nie jestem tu z własnej woli. – Zatrzymał się dwadzieścia metrów ode mnie, w połowie regału, na widoku, z rękoma uniesionymi wysoko. W prawej nadal trzymał flagę. W lewej miał komórkę.

Po mojej lewej pojawił się ochroniarz i zaczął na mnie wrzeszczeć po grecku, że mam opuścić broń. Nie odrywałem wzroku od Leifa. Wampir jednak oderwał swój

ode mnie i przemówił do ochroniarza w tutejszej mowie.

– Proszę pana? Proszę tu na mnie spojrzeć. – I w końcu ochroniarz spojrział, a wtedy Leif rzucił na niego urok. – Pójdiesz w najdalszy kąt sklepu, twarzą do ściany, tam się zsikasz. Zostaniesz tam przez godzinę nieruchomo.

Ochroniarz oddalił się posłusznie. Za mną Niko oddychał szybko i panicznie, ale już nie wołał o pomoc.

Klienci w pobliżu doszli do wniosku, że to naprawdę nie ich sprawa, i przypominali sobie zbiorowo, że zostawili musakę w piekarniku.

Zapewniwszy sobie chwilę spokoju na rozmowę, Leif powiedział:

– Zostałem zmuszony do służenia wampirowi Theophilusowi.

– Od kiedy? – spytałem.

– Od chwili, kiedy obwieściłeś wszem i wobec swoją obecność w Grecji za pomocą rozplecenia wampira w Litochoro. – Zamachał komórką. – To telefon jednorazowego użytku. On chce z tobą porozmawiać. – Zaczął powoli przykucać, ale mówił dalej. – Nie wierz w nic, co powie na mój temat. Wcale nie jestem chętny. Zaraz zadzwoni. Strzeż się, Atticusie. Jesteś przeznaczony na odstrzał jako jedyna istota, której on się boi.

Leif pchnął telefon w moją stronę po twardym linoleum. Komórka zatrzymała się przy moim sandale. Nie pochyliłem się, żeby ją podnieść.

– Postaram się ostrzec cię, jeśli będę mógł. Szekspirem. Być może naprawię przeszłość. Muszę już iść, bo jestem obserwowany.

– Obserwowany? Przez kogo? Skąd?

Nie odpowiedział. Wstał i wycofał się z rękami w górze. Patrzyłem, jak wychodzi. Gdy był już w progu, u moich stóp rozdzwonił się telefon.

– Granuaile, wskakuj za kasę. Wszystkie noże są twoje, rozumiano?

Usłyszałem tylko, jak moja uczennica warczy:

– Wszystkie wasze baza są należą do nas, Niko. – Pamiętne te słowa rzuciła po angielsku, ale Niko jakoś nie miał problemów z wyłapaniem ogólnego znaczenia.

– Tak! Tak! Są do was! – krzyknął. Biedaczek. Wyglądało na to, że dziewczyna, która jeszcze kilka minut temu wydawała się taka urocza i bezbronna, naprawdę wprawiła go w przerażenie.

– Lepiej by było, jakbyś zrobił sobie wolne na resztę wieczoru – dodała Granuaile już po grecku. – To i tak gówniana praca, nie?

Przykucnąłem, żeby podnieść telefon, a potem przesunąłem się na prawo, rozglądając się wokół. Klienci wychodzili pośpiesznie. Za nimi pędził Niko, jakby chciał pierwszy dopaść do drzwi. Grubszy materiał na menedżera stał przy telefonie przy kasach i chyba dzwonił na policję. Kłauuny tak były zajęte kłótnią o linę, że przegapiły całe zajście.

Wcisnąłem „odbierz” na komórce. Moje ucho zalał męski tenor ciężki od arogancji, jakby mój rozmówca chciał dostać rolę w *Ojcu chrzestnym wszystkich dupków*. Mówił po łacinie.

– Dziękuję, że raczyłeś odebrać. Czy rozmawiam z druidem?

– Czego chcesz?

– Chcę być uprzejmy. Jako że udało ci się tak długo przeżyć, sądzę, że cenisz sobie żywot i docenisz ofertę przedłużenia go w nieskończoność.

– Zaraz wysłucham twojej oferty. Skoro jesteś w takich uprzejmych nastrojach, to się przedstaw.

– Jestem Theophilus. Tuszę, że twój przyjaciel, pan Helgarson, wspomniał ci o mnie.

– Nie jest moim przyjacielem.

– Ach. To być może dlatego tak chętnie pomógł mi cię zlokalizować.

Zignorowałem to. Nie zamierzałem grać w ich mentalne gierki. Obydwaj byli moimi wrogami.

– Opowiedz mi o Rzymianach – powiedziałem. – Tych starych, których kontrolowaliście.

– Ach! Pradawne dzieje.

– Pradawne i nieopowiedziane. Opowiedz mi o nich teraz. Z uprzejmości.

Theophilus westchnął mi prosto do ucha, co tak bardzo przypominało zachowanie Leifa. On też tak dramatycznie wdychał. To pewnie coś, co robią wampiry, żeby sobie przypomnieć, jak to jest oddychać.

Nie zamierzałem zmarnować tej szansy na dowiedzenie się czegoś o rzymskiej kampanii przeciw druidom, jako że to mogła być jedyna taka okazja. Nim wyruszyliśmy do Asgardu, Leif zdradził mi, że Theophilus jest najstarszym znanym mu wampirem. Choć Leif był dość wiekowy, narodził się długo po tym, jak druidzi zostali niemal wycięci w pień, nie mógł mi więc odpowiedzieć na pytania dotyczące tamtego okresu. Theophilus jednak musiał już działać, gdy Rzym parł na północ i ciągnął ze sobą wampiry.

– Cóż tu opowiadać? Chcieliśmy poszerzyć swoje terytorium, więc poszerzyliśmy je na grzbiecie Cezara.

– Ale dlaczego wybiliście druidów? Przecież na was nie polowali.

– Nie, nie polowaliście, ale mieliście ten irytujący zwyczaj rozplatania nas bez względu na naszą moc. To trochę niesprawiedliwe.

– Niesprawiedliwe to jest palenie całych gajów i dźganie ludzi dwoma tuzinami włóczy.

– Przecież jeden tuzin by nie zadziałał. Jesteście dobrzy w gojeniu ran.

– Czyli ty za tym stałeś?

– Nie mogę przypisywać sobie całej zasługi.

– Znaczący winy?

– Jak tam uważasz. Zaangażowanych w ten proces było więcej osób. Ale pomysł był mój. O tak, to był piękny projekt. Pogrom druidów, by wampiry mogły swobodnie rozprzestrzeniać się po całym świecie. I zadziałało. Nie w stu procentach oczywiście, bo oto rozmawiam właśnie z tobą, ale jednak rezultaty były oszałamiające. Nas jest teraz wielu, a ty tylko jeden.

– Jeden z was na każde sto tysięcy ludzi, czy tak?

W pewny siebie dupkowaty ton wkradła się odrobina poirytowania.

– Czy pan Helgarson ci to powiedział?

Dwanaście lat temu Leif wspomniał coś o „układzie rzymskim”, ale nie widziałem potrzeby wyjaśniania tego Theophilusowi.

– To przedstaw mi tę swoją ofertę – zażądałem.

– Oferta jest bardzo prosta: pozwalam ci wyjść ze sklepu i dalej żyć.

Zasłużyłeś sobie na to. A ja lubię przypomnienie o tym, że nawet moja moc ma swoje granice.

– Nie, nie lubisz. Gdybyś to lubił, tobyś mnie teraz nie próbował zastraszyć jakimiś ofertami. Co takiego miałbym zrobić, żeby uzyskać twoje pozwolenie?

– Musisz obiecać mi, że nie będziesz już nigdy polował na wampiry i nie wyszkolisz więcej druidów.

– Nigdy nie polowałem na wampiry.

– To skąd ta kałuża w Litochoro?

– On mnie zaatakował. Chyba nie wiedział, kim jestem. Prosta samoobrona.

– Dobrze. Przyjmuję twoje słowo. Ale musisz zaprzestać szkolenia druidów.

– To nierozsądna prośba. Nie prosiłem cię przecież, żebyś zaprzestał tworzenia nowych wampirów.

– Nie jesteś w pozycji, by stawiać takie żądania.

– A jeśli się nie zgodzę, tak zresztą jak to przecież przewidujesz?

– W takim razie znów będzie pogrom. Choć bardzo mały tym razem, bo ty i twoja uczennica jesteście jedynymi celami.

Byłem pewien, że nie jest to prawdziwa oferta, więc postanowiłem sprawdzić jego blef.

– Dobra. Nie ma sprawy, Theophilus. Wchodzę.

– Słucham?

– Zgadzam się. Przyjmuję twoją ofertę.

– Przyjmujesz?

Zza lady z nożami usłyszałem krzyk Granuaile:

– Sensei, czy ty zauważyłeś ten cholerny zlot klaunów? Bo z ich aurami coś jest nie tak, tylko nie wiem, co to znaczy.

Zamrugalem i wtedy to zobaczyłem. Dwa klauny, które widziałem dotąd, okazały się w rzeczywistości tuzinem klaunów. Otoczyły nas. Włączywszy magiczny wzrok, zobaczyłem, że pod tym całym naleśnikowym makijażem kryją się spiczaste uszy, które sobie spłaszczyli albo schowali pod jakieś uszne protezy. A pod tymi tęczowymi perukami znajdowały się grube, długie czarne włosy. W luźnych ciuchach łatwo im było schować broń. A na to wszystko zarzucona była jakaś niebieskawa interferencja, jakiś rodzaj uroku, który pewnie zamydlił oczy Granuaile. Nie miała jeszcze dość doświadczenia, żeby sobie poradzić z takimi trikami. Nie były to klauny. Byli to Svartálfarowie, prawdziwe, żywe, mroczne elfy – w Midgardzie.

– Ty nasłałeś klauny? – rzuciłem w słuchawkę.

Theophilus zachichotał i się rozłączył. To by było na tyle, jeśli chodzi o jego ofertę. Cały ten telefon miał tylko odwrócić moją uwagę, żeby łatwiej im było nas otoczyć.

– Te klauny to mroczne elfy, Granuaile. Zabijaj lub giń. Do dzieła!

Rozdział 16

Mimo ostrzeżenia Manannána, że mroczne elfy chcą mnie dorwać, i nawet wyznania zabójcy faerycznego, że to one właśnie najęły tamtą bandę łotrów, jakoś nigdy nie wierzyłem, że rzeczywiście zobaczę je na własne oczy. Choć z drugiej strony, jeśli chcesz, żeby mroczne elfy złożyły ci wizytę w starym dobrym Midgardzie, to zrzucaj na nie wszystkie winy przez dobre piętnaście wieków – w końcu cię usłyszą.

Mroczne elfy miały prawo chcieć mi zwrócić mój karmiczny payback. Dwanaście lat temu, podczas mojej pierwszej wyprawy do Asgardu, ściągnąłem na nich wiele nieszczęścia przez tę moją grę w zrzucanie winy na innych. Rzuciłem tylko kilka kłamstw, żeby odwrócić uwagę nordyckiego panteonu od moich prawdziwych zamiarów, ale w wyniku moich działań Odyn przez jakiś czas naprawdę wierzył, że Svartálfarowie infiltrowali Asgard i byli częściowo odpowiedzialni za śmierć Norn. Doszły do mnie potem słuchy, że Odyn nie był zbyt delikatny, gdy postanowił ich zbesztać za domniemane winy, toteż mroczne elfy miały swoje powody, by teraz chcieć odpłacić mi pięknym za nadobne.

Tylko że nie wzięły pod uwagę mojej uczennicy. Skupieni na mnie, bo też i narobiłem nieco hałasu, wojownicy nie zauważyli nawet, kiedy Granuaile cisnęła trzy noże – pyk-pyk-pyk i już trzech z nich odpadło, nim sobie zdążyli choćby uświadomić, że walka właśnie się zaczęła. Ja zamachnąłem się Fragarachem na prawo (czyli od strony Granuaile patrząc, na jej godzinę trzecią) i zgodnie z moimi oczekiwaniami stojący tam klaun rozplątał się w powietrzu, a jego kostium opadł na podłogę wraz z masą farby do twarzy i kolorową peruką. Nie stałem i nie czekałem, żeby zobaczyć, gdzie i kiedy się znów raczy zmaterializować, tylko ciągnąłem dalej na pełnej prędkości zgodnie ze wskazówkami zegara.

Poczułem, że odpływa mi nieco mocy z niedźwiedziego charmsa, i spojrzałem jeszcze kątem oka na Granuaile, nim zniknęła mi za ścianką działową. Zdażyłem tylko stwierdzić, że wzięła sobie moją radę do serca i uwija się jak w ukropie. Wskoczyła na szklaną ladę z kijem w jednej i nożem w drugiej ręce, po czym rzuciła się w moją stronę, wybijając się tyłem, by przelecieć ponad ścianką.

Pierwsza moja myśl brzmiała: o bogowie, gdzie ona wyląduje? Ale zaraz zrozumiałem, że było to konieczne posunięcie. W jej stronę już sunęły kłęby dymu. Puste kostiumy klaunów przebijały swoją frekwencją nawet stroje flanelowe.

Skok Granuaile przyciągnął uwagę Svartálfarów zakradających się tuż za ścianką. Zamierzali przedymić się i zadźgać nas nożami od tyłu. Jako że jeden z nich właśnie patrzył na Granuaile zamiast na mnie, kiedy wypadłem zza rogu, nie zauważył Fragaracha i był zupełnie zmaterializowany, kiedy głównia wbiła się tam, gdzie powinien mieć wątrobę. Jego przedśmiertny wrzask odwrócił uwagę klauna, który zaczął się na Granuaile, a to z kolei pozwoliło jej wylądować niezdarnie, ale jednak bezpiecznie między wieszakami z okryciem krzykliwie kamuflującym.

– Tak trzymaj! – krzyknąłem. – Z flanki i z zaskoczenia!

Teraz już nie tylko ja krzychałem. Typ menedżeropodobny w przedniej części

sklepu już nie ograniczał się w swoich prośbach do pełnego napięcia szeptu – darł się w słuchawkę, żeby policja natychmiast ściągnęła tu broń co najmniej taką, jakiej użyto w Nakatomi Plaza. Potrzebował pomocy, i to natychmiast! Natychmiast, do cholery!

Rzuciłem się na klauna stojącego najbliżej Granuaile, a zza ścianki działowej za nią już wyciekał dym. Granuaile uciekła na tyły sklepu i zniknęła mi z oczu (zwłaszcza że potknąłem się i walnąłem twarzą w regał).

Od tyłu pchnął mnie tamten klaun, przez którego już raz przeciągnąłem miecz – zdążył się już zmaterializować. Teraz, gdy leżałem, wskoczył na mnie i wbił mi nóż w plecy – a przynajmniej tak mu się zdawało. Odczułem to jako bolesne uszczypnięcie, ale jego czarny miecz dymny był najwyraźniej magicznej natury, bo moja aura wzmocniona w zimne żelazo po prostu nie wpuściła go do mojego ciała. Mimo to zawyłem, jakby mnie dźgnął, i opadłem na bok, przeciągając przy okazji Fragaracha z lewej strony na prawą. Elf wbił mi znów nóż, tym razem w brzuch, i wyszczerzył się dziko, zamierzając chyba jeszcze się upewnić, że umarłem. Odrąbałem mu łeb.

Klaun, którego chciałem przed chwilą dopaść, był teraz za mną. I usiłował mi poderznąć gardło. Zacharczałem i w dramatycznym geście chwyciłem się lewą ręką za gardło, a prawą machnąłem Fragarachem na oślep przez prawe ramię. Miecz trafił w coś, bo usłyszałem cichy jęk. Skopałem z siebie ciało mrocznego elfa, nim się jeszcze zmieniło w smołę, i wstałem zobaczyć tego, którego właśnie zabiłem. Zaciskał rękę na ramieniu i jeszcze nie przemienił się we mgłę. Mrugał rozpaczliwie pod grubą warstwą makijażu, który i tak miał sprawiać wrażenie rozpaczy.

– Oj. Smutny klaun jest smutny – powiedziałem.

Za nim kipiące chmury elfów zaczęły sunąć w pogoni za Granuaile. Usłyszałem huk rozbitego szkła gdzieś na tyłach sklepu. Miałem nadzieję, że nic jej nie jest. Zamachnąłem się mieczem i spuściłem go na smutnego klauna pewien, że przemieni się we mgłę, ale zrobił zwykły unik i przy okazji zaplątał się w wiszących na stojaku strojach kamuflujących. Nieco ubawiony tą sytuacją wbiłem mu miecz w serce. Wyglądało na to, że gdy elfy są ranne, nie umieją już przyjąć swojej mglistej postaci.

Ta egzekucja zwróciła uwagę Svartálfarów, którzy gonili Granuaile. Trzech z nich wyłoniło się z czarnej jak węgiel mgły i syknęło na mnie, szykując miecze. To mi nawet było na rękę. Im więcej z nich skupi się na mnie, tym bezpieczniejsza będzie Granuaile. Nie miała przecież takich samych magicznych zabezpieczeń co ja.

Wycofując się ostrożnie, wdepnąłem w pozostałości po pierwszym elfie.

– Fuuu. – Wzdrygnąłem się. – Wasz kumpel zmienił mnie w czarną stopę.

Jeden z nich przeklął mnie po staronordycku – wyzwał mnie od małowykowatych bękartów tej przegniłej cipy Hel, a ja wyraziłem w duchu słowa uznania, bo doprawdy w dzisiejszych czasach tak niewielu ludzi zadaje sobie jeszcze trud, by porządnie kogoś skląć – i już pędzili za mną. Odwróciłem się i pobiegłem na przód sklepu, tam, skąd przyszedłem. Za ścianką byłem znów blisko noży i regałów z akcesoriami kulinarno-kempingowymi – lodówkami przenośnymi, grillami, wędzarkami oraz odzianymi we flanelę manekinami przerzucającymi kotlety na tychże grillach. Tak byłem skupiony na szukaniu elfów na poziomie oczu, że linę

uwiązaną między dwoma stojakami zauważyłem dopiero, jak już mi podcięła nogi. Runąłem głową do przodu przed węglem i rozpałką w płynie, ale Fragaracha nie wypuściłem. Trzy goniące mnie elfy od razu rzuciły mi się na plecy i odkryły, że ich noże nie czynią mi większej krzywdy poza wywołaniem mojej niepomiernej irytacji.

Byli to szybcy, wyborowi zabójcy i wiedziałem, że raczej prędko dojdą do wniosku, iż gdybym nie był odporny na ich dymne noże, dawno bym już nie żył. A jako że znajdowaliśmy się akurat w dużej bliskości całkiem prawdziwych stalowych noży, uznałem, że najlepszym wyjściem będzie szybka ewakuacja.

Oni jednak nie mieli w planach dać mi uciec. Próbowaliśmy się im wyrwać, ale tym zażarciej usiłowali przycisnąć mnie do podłogi, zupełnie już nie próbując mnie dźgać niczym, tylko jakby skupiając się na utrzymaniu mnie w jednym miejscu. To musiało oznaczać, że mają wobec mnie jakieś inne zamiary. Udało mi się odwrócić głowę na tyle, żeby zobaczyć, że dwoje innych Svartálfarów kombinuje coś przy regale z grillami. Jedna z nich (bo jak stwierdziłem teraz, była to kobieta) otworzyła puszkę z podpałką w płynie, po czym wylała jej zawartość na swojego nagiego partnera. Gdy wylała ostatnie kilka kropel na jego ramiona, podała zalanemu elfowi zapalniczkę i po staronordycku powiedziała mu, że jest gotów.

Gotów na co?

Odpowiedź stała się przerażająco jasna już po chwili. Z uśmiechem tak szalonym, że nikt by w życiu nie uwierzył, iż takie w ogóle istnieją poza kreskówkami, póki by go nie zobaczył na własne oczy, przemoczony mroczny elf pobiegł prosto na mnie i dokonał samopodpalenia. Płomień nie zdołał objąć całego jego ciała, ale też nie na tym polegał ich przewrotny plan. Przewrotny plan polegał na tym, żeby rzucić się w moją stronę, a potem zmienić we mgłę w ostatniej chwili, żeby płynny ogień zalał tylko mnie. I dokładnie to wykonał elf, a te dranie, które mnie przytrzymały, nie zmieniły się w dym, póki nie miały pewności, że ogień na pewno mnie zaleje. A ta dziewczyna, która go uczynnie olała? Pobiegła tuż za nim z kilkoma dodatkowymi puszkami podpałki i opryskała mnie nią, jakbym był jej osobistym grillem.

(Dziennik Druida, 15 lipca: mroczne elfy są nie tylko szybkimi i sprawnymi mordercami, ale wykazują również wielką pomysłowość i talenty pirotechniczne).

Kiedy byłem piękny i młody, zdarzało się, że ludziom przychodziło do głowy, by mnie spalić na stosie – mówię tu o czasach, kiedy każdy tatuaż równał się „on spisał duszę cortowi!” – ale nigdy nie zagrzałem nigdzie miejsca na tyle długo, żeby się to komuś udało. Byłem jednak świadkiem kilku spaleń na stosie. Zwykle wcale nie dotyczyły one wiedźm, ale jakichś biedaków, których całym przestępstwem było to, że urodzili się gejami albo mieli trzeci sutek czy jakieś znamię. Ich wrzaski były okropne i nie przypominały żadnych innych okrzyków bólu, jakie kiedykolwiek słyszałem. Prawda jest taka, że „spalenie żywcem” jest zupełnie nieadekwatnym określeniem na opisanie bólu, który wywołuje ten proces. Każdy nerw w skórze drze się, że nadeszła apokalipsa, i nie da się tego nijak zablokować, by odnaleźć znów spokój i ciszę. Tym razem nie był to ogień piekielny ani w żaden sposób magiczny – była to czysta chemia, a zatem mój amulet z zimnego żelaza nie stanowił żadnej ochrony.

Przetoczyłem się na prawą stronę, żeby zdusić płomień na tatuażach. Nie

mogłem sobie pozwolić na żadne uszczerbki w skórze w tym miejscu, bo to uniemożliwiłoby mi posługiwanie się magią. Aktywowałem charms uzdrawiający, żeby zacząć naprawiać i zastępować komórki, które już zapadały się jak styropian. Moja twarz i tors stały w ogniu, ale na szczęście nie moje nogi. Wycharczałem słowa rozplatające moją koszulę, gdy elfica lała jeszcze na mnie więcej paliwa. Syczący dźwięk, który wydają grille, gdy się je polewa, wcale nie jest taki zabawny, kiedy smażące się żeberka są częścią twojego ciała.

Straciłem zdolność podążania za wydarzeniami. Wiedziałem tylko, że jest jeszcze czworo elfów i że pewnie zaraz mnie wykończą, ale nie byłem w stanie myśleć o niczym innym poza gaszeniem ognia. I może jeszcze zaczerpnięciem powietrza, bo płomień na mojej twarzy wysysał cały tlen i dyszałem coraz ciężiej.

Czy to możliwe, że po przetrwaniu niemal 2100 lat teraz szczenę jako pochodnia mrocznych elfów w jakimś sklepie sportowym? Nerwy wrzeszczały, za nic mając moje próby ich uciszenia, mój cały lewy bok był w ogniu, a ja zdołałem tylko się unieść i pozwolić resztkom koszuli opaść na podłogę. Część płomieni opadła razem z nią, ale Svartálfica z puszkami podpałki nadal lała ją na mnie starannie, żeby ogień broń Boże nie przygasł. Warczący ryk, który słyszałem już od jakiegoś czasu, dobiegał chyba z mojego własnego gardła.

W moich uszach zahuczało pięć pyknięć jedno po drugim i elfy padły – w każdym razie pięć z nich. Ostatniemu udało się zadymić, nim Granuaile zdołała go dorwać, ale przynajmniej zwykły nóż, który trzymał w dłoni, opadł na podłogę.

– Na ziemię i tarzaj się, sensei! Mamy kilka sekund! – Biegła do mnie wzdłuż regału z grillami. W jednej ręce miała swój kij, a w drugiej... broń palną? Uznałem więc, że trzask szkła, który słyszałem przed chwilą, musiał oznaczać, że wyciągnęła ją z jakiejś gablotki.

Podłoga zasłana była mrocznymi elfami i było to wspaniałe zwycięstwo. Potoczyłem się po wykładzinie i szybko zorientowałem się, że nie dusi ognia najlepiej. Znacząco trochę dusiła, ale nie mogłem jakoś wygasić płomieni na twarzy i włosach, a bolało to tak okropnie, że nie byłem w stanie myśleć. Być może dlatego, że mój mózg skupiał się raczej na hipoksji. Granuaile wystrzeliła jeszcze kilka razy, pewnie polując na elfa, którego przeoczyła wcześniej, i nagle z nieba spłynął na nas deszcz flaneli. To pięknie zdusiło płomienie i dopiero wtedy zrozumiałem, że to Granuaile rozebrała kilka manekinów, żeby pomóc mi ugasić głowę w ogniu. Nigdy w życiu nie powiem już złego słowa o flaneli. Wreszcie mogłem wziąć haust powietrza i przynajmniej spróbować przestawić swój układ nerwowy na kontrolę manualną, zamiast zdawać się na autopilota instynktów.

– Dorwaliśmy ich wszystkich? – krzyknąłem spod czerwono-czarnej koszuli.

– Nie wiem. Rozglądam się właśnie! – odkrzyknęła Granuaile. – Ale na pewno dorwałam tego, który mi się przed chwilą wymknął.

Wreszcie wygaszony mogłem przynajmniej na tyle zdusić ból, żeby zdołać w ogóle pomyśleć.

– Musimy stąd zniknąć – powiedziałem odkrywczco, zrywając sobie koszulę z głowy. Odniosłem wrażenie, że odeszła razem ze skórą. – Plamy smoły. Nieludzie na kamerach. Wiesz, co tu się zaraz będzie działo.

Oczy Granuaile otworzyły się szerzej z przerażenia.

– Oj! Znikajmy.

Zbliżający się z oddali ryk syren zaakcentował tę myśl.

– Pomóż mi. – Wyciągnąłem prawą rękę, a ona chwyciła ją i podciągnęła mnie na nogi.

– Bogowie, Atticusie, twoja głowa... – Przerazenie na jej twarzy dało mi jasno do zrozumienia, że już nie jestem taki znowu przystojny.

– Jeśli wygląda tak źle, jak boli, to nie chcę wiedzieć. Musimy znaleźć jakieś miejsce, gdzie będę mógł dojsć do siebie. – Odwróciłem się do menedżera z apopleksją i po grecku krzyknąłem: – Uciekaj pan, jeśli panu życie miłe! I nie zapomnij o tym ochroniarzu w kącie sklepu! – Teraz to już jego sprawa, czy mnie posłucha, czy zignoruje moje ostrzeżenie. Ruszyłem w stronę drzwi. Moja skóra wciąż się gotowała, a pot ciekł każdym zdrowym porcem. – Kończy mi się magia. Mogę rzucić na nas kamuflaż, żebyśmy dali radę stąd wyjść, ale nie będę nawet próbował go podtrzymywać. Muszę się skupić na uzdrawianiu, jeśli ma się obyć bez blizn.

Na ulicach wyły już ohydne syreny. Menedżer biegł do drzwi gotów złożyć szczegółowe zeznanie na temat naszych skromnych osób. A na kamerach ochrony na pewno wszystko pięknie się nagrało. Pytanie brzmiało, czy Theophilus (lub Leif) mają zamiar dać policji dostęp do tego materiału.

W sumie to nie było jedyne pytanie. Dlaczego mroczne elfy w ogóle współpracowały z wampirami? Przecież to one miały jakoby stać za mordercami faerycznymi nasłanymi na nas wcześniej, czy to znaczy więc, że wampiry sprzymierzyły się z faeriami? I jakiemu mrocznemu elfowi strzeliło do głowy, że najlepszym przebraniem w Midgardzie będzie kostium klauna?

Tajemnice te musiały jednak poczekać na wyjaśnienie. Rzuciłem kamuflaż na nas obydwójce i magia w moim charmsie spadła niemal do zera. Dawałem jeszcze radę zduszać ból, ale nie zostało mi już nic na leczenie. Menedżer jęknął głucho, gdy zniknęliśmy nagle.

Popędziliśmy przez drzwi – smugi ruchu bez żadnego kształtu – i pobiegliśmy na lewo, w ulicę Kaisareias, kierując się na południowy wschód i wymijając ludzi, którzy nas nie widzieli, więc nawet się nie odsuwali. Niektórzy z nich wyczuli ruch – na sekundę zasrebrzyło się gdzieś powietrze – i zatrzymywali się, ale większość z nich nawet się nie domyślała, że stanowią przeszkody w slalomie ulicznym. Biegło mi się bardzo dziwnie – moja lewa strona w ogóle nie chciała się poruszać.

Po chwili wyłączyłem kamuflaż, żeby zachować smętne resztki magii, jakie mi zostały. Usłyszeliśmy klaksony, które nie należały do zbliżających się wozów policyjnych. Były to raczej takie klaksony, jakie się montuje na rowerach. I dzwonki. Gwizdanie. Śmiech dzieci. Słyszeliśmy też wrzaski paniki, gdy biegliliśmy tak pośród tłumu – na wpół spalony szalenic z mieczem i piękna dziewczyna z kijem i bronią automatyczną.

Źródło radości dzieci objawiło nam się na skrzyżowaniu z ulicą Vizyis, gdzie mało nie wpadliśmy w sam środek wielkiej parady klaunów – mrocznych klaunów o elfich uśmiechach widocznych w światłach ulicznych latarni. Nadciągały z parku, który ciągnął się pasem zieleni przez miasto. Przypadkiem lub celowo odcinali nas od najbliższego zasobu magicznej mocy.

Jednocześnie – w każdym razie niemal jednocześnie, co zresztą nie ma znaczenia – usłyszeliśmy wybuch za nami, czyli ktoś podłożył bombę pod sklep sportowy i zrobił to bardzo fachowo. Szedłem o zakład, że to Leif. Dobrze wiedział, że już opuściłem budynek, ale pewnie raczej ani menedżer, ani ochroniarz, którego zahipnotyzował Leif, nie zdołali uciec. Niewykluczone też przecież, że gdzieś w środku przycupnął jeszcze jakiś przerażony klient albo nawet inny pracownik sklepu.

Większość oczu zwróciła się teraz ku eksplozji, lecz niektóre, szczególnie te najbliższe nas, nie mogły jednak przegapić spalonego mężczyzny i wysportowanej kobiety biegnących przez ulicę. Szczególnie że mężczyzna miał miecz, co jest w Grecji nielegalne, a kobieta broń palną, co jest turbonielegalne, jako że Europa zupełnie nie ma czegoś takiego jak Druga Poprawka.

Wytykało nas coraz więcej palców, więc syknąłem na Granuaile, żeby biegła szybciej.

Kilku klaunów oderwało się od parady i goniło nas na rowerach, monocyklach i hulajnogach. Pozostałe popędziły w drugą stronę – ku sklepowi sportowemu i zbliżającej się policji.

Nagła eksplozja i rozsyпка parady klaunów zupełnie zdezorientowały gapiów i pchnęły część na krawędź paniki. Nikt nie wiedział, co się właściwie dzieje, ale klauny się nie uśmiechały, więc było jasne, że nie jest to już zabawa dla całej rodziny.

Paru klaunów wyciągnęło też czarne noże i wtedy ludzie zaczęli wrzeszczeć w panice (tak wielu ludzi tkwi w przekonaniu, że klauny są tak naprawdę złe, że to tylko potwierdziło ich podejrzenia), a gdy już się zaczął wrzask, rozpętało się prawdziwe pandemonium.

– Pandemonium! – powiedziałem. – To właśnie to.

– Nie opowiadaj – syknęła sarkastycznym tonem Granuaile.

– Wszystko ci opowiem, jeśli uda nam się to przeżyć. Musimy dotrzeć do tego pasa zieleni. Obiegnij te domy i zawracamy.

– Gdzie ci kolesie się ukrywali? – zastanawiała się na głos Granuaile. – Przecież nie przyjechali tu wprost z północnej krainy, nie? Musieli się tu gdzieś zatrzymać.

– Słuszne rozumowanie. Gdy tylko wampiry dowiedziały się, gdzie jesteśmy...

– Myślę, że to nie one, Atticusie. Myślę, że to mroczne elfy. Pamiętaj, że te dwa klauny były w sklepie od samego początku.

– Rzeczywiście.

Skręciliśmy w lewo i biegliliśmy teraz na północny wschód, ulicą Anatolikis Romylias. Szybko obejrzałem się przez ramię i stwierdziłem, że goni nas pięciu klaunów. Ale może w postaci mgły goniło nas ich więcej?

– Musieli podzwonić po kumplach i jakoś to na miejscu zorganizować.

– Niewykluczone – zgodziłem się. – Wampir, z którym rozmawiałem przez telefon, chciał, żebym myślał, że to Leif nas jakoś namierzył, co też jest możliwe. Pewnie umie mnie śledzić przez całą tę moją krew, co to jej się tyle napił.

– To nie jest miła myśl.

– No. Biegnij przodem. Tamci kolesie za nami nie powinni jeszcze wiedzieć, że jestem odporny na ich magiczne miecze. Jeśli zamierzają nas dźgnąć w plecy, to lepiej, żeby zaczęli ode mnie.

Granuaile wydłużyła krok i wyszła na prowadzenie. Obejrzałem się za siebie i usłyszałem metaliczny zgrzyt i jakieś uderzenia. Rowery i kostiumy klaunów leżały porzucone na rogu, a elfy goniły nas w postaci dymu. Teraz byłem już takim ekspertem od tych stworzeń, że wiedziałem, iż nie czynią tego, póki nie są gotowe do zabijania.

– Dodaj gazu! – krzyknąłem. – Doganiają nas.

Potem już nie było jak mówić, tak byłem zasapany. Musieliśmy biec bez magicznego paliwa i tak dotarliśmy do Pylaiais, gdzie skręciliśmy w lewo, z powrotem w stronę Vizyis. Biegłem zaraz za Granuaile, żeby ją sobą osłaniać.

Okazało się to rozsądnym pomysłem, bo nie przebiegliśmy nawet jednej trzeciej drogi do pierwszej przecznicy, gdy od mocnego ciosu nożem w plecy aż się potknąłem. Usiłowałem się skręcić przy upadku i zamachnąć mieczem, ale ciało miałem tak obolałe, że zdołałem tylko runąć jak długi na ziemię.

– Granuaile! Zakreconą dawaj!

Istniało oczywiście odpowiednie słowo po mandaryńsku na tę sekwencję ruchów kijem, ale Granuaile nigdy nie nauczyła się go dobrze wymawiać. Była tym tak sfrustrowana, że spytała, czy nie moglibyśmy nadać jej angielskiej nazwy, a ja przystałem na takie rozwiązanie, bo i tak uczyła się biedaczka trzech języków naraz. „Zakrecona” oznaczało po prostu, że Granuaile kręci swoim kijem bardzo szybko wokół siebie w pozycji obronnej – z przodu, z tyłu i po obu bokach. Nie była to pozycja nie do pokonania, ale jednak cholernie trudna i wymagała czasu do rozpracowania. A ja potrzebowałem go, by spróbować tego, czego powinienem był spróbować już wcześniej.

Granuaile zatrzymała się i zaczęła wywijać kijem wokół siebie, więc tylko ja byłem do dorwania. Svartálfarom nie brakowało odwagi, ale rozsądku tak. Jeden z nich zmaterializował się i od razu dostał od Granuaile kijem w łepetynę. Padł nieprzytomny, a czterech innych ucieleśniło się wokół mnie i dźgnęło mnie nożami. Zamachnąłem się rozpaczliwie i nawet udało mi się ściąć jednego, który był widać zbyt zaskoczony tym, że jego miecz nie zadziałał, bo nie zdążył się zmienić w dym. Pozostali jednak zadymili i na to właśnie liczyłem.

Fragarach zaopatrzone były w trzy zaklęcia, z czego dwa należało rzucić, a trzecie – zdolność przecinania każdej zbroi – włączało się samo z automatu. Od pierwszego z tych zaklęć „do rzucenia” pochodziła właśnie nazwa miecza „Odpowiadacz”, bo unieruchamiało ono przeciwnika i zmuszało go do prawdomównego odpowiadania na wszelkie pytania. Drugie zaklęcie – zdolność wzywania wiatrów – nie miało zbyt wielu praktycznych zastosowań, więc bardzo rzadko go używałem – ba! nawet o nim zwykle nie myślałem. Ostatni raz posłużyłem się nim dwanaście lat temu, przy Tony Cabin, żeby zwalić Aenghusa Óga z nóg. Oczywiście i tak nie miałem dostępu do Fragaracha przez większość tych dwunastu lat. Teraz jednak właśnie ono mogło mi się przydać. Wymówiłem słowa splotu i zwróciłem miecz w stronę ulicy. Zza moich pleców dmuchnął wiatr i przewiał mroczne elfy dobre pięćdziesiąt metrów, nim zdołały sobie przypomnieć, że mogą się przecieź ucieleścić i wtedy oprą się sile wiatru. Zawylem dziko, bo właśnie zużyłem ostatnią kroplę magii, i teraz już naprawdę czułem każdy zniszczony centymetr spalonej skóry.

Granuaile zrozumiała, co się stało, i chwyciła mnie za moje niepoparzone prawe ramię.

– Chodź, sensei – szepnęła. – To nam dało nieco przewagi. Nie marnujmy jej.

Poruszanie się wcale nie było zabawne. Nieporuszanie się zresztą też nie. Wszystko bolało. Choć płomienie dawno już zgasły, cała moja skóra gotowała się i obumierała, a ja ledwo oddychałem. To tylko magia utrzymała mnie przy życiu tak długo.

– Rusz się! – błagała Granuaile, ciągnąc mnie, a ja pokuśtykałem za nią, ale znacznie wolniej.

Mroczne elfy dogonią nas bez trudu i rozprawią się z nami, nim dotrzemy do parku.

Ja przynajmniej miałem żelazną aurę, która zabezpieczała przed ich mieczami. Granuaile nie miała nawet tego.

– Biegnij najszybciej jak umiesz – wycharczałem.

– Nie.

– Biegnij do drzew, podpompuj sobie prędkość i wtedy będziesz mogła ich wybić, jak się ucieleśnią.

– Biegiesz ze mną, sensei. No już!

– Mnie nie mogą zrobić krzywdy – wyjaśniłem, cały czas ledwie truchając niezdarnie. Nawet taki bieg wywoływał jednak mały podmuch wiatru na skórze, co było nie do zniesienia. – Nie mają tu nic poza tymi ich durnymi nożami, a na nie jestem odporny. Biegnij. Dogonię cię. Wybijemy ich razem.

Granuaile już się miała znowu nie zgodzić, kiedy naszą uwagę odwrócił jakiś bulgot za naszymi plecami. Szybciej przetworzyła te dane.

– Kurwa. To on!

Znowu on. Leif Helgarson złapał jednego z naszych prześladowców w chwili, gdy ten się zmaterializował, i po prostu rozdarł go na dwoje. Dwie sekundy później na naszych oczach zmaterializował się kolejny elf, a Leif śmignął tylko i przerażony wrzask musiał starczyć za cały łabędzi śpiew drugiego Svartálfa, gdy połówka jego ciała została gwałtownie oderwana od drugiej. Przestaliśmy nawet usiłować biec i odwróciliśmy się w jego stronę. Zamachał do nas wesoło, po czym rozerwał na pół ostatniego naszego prześladowcę. Ciekawe, czy ktoś z okolicznych mieszkańców widział tę scenę przez okno. Pozostawało mieć nadzieję, że dają wyjątkowo dobry program w greckiej telewizji. Stojąc między drgającymi jeszcze pośmiertnie połówkami swojej ostatniej ofiary, Leif krzyknął:

– Możemy zamienić słówko, Atticusie, czy rozpleciesz mnie na miejscu?

– Wiesz, że jesteś bezpieczny – wycharczałem. – Skończyła mi się magia.

– Kto cię tam wie. Zawsze podejrzewam, że masz jeszcze jakiegoś asa w rękawie.

– Rozsądnie – odparłem. – Podejdz bliżej, to nie będziemy musieli krzyczeć.

Odwróciłem się, by ruszyć w stronę ulicy Vizyis. Nim Granuaile zdążyła też się obrócić, Leif śmignął i już szedł po mojej prawej stronie. Popatrzył na moją zmasakrowaną twarz.

– Przykro mi – powiedział. – Myślałem, że nie uda im się zrobić ci żadnej krzywdy.

– Kilkunastu drani przeciwko nam dwojgu i tobie się zdawało, że mogę wyjść z tego bez szwanku?

Wzruszył ramionami.

– Widziałem cię już nieraz na polu bitwy z całymi zastępami przeciw tobie jednemu.

– Tyle że to nie było pole. To był sklep, zerowy dostęp do magii.

– Właśnie przed magią muszę cię ostrzec. Zmierzasz w kierunku pasa zieleni, tak?

– Oczywiście.

– Theophilus obsadził go wampirami, które szukają ludzi o podejrzanym krwi.

– Strzeż się lalkarza, co?

– Tak, ale Theophilus nie jest lalkarzem. To raczej uzdolniony uczeń, jeśli już chcemy się trzymać tej metafory.

– To kto pociąga za sznurki?

– Ktoś z twojego świata.

– Z Irlandii?

– Nie. Z tego drugiego. Z Tír na nÓg.

– Za tym wszystkim stoją faerie? Ktoś tam wydaje rozkazy mrocznym elfom i wampirom?

– Z tego, co mi wiadomo, to tak właśnie jest.

Potwierdzało to właściwie moje własne podejrzenia, ale jednak to był szok. A może w ogóle to niczego nie potwierdzało. Przecież nie powinienem ufać ani jednemu jego słowu.

– Wiem, do czego dążysz – wycharzystałem.

Kąciaki ust Leifa uniosły się lekko w uśmiešku.

– Byłbym niezwykle zawiedziony, gdybyś nie wiedział.

– Grasz po obu stronach i liczysz na wielką wygraną, ty przebiegły draniu.

Pewnie masz jakieś makiaweliczne gówno zaplanowane w innych krainach. Liczysz na jakąś umowę ze mną? Na sojusz?

Wampir znów wzruszył ramionami. Ręce trzymał w kieszeniach.

– Nie potrzeba mi sojuszu. Póki co nasze interesy są zbieżne. To wystarczy.

– Nigdy ci nie wybaczę, że mnie wykorzystałeś. Że skrzywdziłeś Oberona. Prychnął tylko.

– Jak to się szczęśliwie składa, że nie szukam wybaczenia. Pójdę teraz przodem i zlikwiduję tych dwóch młodszych na obrzeżach parku. Potem już jesteś zdany na siebie. Jak to teraz mawiają młodzi Amerykanie? Pokój z tobą, ziomuś?

– Nie – mruknął. – Nie mawiają tak, chyba że chcą, żeby im ktoś jaja urwał. Ale Leif już pobiegł naprzód, a zostało po nim tylko cichnące echo ubawionego chichotu.

Wokół nas zapadła noc i przez trzydzieści sekund nie słyszeliśmy nic poza naszymi własnymi krokami, stłumionymi kłótniami rodzinnymi i rykiem syren najróżniejszych pojazdów podążających w stronę sklepu sportowego.

To, co uchodzi za ciszę miasta, przerwała Granuaile.

– Czy wampiry w ogóle mają jaja?

– Nie wiem.

Rozdział 17

Gdy dotarliśmy do pasa zieleni, żywołaczka Salonik, Macedonia, odnowiła moje zasoby magii i dała dostęp do magii Granuaile, która natychmiast rzuciła splot noktowizji i podkręciła sobie prędkość, mimo że póki co tylko kucaliśmy pod drzewem. Pod drzewem obok, bliżej ulicy, leżało szare ciało wampira – prezent od Leifa. Głowę miało oddartą od karku i trzymało ją w dłoniach opartą na swoim brzuchu. Leif coś wspominał, że zlikwiduje dwóch, ale drugiego ciała nie widzieliśmy. Ja tymczasem załadowałem natychmiast swój niedźwiedzi charms i skupiłem się na ratowaniu skóry. Teraz, kiedy potrafiłem już jasno myśleć i pomagała mi Macedonia, mogłem ocenić poparzenia i zacząć je jak najszybciej leczyć.

Gdyby to tak zostawić bez leczenia, wyglądałbym jak Podwójna Twarz, bo większość lewej strony mojej twarzy była głęboko poparzona i po kilku miesiącach te rany zmieniłyby się w czerwone, olbrzymie blizny, wszelki wdzięk by zniknął, a zdolność do straszenia dzieci wzrosłaby geometrycznie. Lecz skórę na szczęście nie jest tak trudno odtwarzać. Tajemnica tkwi w skórze właściwej. Dbaj o zdrową skórę właściwą, a kosmetycznie twoja epiderma będzie bez zarzutu. Odtworzenie skóry właściwej zajmuje oczywiście więcej czasu niż samego naskórka, ale to nadal nic w porównaniu z odtwarzaniem kości czy tkanki mięśniowej. A gdybym jeszcze miał do swojej dyspozycji odpowiednie zioła, mógłbym nawet zrobić sobie szybki napar na zdrową skórę – Ogród Elastyczności. Będę przez chwilę wyglądał może nieco strasznie, ale w ciągu kilku tygodni powinienem wrócić do jako takiej normy. Głębsze leczenie zakończy się zresztą już w ciągu zaledwie trzech czy czterech dni, ale kosmetyczny aspekt sprawy zawsze zajmuje trochę więcej czasu, bo martwe komórki muszą zwyczajnie odpaść i ustąpić nowym. W sumie miałem cholernego fuksa, że w ogóle tu jeszcze byłem, biorąc pod uwagę ostatnią godzinę. Pierwsze starcie mrocznych elfów z druidami przyniosło wiele zaskoczeń dla obu stron, takich jak na przykład to, że udało mi się uciec. I raczej by mi się to pewnie nie udało, gdyby nie Granuaile.

– Tak na marginesie, to byłaś świetna – powiedziałem. – Dziękuję.

Przełknęła, nim odpowiedziała.

– Nie ma za co. – Jej głos był bardzo cichy.

– Ile dorwałaś?

– Osiem. Nie żebym, no wiesz, liczyła sobie punkciki czy coś.

– Ja trzy. Razem było ich jedenaście czy dwanaście?

Drgnęła.

– Zdawało mi się, że widziałam dwanaście elfów.

– Mnie też. Co oznacza, że ten ostatni albo wybuchnął razem ze sklepem, albo nie...

– A to z kolei oznacza, że albo nas śledzi, albo popędził już do przełożonych, żeby im złożyć raport o naszych umiejętnościach i taktykach.

– Nie śledzi nas – stwierdziłem. – Leif nie mówiłby tak otwarcie, gdyby w pobliżu znajdował się ktokolwiek z tamtych.

– Czyli że następnym razem z pewnością użyją zwykłej broni – skonstatowała Granuaile.

– Ano. Na to wygląda. I nie pozwolą ci więcej brać się z flanki.

Pokiwała głową, przyjmując to do wiadomości, po czym znów przełknęła. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że powstrzymuje się od płaczu.

– Nie zdążyłam na czas, prawda? Czy ty w ogóle dojdiesz do siebie? – spytała.

– Jasne. – Uśmiechnąłem się, ale ponieważ się uświadomiłem sobie, że z taką twarzą to pewnie nie wypadło zbyt ładnie. – Wiem, że słabo to wygląda, ale wystarczy trochę czasu i nic mi nie będzie.

– Aha.

– Theophilus i Leif zakładają, że będziemy nadal siedzieć w okolicznych lasach... mroczne elfy może zresztą też tak myślą, ale ja już naprawdę nie widzę wielu plusów takiego rozwiązania. Szczególnie że nie możesz jeszcze zarzucać na siebie kamuflażu ani rozplatać wampirów. Niby mógłbym zarzucać na ciebie mój kamuflaż, ale i tak, jeśli zaatakują nas więcej niż jeden wampir naraz, będzie to bardzo niebezpieczne. Nie musimy walczyć w tej bitwie. Sytuacja się zmieniła. Nie musimy wracać na Olimp uzbrojeni po zęby, żeby zadać kilka prostych pytań. Możemy wrócić od razu, tak jak stoimy, bo już wiem, co się dzieje.

– Czyli mam po prostu zawołać taksówkę i Oberona? – spytała.

– Jakbyś mogła. Ja tymczasem rozplotę pozostałości tego wampira i Theophilus może się ugryźć.

Granuaile uśmiechnęła się i wstała. Przebiegła kilka kroków z powrotem na ulicę, włożyła palce między zęby i gwizdnęła.

Rozdział 18

Zaraz zaczniemy gównu, którego być może nie będziemy w stanie zakończyć – ostrzegłem Granuaile. – Choć mamy prawo twierdzić, że to wszystko wina Bachusa, to jednak, żeby się go jakoś pozbyć, będziemy musieli wciągnąć w to także grecki panteon. A oni pewnie będą mieli w nosie, kto zaczął.

<Czy coś jak sędziowie National Football League> zauważył Oberon, który już się pogodził z tym, że wyglądam, jak wyglądam, bo zapewniłem go, że z czasem dojdę do siebie.

– Nie bardzo rozumiem, co masz na myśli, sensei.

Siedzieliśmy w limuzynie, która wiozła nas z powrotem na Olimp. Naprawdę potrzebowaliśmy odrobiny prywatności i porządnego wiaderka z lodem, do którego mógłbym wsadzić poparzoną lewicę. Kierowca był miły i bez słowa zjeżdżał co jakiś czas na pobocze, żebym mógł „zaczerpnąć świeżego powietrza”, czyli tak naprawdę, żebym miał czas podładować mój niedźwiedzi charms i potem leczyć się w drodze. Czuliśmy zresztą, że po przygodach w Salonikach naprawdę należy nam się odrobina luksusu.

– Nie musimy już polować na żadną bachantkę, żeby ją przesłuchiwać, ani nic z tych rzeczy. Dobrze wiem, co jest grane i to już od dłuższego czasu. Sama słyszałaś zresztą, co Bachus powiedział przed jaskinią, nie? Że Faun nie może nas tam trzymać wiecznie.

– Tak. Tylko że wcale nas nie trzymał. Uciekliśmy bez trudu.

– Pułapkę stanowi sam Olimp. Jest to teraz jedyne miejsce, gdzie mogę cię spleść z ziemią, i już dwa razy przerwano nam rytuał, bo to tak niebezpieczne miejsce. Działaliśmy dotąd zgodnie z założeniami Lorda Łonobrodego, że zaburzenia odczuwane na całej płycie euroazjatyckiej są wynikiem spalenia krainy Peruna przez Lokiego. Szczerze, to od razu mi się ta teoria wydawała nietrafiona. Drzenie w Ameryce Północnej zniknęło niemal od razu i bez trudu mogliśmy się przenosić do innych krain, to czemu akurat w Europie zaburzenia miałyby się tak długo utrzymywać? Ale dotąd nie miałem lepszej teorii, więc siedziałem cicho. Teraz już mam. Minęły prawie dwa miesiące. Gdyby to rzeczywiście kraina Peruna była źródłem tych zakłóceń, czy nie powinny być one zróżnicowane zależnie od miejsca? Czy nie powinny być silniejsze bliżej Rosji, a znacznie słabsze w Hiszpanii lub Włoszech i tak dalej? I czy nie powinny już nieco mijać? Ale one są cały czas równie silne. Coś te zaburzenia wytwarza celowo i stale, a przy tym omija Olimp.

– Myślałam, że zgadzasz się z hipotezą, że to Olimpijczycy chronią swoich.

– Bo tak jest. Tylko że jednocześnie to oni właśnie odpowiadają za blokadę wszędzie indziej. A wszystko po to, żeby nas złapać. To Faun, Granuaile. Faun i ta zachłana kanalia, Bachus.

– W jaki sposób to oni za to odpowiadają?

– To jest, rozumiesz, pandemonium.

– Nie, nie rozumiem.

– Ja też nie rozumiałem, bo wciąż myślałem o rzymskich imionach bogów, a

nie ich greckich oryginałach. Pandemonium to zaburzenie porządku, to... innymi słowy... chaos. I to właśnie zakłóca wszystkie inne lasy na całej płycie euroazjatyckiej, przez co nie możemy się przenieść nigdzie indziej. To moc, którą władają zarówno Pan, jak i Faun – jest to opisane wprost w mitologii i oczywiście stąd w ogóle etymologia słowa. A nikt spośród Tuatha Dé Danann czy faerii nie rozumie, co to takiego. Pandemonium nie wprowadzono od pradawnych dziejów, a i wtedy nawet nic to nie obchodziło Tuatha Dé Danann. Bo też to pewnie pierwszy przypadek, kiedy pandemonium zaprowadzono poza Grecją, toteż faerie są kompletnie bezradne i nie rozumieją, co jest grane.

Między oczami Granuaile pojawiła się zmarszczka.

– Dlaczego Olimpijczycy władają mocą, która służy do uniemożliwiania druidom przemieszczania się między krainami?

– W zamierzeniu nie był to wcale cel pandemonium. To tylko efekt uboczny, który postanowili wykorzystać. Pierwotnie Pan stanowił sposób na to, by ludzie znaleźli drogę do tego, co pierwotne w ich naturze, w nich samych. Był wielkim yang na cały ten yin innych bogów, na ich porządek, cywilizację i Olimp. Pan chciał tylko imprezować, pieprzyć się i hałasować, a gdy pojawili się monoteiści, wystarczyło, że rzucili na niego okiem...

<Ciekawe niby, jak się rzuca okiem>.

– ...a stał się złem wcielonym. Zaburza wszelki porządek. Idę o zakład, że gdybyśmy tylko mieli czas zajrzeć do gazety i zobaczyć, co się dzieje w Europie, okazałoby się, że jest znacznie gorzej niż zwykle. A to dlatego, że na całym europejskim kontynencie rozrabia rzymski Doppelgänger Pana, Faun. Nasze nici wiążące ziemię z Tír na nÓg symbolizują druidzki porządek nałożony na naturę, więc i one padły jego ofiarą.

– Więc co z nim zrobimy?

– Jeśli Faun lata po świecie i rozrabia w każdym europejskim lesie z wyjątkiem tego wokół Olimpu, to trzeba zmusić go do powrotu na Olimp. I najlepiej, żeby tu został, żebyśmy mieli do dyspozycji wszystkie pozostałe lasy. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej wydaje mi się, że jest tylko jeden sposób, żeby go tu ściągnąć.

– Jaki?

– Zabierzemy mu jego zabawki erotyczne.

Rozdział 19

Problem w tym, że ten koźlonogi bóg ma nie tylko włochate nogi, ale i myśli. Dlatego starożytni Grecy dali mu do dyspozycji w bród nimf i driad do zabawy w każdym lesie, żeby nie zaglądał przypadkiem do miast i nie pieprzył od rzeczy. Pieprzenie od rzeczy zupełnie oczywiście Grekom nie przeszkadzało, ale jednak sami wiecie: „wszystko z umiarem”. Grecy usiłowali kłaść podwaliny cywilizacji zachodniej, jak i podwalali się do siebie nawzajem, więc Pan i jego wyznawcy mieli się ograniczyć w swoich szalonych figlach do lasów.

Pan lubił zwykle pogoń. Traktował ją jak grę wstępną. Nimfy dostarczały mu tego elementu. Ale bywały i dni, kiedy się lenił, a wtedy polował na driady, bo leśne nimfy mają to do siebie, że nie mogą uciec za daleko od swojego drzewa. Jeśli spędzą więcej niż kilka dni z dala od swoich drzew, więdną i giną, tak zresztą jak ich drzewa. Łączność między nimi nie jest tylko symbolicznej natury – jest sprawą życia i śmierci.

I to właśnie zamierzałem wykorzystać, żeby zdobyć trochę czasu dla siebie i Granuaile. Bo to, co dotyczyło Pana, siłą rzeczy odnosiło się także do jego rzymskiego kлона, Fauna.

– Wiesz, co jest najbardziej odjazdowe w drzewie z driadą? – spytałem.

Kazaliśmy się podwieźć limuzyną aż do południowego podnóża Olimpu i stamtąd ruszyliśmy w górę, mając ze sobą jedynie kilka butelek z wodą i broń. Byłem bez koszuli, bo nie mogłem znieść dotyku tkaniny na poparzonej skórze.

– No, jest to dąb z przyczepioną do niego nieśmiertelną nimfą. To już samo w sobie jest wystarczająco odjazdowe.

– To prawda. Ale odjazdowe jest też to, że każde drzewo driady wygląda dokładnie tak samo w trzech różnych krainach. Rośnie nie tylko tu, ale i w rzymskiej, i greckiej krainie, identyczne co do najmniejszej gałązki i najmniejszego listka.

– Każde drzewo jest trójcą. Okej, kumam. – Granuaile pokiwała głową z uśmiechem, który po chwili zastąpiło pytanie: – Ale nie ma trzech driad, co?

– Nie, tylko jedna. Pan i Faun jakoś się nimi dzielą, a i Artemida z Dianą opiekują się nimi wspólnie.

– A, racja. Driady pozostają przecież pod specjalną opieką łowczyń. Hm. – Jej brwi uniosły się i połączyły, gdy zrobiła zaniepokojoną minę.

– Tak?

– Czy ty aby na pewno chcesz zaczynać z driadami?

– Czy ty aby na pewno chcesz zostać druidką?

– Oczywiście, że chcę, ale czy naprawdę nie ma innego wyjścia?

– Jasne, że jest. Chodźmy do Olimpijczyków i poprośmy ich ładnie, żeby przestali się tak brzydko zachowywać. Tylko że bezpośrednia konfrontacja z nieśmiertelnymi może nam nie wyjść na zdrowie.

– Jestem tego świadoma, sensei, i właśnie dlatego podważam zasadność tego planu.

– Wolałabyś dalej ciągnąć tak jak przedtem, wiedząc już, że Bachus nas

prędzej czy później znów dorwie, znów uniemożliwi nam splatanie i to lichu wie ile razy? Nie ma znowu aż tak dużo miejsca pod tym Olimpem na nasz rytuał. Nie. Nadszedł czas na odważne działanie. Lepiej prosić o wybaczenie niż o pozwolenie. Na ich draństwo odpowiemy jeszcze większym draństwem. Przecież nie zrobimy im krzywdy.

– Olimpijczycy nie słyną ze skłonności do wybaczenia – zwróciła mi uwagę Granuaile.

– Tak, ale mam już dość grania w obronie. Jak dotąd mieliśmy szczęście i udawało nam się zawsze im umknąć, ale strategicznie to była tylko gra, żeby nie przegrać, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. A nas dwoje...

<Hej! Troje! Pies też się liczy!>

– Przepraszam... nas troje przeciwko wszystkim wampirom świata, faeriom i Svartálfarom to troszeczkę nierówne szanse.

– Otóż to! To czemu chcesz jeszcze ryzykować, że narazimy się Olimpijczykom?

– To nie chodzi o żadne narażanie się. Chodzi o odzyskanie możliwości ruchu. I o draństwo. Ale jestem otwarty na wszelkie propozycje. Masz jakieś?

Granuaile westchnęła.

– Nie.

<Ja mam. Może kupimy po prostu z pięćdziesiąt kilo najlepszej kiełbasy u Jody'ego Maroniego? Najlepiej taki zestaw rozmaitych smakołyków, żeby była tam i ta kiełbaska z kurczaka o smaku tequili, i ta czosnkowa, i ta soczysta Polish sausage? Jakbym dostał taki prezent, wszystko bym przebaczył>.

Nie wszystkich da się przekupić mięsem, Oberonie.

<Nie? Aha, chcesz powiedzieć, że to wegetarianie>.

Nie, jedzą mięso. Tylko nie wpływa ono na ich procesy decyzyjne.

<Hm. To... to po prostu coś z nimi jest nie tak, Atticusie! Czy to jakieś potwory? Bo to wiesz, normalnie jakby nie mieli kręgosłupa moralnego!>

– Dobra. W takim razie szukamy dębów z driadami. To proste. To będzie drzewo o białym sercu.

– To już możemy używać magii?

– Nie jest to pewnie zupełnie bezpieczne. Ale zakładam, że uda nam się skończyć robotę, nim dorwą nas bachantki lub ktoś inny z tej drużyny. Za dwoma pierwszymi razami zawsze mieliśmy ze dwa tygodnie albo i więcej spokoju, więc przecież chyba możemy sobie pozwolić na kilka godzin myszkowania.

<He! He! Byle nie wiewiórkowania>.

Przeszliśmy jeszcze ze ćwierć mili po łagodnych zboczach Olimpu, aż w końcu znaleźliśmy drzewo, które w magicznym spektrum miało jaśniejszy rdzeń. Już po drodze wyjaśniłem Granuaile mój plan, więc teraz zacząłem od stworzenia nici łączącej nas z Tír na nÓg i przenieśliśmy się tam, żeby poszukać odpowiedniej lokalizacji na nasze draństwo. Znajdowaliśmy się na brzegu Rzeki Czasu.

– To powinno się nadać – stwierdziłem, wskazując niezamieszkaną wyspę dość wysoko w górze rzeki. – Czas biegnie tu tak wolno, że cały wiek jej zajmie wymówienie słowa „zaczekajcie”, kiedy będzie chciała powiedzieć: „Zaczekajcie, nie zostawiajcie mnie tu!”.

– To jak się używa tych wysp?

– Widzisz ten obelisk na skraju brzegu? Ten zapisany pismem ogamicznym?

To jest adres wyspy. Posługując się tym adresem, otwierasz portal do wyspy, gdziekolwiek jesteś, i wrzucasz, co tam chcesz. Trzeba używać tych portali, a nie drzew, żeby nie wteleportować samych siebie do strumienia czasu.

– Dobrze pomyślane.

– Uczymy się na cudzych błędach. Obawiam się, że pierwsza osoba, która posłużyła się drzewem, żeby przenieść się na wyspę, nadal na niej jest. Ale wieść niesie, że uda jej się wynieść stamtąd w ciągu najbliższego dziesięciolecia czy coś koło tego.

<Czyli ten typ tkwi tam całe wieki?>

Nie. Tkwi tam dłużej, niż ja żyję.

<Wow. To sporo przegapił. Jak myślisz, na kogo by głosował: na Kirka czy Picarda?>

Zapamiętałem adres ogamiczny i przenieśliśmy się z powrotem do dębu o białym rdzeniu, ale tym razem do tego rosnącego w rzymskiej krainie. Driady jakoś nigdzie nie było widać.

– Gdzie ona jest? – spytała Granuaile, rozglądając się wokół.

Wzruszyłem ramionami.

– Gdzieś niedaleko. Albo może w greckiej krainie. Jak tylko zaczniemy ją odplatać od drzewa, zaraz się pokaże.

– Jesteś pewien, że nie będzie jej bolało?

– Troszkę będzie. Musi to przecież poczuć. Ale zrobimy wszystko tak ostrożnie, że na pewno nie będziemy zagrażać jej życiu.

– Skąd wiesz?

– Kiedy ona będzie zamrożona w czasie, jej drzewo będzie zamrożone razem z nią. Gdy znów ją spleciemy z drzewem, dla nich minie ledwie kilka sekund.

Granuaile to jednak nie przekonywało.

– Moim zdaniem będziemy mieć przekichane.

<Uwaga! Strach uczennica okazuje! Na język Yody ty natychmiast przejść musisz!>

– Nonsens. Pamiętaj, że jak już się pojawi, to ty ją uspokajasz po łacinie, a ja w tym czasie otwieram portal.

– Jasne.

Skupiając się na białym świetle, zrobiłem zbliżenie na strukturę splotu.

Był piękny. Grecy podchodzą do magii zupełnie inaczej niż Celtowie, opierają się w niej na strukturach przypominających ich architekturę – dużo prostych linii, kątów ostrych, trójkątów, matematyczna precyzja. Kolumny sześcianów, które mogą być bez końca przepoławiane, i w samym środku tego wszystkiego jeszcze cholerny hipersześcian łączący dąb z driadą. Kolumny jednak mają to do siebie, że brakuje im naturalnego nadmiaru charakterystycznego dla co bardziej organicznych struktur.

Wystarczy przewrócić jedną z kilku kolumn, a już cała konstrukcja jest w niebezpieczeństwie. Rozplotłem trójkąt i poczułem lekkie drżenie drzewa.

Rozwiązałem kolumnę i drżenie stało się gwałtowniejsze.

Za sobą usłyszałem bardzo kulturalny głos.

– Przestań, proszę – rzekł ów głos po łacinie.

Obróciłem się i ujrzałem kobietę o białym blasku wokół serca. Była to oczywiście driada przynależna do tego drzewa, więc rozplotłem swoje magiczne widzenie i zobaczyłem ją tak, jak chciała, żeby ją widziano. Drgnęła na widok mojej poparzonej twarzy.

Było trochę tak, jakbym widział ją przez jakiś miękki filtr – patrzeć na nią to jak patrzeć na obraz Waterhouse'a, pełen głębi i patosu, a jednak przesycony jedwabistą miękkością różanych płatków, tak delikatną i eteryczną, że wzbudzającą w oglądającym niepokój. Jakbym mógł samym tym patrzeniem zniszczyć jej piękno na zawsze, a wtedy przecież wyrzuty sumienia targałyby moją duszą na wieki.

Jej włosy, ciemne i bujne, przystrojone były kwitnącą winoroślą i opadały w luźnym warkoczu na lewą pierś i dalej, aż do talii. Inna winorośl oplatała jej ciało i przytrzymywała luźną białą tunikę z cienkiego materiału. Stopy miała bose, a wzrok gniewny – nakazujący nam zostawić ją w spokoju.

Jej uroda była tak urzekająca, że jedno spojrzenie wystarczyło, by przekonać każdego, że stworzyła ją boska ręka. Nie raz się już zastanawiałem, czy to właśnie nie jest odpowiedź na wszystkie filozoficzne pytania Granuaile: jesteśmy tu po to, by tworzyć piękno i być świadkami piękna. Gaja tworzy je co dzień, a my razem z nią, jako że jesteśmy jej częścią. Rozumiał to Beethoven. Rozumiał to ten szaleniec Van Gogh i tylu innych.

– Przestaniemy – zapewniła ją Granuaile. – Dziękuję, że przyszedłeś się z nami zobaczyć.

– Kim jesteście? – zapytała driada.

Gdy moja uczennica zabawiała ją rozmową, ja szybko wypowiadałem po staroirlandzku słowa otwierające tuż za driadą portal do Tír na nÓg. Kiedy załśnił tam gotowy i otwarty, nie musieliśmy jej do niego wcale zaganiać. Wystarczyło, że się uśmiechnąłem moją na wpół stopioną twarzą i zrobiłem kilka kroków naprzód, a ona cofnęła się przerażona. Gdy tylko wpadła do portalu, zamknąłem go i pogratulowałem Granuaile.

– Dobra robota.

– Jak dużą krzywdę jej wyrządziłeś?

– Niemal żadnej. Łatwo to będzie naprawić. Załatwmy tak jeszcze kilka.

Działaliśmy szybko i odesłaliśmy tak jeszcze pięć innych driad. Olimpijczycy nie będą umieli wywróżyć ich obecności w Tír na nÓg. Będą panikować, że driady są umierające, gdy tymczasem zarówno one, jak i ich drzewa były tylko zamrożone w czasie. Jako że splot łączący je z drzewami nie został zerwany, a jedynie osłabiony, ich losy były nadal nierozłączne.

Na ostatnim drzewie zostawiliśmy dwa listy – jeden w rzymskiej krainie, a drugi na ziemi. Celowo nie zostawiliśmy nic w greckiej krainie, żeby dać wszystkim jasno do zrozumienia, że wiemy, kto za tym wszystkim stoi, i że wcale nie chcemy wciągać do konfliktu Dionizosa ani Pana. Jeśli nam się poszczęści, Grecy powinni przycisnąć Rzymian, żeby rozwiązali ten problem na naszą korzyść. List brzmiał tak:

„Bachus oszalał, a jego czyny zmusiły niektóre driady do udania się na wakacje. Jeśli chcesz, by wróciły całe i zdrowe, Faunie, zaprzestań pandemionium na trzy miesiące. Bądź spokojny – jeśli tylko to zrobisz, nic im się nie stanie”.

Następnie poprosiłem Olimpię, żeby przez europejskie żywiołaki przekazała Faunowi znacznie prostszą wiadomość: „Kilka z twoich driad zniknęło”.

Przenieśliśmy się z Granuaile i Oberonem do Mag Mell, gdzie spędziłem noc zanurzony w uzdrawiających źródłach, robiąc, co tylko się dało, by uratować skórę. Już następnego poranka faerie szalały z przejęcia nową wieścią: skończyła się „Kłątwa Lorda Łonobrodego” i teraz wszyscy – nas nie wyłączając – mogli wreszcie podróżować po Europie bez żadnych problemów.

Rozdział 20

Drugą wojnę światową spędziłem, pomagając żydowskim rodzinom uciekać z Francji Vichy. Szmuglowałem ich do Hiszpanii, a stamtąd do Portugalii. Granicę przekraczaliśmy zwykle w Pirenejach Atlantyckich, wędrując taką czy inną przełęczą, więc przy okazji niezłe poznałem tę okolicę. Dzięki temu właśnie dobrze wiedziałem, gdzie chcę spleść Granuaile.

Pireneje – czyli po francusku Pyrénées wymawiane „pirene” – mają dość niesamowite jaskinie. W paru z nich jaskiniowcy zostawili nawet swoje malowidła, z których większość jest znacznie lepsza od sztuki współczesnej. Przez inne przepływają podziemne strumienie i rzeki. Część kończy się ścianami albo tunelami tak wąskimi, że tylko banan mógłby się przez nie prześlizgnąć, po czym nagle otwierają się znowu w przepastne katedry z wapiennych cudów, których nie widziały żadne ludzkie oczy – z wyjątkiem moich. Jedno z tych miejsc było naprawdę tylko moje. Nazwałem je Schronieniem Zielonego Człowieka, jako że pod takim pseudonimem byłem znany, gdy usiłowali mnie dorwać Niemcy.

Podczas wojny Morrigan kazała mi zminimalizować użycie magii, jako że ona potwornie zajęta była wtedy szafowaniem śmiercią i nie mogła mnie chronić przed Aenghusiem Ógiem. Żywiołak Pirenejów rozumiał to i chętnie mi pomagał, bo wiedział, że jeśli Niemcy wypłoszą mnie z okolicy, mogę już tak szybko nie wrócić.

Musiałem naprawdę się pilnować, jeśli chodzi o pobieranie magii z ziemi. Zarówno faerie, jak i Tuatha Dé Danann umieją wyczuwać takie pobrania, jeśli tylko są wystarczająco blisko, a zatem łatwo byłoby mnie wytropić. Pyrénées pomagał mi się ukrywać, wiele czynności wykonując po prostu za mnie. Kiedy żywiołak posługiwał się magią, było to odbierane jako rutynowe działania ziemi, a nie czyjeś splatanie za pomocą magii.

Po jakimś czasie do pewnego niemieckiego oficera dotarły pogłoski, że ktoś zwany „Zielonym Człowiekiem” pomaga Żydom uciekać z Francji. Wydały mu się one na tyle niepokojące, że wysłał za mną kilka brygad. Był rok 1941. Francja się poddała, a Stany jeszcze nie zaangażowały się w wojnę, więc żołnierze Rzeszy byli nieco znudzeni i tego typu wypadki stanowiły dla nich luksus i rozrywkę. Normalnie nie sprawiliby mi pewnie żadnego kłopotu, ale wzięli mnie z zaskoczenia, bo dosłownie weszli na mój obóz, gdy spałem. Mieli broń automatyczną, a ja skórę żałośnie bezbronną w starciu z kulami.

Natychmiast rzuciłem na siebie kamuflaż i poprosiłem żywiołaka, żeby mi jakoś pomógł. Zrobił kilka rzeczy: po pierwsze, w ciągu kilku sekund (podczas których Niemcy szczęśliwie nie zalali okolicy strumieniami kul) wywołał małe osuwisko na południe ode mnie. Moi prześladowcy nie domyślili się jeszcze, że jestem Zielonym Człowiekiem. Byłem na razie tylko jakimś szaleńcem śpiącym w lesie. Darli się strasznie, główkowali, gdzie się podziałem, a potem jeden poszedł zobaczyć, co to za hałas na południe od nas. Kilku zostało jednak w obozie, sprawdzić, co tam znajdują, i znaleźli Fragaracha. Mało nie zdradziłem swojej pozycji i nie zacząłem ich błagać, żeby go nie ruszali.

Wyczuwając moją panikę, żywiolak zaproponował mi coś zupełnie niesamowitego. Po drugiej stronie ściany skalnej, przy której przykucnąłem, znajdowała się jaskinia, do której nie było dostępu z najbliższej okolicy. Obiecał, że wpuści mnie do środka przez drzwi, które dla mnie otworzy, i ukryje to, masując skorupę ziemską pod nogami żołnierzy przez jakąś minutkę. Będzie im się zdawało, że to trzęsienie ziemi.

Zgodziłem się i zaczął się kompletny chaos. Ziemia wokół mojego obozowiska zaczęła drżeć, a jeden z żołnierzy w panice ostrzelał wszystko dookoła, niechcący zabijając jednego ze swoich, na co wszyscy padli na ziemię i zaczęli ostrzeliwać las, najwidoczniej dochodząc do paranoicznego wniosku, że ktoś ich atakuje. Fragaracha rzucili na ziemię, jako że przy karabinach wydawał się zupełnie bezużyteczny. Wykonałem splot łączący skórę pochwy i moją dłoń, więc miecz sam do mnie przyleciał. Schowałem się w ciemnościach, a żywiolak zamknął za mną drzwi jaskini. Żegnaj, okrutny świecie!

Ciemność była tak doskonała, że nawet noktowizja by mi nie pomogła. We wnętrzu góry nie było żadnego światła. Dało się jednak oddychać, więc powietrze musiało skądś dochodzić. Było wilgotno i dość zimno. Jako że i tak nic nie widziałem ani nie słyszałem, postanowiłem uciąć sobie drzemkę. Żywiolak obudził mnie o świcie.

Wyszedłem z góry i zmrużyłem oczy. Pachniało sosnami i słychać było poranny szczebiot ptaków. Moje obozowisko było zupełnie przetrzebione – niemieccy żołnierze ukradli, co tylko się dało. Minął tydzień, nim zdołałem zgromadzić nowe zapasy i wrócić w to miejsce, ale musiałem to zrobić. Musiałem zobaczyć to, czego nikt jeszcze przede mną nie widział. Żywiolak trzymał to w tajemnicy od czasów dawniejszych nawet niż pierwszy człowiek w tych górach, a teraz gotów był zdradzić ten sekret mnie.

Kupiłem latarnię i Pyrénées powitał mnie znowu, otwierając przede mną kamienne drzwi. Gdy zobaczyłem, co jest w środku, zaparło mi dech w piersiach.

Nie było wojny, nie było ludobójstwa. Nie było bogów do obrażania czy czczenia. Tylko jaskinia zdobiona przez kilka geologicznych okresów. Idealnie pasowały tu słowa Keatsa, choć miał na myśli coś zupełnie innego, gdy pisał: „Oblubienico jeszcze niezdojta ciszy, Przybrana córo wolno płynącego czasu”. Jaskinia pełna była kolumn z wolno narastającego wapienia i palców przyszłych kolumn wyciągających się ku sobie nawzajem z podłoża i sklepienia.

Światło mojej latarenki odbiło się w małych basenach ciemnej wody i Pyrénées poprosił, żebym ich nie dotykał. Woda była zdatna do picia, ale żyło w niej pięć nieodkrytych jeszcze gatunków. Przesuwając się ostrożnie przez jaskinię, odkryłem, że powietrze wpada przez różne otwory z tyłu, z których wszystkie były za małe, by przepuścić ludzkie ciało. Żywiolak wyjaśnił mi, że dalej przechodzą one w większe jaskinie po hiszpańskiej stronie i że dlatego właśnie można było oddychać. Nie zostałem tam długo; może godzinę podziwiałem mistrzostwo i cierpliwość, jakiej wymagało stworzenie takiej przestrzeni. Podziękowałem żywiolakowi wylewnie za to, że mi ją pokazał.

Ponad siedemdziesiąt lat później pamiętałem drogę do Schronienia Zielonego Człowieka tak dobrze, jakbym był tam ledwie wczoraj.

Przerzuciliśmy się z Granuaile z Tír na nÓg wprost w Pireneje i ruszyliśmy, zaopatrzeni w latarki i jedzenie. Gdy dotarliśmy na miejsce, żywiołak wyraził gotowość dołożenia swojej cegiełki do historii druidyzmu – to jest do przesunięcia kilku skał i odrobiny ziemi.

Głóg nie rośnie tam, gdzie nie ma światła, a przy jaskini nie było akurat żadnego w tak wygodnej odległości jak na stokach Olimpu. Musieliśmy zejść jakieś trzy boiska do futbolu niżej, nim znaleźliśmy w końcu jeden krzak. Żywiołak pokombinował trochę ze stokiem i zbudował nam taras w miejscu, gdzie rósł krzak głogu, tak że powstała skryta przed ludzkimi oczami niecka. Żeby nas dojrzeć, trzeba by się podciągnąć do góry lub nadejść z wyższej części stoku. W dzień Oberon mógł nas pilnować z każdej strony i w razie czego miałby wystarczająco dużo czasu, żeby nas ostrzec, a na noc zamierzaliśmy robić przerwy i kryć się w Schronieniu Zielonego Człowieka, żeby miał czas się ulotnić „zapach magii”, choć byłem prawie pewien, że Pireneje nie są zabachantkowane. Chciałem jednak zrobić wszystko, by móc tym razem skończyć bez przerw, a jeśli to oznaczało trochę mniej pracy każdego dnia, to trudno. Nieustannie się przy tym leczyłem i moje poparzenia już wyglądały trochę mniej przerażająco.

Gdy znów połączyliśmy się z Gają i mogliśmy wreszcie podjąć splatanie tam, gdzie je przerwaliśmy, Granuaile nie powiedziała nic o zdejmowaniu bielizny. Zadzierała materiał coraz wyżej na biodrze tak długo, jak tylko było to możliwe, a potem, gdy trzeba było, zsuwała go nieco na świeże rany bez żadnych komentarzy. Wzdrygała się z bólu, ale milczała.

– Dziękuję – powiedziałem cicho, wbrew wszystkim wcześniejszym doświadczeniom licząc na to, że zrozumie ogrom znaczeń, jaki krył się za tym jednym słowem.

Milczała kilka minut, gdy ja powoli wypełniałem plecionki kolejnymi bolesnymi ukłuciami. Gdy odpowiedziała, kiedy już zupełnie tego nie oczekiwałem, zaskoczyła mnie tym trochę.

– Nie ma za co – wymamrotała.

I to przeważyło szalę. Przestałem filtrować swoje magiczne widzenie i spojrzałem na łączące nas więzi. Były złożone, liczne i piękne, a Granuaile, choć nigdy nie uczyłem jej, jak je czytać, sama jakoś domyśliła się ich znaczenia.

Westchnąłem.

– Jestem ci winien przeprosiny, Granuaile – wyszeptałem. – Chrzanić bawełnę i inne materiały owijające, tak? Przepraszam – powiedziałem. – Po prostu przepraszam. Już od dłuższego czasu, czasu kilkakrotnie dłuższego niż życie zwykłych ludzi, muszę nieustannie udawać kogoś, kim nie jestem. Gdy już jesteś po pięćdziesiątce, a wciąż wyglądasz na dwudziestoparolatka, w towarzystwie innych ludzi zawsze musisz grać. Nigdy nie schodzisz ze sceny, a ludzie naprawdę zauważają, gdy choć na chwilę wyjdiesz z roli. Ostatnią kobietą, którą kochałem i która wiedziała, że jestem druidem, była moja żona Tahirah. Ale nawet ona nigdy nie została druidką, więc nie widziała rzeczy, które ty widzisz. Nigdy nie musiałem się z tym zmierzyć. A ona nie miała pojęcia o rzeczach, które ja widziałem.

– Na pewno widzisz o wiele więcej niż ja – wyszeptała Granuaile tak cicho, jakby bała się, że jeśli podkreśli głośność, to przestanę mówić.

– Nie. Jest pewnie raczej dokładnie na odwrót. Wzrok jest taki sam dla wszystkich. Najważniejsze jest to, jak filtrujesz i jak interpretujesz to, co widzisz, a teraz, gdy już przywykłaś do nowego wzroku, widzę, że masz intuicyjną smykałkę do interpretowania. Inaczej nie zrozumiałabyś, co chciałem powiedzieć przez to proste „dziękuję”.

– Chodziło ci o wiele więcej niż o to, że nie zdjęłam majtek – powiedziała. – O coś więcej niż tylko o nas. To coś dotyczy przeszłości. Z jakiegoś powodu się boisz.

Zaskoczyła mnie. Widziała nawet więcej, niż podejrzewałam – to było jak telepatia. Bo czy telepatia nie jest po prostu interpretowaniem splotów świadomości? Ale po chwili odzyskałam głos i powiedziałam:

– Tak. Nie udało mi się spleść z ziemią mojego ostatniego ucznia i wiem, że ci o tym już opowiadałem. Przeszkodziło nam, a on tego nie przeżył. Nie chcę, żeby historia się powtórzyła.

– I uważasz, że romans byłby taką przeszkodą?

– A nie byłby? – Prychnąłem. – Po dwunastu latach wyparcia i tłumienia w sobie uczuć, jakbyśmy już raz zaczęli, to czy dalibyśmy w ogóle radę się opamiętać?

Zachichotała cicho.

– Słuszna uwaga. Dwoje ludzi, którzy mogą zasilać się cały czas mocą ziemi i leczyć rany wywołane przeciągającym się tarciem. Byłoby homerycko. Trzy księgi Iliad. Co najmniej.

Wybuchnąłem śmiechem, a ona rozchichotała się na dobre. Na chwilę oparłem czoło o jej łokieć i cieszyłem się tym, że zniknęło napięcie między nami. Potem, gdy obydwójce się uspokoiiliśmy, złożyłem na jej ramieniu ostrożny pocałunek. Umilkła i spojrzała na mnie pytająco.

– Znieś jeszcze przez chwilę moje strachy – poprosiłem. – Dla swojego i mojego dobra, zgoda?

– Zgoda – szepnęła, a ja wbrew temu, co powiedziałem, mało nie utonąłem od razu w zieloności jej oczu. Wtedy odwróciła głowę i dodała: – Sensei.

A ja otrząsnąłem się i wróciłem do splatania jej z ziemią.

* * *

Od tej rozmowy minął miesiąc, a nasze splatanie – niezakłócone tym razem ani przez bogów, ani przez ludzi – dotarło do etapu, gdy poza głównym daniem z bólu pojawia się przystawka przejęcia. Starannie wbijałem każdy punkt z plecionki Gai na całym boku Granuaile, koło wygięcia jej piersi, i aż na jej ramię, skąd spadała pętlami zmiennokształtności na biceps.

Zwierzęce postacie druida nie są wybierane przez niego, ale przez samą Gaję. Podczas rytuału splatania Gaja stopniowo coraz lepiej poznaje swojego druida i sama decyduje o tym, które zwierzę będzie dla niego najlepsze. Pierwsza wstęga na samej górze bicepsa reprezentuje zawsze ludzką postać i jest niezbędna, żebyśmy mogli w ogóle odzyskać człowieczeństwo. Pod nią druid otrzymuje postać jednego zwierzęcia kopytnego, jednego drapieżnika lądowego, jedno zwierzę latające i jedno pływające.

Gaja nie zdradza wcześniej, jakie będą to postacie, więc obydwójce musieliśmy poczekać, aż tatuaże nabiorą kształtów, żeby się dowiedzieć, w co będzie mogła się przemieniać Granuaile.

Gdy tylko zacząłem drugą taśmę na jej ramieniu, co trzy minuty prosiła mnie o informacje.

- Już widzisz, co to? – dopytywała.
- Przykro mi, ale nie.
- A teraz?
- Jeszcze nie. Niepokoisz się?
- Może trochę. Nic się nie da zgadnąć?
- Będziesz miała kopyta.
- Nienawidzę cię.

Uśmiechnąłem się z przekąsem.

- Nieprawda.
- Masz rację. Nieprawda.

Stopniowo wszystko stawało się jasne, a węzły stawały się wyraźniejsze.

- Wydaje mi się, że to koń – powiedziałem.
- Koń! Jakiej rasy? Appaloosa? Arabski?
- Jakiś szybki.
- Pewnie kasztanowaty. Superpiękny.

– W to nie wątpię – powiedziałem i wróciłem do pracy, a oczy Granuaile zaszyły mgiełką i już marzyła o chwili, gdy będzie mogła pomknąć szybciej niż jakikolwiek człowiek.

Następnego dnia zaczęliśmy jej drapieżną postać. Była niesamowicie ciemna, przez co wymagała dużo atramentu i czasu.

– Nie wiem jeszcze, co to jest, ale będzie bardzo ciemnej maści – powiedziałem, a ona główkowała potem cały dzień, co to takiego. Dopiero następnego dnia mogłem wreszcie rozpoznać kształt.

– Hm. To jest czarny kot – oświadczyłem.

– Czarny kot? – W jej głosie zabrzmiała nutka rozczarowania.

– Duży. Nie byle kicia. Czy to jaguar, czy lampart, tego się raczej nie dowiemy, póki się nie przemienisz.

– A! To brzmi znacznie lepiej.

– No ja myślę. Będiesz niezłym skurczybykiem.

– A może to pantera?

– Czarne pantery to tak naprawdę czarne lamparty, a nie osobny gatunek. To tylko kwestia genu recesywnego i przedziwnego uporu ludzi, którzy jakoś uparli się nie mówić „czarny lampart”.

– Hm. Cóż za ciekawy wybór.

– Może Gaja chce, żebyś była niebezpieczna w ciemności. Twoje tatuaże odpowiadające za latanie też pozostawią pewnie duże pole do domysłów. Trudno się rozróżnia gatunki w tych stylizowanych splotach.

– Ale nie będę komarem czy czymś takim, co?

– Nie. Druidzi są zwykle dość dużymi ptakami. Gaja nigdy nie umieści cię nisko w łańcuchu pokarmowym.

Gdy skończyłem pas odpowiadający za latanie, widziałem już, że Granuaile będzie jakimś ptakiem drapieżnym, ale nie mogłem się dopatrzeć, czy to jastrząb, sokół czy orzeł. W każdym razie nie miała być sową tak jak ja.

Wodna postać Granuaile była chyba najslabsza, bo był to lew morski, co oznaczało wprawdzie, że będzie nieznośnie urocza, ale nie dawało jej manualnej sprawności, którą miałem jako wydra. Będzie jednak znacznie lepszym pływakiem.

Kolejne półtora tygodnia zajęło nam skończenie jej przedramienia (te tatuaże pozwolą jej przenosić się między krainami) oraz koła na wierzchu dłoni, które da jej kontrolę nad jej własnym leczeniem. Ostatniego dnia, wczesnym popołudniem, siedziała z dłonią w mojej dłoni i patrzyła, jak kończę to koło. Wiedziałem, że z trudem powstrzymuje wszelkie dźwięki, które zdradziłyby ekscytację. Ja też byłem dość przejęty. Wygoiłem już poparzenia i wyglądałem jak zawsze, z wyjątkiem tego, że miałem dwumiesięczny zarost.

Gdy wypełniłem atramentem ostatni odcinek i blask Gai zgasł po chwili, Granuaile popatrzyła na mnie wyczekująco, promieniejąc z przejęcia.

– Gratulacje, Granuaile MacTiernan – powiedziałem. – Jesteś pierwszym nowym druidem od ponad tysiąca lat.

Uśmiechnąłem się do niej z ulgą. Wreszcie skończyliśmy. Roześmiała się zachwycona, ale wiedziałem, że i jej ulżyło.

Śmiałem się z razem nią, gdy raptem z przerażeniem zobaczyłem, jak na jej twarzy dochodzi do przedziwnej rozbiórki wesołości, jakby ktoś połamał rusztowanie podtrzymujące jej uśmiech. Dolna warga jej drżała. Pociągnęła nosem.

– Nie mogę uwierzyć, że to koniec – wymamrotała, przyglądając się wierzchowi prawej dłoni i ocierając łzy lewą. – Dwanaście długich lat.

– Bzdura. Minęły nam nie wiadomo kiedy!

– Ta. Jasne. – Znów pociągnęła nosem i otarła mocno łzy. Na jej twarz wrócił uśmiech, ale tym razem złośliwy. – Czy to oznacza, że już nie jesteś moim sensei?

– Na to by wyglądało.

– I dobrze. Już dość miałam czekania. – Chwyła mnie za kark i przyciągnęła do swoich ust. – Chodź tu.

Poszedłem.

Rozdział 21

Okej, tak tylko dla porządku zaznaczę, że to, co robicie, w ogóle nie przypomina psiego szczekania. W ogóle co do zasady nie zgadzam się ze wszystkimi tymi memami z serii Bow-Chicka-Bow-Wow>.

Oberon, proszę cię, to nie jest najlepszy moment...

<To świetny moment! To przecież pierwszy raz, kiedy postanowiliście z Granuaile wziąć udział w akcji Bow-Chicka-Bow-Wow>.

Ale Bow-Chicka-Bow-Wow nie ma imitować psiego szczekania! Te memy przedrzeźniają muzykę funkową z lat siedemdziesiątych, często podkładaną w filmach porno, a w szczególności te jej charakterystyczne basy. A czy teraz możemy mieć odrobinę prywatności?

<Co takiego? Chcesz, żebym sobie poszedł?!>

No, przynajmniej się na nas nie gap! Nie siedziałem, nie patrzyłem się na ciebie i nie komentowałem, jak byłeś z Fifi, tak? Nie mówiłem nic o daniu psu kości, prawda?

<Dobra. Ale ludzkie zwyczaje kopulacyjne są głupie>.

Rozdział 22

Przestaliśmy w końcu, ale tylko dlatego, że Oberon zagroził, że odgryzie sobie łapę, gdy po raz trzeci, odkąd zaczęliśmy, zaszło słońce.

<Mam już serdecznie dość stania na warcie> powiedział <warta jest nic niewarta, jeśli jedyne zagrożenia to obrzydliwe widoki, jakich mi tu dostarczacie>.

Chwileczkę! Po pierwsze, wcale nie musisz patrzeć, tym bardziej że ładnie cię prosiłem, żebyś tego nie robił, a po drugie, to wcale nie są żadne obrzydliwe widoki. To właśnie o tym śpiewa Al Green.

<To ty mnie przecież nauczyłeś tego psisłowia: Nie to obrzydliwe, co obrzydliwe, ale co się komu obrzydzi>.

Nie, Oberonie, to było o ładnym i nie tak to szło.

<Nieważne. Z obrzydliwym też działa>.

W tamtej chwili nic jednak nie mogło popsuć mi humoru, więc roześmiałem się i przyznałem, że ma trochę racji.

Co powiesz na polowanie, Oberonie? Czy to by ci bardziej odpowiadało?

Mój pies zadarł nos.

<To zależy. Na co polujemy?>

Na cokolwiek zechcesz. Gdziekolwiek zechcesz. Granuaile musi poćwiczyć podróże międzykrainowe i przemienianie się w zwierzęta.

<To zapolujmy na dikdika>.

Dobra. Tanzanio, przybywamy!

Choć Granuaile była już pełnym druidem, nadal potrzebowała nieco praktycznej nauki i przećwiczenia tego, co dotąd było tylko teorią. Już wcześniej nauczyła się na pamięć wszystkich słów i splotów, ale ponieważ przez ostatnie dni oddawaliśmy się... innym zajęciom, jeszcze nie zdążyła rzucić żadnego zaklęcia.

Podziękowaliśmy żywiołakowi za gościnność i pomoc, po czym położyliśmy z Granuaile ręce na podłączonym drzewie i pokazałem jej, gdzie ma nas przenieść do Tír na nÓg, żebyśmy mogli trafić do wschodniej Afryki.

– Ty pierwsza. Będę cały czas za tobą.

– A jak się zgubię?

– Nie zgubisz się. Pójdę za tobą, dokądkolwiek trafisz.

Wzięła głęboki oddech, zamknęła na chwilę oczy i przeniosła się.

<Wkrótce będzie ze mną rozmawiać, nie?> spytał Oberon.

Tak. Już niedługo.

<W takim razie, zanim nasze rozmowy staną się znacznie mniej intymne, chciałbym, żebyś wiedział, że jesteś moim ulubionym człowiekiem>.

Ooo, dzięki, Oberonie...

<Nawet kiedy jesteś obrzydliwy>.

To... to bardzo miłe z twojej strony.

Nagle zadarł nosa, ale nie w znaczeniu metaforycznym. Poruszał niespokojnie nozdrzami.

<Atticusie, czuć tu padliną. Mnóstwem padliny. I to coraz bardziej>.

Zmarszczyłem brwi.

Wampiry?

<Jeśli nie przeoczyliśmy początku apokalipsy zombi, to na to by wyglądało>.

Ze wszystkich stron?

<Nie, stamtąd>.

A zatem wampiry francuskie. Zresztą niewykluczone, że iberyjskie wampiry wcale nie są dużo dalej. Nietrudno było mi sobie wyobrazić, że po naszej rozmowie Theophilus zarządził światowe polowanie na druidów – w końcu bynajmniej nie zaprzestałem szkolenia mojej uczennicy, należało więc założyć, że i on podtrzymał obietnicę przeprowadzenia pogromu. Który właśnie się zaczął. Wampiry z całego świata już były na naszym tropie.

Pewnie wcale nie było mnie tak trudno znaleźć, jeśli nie zmieniałem zbyt szybko lokalizacji. Moja prastara krew pachniała zupełnie inaczej niż posoka współczesnych ludzi, a jeśli jakiś tajemniczy informator spośród faerii dał im cynk, że splatam Granuaile z ziemią, wystarczyło przeszukać wszystkie dzikie lasy Europy.

Nie miałem wcale ochoty mierzyć się teraz z bliżej nieokreśloną liczbą wampirów, toteż przeniosłem się szybko na Tír na nÓg, gdzie zastałem czekającą już na nas radosną Granuaile. Wykonała w ciemności kilka podskoków pogo.

– Udało mi się!

– Bez dwóch zdań. A teraz do Tanzanii. Prowadź.

Chwilę nam zajęło znalezienie odpowiedniego miejsca, żeby się przenieść. W końcu namierzaliśmy lasy akacjowe w Parku Narodowym Jeziora Manyara i znów puściliśmy Granuaile przodem.

<Powiesz jej o tych wampirach?> spytał Oberon, gdy zniknęła.

Zaraz. Muszę najpierw to sobie przemyśleć. Ona i tak ma dość zmartwień.

Gdy dotarliśmy do Tanzanii – parnej, gorącej i pełnej zjadających się nawzajem zwierząt, od razu włączyliśmy sobie noktowizję. Granuaile wyglądała na lekko oszołomioną.

– Mogę już się przemienić?

– Poczekaj. Najpierw spleć się z Oberonem.

– A! Racja! Oj, przepraszam, Oberonie, taka jestem przejęta, że nie pomyślałam.

<Ona tańczy, jakby musiała iść do łazienki>.

– Oberon to rozumie – zapewniłem ją. – Dobra. Więc spójrz w magicznym spektrum na połączenie między mną a Oberonem. Musisz tak się z nim spleść, żebyś mogła słyszeć jego myśli i vice versa.

– Czy ty też będziesz wtedy słyszeć moje myśli?

– Nie. Jedyna znana mi osoba, która umie porozumiewać się telepatycznie z ludźmi, to Morrigan, ale nie osiąga tego poprzez tradycyjne sploty.

– To co zrobimy, jak już będziemy obydwoma zwierzętami? – spytała Granuaile. – Czy Oberon będzie wtedy naszym pośrednikiem w rozmowie?

– Chyba mógłby być.

<Jeśli chcecie, żebym oszalał, to jasne>.

– Ale pewnie musielibyśmy ograniczyć się w tym do niezbędnego minimum – dodałem.

Granuaile pokiwała głową.

– Biedna psina by pewnie dostała kręcka.

<Widzisz, ona jest ciupkę wrażliwsza od ciebie, Atticusie>.

Hej!

<Poczekaj dwa miesiące i łeb daję, że mi załatwi w końcu tę pudlicę>.

Nie wykorzystuj jej hojności!

<Kpisz sobie czy jak? Równie dobrze mógłbyś mi kazać przestać być psem!>

Granuaile jęknęła cicho i rozszerzyła oczy ze zdumienia.

– Usłyszałam to! W każdym razie końcówkę. To dlaczego chcesz, żeby on przestał być psem?

<Witaj, Bystra Dziewczyno>.

– Cześć, Oberonie! Tak miło słyszeć w końcu twój głos! Czy „Bystra Dziewczyna” to moje przydomko?

– Przeżywa cię tak od tamtej przygody ze skórokształtnymi. Ale uważaj. Będzie cię próbował urobić, żebyś mu coś załatwiła.

– Doprawdy? – Uniosła pytająco brew i spojrzała na mojego psa.

<Puść mimo uszu te nieuprzejme druidzkie słowa. Nie mam żadnych ukrytych motywacji. Żyję, by jeść>.

– A dziś masz chętkę na małe antylopy.

<Właśnie! Ale zadowolę się wszystkim, cokolwiek nam się uda złapać>.

– Dobra. Nigdy przedtem nie polowałam, więc będziesz musiał dać mi jakieś wskazówki i wybaczyć mi, jeśli wszystko schrzanię, okej?

<Jasne, dziś daję ci fory>.

– To dobrze, bo moja postać drapieżnika to wielki, czarny kot.

<Jesteś kociarą?!> Oberon wbił we mnie oskarżycielskie spojrzenie.

<Atticusie, słowem mi o tym nie wspomniałeś!>

– To nie ja wybierałam, Oberonie! – powiedziała Granuaile. – To Gaja postanowiła, jakim będę drapieżnikiem. Gdybym miała wybór, byłabym psem tak jak wy z Atticusem.

To prawda, chłopie – dodałam między nami. – Nie miała nic do powiedzenia przy wyborze zwierząt. Zresztą jakie to ma znaczenie? To Granuaile, bez względu na postać.

<Słuszna uwaga> zgodził się Oberon.

– Jaka uwaga? – chciała wiedzieć Granuaile.

<On mówi, że zawsze będziesz Bystrą Dziewczyną, bez względu na postać>.

– A. To prawda. Atticusie, czy moglibyśmy zawsze mówić do Oberona na głos, żeby nie wypytywać go wciąż, co powiedziało to drugie?

– Jasne. Dobry pomysł. Ale siła nawyku jest duża, więc trochę mi to zajmie, nim się odzwyczaję.

<Polujmy wreszcie>.

Rozebraliśmy się z Granuaile i położyliśmy ubrania przy drzewie połączonym z Tír na nÓg. Poprosiliśmy ziemię, żeby rozstała się i ukryła naszą broń.

– Jeszcze jedna sprawa, nim się przemienisz – przypomniałem sobie. – Naszyjnik.

– A. – Granuaile dotknęła amuletu z zimnego żelaza na szyi. – Dobrze, że

pamiętałeś. Przecież bym się udusiła.

– Mogę zrobić to za ciebie? Znaczą poprawić go tak, żeby zmieniał rozmiary, kiedy ty zmieniasz postacie? Mógłbym cię tego teraz uczyć, ale to by chwilę zajęło.

– Jasne, dawaj – powiedziała.

– Żeby to zrobić, będziesz musiała teraz przemienić się w każdą swoją postać, ale wiem, że i tak masz ochotę wypróbować je wszystkie. – Stanąłem za nią i odpiąłem jej naszyjnik, od razu odnotowując, ile jest zapasu łańcuszka. Potem z amuletem w dłoni odstałem od niej na kilka kroków. – Więc zacznijmy od góry. Najpierw koń. Dawaj.

Granuaile wymówiła słowa splatające jej ducha z postacią konia wytatuowanego na jej ramieniu. Przemieniła się w piękną gniadą klacz o grzywie lekko jaśniejszej niż sierść. Poruszyła nozdrzami i kichnęła. Opowiedziałem jej, jak wygląda, gdy dopasowywałem naszyjnik do jej szyi, żeby zapamiętać rozmiar.

Zarżała i zaczęła uderzać lekko w ziemię każdą nogą po kolei, pewnie dziwiąc się samej sobie, że ma ich aż cztery. Splotłem pierwszą część zaklęcia, które pozwalało naszyjnikowi zbiec się z powrotem do ludzkich rozmiarów podczas przemiany.

– Dobra, teraz wróć do ludzkiej postaci. Wiem, że masz chęć pobiegać, ale to nie jest najlepsze miejsce. Jest tu masa panter i innych głodnych rzeczy.

Granuaile prychnęła i zmieniła się z powrotem w człowieka.

– Atticusie, to było fantastyczne! Cztery nogi! Kopyta! Niesamowite!

– Wiem. Sprawdź naszyjnik.

Spojrzała w dół i zobaczyła, że naszyjnik wisi na jej szyi dokładnie tak jak przedtem.

– Wymiatasz.

<Nie kadź mu. I tak już ma łeb jak kadź>.

Znów zdjąłem naszyjnik.

– Dobra, teraz kociak.

Granuaile przemieniła się w smukłego czarnego jaguara. Teraz widać było, że ogon ma krótszy i grubszy, a łeb szerszy. Znów kilka razy kichnęła.

– Gratuluję. Jesteś jaguarem.

Tak się ucieszyła, że ryknęła głośno, co zupełnie przeraziło Oberona. Las wokół zamilkł.

<Obawiam się, że każde stworzenie w najbliższej odległości właśnie zrobiło kupę> skonstatował Oberon. <A następnie się schowało. Pierwsza rada dla polujących: siedź cicho!>

Granuaile spuściła łeb i zrobiła przeproszącą, kocią minę. Sprawdziłem rozmiar naszyjnika i poprosiłem, żeby zmieniła się z powrotem w człowieka.

– Przepraszam, Oberonie – powiedziała, gdy tylko odzyskała wzrok. – To wszystko wina Helen Reddy i jej *I am woman, hear me roar*.

<Nie ma sprawy. I tak masz u mnie fory>.

– Dobra. – Znów zdjąłem jej naszyjnik. – Zobaczmy, jakim jesteś ptakiem. Możesz sobie chwilę polatać, ale żebyśmy tu za długo na ciebie nie czekali.

Granuaile przemieniła się, a ja krzyknąłem:

– Jesteś sokołem wędrownym! Najszybszym ptakiem na świecie! Leć! Bądź

wolna!

Ze zwycięskim piskiem Granuaile rozłożyła skrzydła i przez chwilę było majestatycznie i groźnie jak na Animal Planet, a potem nagle już nie – bo po niezdarnym starcie od razu spadła na nas. Spróbowała jeszcze raz, znów spadła, ale za trzecim razem odbiła się od ziemi i poszybowała aż do księżyca, po czym dała nura, by spaść na nas z prędkością dwustu mil na godzinę. Wylądowała nieco niezdarnie i natychmiast wróciła do ludzkiej postaci, jęcząc i chwytając się za brzuch.

– Oj, Atticusie, niedobrze mi.

– To dlatego, że tak szybko zmieniasz postacie. Jak się ma w nosie prawa fizyki, to wszechświat mści się za to prawami biologii.

– Ale nie zniszczyłam sobie raz na zawsze śledziona, co?

– Nie. To przejdzie. Ale nie da się tego bólu nijak zaleczyć czy wytłumić. Jak ci się leciało?

– Niesamowicie. Znaczą się za trzecią próbą. Już czuję, że będę bardzo zadowolona z tego wcielenia.

– Na pewno. To teraz ostatnia opcja: lew morski.

Przemieniła się i zaklaskała płetwami. Oberon prychnął wesoło, a ja zachichotałem, poprawiając jej naszyjnik.

– Dobra, teraz nie ruszaj się chwilę. Muszę zrobić tak, żeby wszystkie postacie i rozmiary były rekursywne, to będziesz się mogła zmieniać bezpośrednio z konia w sokoła czy z jaguara w lwa morskiego, a naszyjnik będzie się automatycznie dostosowywał. – Po kilku minutach naszyjnik był gotowy. – Dobra, przemień się teraz w jaguara i popolujemy trochę.

<Najwyższy czas!> mruknął Oberon.

Granuaile przemieniła się w jaguara, a ja w wilczarza. Kichnęliśmy oboje. Moja sierść była rudawa z białym paskiem na prawej przedniej łapie tam, gdzie miałem tatuaże. Wyglądałem trochę inaczej niż wilczarz irlandzki, bo byłem tak naprawdę starym psem, którego Irlandczycy zabierali na wojnę, a którego dopiero później nauczono polować na sarny, a potem na wilki, aż w końcu stał się dzisiejszym wilczarzem. Dla Oberona jednak nie miało to znaczenia – dla niego byłem wilczarzem i należałem do jego stada.

<Dobra, teraz weź głęboki wdech przez nos> poinstruował ją Oberon.

Granuaile wykonała jego polecenie i zaczęła kichać na potęgę, o wiele bardziej niż przy pierwszej przemianie. Próbowała nawet zakryć sobie pysk łapą, co wyglądało bardzo pociesznie.

<He, he. Nie wiedziałaś, że świat aż tak śmierdzi, co?> Granuaile zdołała wykorzystać jakąś przerwę między kichnięciami i odwarknęła mu coś. <E tam, zaraz się przyzwyczaisz. Dobra, więc teraz musisz nas naprowadzić na jakiegoś dikdika, wymijając po drodze wszelkie pawiany, hipcie, krokodyły i duże koty>.

Niestety nie namierzyliśmy ani jednego dikdika, ale Oberon nie wyglądał na specjalnie nieszczęśliwego z tego powodu. Bardzo dobrze się bawił, jako że Granuaile nieustannie kichała i nijak nie mogła się przyzwyczaić do nowego zmysłu węchu. Zawsze była dość wrażliwa na zapachy; przy pierwszym zetknięciu z demonami wymiotowała biedaczka przez bite dziesięć minut. Gdy mijaliśmy wielką kupę nosorożca, wpadła w panikę, nawet próbowała uciec, ale tak przy tym kaszlała,

że kocie ruchy jaguara zmieniły się w jakiś raptowny, szalony taniec. Oberon zaniósł się takim prychnieniem z uciechy, że aż się przewrócił na plecy.

<Wiesz, strasznie się wynudziłem przez te trzy miesiące, kiedy splatałeś Granuaile, ale teraz już to sobie odbiłem. Opłaciło się. W życiu nie przypuszczałem, że zobaczę kiedyś jaguara powalonego na kolana przez gówna nosorożca. A zrobił je pewnie tutaj wtedy, jak ryknęła>.

Granuaile wciąż się krztusiła i próbowała odczołgać jak najdalej, szorując brzuchem po trawie sawanny. Po chwili przypomniała sobie, że jest przecież wyjście z tej sytuacji, i przemieniła się w sokoła. Z piskiem się poderwała, daleko poza zasięg smrodów unoszących się nad trawą.

<O nie!> jęknął Oberon. <Ona mówi, że już skończyła polować. Zarządziła zbiórkę pod tamtym drzewem, gdzie zostawiliście rzeczy>.

<Dobra, to chodźmy. Nie możemy tak się z niej nabijać>.

<Czemu nie?>

<Przeniesiemy się teraz do Tír na nÓg i złożymy wizytę Goibhniu. Głowę daję, że ma dla ciebie jakiś przysmak>.

Pobiegliśmy spokojnym truchtem do naszego drzewa, a Granuaile zataczała koła wysoko nad nami.

<Czy Goibhniu ma w swoim pubie pyszne, magiczne zakąski? Na przykład prawdziwe Żubrze Skrzydełka. Wiesz, takie, co by naprawdę były skrzydełkami żubra, a nie tylko zwykłymi skrzydełkami kurczaka marynowanymi w żubrówce?>

<Nie, nie ma nic takiego. Ale jest jednym z Trzech Rzemieślników>.

<Pewnie wiąże się z tym jakaś pasjonująca historia!>

<Nie bardzo. Wszyscy są synami Brighid i mistrzami jakiegoś rzemiosła>.

<O. A charakter mają po mamusi?>

<Nie, to mili kolesie. Goibhniu zajmuje się kowalstwem i piwowarstwem. Luchta to mistrz stolarstwa. A Creidhne specjalizuje się w złocie, brązie i mosiądzu>.

<I co? Nie ma tu żadnej damy i tragicznej historii? Skoro już zwą się Trzema Rzemieślnikami, powinni co najmniej zbudować jakieś wspaniałości dla przepięknej księżniczki, by próbować zdobyć jej serce, przy czym dwóch powinno zginąć marnie>.

<To chyba z jakiejś innej kultury. Irlandki raczej same kopią tyłki, komu trzeba, i w ogóle robią, co chcą. Jako przykłady A, B i C, podam ci Morrigan, Brighid i Flidais>.

<Nic dodać, nic ująć. To kto wśród Tuatha Dé Danann jest bogiem gotowania?>

>
<Jakoś chyba takiego nie mamy>.

<Chcesz powiedzieć, że starożytni Irlandczycy mieli boga piwa, ale nie jedzenia?>

<Mieliśmy jasno wyznaczone priorytety>.

<To skąd wiesz, że Goibhniu będzie miał dla mnie jakiś przysmak?>

<Zawsze coś tam ma w zanadrzu. Precel jakiś czy co innego, żeby mieć co przekąsić do piwa. W ten sposób można więcej wypić. Rozumiesz, priorytety>.

<Łatwiej by mi to było zrozumieć, gdyby priorytety uwzględniały mięso>.

Biegliśmy potem już w milczeniu, a ja miałem chwilę, żeby się zastanowić nad

implikacjami tego nagłego zlotu wampirów w Pirenejach.

Jako że nigdy dotąd żadne wampiry nie ścigały mnie osobiście, musiało to nastąpić w wyniku rozkazu wydanego przez Theophilusa. A to z kolei oznaczało, że muszę go wyeliminować, jeśli chcę mieć sprawę z głowy (było to znacznie logiczniejsze wyjście, niż próbować eliminować wszystkie wampiry). Z drugiej strony jego następca może przecież wydać taki sam rozkaz. Wampiry nie są znane z podejścia „żyj i daj żyć”. Żeby zapewnić sobie jako takie bezpieczeństwo, musiałbym chyba na fotelu naczelnego wszystkich wampirów świata obsadzić Leifa Helgarsona.

I gdy tylko o tym pomyślałem, wiedziałem już, że na tym właśnie polega jego plan. Udaje, że działa, mając na celu moje dobro, ale tak naprawdę dąży do swoich celów. Tak jak robił zawsze w Arizonie, znów manipuluje wydarzeniami – tym razem, żebym mu wyeliminował przeciwników i wyniósł go na wyższe stanowisko. Wiedział dobrze, że gdy już zdobędzie władzę, będzie mógł mnie spokojnie zignorować – w przeciwieństwie do każdego innego wampira na całym świecie. To, że pomógł nam w Salonikach – rozdzierając te trzy ostatnie mroczne elfy – bynajmniej nie było działaniem podyktowanym troską o nas, ale czystym egoizmem. Byłem jego biletem na szczyt, więc nie mógł mi pozwolić zginąć.

Mogłem go sobie nienawidzić, ile mi się podobało. On i tak wiedział, że go potrzebuję, i zamierzał to w pełni wykorzystać. A wiedział, że nic mu nie zrobię, póki jest szansa, że może mi pomóc pozbyć się Theophilusa.

Kiedy Granuaile wylądowała wreszcie i przemieniła się w człowieka, okazało się, że jest dość rozsierdzona. Także się przemieniłem i poprosiłem ziemię o oddanie nam broni.

– To nie było fajne, Oberonie – oświadczyła Granuaile, ubierając się z wściekłością.

<Przepraszam, nie wiedziałem, że będzie aż tak źle>.

– Ale miałeś nadzieję, że będzie.

<Szczерze, to to przerosło moje najśmielsze oczekiwania>.

– Co takiego?!

Oj. Wdepnąłeś, chłopie.

<Chcę przez to powiedzieć, że nie miałem pojęcia, jak potężny będziesz miała zmysł węchu jako jaguar. Myślałem, że sobie kilka razy kichniesz i tyle. Reszta była bardzo zabawna, ale nie chciałem przecież, żebyś cierpiała. Przykro mi>.

Tak lepiej.

– Nic to. Będę się musiała jakoś przystosować, jeśli mam się do czegośkolwiek nadać w tej postaci. Jestem pewna, że zniesławiłam dziś wszystkie jaguary na tej planecie i zasłużyłam na drwiny. Ale skoro Gaja wybrała dla mnie tę akurat postać, to muszę się nauczyć z tym żyć i służyć ziemi. Obiecujesz, że spróbujemy jeszcze raz?

<Jasne!>

Granuaile poklepała go i spojrzała na mnie.

– Dokąd teraz?

– O ile się nie mylę, w Tír na nÓg czeka na ciebie prezent z okazji ukończenia druidzkich studiów.

– Koperta z gotówką i kartka podpisana przez wszystkich Tuatha Dé Danann? Prychnąłem.

– Nie, coś bardziej epickiego.

Rozdział 23

Dumny uśmiech Goibhniu przyćmiłby cały Broadway. W wyciągnięte dłonie Granuaile bóg złożył bowiem prawdziwe dzieło sztuki.

– To Scáthmhaide – powiedział.

Granuaile w milczeniu podziwiała swój prezent. Ze zdumienia otworzyła usta. Był to pięknie rzeźbiony kij dębowy ozdobiony splotami, których znaczenia zupełnie nie znałem.

Luchta, który spoglądał Goibhniu zza ramienia, stracił w końcu cierpliwość.

– Dlaczego ona nic nie mówi? – zapytał.

– „Milczenie jest najlepszym tłumaczem radości” – powiedziałem.

<Najlepszym tłumaczem radości? To czy ja mogę odtąd mówić, że wycie jest najlepszym tłumaczem głodu?>

Cytowałem Szekspira, Oberonie, wtedy wolno.

<Temu facetowi to normalnie wszystko wolno! Szkoda tylko, że nie pożył na tyle długo, żeby się tym nacieszyć. Słowo daję, że mógłby podejść do człowieka i powiedzieć: „Wyglądasz pan jak pański ojciec, a on to miał twarz jak cycek z syfilisem! Jestem Szekspir, więc mnie wolno”>.

Granuaile prychnęła śmiechem, nim zdołała się powstrzymać. Spłonila się pięknie.

– Przepraszam. Śmieję się tylko z tego, co powiedział pies.

Goibhniu i Luchta pokiwali głowami ze zrozumieniem.

– To piękny kij – dodała. Bo był piękny. Lśniące drewno zdobiły celtyckie sploty dające siłę i prędkość, przy czym jeden koniec inkrustowany był żelazem, a drugi srebrem. Metale nie wystawały ponad drewno ani nie znajdowały się poniżej jego powierzchni; wejdą w kontakt z celem w tej samej sekundzie co drewno wokół nich. W ten sposób rzemieślnicy stworzyli broń zabójczą dla faerii, bachantek i wilkołaków zarazem, a sploty oznaczały, że Granuaile będzie odtąd dysponowała większą siłą i szybkością, i to nawet jeśli nie będzie miała akurat kontaktu z ziemią. Kij bowiem działał mniej więcej tak jak mój niedźwiedzi charms, magazynując magię podczas kontaktu z ziemią, a potem przechowując ją, jeśli tego kontaktu nie było.

– Nie do złamania, oczywiście – powiedział Luchta. – I wodoodporny.

– Żelazo nie rdzewieje, a srebro nie czernieje – dodał Goibhniu.

– Niesamowite – zachwyciła się Granuaile. – Ale co to za sploty tu, wzdłuż kija? Atticusie, poznajesz je?

– To akurat robota Flidais, nie nasza – wyjaśnił Luchta. – A raczej robota jest moja, ale sploty jej. To od nich powstało imię: Scáthmhaide oznacza Kij Cienia. Jeśli wypowiesz odpowiednie słowa, staniesz się niewidzialna. Mówię tu o prawdziwej niewidzialności, a nie jakimś tam kamuflażu. Jest do tego coś jakimś małym druczkiem, ale już nie wnikałem. Wyrzeźbiłem wszystko dokładnie tak, jak mi kazała Flidais, więc lepiej z nią o tym pogadaj.

Granuaile oniemiała.

– Flidais zrobiła to dla mnie? – Rzemieślnik pokiwał głową. – Dlaczego?
– A żebym to ja wiedział – bąknął Goibhniu. – Nikogo nie chciała tego nigdy nauczyć.

– No, no, a wszyscy od samej Brighid po najmniejsze brownie błagają ją o zdradzenie tego sekretu – dodał Luchta.

– Ale przecież teraz już go znasz, tak? – Granuaile wskazała plecionkę.

– A skąd! Wpakowała tam tyle różnych różności, że kto by się tam połapał, co jest niewidzialnością, a co zwykłą ozdobą. Zresztą pewnie wszystko do czegoś służy. W każdym razie to nie są żadne standardowe sploty. Wszystkie są wyjątkowe. Masz w rękach coś naprawdę nietuzinkowego.

Granuaile była na tyle przytomna, żeby nie dziękować im wprost.

– To dla mnie wielki zaszczyt. Zrobię wszystko, by na niego zasłużyć.

– I tak trzymać – ucieszył się Luchta.

– Uczymy to piwem? – zaproponował Goibhniu. – Mam tu akurat kilka butelek.

Znajdowaliśmy się w studiu Luchty, jednym z najprzyjemniejszych warsztatów, jakie w życiu widziałem. Trociny na podłodze, drewno ułożone pod jedną ścianą pod półkami pełnymi sęków i gałęzi, a pod drugą wypolerowane, skończone dzieła. Staliśmy przy stołach do pracy, gdzie na dłonie Luchty czekały tokarki, dłuta i obieraczki. Pachniało sosną, cedrem i starym dębem, co wszystkim nosom pasowało znacznie bardziej niż gówno nosorożca.

Przedtem zatrzymaliśmy się na chwilę u Manannána Mac Lira, żeby odświeżyć się i przebrać. Wyglądaliśmy teraz bardziej staroświecko i irlandzko, niżby wypadało współczesnym Amerykanom – byliśmy w tunikach i spodniach w szaro-niebieskich barwach.

Manannán podarował Granuaile srebrny pas z muszli i koników morskich i strasznie wychwalał moc jej zwierzęcych postaci. Fand dała jej jakieś srebrne ustrojstwa do włosów i trochę ciastek, które być może miały magiczne moce. My z Oberonem byliśmy tak ignorowani, że przypominano sobie o nas dopiero wtedy, kiedy powiedziałem, że musimy już iść do Luchty.

Granuaile wyszczotkowała włosy, które lśniły teraz pięknie ozdobione srebrnymi spinkami, i najwyraźniej nie tylko ja uważałem, że wygląda w nich niczym bogini. W progu pojawił się masywny cień i niski głos ryknął:

– Flidais! Wyglądasz dziś jeszcze piękniej niż zwykle!

Granuaile odwróciła się i zobaczyła Ogmę, który zbladł, gdy uświadomił sobie swoją pomyłkę.

– O, bardzo przepraszam – wybąkał, czerwieniąc się. – Nie chciałem nikogo urazić.

– Nie chowam urazy, panie – odrzekła Granuaile, posyłając mi spod oka złośliwe spojrzenie. – Zdarzają się w życiu gorsze rzeczy niż być wziętą za znaną piękność.

Ogma się rozpromienił.

– Widzę, że już jesteś spleciona z ziemią. Moje gratulacje. I masz nową broń, tego także gratuluję. Z pewnością już się nie możesz doczekać, kiedy ją wypróbujesz?

- To prawda – przyznała Granuaile, patrząc z podziwem na Scáthmhaide'a.
 - Może zatem wypróbujemy swych sił w przyjacielskiej potyczce?
 - Jak przyjacielskiej?
 - Powiedzmy, dwa uderzenia z trzech. Zwycięzca bierze ubrania przegranego.
- Granuaile uniosła brew i powiedziała:
- Dobrze – nim zdołałem jej to odradzić.

Ogma, brat Dagdy, brat przyrodni Lugh i pradziad Trzech Rzemieślników, cieszył się wśród Tuatha Dé Danann sławą wyśmienitego wojownika. Dawniej zajmował się sprawami króla. Plotki o jego zejściu są mocno przesadzone. Takie skurczybyki jak on nie giną. Niegdyś Nuada Srebrna Ręka, stary król Tuatha Dé Danann, wskazywał mu tylko niezwyciężonego smoka czy inne niepowstrzymywalne paskudztwo i nakazywał mu je pokonać, a Ogma je pokonywał. Pewnego dnia król powiedział: „Kurczę, Ogma, Irlandczykom by się przydało jakieś pismo”, więc Ogma wymyślił pismo ogamiczne. Granuaile z pewnością wszystko to wiedziała, a mimo to przyjęła wyzwanie. Minął już czas, kiedy mogłem jej zawsze służyć nieproszoną radą.

Ogma jak zwykle odziany był jedynie w kilt. Poprosił Luchtę o pożyczenie mu jakiegoś kija. Był znacznie wyższy od innych i miał dużo dłuższe ręce niż Granuaile. Jego mięśnie poruszały się przy każdym ruchu. Granuaile przesunęła się w dalszy kąt warsztatu, wybierając sobie miejsce wśród trocin. Zamachała kijem na próbę, usiłując przyzwyczaić się do jego ciężaru i długości. Jej próbne machnięcia stawały się coraz szybsze i szybsze, aż zwały mi się przed oczami niczym śmigło.

Ogma także wykonał kilka ćwiczeń rozgrzewających, wymachując kijem w takim tempie, że Granuaile rozwiało włosy. Na pewno niełatwo go było zastraszyć. W każdym razie nie słowami.

Gdy trenowaliśmy sztuki walki, uczyłem Granuaile, jak wykorzystywać ludzkie słabości, zanim jeszcze nastąpi pierwsze uderzenie.

Jeśli jej przeciwnik był akurat patriarchalnym mizoginicznym dupkiem, bez trudu mogła go przecież sprowokować do zbyt pośpiesznego ataku, wyzywając go od suk. Ten typ łatwo było też zmylić, okazując fałszywy strach.

Ogma jednak do takich nie należał i prawdę powiedziawszy, ze świecą by takich szukać wśród Tuatha Dé Danann, którzy od wieków akceptowali władzę Brighid.

Gdyby przeciwnikiem Granuaile był młodszy, niedoświadczony lub może nieatrakcyjny mężczyzna, wystarczyłyby głośne spekulacje na temat rozmiaru jego penisa, by wyprowadzić go z równowagi, niezbędnej w sztuce walki.

Ale Ogma do takich także nie należał. Ogma reprezentował bowiem trzeci typ facetów – facetów takich jak ja – którzy zdolności Granuaile nie uważali za bezczelność czy wyzwanie, ale za coś szaleńczo pociągającego.

Póki Ogma nie przyjrzy jej się w magicznym spektrum i nie odkryje, że my dwoje jesteśmy powiązani dość blisko, część jego mózgu – i to raczej spora część – będzie intensywnie fantazjować na temat uwiedzenia jej, a co za tym idzie – nie będzie chciał jej skrzywdzić. Granuaile powinna zatem utrzymać go w przekonaniu, że ma u niej szanse.

Więc uśmiechnęła się do niego. Skomplementowała jego kolczyki, potem jego

muskulaturę, a potem przeciągle spojrzała na jego kilt i czekała, co zrobi.

– Dziękuję – odparł z uśmiechem.

– Zaczynamy – powiedziała, po czym okręciła się i podskoczyła dwa razy, żeby dodać sobie siły grawitacji i odśrodkowej przy zadawaniu pierwszego ciosu celującego od razu w głowę. Był to agresywny atak; być może zbyt agresywny. Ogma przyjął ten cios kijem ułożonym w poprzek, a gdy Scáthmhaide się od niego odbił, bóg uderzył go raz jeszcze, zapobiegając kolejnemu ciosowi. Granuaile była teraz w obronie i straciła rytm. Ogma atakował długimi uderzeniami kija, zmuszając ją do desperackich zasłon.

Drzwi mojego płatu czołowego otworzyły się z hukiem i wpadły przez nie informacje na temat politycznej sytuacji w Tír na nÓg, którymi podzielił się ze mną Manannán Mac Lir. Teraz mętne te fakty rozsiadły się wygodnie na kanapie i wywołały mój poważny niepokój. Ogma był bez wątpienia po stronie Brighid i jeśli coś mu się ubzdurało (choćby nie wiem jak dalekie było to od prawdy), że Granuaile jest w obozie Morrigan, to ten przyjacielski pojedynek może wcale nie być taki przyjacielski. Czy to Ogma stał za atakami na nas? Na pewno nie brakowało mu odpowiednich znajomości, by ścigać nas, gdyby chciał.

Niemal odrzuciłem tę myśl, bo zupełnie nie pasowała do jakże cywilizowanego i szczodrego zachowania jego wnuków, Luchty i Goibhniu, a przecież jeśli ktoś był po stronie Brighid, to właśnie oni – jednak byli dla nas nienagannie uprzejmi.

Z drugiej strony Ogma mógł mieć własne cele, niezależne od ich zamiarów. W Tír na nÓg nie było monolitycznej policji myśli i nic nie było tym, czym się zdawało. Nawet pojedynek.

Granuaile przewidziała kolejny cios i odparowała go, gdy jeszcze nadciągał. Miała dobrą pozycję i powinna dać radę zmusić Ogmę do znizenia kija, bo już była na górze. Ogma jednak zatrzymał się w pół ciosu i zamarł. Był zbyt silny, żeby Granuaile udało się go powalić, mimo jej przewagi. Wywinęła kijem tak, żeby walnąć go nim po głowie, choć sprytniej byłoby go obniżyć i zwalić Ogmę z nóg. Choć z drugiej strony był tak mocno osadzony i tak dobrze trzymał równowagę, że być może druzgocące uderzenie w głowę było tak naprawdę rozsądniejsze – a z pewnością byłoby druzgocące, gdyby w ogóle do tej głowy dotarło. Ale Ogma odchylił się, odwrócił policzek i uniknął ciosu, a przy tym wyciągnął rękę i zadał niski cios swoim kijem. Trafił boleśnie w jej rzepkę, która zdrętwiała na sekundę i to wystarczyło. Ogma pchnął Granuaile, która straciła równowagę i nie dawała rady odeprzeć serii gwałtownych ciosów, on tymczasem wykorzystał chwilę jej nieuwagi i uderzył od tyłu w jej kolana.

Wiedziała, że upada, i krzyknęła:

– Niech to lichu! – osuwając się na kolana.

– Ha! Doskonale. – Ogma się uśmiechnął. – Dobrze cię wyszkolono.

Wyciągnął dłoń, żeby pomóc jej wstać, a ona posłała mu mordercze spojrzenie. Uśmiechnąłem się, bo znałem je aż za dobrze. Oberon też odczytał je bez trudu.

<Oj, teraz to sobie przechlapał. Widziałeś to, Atticusie? Już po nim. Zaraz spadnie na niego kowadło i go zgniecie na miazgę, a on jest tego zupełnie nieświadomy> zauważył.

Tak, widziałem to – powiedziałem. – Ale uważaj, co mówisz. Pamiętaj, że ludzie cię tu słyszą.

Luchta i Goibhniu rzucili w naszą stronę ubawione spojrzenia, ale Ogma na szczęście nie zwracał uwagi na gadaninę mojego psa.

Nie wiedziałem, czy ten jego upupiający ton był celowy czy nie – czy zamierzał ją sprowokować? – ale to nie było ważne, bo nie ulegało wątpliwości, że ją sprowokował. Granuaile miała tę fascynującą zdolność osiągnięcia w złości wyższego stopnia sprawności – wcale nie barbarzyńskiej furii, ale hiperświadomości i jasności, tak potrzebnych w walce. Próbowałem ją nauczyć osiągać ten stan bez emocjonalnego zaangażowania, bo szczyt umiejętności nie powinien zależeć tak bardzo od stanu psychicznego, ale mi się to jak dotąd nie powiodło. Emocje motywowały ją jak nic innego – na przykład jej wieloletnia wściekłość na ojczyzna pchnęła ją na drogę druidyzmu.

Szykowała się na drugą rundę, gdy do warsztatu weszła Flidais. Zrzuciła już swój dworski image i wróciła do zwykłych skórzanych zieleni i brązów.

– Co to? – spytała. – Pojedynek?

– Przyjacielski – odparł Ogma.

Granuaile tego nie potwierdziła.

Za Flidais do warsztatu władował się Perun. Wyglądał na przyjemnie wyczerpanego i widać znalazł sobie jakiegoś krawca, który sprawił mu nowe ubrania. Chyba zlecił mu takie zaprojektowanie odzieży, by jak najpiękniej prezentowało się jego bujne owłosienie klatki, bo wypływało ono teraz falami rudych loków z głębokiego dekoltu w serek zdobiącego orzechową tunikę.

– Pojedynek dobra rzecz – rzekł. – Ja chcę widzieć. – I ruszył mniej więcej w moim kierunku, wyciągając od razu flaszkę wódki zza pasa.

Flidais uniosła dłoń.

– Chwileczkę, Ogmo. Nasza najnowsza druidka nie wie jeszcze, jak działa jej nowa broń.

– Wie dobrze – zapewnił ją Ogma. – Nieźle sobie z nią radzi.

Znow się uśmiechnął, na co Granuaile odpowiedziała mu morderczym spojrzeniem. Nie próbowała już nawet z nim flirtować.

<On tylko pogarsza sprawę>.

No wiem. Ale odlot.

– Chcesz jej dać nade mną magiczną przewagę? – pytał Ogma. – Mój kij nie ma żadnych splotów. To czyste drewno.

To wywołało trochę śmiechu, szczególnie u Flidais, która powiedziała:

– Tak, tak, wiemy, Ogmo. – Po czym zapewniła go, że Granuaile nie stanie się niewidzialna ani nic w tym stylu i że to zajmie tylko chwilę, więc może wyluzować.

Gdy zobaczyłem jednak, jak Flidais szepcze coś z Granuaile na osobności, ogarnął mnie niepokój.

Z politycznego punktu widzenia Flidais z pewnością stała po stronie Brighid. Gorzej – była w zasadzie jej prawą ręką i nikt nie był tak blisko z Brighid jak ona, nawet Ogma. Nigdy nie zapomnę jej tego, że gdy chciał mnie dorwać Aenghus Óg, to ona właśnie porwała Oberona, żeby zmusić mnie do bezpośredniej konfrontacji z bogiem miłości. Zrobiła to z polecenia Brighid. To ona również kazała mi uwierzyć

w nic niewartą teorię Lorda Łonobrodego. I teraz z przerażeniem uzmysłowiłem sobie, że to ona także może być zleceniodawcą wampirów.

Dotąd jakoś nie połączyłem pewnych dwóch wydarzeń – wydarzeń odległych od siebie o kilka miesięcy: Najpierw Flidais wyskoczyła mi z łóżka gotowa się bić ze mną, bo „żyłem w dobrej harmonii” z wampirem Leifem Helgarsonem; a potem ten sam Leif Helgarson powiedział mi przecież w zimnej syberyjskiej tundrze, że to właśnie Flidais poradziła mu wiele wieków wcześniej, żeby poczekał na mnie na jakiejś pustyni, a prędzej czy później zjawię się tam, próbując się ukryć przed Aenghusem Ógiem i faeriami.

Któreś z nich musiało mi więc skłamać. Z jednej strony trudno było uwierzyć w to, że Flidais spotkała jakiegokolwiek wampira i dała mu radę na temat tego, jak odnaleźć najstarszego druida świata, zamiast po prostu rozpleść krwiopijcę na miejscu, a z drugiej strony, jeśli Flidais rzeczywiście współpracowała z wampirami, z pewnością była gotowa zrobić wiele, żeby to ukryć. Może nawet dać mojej uczennicy zaczarowaną broń ze splotami, których nikt poza nią nie umie odszyfrować.

A jeśli tak... Co jeszcze poza zaklęciem dającym niewidzialność było wyrzeźbione na kiju Granuaile? Może coś, co pozwalało ją namierzyć? Swoisty gong na obiad dla wampirów? Wiem, że darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby, ale jeśli jest to akurat koń trojański? Nawet zresztą gdyby kij był czysty, niewidzialność nie daje aż takiej przewagi w walce z wampirami jak z ludźmi. Krwiopijcy mogą bez trudu wyśledzić ruchy Granuaile za pomocą innych swoich zmysłów.

Spiski są zabawne tylko wtedy, zauważcie, kiedy samemu się spiskuje. Albo jak się akurat mieszka w przyczepie i wierzy, że rząd ukrywa ufoludki – musi być bardzo śmiesznie tak sobie fantazjować o tym, jak bardzo oszukiwany jest cały naród. Ale gdy się wie na pewno, że istnieje jakiś spisek przeciwko tobie, to już zupełnie przestaje być komiczne. To raczej prosta droga do problemów z nadkwasotą.

Potrzebuję czegoś na zgage.

<Zawołaj Lady Gagę>.

Najwyższy czas, żebym sam trochę pospiskował. Spytałem Goibhniu, czy mogę zamienić z nim kilka słów. Piwowar uśmiechnął się do mnie serdecznie i nie uścisnął mi samej dłoni, ale całą rękę aż po łokieć.

– Co ci chodzi po głowie, najstarszy z druidów?

– Mógłbyś zrobić ten trik z wyciszaniem, żeby nikt nas nie słyszał? – poprosiłem. – Nigdy się tego jakoś nie nauczyłem.

– Jasne – powiedział Goibhniu. – Ale będziesz musiał w końcu osiąść tę sztukę, jeśli chcesz miewać w Tír na nÓg jakiegokolwiek poważne rozmowy. Gdzie nie spluniesz: faerie. – Wymamrotał kilka słów po staroirlandzku, przewrócił oczami i już. Wyglądało to znacznie mniej wytwornie niż to, co zrobił Manannán, ale i tak nie wyłapałem wszystkich słów. – Proszę bardzo – powiedział. – Potem cię tego nauczę, jeśli chcesz.

– Dzięki. Jaka moneta obowiązuje aktualnie w Tír na nÓg?

– Złoto i srebro wciąż są wszędzie przyjmowane.

– Doskonale. Tak się zastanawiałem, czy do twojego pubu zachodzą czasem jacyś cisowcy?

– Cisowcy? – Serdeczna mina Goibhniu zniknęła bez śladu. – A kogo ty chcesz

zabić, Atticusie?

Wzruszyłem ramionami.

– Nikogo bardzo ważnego tutaj. Tylko kilka wampirów na Ziemi.

Goibhniu zmarszczył brwi.

– Ta bitwa rozegrała się bardzo dawno temu, Atticusie. I druidzi przegrali.

– Wcale nie przegrałem. Zrobiłem sobie tylko bardzo długi timeout. Wampiry mnie ścigają. I Granuaile też. Nie zamierzam siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż nas ustrzelą. Mam teraz odpowiednie środki, faeryczne środki, więc powinniśmy ich użyć.

Goibhniu zastanowił się nad moim słowami. Kiwnął głową.

– Dobrze, ale czemu cisowcy?

– Wampiry ich nie wyczują. Żadnego bicia serca. Żadnej krwi. A cisowcy z kolei mają magiczny wzrok, więc mogą zobaczyć aurę wampira, a co najważniejsze w ich wypadku, jak się chce wampa uderzyć, zawsze kij się znajdzie. Są przecież zrobieni z drewna, więc wiesz, wystarczy, że wbiją gałąź w pierś wampira i po robocie. Potem odcinają łeb i przynoszą tobie, żeby dostać zapłatę, ty pilnujesz rachunku, ja płacę co miesiąc.

– Chwilunia... mają mnie te głowy przynosić? I rachunek mam prowadzić?

– Czemu nie?

– Bo nie chcę, żeby wampiry zaczęły się zastanawiać, kto je likwiduje. Wiesz, że one nas tu też mogą dorwać? Mają swoje kontakty i też mogą sobie zatrudnić cisowca czy innego zabójcę.

– Wiesz, kto jest tymi ich kontaktami?

– Nie.

– Ale ty też na pewno masz swoje kontakty i możesz poprowadzić ten interes tak sprytnie jak one. Zresztą nie powinieneś przypadkiem mieć jakiegoś bywalca pubu, który by się zajmował tego typu ciemnymi interesami?

– No, mam takiego – przyznał.

– To jemu to zleć.

Goibhniu pokręcił głową.

– Chcesz, żebym zaczął wojnę.

– Nie. Wojna już trwa od dawna. Chcę tylko, żebyś pomógł mi ją wygrać. I prawdę powiedziawszy, to nawet nie muszą być tylko cisowcy. To może być otwarta oferta dla każdego, kto szuka pieniędzy. Niech wampiry przypomną sobie, jak to jest być zaszczutym. Już zbyt długo to one polują.

– Każdy wampir się nada?

– Tak, póki jest z Włoch. Niech zaczną od Rzymu i potem idą dalej. Najlepiej niech trzymają się ścieżki rzymskiego podboju. Dzięki temu pozbędziemy się najpierw najstarszych wampirów, a polowanie będzie się stawało coraz prostsze.

Theophilus był na razie w Grecji, ale był tam i Leif. Na razie nie chciałem jeszcze go likwidować, na wypadek gdyby się jednak potem przydał. Wampiry całego świata wykonywały rozkazy płynące z Rzymu, więc najlepiej było uderzyć od razu tam, gdzie najbardziej zaboli. Zresztą Theophilus będzie pewnie musiał przenieść się do Włoch, żeby przejąć kontrolę nad sytuacją, jeśli cisowcom się uda.

– Skąd będziemy wiedzieć, że dana głowa jest akurat z Włoch? – spytał

Goibhniu.

– Niech dokumentują akcję na kamerce komórki wyposażonej w GPS.

– Wiesz, że wampiry zareagują na to produkowaniem nowych, żeby zastąpić zabitych.

– Wiem. Ale to będą młodsze, słabsze, głupsze wampiry i nie będą miały pojęcia, dlaczego powinny się bać druidów, skoro bezpośrednie zagrożenie stanowią faerie.

Twarz Goibhniu rozpromieniła się w uśmiechu i zarechotał serdecznie.

– Odkąd wróciłeś, jakoś tak się tu weselej zrobiło. Nikt ci nie może zarzucić, że jesteś nudny.

Rozmawialiśmy jeszcze chwilę o stawce od głowy i takich tam, a tymczasem Flidais dokończyła instruować Granuaile. Bardzo byłem zadowolony z mojej pogawędki z Goibhniu. Kiedy Leif mało nie zginął podczas tamtej awantury z Thorem, plotka o jego śmierci ściągnęła z całego świata na Leifowe terytorium wampiry, które rzuciły się sobie do gardeł w walce o władzę. Oczyszczenie Rzymu z krwiopijców powinno spowodować napływ podekscytowanych wampirzych muppetów gotowych zrobić wszystko, by zostać nowym królem pijawek. Po nich z kolei pozostaną mniejsze próżnie, które zassą kolejne zastępy wampirów. W takim chaosie polowanie na dwóch druidów zejdzie na dużo dalszy plan. Ha ha ha ha ha!

Gdy Ogma i Granuaile się ustawili, by zacząć drugą rundę, wiedziałem, że wygra moja uczennica. Wyczytałem to w jej oczach. Przyglądała się swojemu przeciwnikowi. Zamierzała udawać, że zepchnął ją na pozycję obronną, dać mu się zaangażować, a potem nagle odpowiedzieć ostrym atakiem. Przeciwczyła to na mnie tak wiele razy, że dawno straciłem rachubę. Ogma także przyglądał się swojej przeciwniczce, ale nie tak, jak powinien. Podziwiał jej nogi, krągłość jej piersi i już się cieszył na to, co zobaczy, gdy wygra jej ubrania. W jego ruchy wkradła się arogancja, nadmierna pewność siebie i nie zauważył nawet, że druga runda zapowiada się zupełnie inaczej niż pierwsza.

A gdy już się zaczęła, Ogma znalazł się na ziemi w ciągu niespełna trzydziestu sekund – ku zdziwieniu wszystkich, poza mną i Oberonem. Granuaile wyciągnęła dłoń i oświadczyła łaskawie:

– Doskonale. Dobrze cię wyszkolono.

W warsztacie zapadła cisza. Nowa druidka, która ledwie skończyła swoje trzecie dziesięciolecie, śmie mówić w ten sposób do boga liczącego sobie całe stulecia? Kpić z niego w żywe oczy?

Pękałem z dumy.

Ogma, trzeba mu to przyznać, wcale się nie obraził. Wstał bez jej pomocy, otrzepał kilt i uśmiechnął się z żalem.

– Dobrze. Zasłużyłem sobie na to.

Powinien był przeprosić. To by ją uspokoiło i straciłaby koncentrację. Przypomniałaby sobie, że walczy z legendą, że patrzą na nich bogowie. Ale przyznanie się do winy bez przeprosin nie wystarczyło, by wytrącić ją z koncentracji.

Trzecia runda była bardzo zażarta i dużo dłuższa. Był to niesamowity popis umiejętności obu walczących. Granuaile chciała wygrać za wszelką cenę i z każdym innym pewnie by wygrała, ale Ogma był teraz już naprawdę skupiony na walce i miał

przecież jednak kilkaset lat więcej doświadczenia.

Gdy w końcu przebił się przez jej obronę i po raz drugi rzucił ją na podłogę, widać było, że jest cały spocony i że mu po prostu ulżyło. Zagrzały oklaski – dosłownie, jako że tuż przy mnie klaskał Perun.

– Ja was, ludzie, kochać bardziej każda chwila – wył, przekrzykując hałas.

Gdy wreszcie aplauz ucichł, Ogma posłał Granuaile pożądliwe spojrzenie.

– Twoje ubranie proszę.

– Oczywiście – odparła i zniknęła.

Rozległy się okrzyki zdziwienia, a potem warsztat zatrzęsł się od śmiechu, gdy wszyscy zrozumieli, że włączyła czar na swoim kiju.

– Atticusie, wziąłbyś to ode mnie? – usłyszałem jej głos.

– Jasne. – Podeszedłem tam, gdzie stała jeszcze przed chwilą, i przystanąłem, gdy chwyciła mnie za koszulę. Przyciągnęła mnie bliżej i położyła moją dłoń na Scáthmhaidzie. Gdy go dotknąłem, mogłem ją zobaczyć.

– Jestem dla nich nadal niewidzialna, tak? – szepnęła.

– Tak. Teraz to chyba obydwójce jesteście.

– Czekał, muszę jeszcze coś sprawdzić. Przyciśnij to do mojego brzucha. –

Uniosła tunikę, a ja dotknąłem kijem jej brzucha. Puściła go rękoma. – A teraz?

Widzisz nas? – spytałem kontrolnie Oberona.

<Nie>.

– Dobra – powiedziała Granuaile. – To trzymaj go tak.

Rozebrała się szybko, nie tracąc kontaktu z kijem, a potem rzuciła tunikę i majtki na Ogme. Odzyskały widzialność, gdy tylko opuściły jej dłoń. Wszyscy wybuchnęli śmiechem na widok rozczarowanej miny Ogmy. Lepiej to nie mogło wypaść. Choć Ogma niby wygrał, Granuaile nic nie straciła i właściwie zdołała go przechytryć. Odtąd nikt nie będzie próbował jej upupiać.

W progu warsztatu stanęła znana nam już faeria w liberii dworu Brighid. Posłaniec odchrząknął patetycznie, a wszyscy od razu odwrócili się w jego stronę. Jego głos był niczym nautofon – niósł się daleko i zapowiadał nieszczęście.

– Wszystkich Tuatha Dé Danann wzywa się natychmiast na Dwór w celu wysłuchania posłańców olimpijskich.

Luchta zmarszczył brwi.

– Greckich czy rzymskich?

– Z posłaniem przybyli Hermes i Merkury.

Granuaile przycisnęła mi usta do ucha.

– Jakim cudem się tu dostali? – szepnęła.

– Jako posłannicy bogów mają zdolność przemieszczania się między krainami tak jak my – wyjaśniłem. – Tylko w inny sposób.

– A czego chcą? – spytał Goibhniu herolda.

Faeryczny buc zakaszła lekko, jakby dawał sobie czas do namysłu.

– Nie mam pewności, lecz przypuszczam, że ma to jakiś związek z Żelaznym Druidem.

Kilka głów zaczęło odwracać się w naszą stronę, ale opamiętali się na szczęście i żadne z nich słowem nie wspomniało o naszej niewidocznej obecności.

– Ruszajmy zatem – powiedział Ogma.

Wszyscy pokiwali głowami i zaczęli wychodzić z warsztatu. Poszliśmy z Granuaile za nimi, ale Oberonowi nakazałem zostać. Oddałem Granuaile moją tunikę na wypadek, gdybyśmy byli zmuszeni się ujawnić, ale miałem wielką nadzieję, że będziemy mogli być jak te muchy na ścianie (znaczy się te, których akurat nikt nie dorwał packą).

Kiedy dotarliśmy na błonia Dworu Faerycznego, Granuaile bardzo się zdziwiła, że na audiencję Olimpijczyków przybyło znacznie mniej faerii niż na naszą. Prawdę powiedziawszy, to prawie nikogo nie było poza lordami, a i oni nawet nie stawili się w komplecie. Zjawili się natomiast wszyscy Tuatha Dé Danann, i to mimo że Brighid wezwała ich w ostatniej chwili.

Posłańcy Olimpijczyków unosili się z metr nad ziemią, może z dziesięć metrów od małego wzgórza, na którym stał tron Brighid. Ona zaś ubrana była tym razem o wiele bardziej oficjalnie – w udrapowane szaty z jedwabiu w królewskich odcieniach błękitu i granatu. Emanowała nudą, czekając na zebranie się Tuatha Dé Danann. Gdy już zappełniły się wszystkie miejsca, zwróciła nieśpiesznie głowę w stronę przybyszów.

– Wszyscy są już obecni, panowie. Możecie zaczynać.

Istnieją na tym świecie nauczyciele, którzy wciskają swoim uczniom, że jedyna różnica między greckimi i rzymskimi bogami polega na ich imionach. Jest to oczywiście wyssane z palca. Poza skrzydełkami przy kostkach Hermes i Merkury naprawdę niewiele mają cech wspólnych – tak zresztą jak każda inna olimpijska para. Grecy i Rzymianie byli bardzo różnymi ludami i całkiem odmiennie wyobrażali sobie swoich bogów.

Hermesowi dramatycznie brakowało tkanki tłuszczowej, i to do takiego stopnia, że aż się chciało cisnąć w jego stronę cheeseburgerem i zobaczyć, czy złapie go w locie. Widać mu było żebra i żyły, a część z tych żył to normalnie sama w sobie była żyłasta. Jego oczy były zaczerwienione, nawiedzone i miały багаż doświadczeń, który z pewnością nie zmieściłby się w żadnym samolotowym schowku nad głową, ale za to były z zawodowym zainteresowaniem skupione na bronii Brighid (chyba że źle to interpretowałem). Jeśli będzie jakaś draka, Hermes był na nią gotowy. Ręce miał duże, o kwadratowych niemal, wielgachnych palcach niczym ze szkiców Franka Millera, a stopy równie nieproporcjonalnie potężne. Skórę miał jak mim i takąż samą skłonność do mówienia – to jest Merkury odwaliał całą gadkę. On tylko w milczeniu trzymał w dłoni swój kaduceusz, jakby chciał komuś przyrznać nim w głowę.

Merkury natomiast wyglądał, jakby wypadł właśnie z jakiegoś mediolańskiego spa. We współczesnej popwyobraźni był przecież sylwetką, która w mgnieniu oka dostarcza kwiaty ukochanej przez klienta osobie. Opalona skóra i wybielone zęby kazały podejrzewać wyższe niż tolerowane poziomy fafkułkowstwa. Stopy miał obute w sandały, a nim przemówił, złożył sobie palce na brzuchu w małą piramidkę.

– Bogowie Pan i Faun oraz boginie Artemis i Diana żądają natychmiastowego zwrotu driad porwanych ze stoków Olimpu.

Ja cię kręcę. Zawsze myślałem, że to posłańcy Brighid są pompatyczni, ale Merkury bił ich na głowę. Jego usta ociekały pogardą i oliwą.

– Jeśli stała się im jakakolwiek krzywda – ciągnął Merkury – weźmiemy w zamian życie druida Siodhachana Ó Suileabháina, ponadto żądając, by Tuatha Dé

Danann zapłacili własną krwią za to, iż go nie kontrolują. Jego życie jednak może zostać mu odebrane i tak – dodał – jako że bóg Bachus poprzysiągł sam go zabić.

– Wasi bogowie i boginie zwracają się ze swoimi żądaniem do złego adresata – odparła Brighid – ponieważ nie jesteśmy druidem, o którym mówicie. Nie mamy też nad nim żadnej kontroli. Nie jest naszym poddanym i nie możemy odpowiadać za jego czyny. – Odwróciła się w stronę zebranych. – Czy któreś z was wie, gdzie przebywają porwane driady? – Pozwoliła wymownej ciszy wybrzmieć, a potem znów spojrzała na Olimpijczyków. – Oto wasza odpowiedź.

– Słyszemy ją i zaniesiemy ją na Olimp.

– Nim wyruszyście, mam pytanie – rzekła Brighid. – Gdyby przypadkiem udało mi się skontaktować z druidem, czy gwarantujecie mu bezpieczeństwo, jeśli zwróci driady?

Posłańcy spojrzeli po sobie i Hermes skinął lekko Merkuremu.

– Jeśli zwróci driady jeszcze tej nocy, będzie bezpieczny od wszystkich poza Bachusem – rzekł Merkury.

Hermes w końcu jednak postanowił się odezwać. Jego głos był melodyjną arią wierzgającą, by uwolnić się od przyziemnej retoryki – jakby ktoś wcisnął twórczego geniuszka w szary garnitur i jeszcze szarszy boks biurowy i kazał mu po prostu „zostać tam i się ka nie ruszać”. Dziwne, jak wręcz wylizany Merkury mógł rzucić tylko krótkie „Cześć” i od razu słuchacze niemal czuli zapowiedź szybkiego ciosu w brzuch, lecz gdy przemówił Hermes – który wyglądał na znacznie twardszego gościa – było w tym tyle piękna i smutku, że chciało mu się od razu kupić piwo, żeby mógł się w nie wyplakać do woli.

– Wszyscy członkowie mojego panteonu gotowi są wybaczyć mu to przewinienie, jeśli tylko natychmiast odda driady – oświadczył.

I jak dla mnie tyle wystarczyło. Pragnąłem natychmiast oddać driady. Granuaile czuła chyba to samo.

– Chodźmy, Atticusie – szepnęła.

– Jasne.

Odwróciliśmy się plecami do Dworu w chwili, gdy Brighid wymieniała pożegnalne słowa z posłańcami z Olimpu. Mieliśmy misję.

– Im szybciej to załatwimy, tym lepiej – powiedziałem jej, gdy tylko znaleźliśmy się w bezpiecznej odległości od Dworu. – Olimpijczycy będą teraz najpierw czekać na Hermesa i Merkurego, a potem przegadywać sprawę i wysyłać masę wiadomości w tę i z powrotem, więc akurat jest dobry moment.

– Jestem za – zgodziła się Granuaile. – Ale nie pogardziłabym też nowymi ciuchami.

– A. Racja.

Najpierw wróciliśmy do warsztatu po Oberona, a potem przenieśliśmy się do bezpiecznej bazy w lesie Uncompahgre, w południowo-zachodnim Kolorado. Był to domek położony niedaleko starej kopalni Camp Bird, z dziesięć mil na zachód od Ouray. Kupiłem go pod fałszywym nazwiskiem jakieś sześć lat temu, doradziła mi to bowiem Morrigan. Otoczony lasami połączonymi z Tír na nÓg stanowił idealne miejsce na spotkania i do przechowywania ubrań na zmianę na wypadek takich sytuacji jak ta. Byliśmy tu także poza terytorium Kojota i Oberon mógł tu

bezpiecznie spędzać czas sam, jako że miał tu nawet duże drzwi dla psa i w bród jedzenia i wody, że już o wiewiórkach i sarnach nie wspomnę.

Przebraliśmy się szybko z Granuaile i powiedzieliśmy Oberonowi, że musi na jakiś czas zostać sam.

<Na jak długo?>

– Mam nadzieję, że tylko na kilka godzin. Na pewno mniej niż trzy miesiące. Zresztą przecież i tak nie orientujesz się w czasie. A teraz słuchaj: pod żadnym pozorem nie wolno ci włączyć w żadne szyby górnicze. Masz na nie bana, zrozumiano? Jeśli wbiegnie tam jakaś wiewiórka, to traktuj ją jak martwą i za żadne skarby jej już nie goń. I nie baw się, że to jaskinie Batmana, tak? Nie uratujesz stamtąd Gotham, zrozumiano?

<Dobra. Będę pamiętał o tych zasadach>.

– Baw się dobrze na polowaniu, chłopie. – Poklepałem go, a on zamachał ogonem. Granuaile przypięła sobie zapasowe noże i pocałowała go w łeb.

– Mam nadzieję, że wkrótce razem wybierzemy się na polowanie – powiedziała.

<No właśnie! Może na karibu. W tundrze mniej śmierdzi>.

– Bardzo to kochane z twojej strony – rzekła z uśmiechem.

<Hej, włączyłbyś mi jeszcze przed wyjściem dwie płytki z *Drużyną Pierścienia*? Muszę sobie odświeżyć wiedzę na temat kopalń Morii>.

Rozdział 24

Przeskoczyliśmy na Olimp, do drzewa pierwszej driady, i ostrożnie rozejrzeliśmy się wokół. Nie zobaczyliśmy nikogo, więc otworzyłem portal do wyspy wolnego czasu i nakazałem Granuaile przyglądać się uważnie temu, co robię.

– Następne ty robisz.

– Okej. Dlaczego nie możemy otwierać tych portali, gdzie nam się podoba?

– W ogóle nie da się ich otworzyć, jeśli się nie jest w okolicy splecionej z Tír na nÓg. Ale unikamy otwierania portali, bo to zużywa bardzo dużo energii.

Przenoszenie się za pomocą drzew kosztuje ziemię znacznie mniej mocy. To dlatego właśnie tamta wielka piekielna brama, którą otworzył Aenghus Óg, tak wysłała ziemię wokół i ją zabiła.

Część terenu wokół Tony Cabin już funkcjonowała na podstawowym poziomie, ale wciąż były tam dość spore zupełnie martwe obszary, choć całe lata ciężko pracowaliśmy, by przywrócić na nich choć najmarniejsze formy życia.

Pierwsza driada, którą oddzieliliśmy od drzewa, patrzyła na nas niepewnie zawieszona w powietrzu kilka metrów nad ziemią wyspy czasu. Ręce wyciągała wciąż w naszą stronę, chcąc przytrzymać się swojej krainy. Chwyciłem Granuaile za lewą rękę i kazałem jej wyciągnąć drugą i wciągnąć driadę z powrotem.

– Nie potrzebuję jakiegoś długiego kija czy coś?

– Nie, póki jedna twoja połowa będzie tutaj, nie zostaniesz wciągnięta w tamten strumień czasu.

– Ale co z samym jej wyciągnięciem? To nie będzie jak strzał z bicza?

– Nie. W tym strumieniu czasu ona dopiero zaczęła spadać. Grawitacja ledwie zauważyła jej istnienie nad wyspą, ale driada nie spadała jeszcze nawet pełnej sekundy, żeby pokonać choć z pięć metrów. Spójrz na nią. Prawie się stąd nie ruszyła przez te trzy miesiące. Wyciągnięcie teraz odczuje mniej więcej tak jak te raptowne ruchy w tangu, kiedy wyciągasz rękę i przyciągasz partnera do siebie. Tylko złap ją delikatnie. Pamiętaj, że jesteśmy tylko smugą na niebie.

– Dobra. – Granuaile sięgnęła przez portal i powoli zacisnęła palce na nadgarstku driady. – Gotowy?

– Tak. Dawaj.

Granuaile pociągnęła i driada znów odzyskała grunt pod nogami, po czym gdy tylko Granuaile ją puściła, zachwiała się, zamrugła i siadła ciężko pod koroną drzewa.

– Co się stało? W głowie mi się kręci.

– Przepraszamy – powiedziałem po łacinie.

Wpatrywała się we mnie szeroko otwartymi oczami.

– Twoja twarz. Przecież przed chwilą była w połowie pełna blizn... –

Przeniosła wzrok na Granuaile. – A ty masz teraz te dziwne znaki na ramieniu. Co to za magia?

– To magia ziemi i faerii – wyjaśniłem. – Przykro mi, jeśli odczułaś jakiś ból lub niewygodę. Zostałem zmuszony wykorzystać cię, by zdobyć uwagę Fauna.

Widzisz, chodzi o to, że on mi uniemożliwił splecenie mojej uczennicy z ziemią. Ale teraz już wszystko dobrze, albo w każdym razie zaraz będzie dobrze. Teraz naprawię twoją więź z drzewem.

– Ale jak?

– Tak samo, jak ją rozplotłem, tylko na odwrót. Potrafisz widzieć łączącą was więź?

– Nie. Tylko ją czuję.

– Powiedz mi więc, proszę, gdy się lepiej poczujesz. To nie powinno zająć dużo czasu.

Granuaile chciała jej pomóc wstać, ale driada odsunęła się od niej.

– Nie, dziękuję – mruknęła. – Sama dam radę.

– Dobrze – odpowiedziała grzecznie Granuaile i wycofała się z przyjaznym uśmiechem na twarzy. Zagadywała miło i przeproszała, a ja tymczasem mogłem skupić się na magicznym spektrum, żeby zaprowadzić ład tam, gdzie wywołałem nieco chaosu między driadą a drzewem. Trwało to nieco dłużej niż rozplatanie, bo tworzenie zawsze jest trudniejsze od niszczenia, ale nie aż tyle co w gabinecie współczesnych lekarzy, gdzie chorzy muszą nauczyć się prawdziwej etymologii słowa „pacjent” – od łacińskiego *patiens*, cierpiący i cierpliwy – nim w ogóle ktoś zacznie ich leczyć. Gdy tylko skończyłem, driada przyznała, że znów czuje się całkowicie zdrowa.

– Doskonale. Raz jeszcze przeproszam, ale to było konieczne, i bardzo się cieszę, że udało nam się przywrócić ci zdrowie. Musimy podobną operację przeprowadzić na jeszcze pięciu twoich siostrach, więc gdybyś była tak miła i powstrzymała się od wzywania Fauna i wszelkich innych bogów przez jakieś dwie godziny. To da nam dość czasu, by spleść z powrotem wszystkie driady z ich drzewami bez niepotrzebnych komplikacji, a potem, gdy już wszyscy będą bezpieczni, możesz zawołać Fauna, a on z pewnością przywita cię tak entuzjastycznie, że nie da się tego opisać bez owego wymyślnego erotycznego słownictwa, z którego łacina słynie po dziś dzień.

Driadzie szczęka opadła. Granuaile pożegnała ją gestem Spocka i życzyła jej długiego życia i szczęścia.

– Kim jesteście? – spytała. – Nic z tego nie rozumiem.

– Na przestrzeni dziejów nosiłem najrozmaitsze imiona... – zacząłem, ale Granuaile oczywiście musiało się przypomnieć to jedno i weszła mi w słowo:

– W Toronto nazywali go Nigel – obwieściła.

– No. Nigdy nie chciałaś być Nigelem w Toronto – dodałem. – Wierz mi.

– Nie wiem nawet, gdzie jest Toronto – wybąkała zdezorientowana driada.

– To miejsce za oceanem, gdzie jest wspinały festiwal filmowy i beznadziejna drużyna hokejowa – wytłumaczyłem, ale jakoś nadal wzrok miała błędny. – Wyśrubowali sobie ceny biletów do jakichś bajońskich sum, a od 1967 roku nie zdołali nawet zdobyć pucharu Stanley Cup. Wiem, że zawsze jest szansa, że niby w następnym roku, no ale bez jaj, nie?

To jakoś też nie pomogło. Driada wyglądała tak, jakby zamierzała skulić się w kłębek i popłakać, więc uznałem, że najlepiej będzie, jak już przejdziemy do następnej. Dałem znak Granuaile, przenieśliśmy się do drzewa kolejnej driady i

powtórzyliśmy całą procedurę. Staraliśmy się możliwie zminimalizować pogawędkę, ale jednak zachowywać się nienagannie i bić się w piersi jak należy. Dwie ostatnie Granuaile załatwiła sama, łącznie ze sprawą otwierania portalu. Wprawdzie zostawiła je otwarte, gdy splatała driady z powrotem z drzewami, ale o tym postanowiłem pogadać z nią później.

Ostatnia driada była jakoś bardziej urażona niż pozostałe, które okazywały głównie zdziwienie. Zupełnie się nas nie bała i nie omieszkała nam nawet pogrozić. Gdy już skończyłem reperować jej więź z dębem, powiedziała:

– Za karę czeka was cierpienie, jakiego od wieków nie zaznał żaden śmiertelnik.

– Przecież wszystko naprawiłem – zaproponowałem.

– Cóż za arogancja! Od początku do końca – odparowała, wślizgując się do swojego drzewa. Gdy tylko zniknęła w środku, jej głos się zmienił. – Cierpcie – powiedziała szumem liści, szeptem i szmerem ledwie, jak to bywa w bezwietrzny dzień.

Spojrzałem na Granuaile, a ona wzruszyła ramionami.

– Zrobione – stwierdziła po angielsku.

– No nie wiem. To było dziwne. Mogłaby być dla nas miłsza, nie? Tym bardziej skoro już widziała, że umiem zniszczyć jej więź z dębem.

– Ma tu przyjaciół – powiedział głos za naszymi plecami.

Obróciliśmy się z Granuaile, ale nikogo nie zobaczyliśmy. Dopiero po chwili zajaśniała przed nami duża grupa kobiet w białych szatach. Na czele podążał ku nam mężczyzna o kpiącym uśmiechu.

– Poprzysiągłem sobie, że rozedrę cię własnymi rękoma, druidzie – rzekł Bachus. – Może i jestem szalony, ale takich rzeczy nie zapominam.

Rozdział 25

Ogólnie uwielbiam nowe doświadczenia. Wciąż pamiętam na przykład mojego pierwszego loda wodnego – była to Wysoce Sztuczna Jagoda i miałem po nim zupełnie niebieski język. Moja pierwsza wycieczka na Madagaskar była niesamowita, bo lemury są takie śmieszne. Rzucają cię owocem w tył głowy, a potem pokazują jeden na drugiego, jak się obrócisz. Są jednak w życiu takie chwile, kiedy nowości za nic się nie docenia – na przykład jak się akurat ucieka przed pewną śmiercią. I to była taka właśnie sytuacja. Nie mogłem nawet przenieść się do jakiejś innej krainy, bo przez tę driadę jej cholerne drzewo trzaskało mnie po ręce za każdym razem, kiedy próbowałem go dotknąć. Doświadczenie zupełnie nowe, ale niezbyt fajne.

– Może niewidzialność? – szepnęła Granuaile.

– Nie. Wywęszą magię i i tak nas dorwą.

– Mężczyzna jest mój – krzyknął Bachus do hordy menad. – Ale możecie się zabawić tą kobietą. – Po czym ruszył na mnie z pewnością typową dla nieśmiertelnych.

– Nie walcz z nimi – rzuciłem szybko. – Staraj się zachować dystans. Są silniejsze od ciebie, ale nie dorównują ci prędkością.

Być może lepiej było jej doradzić, żeby po prostu im uciekła, ale ona już szła w ich stronę. Ich było ze sto, a ona tylko jedna, ale ponieważ bachantki były zupełnie ogłupiałe od alkoholu i pewne swojej siły, nie zauważyły nawet, że to Granuaile atakuje je, a nie odwrotnie. No i nie były odporne na drewno. Granuaile śmignęła mi tylko przed oczami i usłyszałem huk Scáthmhaide'a spadającego na pierwszą czaszkę. To nadało ton tej potyczce. Bachantka zwinęła się, a Granuaile odskoczyła, teraz już gotowa zadowolić się zabawą w berka z pijanymi dzikuskami. Zawsze mnie zachwycało, że nieodmiennie atakuje za każdym razem, gdy coś jej zagrozi. Znała cenę zaskoczenia i stosowała je często zabójczo skutecznie.

Potem już nie miałem zbyt wiele okazji, żeby się jej przyglądać. Bachus wszystko mi zasłonił. Tak jak jego wyznawczynie był odporny na żelazo, więc Fragarach na wiele mi się tu nie zdał. Nawet go nie wyciągałem z pochwy.

Nigdy dotąd nie doszło między nami do bezpośredniej walki i naprawdę miałem wciąż nadzieję, że tak pozostanie. Widziałem jednak, jak walczył z Leifem. Był wojownikiem o dość miernych zdolnościach, ale za to nieprzeciętnej sile. Podskoczyłem na jakieś dwa i pół metra do góry, a on i tak popędził głową naprzód, więc w rezultacie zarył w drzewo driady, które pękło i jęknęło.

– Och, uważalibyście trochę! – zbeształa nas driada.

W skoku nogi miałem podciągnięte do góry, ale teraz kopnąłem prawą, gdy opadałem na ziemię, bo chciałem wykorzystać to, że Bachus odbije się od drzewa. Trafiłem w jego brodę i zatoczył się kilka kroków do tyłu. Na moich oczach jego skóra z typowej dla libertynów cery gładkiej jak pupa niemowlaka przeszła w bardziej typową dla szalonego, pijanego potwora. Tam, gdzie pod różowym rumieńcem prześwitywała jeszcze przed chwilą delikatna siateczka niebieskich żyłek, teraz widać było nabrzmiące, zielone żyły, a białka jego oczu napłynęły ciemnym

burgundem. Jeśli tylko mnie dorwie, już po mnie. Jedynym sposobem na niego była prowokacja, bo im bardziej go rozsierdzę, tym mniej będzie zdyscyplinowany i bardziej szalony, a że wiedziałem dokładnie, jaki typ reprezentuje, wykorzystałem radę, którą sam dałem Granuaile, i powiedziałem:

– No chodź, suko. Spróbuj jeszcze raz i zobaczymy, jak ci się uda.

Zupełnie stracił panowanie nad sobą. Spurpurowiał, zawył, ślina pociekła mu z ust i jakby miał to wszystko gdzieś. Urósł, zatrzęsł się i ryczał niczym rozjuszony sterydowiec, póki mu starczyło powietrza w płucach. Zniosłem ten popis cierpliwie i starałem się wykorzystać tę chwilę na wymyślenie, jak by go tu pokonać. W przeciwieństwie do bogów nordyckich czy irlandzkich (oraz mnie) tych cholernych Olimpijczyków nie da się zabić. Można im niby zrobić krzywdę, ale i tak umieją się ze wszystkiego wyleczyć. Nawet jeśli się ich poćwiartuje czy wybuchnie na małe kawałeczki, zawsze mogą po prostu odpocząć na Olimpie i włożyć nową chlamidę albo togę. Mimo to musiało istnieć jakieś wyjście z tej sytuacji, bo inaczej Morrigan już by tu była, walcząc z nim, by wypełnić swoją przysięgę.

Najlepsze wyjście było oczywiście przez jakiekolwiek inne drzewo. Prawdę powiedziawszy, miałem nadzieję, że Granuaile wpadnie na to i się stąd wyniesie. Póki co okrzyki bólu dochodzące z lasu nie należały do niej. W bitwie jak w dobroczynności – lepiej dawać, niż dostawać.

Bachus skończył się drzeć i znów mnie zaatakował. Przykucnąłem, szykując się do skoku, ale tym razem tylko udawałem, a już po chwili obserwowałem, jak Bachus leci mi nad głową. Jego twarz spotkała się z drzewem po raz drugi, a gdy jeszcze był nade mną, z całych sił uderzyłem go w pachwinę. Oczami wyobraźni już widziałem, jak zwinie się z bólu, łapiąc się za zbite winogrona, ale tak się bynajmniej nie stało. Mój cios zmienił lekko tor lotu boga, tak że spadł mi głową na plecy. Gdy osuwał się na ziemię, chwycił mnie niezdarnie za nogi. Nie był to z jego strony cios czy jakiekolwiek celowe działanie, jedynie objaw rozpaczony, ale co z tego, skoro i tak zważyło mnie skutecznie z nóg.

Nim zdołałem wstać, on już złapał mnie za kostkę i podciągnął sobie bliżej. Obróciłem się i kopnąłem go w głowę. Odrzuciło mu łeb do tyłu i stracił zęby, ale tylko się otrząsnął i uśmiechnął krwawo.

– Już mi się nie wymkniesz.

Chciał mi też strzelić w pachwinę, ale zdołałem odwrócić się tak, że trafił zamiast tego w udo. Ale będę miał siniaka. Znów kopnąłem go w twarz, ale sukinkot tylko się roześmiał. Widocznie umiał wyłączać ból tak jak ja, lecz w przeciwieństwie do mnie ból fizyczny go bawił. Próbowałem jeszcze bardziej go rozśmieszyć kilkoma dodatkowymi kopniakami.

W końcu jednak mu się to znudziło, więc trzepnął mnie ręką w nogę przy następnym kopniaku, a potem skoczył mi na kolana, żeby mnie przygwoździć. Szarpnąłem, zwinąłem się i udało mi się strzelić go porządnie w skroń, ale to go nie ruszyło. Chwycił mnie za ramiona i przycisnął do ziemi. W zwykłej walce byłoby to dość głupie posunięcie, bo nadal mogłem przecież zadawać mu łamiące żebra ciosy, ale Bachus miał to w nosie. Chyba drwił ze mnie, bo coś tam nawijał po łacinie, ale nie miałem czasu słuchać, bo splatałem szybko po staroirlandzku zakłęcie łączące jego togę z drzewem driady. Zadziałało, ale to Bachusa też nie ruszyło. Po prostu

szarpnął, toga się rozdarła i poleciała na drzewo, ale jej właściciel mnie nie puścił. Jego siła była tak potężna, że zaczynałem wątpić, czy mogę się z nim mierzyć. Sięgnąłem po moc i poczułem, że jest jej wokół niepokojąco mało. I dopiero wtedy przypomniałem sobie, że Granuaile zapomniała zamknąć portal. Będę potrzebował jej pomocy, żeby się z tego wykaraskać – choć całkiem prawdopodobne, że ona właśnie sobie myśli, że będzie potrzebowała mojej pomocy w walce z bachantkami.

Wezwałem ją na pomoc po rosyjsku, dodając dla jasności, że powinna złamać bogu wina łokieć. Darłem się w kółko o to samo.

– Co tam mówisz? – spytał Bachus. – Znowu mnie obrażasz?

Zacisnął mi palce na ramionach tak boleśnie, jakby kciukami dotykał już kości. Moje ciosy nie dawały żadnych rezultatów. Przycisnął mnie sobie prawym ramieniem do ziemi i zaczął ciągnąć za lewą rękę, aż wyrwał ją ze stawu. Ciągnął dalej. On naprawdę zamierzał mnie rozerwać na strzępy, kończyła po kończyźnie.

Nie zauważył nawet, co go trafiło – ja też zresztą nie. Ale zobaczyłem (a on z pewnością poczuł), że jego lewe ramię wygięło się jakoś nie tak, jak powinno; usłyszałem huk łamanej kości i trzask rozdzieranych tkanek; i ujrzałem białe drzazgi kości wyłaniające się z jego ręki. Opadł na mnie zszokowany, a mnie udało się go wreszcie z siebie zrzucić. Pojawiło się kilka zdeorientowanych bachantek szukających Granuaile.

Zerwałem się na równe nogi i udało mi się odsunąć się od niego na bezpieczną odległość. Obydwaj mieliśmy teraz lewe ręce do niczego, ale tylko jeden z nas miał jasny plan. Bachus wył z wściekłości nad swoim potrzaskanym ramieniem i obficie broczył tym, co u Olimpijczyków uchodzi za krew, a nazywa się bodajże ichor. Zagoi mu się to znacznie szybciej, niż mnie by się goiło, ale i tak był na razie wściekły i co najważniejsze, klęczał jedyne trzy metry od nadal otwartego portalu. Pewnie nawet go nie zauważył, jako że pojawił się prostopadle do niego. Podszedłem do niego na luzie, prawą stroną do przodu, więc zerwał się na równe nogi, przy okazji lekko się wycofując, przez co znalazł się jeszcze bliżej portalu. Między nami biegały bachantki, uparcie szukając Granuaile. Posłusznie wykonywały bowiem ostatni rozkaz, jaki otrzymały, i nawet im do głowy nie przyszło, że mogłyby mnie teraz z łatwością zlikwidować. Bachus ryknął i machnął na mnie prawą ręką, jakby wyzywał mnie do walki. Starannie wybrałem sobie miejsce, odczekałem, aż dwie bachantki między nami pójdą w swoją stronę, i dopiero wtedy, podkręciwszy sobie jeszcze prędkość, wystrzeliłem w jego kierunku i kopnąłem go w pierś. Chciał złapać mnie za nogę prawą ręką, ale nie był dość szybki. Potknął się i wleciał w portal, za późno zorientowawszy się, że traci grunt.

Uśmiechnąłem się, zamykając portal, a on wył rozjuszony.

– Spadnięcie na tyłek zajmie mu dobre tysiąc lat – stwierdziłem.

Rozdział 26

Raptownie odcięte od Bachusa bachantki przestały w ogóle interesować się Granuaile i zaczęły zachodzić w głowę, co tu, do licha, robią i dlaczego mają na sobie białe koszule nocne.

– Ojej, co ci się stało z zębami? – powiedziała jedna.

– Mnie? Z zębami? Co się stało z *twoimi* zębami?

– Moim nic nie jest! Chwila. – Dotknęła pozdzieranymi paznokciami ust i odkryła, że ma tam same kły. – O mamó, wszystkie są ostre!

Gdy raz zaczęły się okrzyki, eksbachantki zarażały się nimi jedna od drugiej. Po części wrzaski wynikały z przerażenia niepojętą sytuacją, po części z przerażenia na myśl o przyszłych rachunkach u dentysty. Ale ja się cieszyłem, bo właśnie udało nam się wyzwolić je z niewoli i wreszcie znów mogły być ludźmi.

Granuaile pojawiła się ze Scáthmhaide'em w dłoni i popatrzyła z niepokojem na moją dyndającą się lewą rękę.

– Tak, będziesz mi ją musiała nastawić – powiedziałem.

– Tego się obawiałam – mruknęła.

– Dzięki za pomoc. Normalnie natarłbym ci uszu za ten otwarty portal, ale tym razem przymknę na to oko.

Uśmiechnęła się i pocałowała mnie szybko.

– Dzięki.

Nastawianie stawu przez amatora jest dość nieprzyjemne, ale jeśli można się poratować magią, to jest to i tak lepsze niż zdobywanie ubezpieczenia i czekanie pięć godzin, aż zrobi to profesjonalista. Musieliśmy przebiec się trochę na północ, aż udało nam się wreszcie znaleźć drzewo bez obrażonej driady w środku. Mogliśmy przenieść się w końcu do okolic kopalni Camp Bird i przywitać się z naszym szczęśliwym psem.

<Mam dobre wieści, Atticusie!> zakrzyknął Oberon, pędząc w naszą stronę, radosny i opity wodą z rzeki Uncompahgre. <Przeprowadziłem niezależne dochodzenie, w którego wyniku mogę jednoznacznie stwierdzić, że nie ma w tej kopalni barlogów. Ani goblinów. Ani trolli jaskiniowych. Tylko szczury. Chociaż nie wiem, co one w sumie jedzą. Co przywodzi mi z kolei na myśl *Pierwszą krew*, pamiętasz? Kręciły się tam jakoś tak bez żadnych gniazd i czekały tylko w głębi tej opuszczonej jaskini na torturowanego wietnamskiego weterana, który by akurat próbował tamtędy uciekać przed brutalnym szeryfem z małego miasteczka, który miał dziwne moce rozstawiania po kątach policji stanowej i Gwardii Narodowej...>

– Oberonie, wchodziłeś do kopalni?

<Nie, tylko nasłuchiwałem przed wejściem i trochę węszyłem, serio!>

– Oberonie?

<No dobra, może i przekroczyłem próg kopalni. Ale tylko na kilka kroków. Chciałem zgubić te cholerne kruki>.

– Jakie kruki?

<Te dwa, co mnie tak śledzą i śledzą. Widzisz? Nawet teraz siedzą tam na

dachu>.

Odwróciłem wzrok w stronę domku sztygara i ujrzałem dwa ptaki, o których mówił Oberon. Nie były normalne. Były nieco większe, niż powinny być kruki, i każdemu z nich jedno oko lśniło podejrzaną bielą.

– To Hugin i Munin – stwierdziłem.

Granuaile zamarła.

– Kruki Odyna.

– Ano.

Zaczęła się rozglądać wokół.

– On sam też gdzieś tu jest?

– Raczej wątpię. W miarę możliwości raczej będzie próbował nie podchodzić do mnie na odległość ciosu. Pewnie ma nawet zapasowe kruki. Idę o zakład, że to wezwanie do broni od Frigg. Będzie teraz chciała, żebym zabił Fenrisa, bo już jesteś przecież spleciona z ziemią. Ale nie trać czujności na wypadek, gdybym się mylił.

Ruszyliśmy w kierunku domu sztygara, wypatrując zagrożeń z każdej strony. Ale żadne zagrożenie się nie pojawiło, choć Hugin i Munin robiły wszystko, żeby wyglądać jak turboponure memento mori.

Byliśmy już blisko werandy, gdy zza domu wypłynęła na nasze powitanie Frigg. Znow miała na sobie jedną ze swoich sukni à la Dalek, ale tym razem niebiesko-zieloną z białymi ozdóbkami przypominającymi pianki cukrowe rozpluwające się w czekoladzie. Uśmiechnęła się i powitała nas – uosobienie gościnności i ani śladu po kwaśnych minach sprzed kilku miesięcy. Spod jej włosów wyłoniła się ręka i machnęła wdzięcznie ku drzwiom opuszczonego domu.

– Wejdziemy?

Wzdrygnąłem się.

– To może nie być najlepszy pomysł – zauważyłem. – Ten dom stoi pusty od lat i jak tam raz zajrzałem, to był pełen bobków gryzoni.

– O tak, wiem. Ale to już nieaktualne. – Zniżyła konspiracyjnie głos. – Pewien krasnolud był mi winny przysługę, więc posprzątał to miejsce na nasz użytek. Bardzo się do tego przyłożył. Jestem pewna, że wręcz nie poznasz tego miejsca. Lecz muszę was ostrzec. Krasnolud jest w żałobie.

– Bardzo mi przykro – powiedziała Granuaile. – Ale dlaczego musisz nas o tym ostrzec?

– Cóż. – Frigg pociągnęła za wyimaginowane włosy na brodzie lub był to może jakiś nieznan mi język migowy. – On, no wiecie, jest w żałobie.

– Nie, nie wiemy – odparłem. – Nigdy nawet nie widzieliśmy prawdziwego nordyckiego krasnoluda.

<Idę o zakład, że nie ma szkockiego akcentu. Nie będzie cię przezywał „laddie”>.

– Cóż, z pewnością spodziewacie się brody, ale on jej mieć nie będzie. Gołą ją sobie na znak żałoby.

– Zamiast płakać?

– Otóż to.

– Czy będzie to niegrzeczne, jeśli spytam, dlaczego jest w żałobie? – spytała Granuaile.

Bogini się uśmiechnęła.

– Nie będziesz musiała pytać. Opowie wam wszystko. To także element procesu. Co więcej, to jego historia właśnie mnie tu sprowadza. Jeśli on nie przekona was, byście pomogli nam z Fenrisem, nic was nie przekona. A, i jeszcze jedno ostrzeżenie – przypomniała sobie, przystając przed drzwiami. – To Runeskald, więc wybaczcie mu jego dziwaczną mowę. Nawet po angielsku poetyzuje na każdym kroku.

Weszła przed nami do domu, słusznie się domyślając, że nie chcielibyśmy mieć nikogo za naszymi plecami, i odczekała, aż wejdziemy. Wnętrze rzeczywiście uległo transformacji.

Zamiast starego, zniszczonego beżowego dywanu zabrudzonego sikami i głównym niezliczonych zastępów szczurów czekała na nas lśniąca drewniana podłoga. Obłaząca tapeta została zastąpiona czymś nowym i ciepłym.

No, może to ostatnie akurat miało się nieco z prawdą. Kolory były właściwie chłodne, ale kiedyś byłem zmuszony spędzić tydzień w czyścicu na oglądaniu programów o domu i ogrodzie i zauważyłem, że gospodarze programów i ich dizajnerzy wszystko, co robią, określają jako „ciepłe”. Nawet jeśli akurat robią projekt w mroźnych błękitach, to i tak są to *ciepłe* mroźne błękity. Wiem już, że „ciepły” to najlepszy, najbardziej przydatny przymiotnik w dizajnerstwie. Właściciele domów nigdy nie mają go dość. Projektantka może powiedzieć jakiejś parze, że zamierza postawić im ciepły stalowy pomnik zamrożonych cycków Beiry na białym marmurowym piedestale w zamrażarce wielkości garderoby, a oni by kiwali entuzjastycznie głowami, bo zablokowaliby wszelkie informacje poza słowem „ciepły”. Niech zatem wiedzą wszyscy wszem i wobec, że cały nowy dizajn chałupy sztygara był ciepły. Nawet odpowiedzialny za niego krasnolud – którego przedstawiono nam jako Fjalar – powitał nas ciepło.

Nie ulegało wątpliwości, że Fjalar jest w żałobie. Jego zaczerwienione oczy spoglądały na nas z głębokim tragizmem, a ja z trudem powstrzymałem śmiech na widok jego smutnej bródki – małego białego księżycy lśniącego pod jego wydętą dolną wargą i epickim zwisem wąsów. Gdy tylko przemówił, stało się dla mnie jasne, dlaczego krasnoludy zawsze zapuszczają tak długi zarost – ich brody nadmiernie wyrażają emocje, mogą drżeć, marszczyć się i w ogóle nadają ich wyglądowi styl bezradnych krasnoludków, który z pewnością narażałby ich na niemiłe widziane awanse.

Okazało się, że Fjalar jest ponadto obdarzony gromkim barytonem pozbawionym zupełnie szkockiego akcentu, za to mającym całkiem mocny akcent nordycki, a krasnolud posłużył się nim, by zaprosić nas do stołu. Odnotowałem, że ciemne włosy splecione miał w rozmaitej długości warkoczyki. Nie były to dredy ani nic, co kiedykolwiek dotąd widziałem na męskiej głowie. Na każdym z warkoczyków miał coś przyczepionego lub przywiązanego; zwykle była to ozdoba srebrna lub złota, ale widziałem też kilka kolorowych wstążeczek. Zauważył, że się przyglądam jego fryzurze, i swoim grubym paluchem wskazał na warkoczyki.

– Spoglądasz na warkocze moje, którym nosić poprzysiągł przez rok i dzień jeden. Znaki żałoby, wspomnienia braci, przysięgi przyjaźni, symbole klanu i rzemiosła mego.

– Tak, Frigg nam już powiedziała. Bardzo mi przykro.

– Wszystko ci zawsze opowiem, nie przemilczę niczego, gdy czas będzie po temu – odparł. – Póki co jednakże chleb i miód czekają, by zaostrzyć apetyt na to, com tu dla was uwarzył, skryte w żelazie, otulone płomieniem, przyrządzone z sercem.

Machnął z przejęciem w stronę garnca wiszącego nad ogniem. Kominiek wyglądał jak nowy, a przed nim stał długi drewniany stół ze świecami i łąwy. Dzbany z miodem czekały przy rogach do picia, a w misach pyszniły się bochenki świeżego chleba. Na ścianach wisiały skrzyżowane topory i tarcze. Fjalar zrobił, co mógł, by zmienić ten pokój w miodową komnatę. Ciepłą miodową komnatę.

Rozdał nam po misce, na naszą prośbę dając jedną także Oberonowi, choć przedtem spojrział jednak kontrolnie na Frigg, ale ona tylko wzruszyła ramionami i mruknęła:

– Druidzi.

Fjalar odpowiedział więc tym samym gestem i nappełnił psu miskę.

Oberon nie mógł się dość nawychwalać jej zawartości.

<Atticusie, musisz się koniecznie dowiedzieć, jak on to zrobił. Jeśli nordyckie krasnoludy na co dzień tak gotują, powinieneś się naprawdę z nimi zaprzyjaźnić. Serio. Poważnie mówię. No naprawdę>.

Dobrze, Oberonie, słyszę, słyszę.

<Słyszysz, ale nic nie robisz! Bystra Dziewczyno, weź powiedz temu krasnoludowi, że jest wielki>.

– To naprawdę wyśmienite, Fjalarze. Szkoda, że częściej nie możemy gościć u krasnoludów – powiedziała.

<Dzięki, Granuaile! Najwyższy czas, żeby ktoś się wreszcie zaczął słuchać psa! A teraz powiedz mu jeszcze, że jego broda wygląda jak pełna śmiesznych dołczków piłeczka do golfa>.

Oberon wypowiedział ten komentarz, akurat gdy Granuaile brała łyk miodu i słuchała wdzięcznej odpowiedzi Fjalara. Udało jej się jednocześnie wypluć miód i zakrztusić.

Fjalar i Frigg popatrzyli na nią zaniepokojeni, a ja wypadłem na kompletnego dupka, bo wybuchnąłem śmiechem. Oberon prychnął.

– Lepiej się do tego przyzwyczaj – poradziłem, waląc ją po plecach. – Bo tak już będzie. On tak cały czas.

– Dzięki, że mnie ostrzegłeś w porę – wycharczała.

Potem musieliśmy dłuższą chwilę przeproszać gospodarzy za ten niewybaczalny brak manier.

Gdy skończyliśmy kolację i zasypaliśmy Fjalara kolejną porcją podziękowań i komplementów, zebrał naczynia i przyniósł kawę po irlandzku.

– Bardzo dziękuję, Fjalarze – powiedziałem. – Rzetelnie wybadałeś preferencje swoich gości.

– Radość rozpira me serce, iż mogłem wam dogodzić, jako że długą będę snuł opowieść, jeśli tylko wasze uszy wysłuchać jej raczą.

– Pewnie to ma coś do Lokiego – zauważyłem uprzejmie.

Krasnolud pokiwał głową.

– Ma.

– Trochę już wiemy – przyznałem. – Uratowaliśmy Peruna z rąk Lokiego w Arizonie.

Brwi Frigg uniosły się ze zdziwieniem i to samo uczyniły imponujące krzaki nad oczami Fjalar.

– Perun żyje? – spytała Frigg.

– No. Ale jego kraina uległa zniszczeniu. Jest teraz gościem Tuatha Dé Danann.

Frigg pochyliła się w naszą stronę.

– Czy powiedział wam, dlaczego Loki go ściga?

– Powiedział, że Loki chciał zabić Thora, a że to mu uniemożliwiono, postanowił się zadowolić Perunem.

Frigg nic na to nie powiedziała, ale pokręciła głową z niezadowoleniem. Fjalar odwrócił się w jej kierunku.

– Czemu, ach, czemu zatem przybył on do nas, w wieńcu z ognia, podły i bezlitosny, wszem i wobec nawołując kogoś imieniem Eldhár?

<Atticusie, powstrzymaj się! SIEDŹ CICHO!>

– Yyy... to z mojej winy – wybąkałem.

<Żebyś ty się mnie, cholera, choć czasami słuchał!>

– Twoja wina? – zdumiał się Fjalar, wytrzeszczając oczy. – Wysłałeś Lokiego Pogromcę Prawdy do Nidavelliru?

<Bystra Dziewczyno, szybko! Przyduś go!>

Granuaile drgnęła, ale nie wykonała rozkazu.

– Obawiam się, że tak – przyznałem. – Przepraszam.

<Aaaaaaaa! Czy ten krasnolud jeszcze choć raz zrobi nam te mniam-mniamne pyszności? NIE! A wszystko przez ciebie!>

– Ty za to odpowiadasz?! – Fjalar zaczął wstawać od stołu, ale Frigg położyła mu rękę na ramieniu, żeby go uspokoić.

– Fjalarze, to nasz gość – powiedziała.

– To nasz wróg! – zaryczał krasnolud i wstał, mimo jej prób uspokojenia go. Wystawił palec w moim kierunku. – Bezmyślny języku marnego umysłu! Siedmiokroć siedmiuset Braci Tarczy zginęło...

– Co? – wydukałem.

– Cierpliwości, widzisz przecież, że on nic nie wie! – interweniowała Frigg. – Nie mógł przypuszczać, co uczynią Loki i Hel.

– A co takiego zrobili? – spytałem. – Fjalarze, proszę, ja naprawdę nie wiem, co się wydarzyło. Powiedz mi, co oni zrobili.

Krasnolud wpatrywał się we mnie z nienawiścią, a jego palce odruchowo szukały topora. Frigg nadal nie puszczała jego ramienia. Stał i oddychał głęboko, a jego broda wyrażała tylko żądzę krwi. W końcu jednak zdołał się opanować i usiąść spokojnie.

– Tuszę, że słusznym będzie czynem – zaczął – wyjaśnić ci pierwej, dlaczego w żałobie, dlaczego bez brody i z warkoczami. Natenczas niewiasta twoja i pies twój wnet pojmą, że honor mój zabić cię natychmiast nakazuje.

Na co Oberon zaczął warczeć.

Przestań natychmiast!

– Proszę – powiedziałem do krasnoluda. – Mów.

* * *

Gdyby choć jakie ostrzeżenie, choć dźwięk rogów, byśmy snadnie wiedzieli, że czas obronę szykować, a okryli się osłoną i kamieniem, co ognia się nie boi. Wszak stało się inaczej, naszą obronę pokonano, nasze drzwi ogień pochłonął, nasze domostwa w perzynę się obróciły, gdy zionął na nas siarką niczym wulkan Loki uwolniony, wściekłość jego szalejąca. Nidavellir otworem przed nim stanął. Loki złość swoją wyładował, żółcią nas zalał, szaleństwo w oczach miał, jadem nas straszliwym, który od wieków połykać w czeluściach jaskini Skathi musiał, zalał. Straże nasze podpalił, a ich krzyki jednym wezwaniem zagłuszył – byśmy mu nasz twór wydali, stwora Eldhárem zwanego. Gdy odpowiedzi czekał, szczerze go zapewniliśmy, że nic o takowym stworzeniu nie wiemy, wszak wierzyć nam nie chciał ten, którego serce na prawdę już głuche jest, ten, który kłamstwami oddycha tak, jak wiatry zapowiedzią burz oddychają. W płomieniach pomarańczowych i żółtych cały w tunele nasze i jaskinie wpadł. W pradawne krasnoludów domy Nidavelliru wtargnął, schronienie dotąd bezpieczne od wieków nam zabrał. Głębiej i głębiej parł, nasze miasta, nasze kopalnie w skale ciosane, minął, aż do nietkniętej, dziewiczej skały ziemi dotarł. W ciemności z oczu go straciliśmy, płomienie jego wygasły, żądania, byśmy mu Eldhára wydali, ucichły, grobowa cisza nastąpiła, szept nawet o jego złości w otchłani nie pozostał.

Nic z tego wszakże nie pojmowaliśmy, więc do Asgardu, do Vanaheimu, wszędzie pytania posłaliśmy. Skąd Loki na wolności? Czy Ragnarök już się zaczął? Kim jest Eldhár? Niejeden krasnolud imię to nosi, lecz żaden z królewskich rzemieślników konstruktu tak swego nigdy nie nazwał.

Najpierwej od Odyna Ojca Wszystkich, Daleko Widzącego, Mądrze Rządzącego usłyszeliśmy. Przed Hel, zimną i podłą, nas ostrzegł. Szpiegów Hel w naszym królestwie szukać kazał. O tym, że Loki był w Nidavellirze, dowiedzieć się oni nie mogą. Co tchu szukać, łapać, pytać zaczęliśmy. Sług jej, tych śmierci posłańców, te cienie wiecznej rozpaczki znaleźliśmy w mnogości wielkiej i do niewoli wzięliśmy. Za późno jednak!

Nazbyt otwarcie o przybyciu Lokiego mówiliśmy, pytania i wiadomości zbyt śmiało słailiśmy. Że Loki Olbrzymki Pomiot do Nidavelliru przybył, Hel nie usłyszeć nie mogła. Że i płomień, i głos, i twarz zbolała w czerności jakiejś dziury skrył, dziury głębszej niż te, w których uczujemy, pracujemy i mieszkamy.

Na ramiona moje spadł ciężar góry przeogromnej, taki bowiem był ciężar rozkazu króla mego. Król Aurvang, syn Vestriego, złotowłosa, silnoręki, wielozenny, w bitwie śmiały, dał rozkaz Królewskiemu Kowalowi, który pilnie mnie ten rozkaz przekazał i takie oto zadanie dał: Kamiennoręcy, królewskie młoty na wroga, zbroi, by Lokiego pokonać – zbroi ogień wytrzymującej, na gniew odpornej – potrzebują.

Jestem Runeskald, jeden z siedmiu, najstarszy i uczony. Zbroję prawdą run, żywiołów formami, do myśli, celu i uczynku dopasowanymi, ozdabiam. Broń zdobię – rzeźbioną kenningami starymi i nowymi, które w ścianach swego warsztatu śpiewam, stali i kamieniowi poezję życia, pieśń wojny nadając.

Nigdy dotąd czegoś takiego nie czyniono. Nigdy jeszcze zbroi takiej nie sprawiano, która by na nieznośną podłość Lokiego Rodzin Mordercy, podłość o płonących włosach, szkaradność uosobiona odporna była. Nie pytano mnie wszakże, czy to się uczynić da. Uczynić mi ją kazano.

Śpiewałem do stali i walczyłem z runami przez dni siedem, na próżno jednak, bom formy i pieśni, która stal przed ogniem ochroni, znaleźć nie mógł. Z rozpaczy za skórę się wzięłem i ku zdumieniu swemu niepomiernemu rozwiązanie znalazłem. Z podwojonym uporem tym tropem poszedłem i o wilgoci w skórę zakłętą śpiewałem, o ścięgnach od odwagi twardych, skórze tak napiętej, by niebezpieczeństwo odbijać, o powierzchniach pękających jeno, nigdy płonących. I runy, którym wyrzeźbił, podłużne były, okrągłe były, ciepło odtrącającymi kopułami ochrony były, pieczęciami twardości w obliczy furii, falami gaszącej wody zatapiającymi palce płomieni były.

W ogień kuźni dwie tarcze skórzane rzuciłem – jedną moją, skalda dzieło, jedną bez moich starań uczynioną. Ta zwykła spaliła się, lecz skaldyczna tarcza ledwie się zwęgliła, ledwie na brzegach szerniała. Serce z dumy mi urosło i tak zdobyty sposób na zbroję przenieśliśmy, a był to czas, gdy na Nidavellir armia Hel najechała.

Więści o ojcu jej do uszu tych okropnych, a zimnych od cierpliwej podłości, dotarły już niestety. Rychło legiony draugrów zebrała i górę naszą najechała, by nasze domy splugawić, by piękno naszych toporem wzgórz ciosanych wniwecz obrócić. Z bronią draugry przybyły, z karabinami takimi, jakie nasi kowale już robią, w tunele nasze strzelały, lecz nigdy się nie rozchodziły, tylko coraz głębiej szły, nasze skarby i labirynty mijając. Wiele tysięcy ich było, lecz i naszych wojowników wielu było, a za każdą cenę gotowi byliśmy ich powstrzymać, pewni, że to Ragnarök się rozpoczął.

Zagrzmiał róg młotów w Nidavellirze. Zebrali się Kamiennoręcy, a z nimi Czarne Topory, Bracia Tarczy, Panny Gniewu i Strażnicy Wiedzy. Górniczy i rzemieślnicy, kupcy i młynarze – wszyscy wezwani zostali do broni, wszyscy się stawili, codzienne zajęcia porzucając, by naszego królestwa bronić, a tylko mnie i Runeskaldów tam nie było ze specjalnego polecenia króla Aurvanga.

– Pozostańcie w warsztacie, pracujcie pilnie – nakazał. – Pracujcie nad zbroją, byśmy mogli zabić ojca kłamstw, gdziekolwiek go znajdziemy.

I tak bitwa rozegrała się bez mojego topora, a królewscy skaldowie nigdy nie zaśpiewają o mnie wokół ognisk moich ludzi.

Oto co zaśpiewają zamiast tego:

Z ponurymi twarzami mężni ruszyli, młodzi i starzy, a wszyscy Bracia Tarczy ruszyli na spotkanie niebieskiego wojska Hel, szkaradnej królowej zmiernych. Nieoddychające draugry, draugry przesiąknięte oliwą rozpaczy ostrzelały nas gradem kul z broni wykradzonej umysłem Midgardu. Ogłuszający grzmot wstrząsnął Nidavellirem – zgrzytanie zębów, strzały karabinów, huk tarcz i wojenne okrzyki. Uzbrojone w skaldyczne runy na tarczach i hełmach ruszyły krasnoludy dzielnie naprzód, a metalowe pociski odbijały się od nich i wracały do żołnierzy, którzy nie znali, co to honor, i w milczeniu znosili wszelkie rykoszety, jako że od szyi w dół nie mogła stać się im żadna krzywda.

Bracia Tarczy parli naprzód, nieświadomi czekającego ich losu. Podstępna Hel, ukochana lodu i rozpaczy, grobowym głosem swym żołnierzom rozkaz wydała i unieśli oni broń, i ostrzelali sklepienie nad Braćmi Tarczy. Kule odbiły się od skał i wdarły się w ich ciała od góry, powalając wielu tych, którzy nigdy jeszcze nie zadali ciosu w imię swych klanów ani głowy od ciała nie odrąbali.

Pierwszy szereg szedł dalej, a za nimi bystrzy Bracia Tarcz wznieśli skalldyczne ochrony ponad sobą i odbili rykoszety, krzyżując plany Hel. A gdy końcu spotkały się armie, draugry poznały, co to siła krasnoludów! Zgniłe czaszki odpadły od zgniłych ciał, gdy topory śmignęły ponad ich tarczami, a jedni stratowani przez awangardę byli, a inni rozrąbani przez następne szeregi.

Draugry zrazu wycofały się trochę, potem jednak ich ciała napuchły, niczym trup puchnie od much i robaków, aż tunele wypełniły się ich cielskami, powstrzymując nasz pierwszy szereg, gdy tymczasem ich towarzysze opróżniali magazynki, wystrzeliwując je nad głowami Braci Tarcz, w niekończącym się deszczu amunicji, która miała rozerwać nas na strzępy. Po dwóch, trzech czy czterech rykoszetach część z niej w cel trafiła.

Powoli, z mozołem draugry swoje żniwo zbierały, mordując szlachetnych krasnoludów w znoju i hałasie, tchórzowskimi swoimi atakami od ścian skalnych odbitymi. Martwi żołnierze Hel to cofali się, to parli naprzód mimo wysiłków dzielnych Braci Tarczy, odważnych wojów co do jednego.

Ciała krasnoludziej braci, śliskie od krwi, utrudniały tak ucieczkę, jak ruchy naprzód. Dla rannych, choćby zdzierali sobie gardło wołaniem o pomoc, nie było ratunku, bo tunel zbyt wąski był i zbyt wielu w nim było wrogów. Czekala ich tylko długa agonია, walka o oddech i rozpacz, póki zaszczytna śmierć im pokoju i wiecznej chwały nie przyniosła.

O krok, o krok oddawali pola Bracia Tarczy pod powolnym, lecz nieubłaganym naporem obmierzłej armii Hel. Lecz każdy krok drogo wróg okupić musiał, szli tak bowiem wiele godzin, choć ten odcinek w pięć minut zwykle przez krasnoludy pokonywany był.

W tym samym czasie w Wielkiej Pieczarze potężne wojska Braci Tarczy się zebrały gotowe bronić rynku, mieszkańców, ulic. Rykoszety nie uczynią im tu takiej krzywdy, a i własną broń palną mieli. Toteż gdy siły z tunelu wepchnięte do pieczary zostały, natychmiast na znak dowódcy się wycofały i schowały, a draugry w zasadzkę weszły.

Tysiące szkaradnych żołnierzy pod ostrzałem karabinów z krasnoludzych warsztatów padło, a wściekły okrzyk zwycięstwa echem po pieczarze poszedł! Niebieskie i rozedrgane, z głowami potrzaskanymi przez pociski, draugry na ziemię padały, zmieniając się w pył ohydny, a broń na ziemię rzucając.

Wciąż nadciągało ich więcej, nieprzeliczonych jak mrówki lub żuki, lecz gdy pokonałszy tysiąc naszym ogniem, przestały, a my ludzi się poczęliśmy, że nasz upór kazał Hel przemyśleć inwazję na Nidavellir pochopną. Lecz po chwili znów wypłynęły draugry z tunelu, tym razem jednak z okrutną różnicą: głowy zasłaniały kuloodpornymi skalldycznymi tarczami braci naszych poległych, zabijać ich już więc nie mogliśmy, a jedynie dziurawić ich zgniłe ciała, spowalniać potrzaskanymi kośćmi, nic więcej. I wtedy podłość Hel w pełni się ujawniła, i zadrżeliśmy z

przerażenia, plan jej pojawił, jako że każda ta tarcza śmierć jednego z Braci Tarczy w tunelu oznaczała. Draugry zaczęły budować z nich ścianę na trzy tarcze wysoką, kolumna obok kolumny, aż w końcu korytarz bezpieczeństwa im dający powstał.

I był to korytarz – nic więcej. Przedziwne, lecz draugry nawet plądrować pieczary nie próbowały, naszych skarbów nie kradły, nas nie zabijały, domów nie niszczyły. Odłożywszy współczesną broń, rzucili się Bracia Tarczy z toporami i siekierami ścianę powalić, aż huk straszliwy pieczarą wstrząsnął. Draugrom głowy odpadały, krasnoludy zastrzelone przez podłe sługi Hel padały. Nadeszły raporty, że draugry posuwają się przez jaskinię, jak najszybciej się da, że cel ich jest nieznan, zamiar niepojęty.

I wtedy na dworze króla Aurvanga Svartálf się pokłonił, emisariusz mrocznych elfów, od dawien dawna w naszym królestwie mieszkający. Oświadczył, że ma wieść od Hel, jako że nie ma ona możliwości porozmawiać z nami inaczej.

– Mów – król Aurvang odparł, z gniewu się trzęsąc – a potem nie chcę cię już nigdy widzieć w moim królestwie! Z powodu tej zdrady odtąd nigdy już nie będziemy współpracować z Svartálfheimem!

– Lud mój nie powinien być karany za przyniesienie ci wiadomości – na to poseł mu rzecze – szczególnie że może ona uratować życie wielu krasnoludom. Czy wysłuchasz mnie cierpliwie, powstrzymasz gniew, pochopnych nie poweźmiesz decyzji?

Król nasz jednak niczego mu nie obiecał.

– Mów swoje, Svartálfie – rzekł tylko.

Mroczny elf uśmiechnął się bezczelnie i znów pokłonił.

– Hel pragnie, bym powiedział ci, że nie chce twego królestwa i nie życzy tobie ani żadnym innym szlachetnym krasnoludom Nidavelliru żadnej krzywdy. Szuka jedynie swego ojca, Lokiego, o którym słyszała, że was tu odwiedził. Jej armia nie zaatakuję krasnoludów, chyba że w samoobronie lub gdy ich przemarsz utrudniany będzie.

– A gdy już odnajdzie swego ojca, cóż wtedy? – ryknął król Aurvang, znów zagniewany i niepomny na cierpliwość. – Czy obróci moje tunele w gruz, spali moje pieczary, wytnie mój lud w pień?

– Nie, łaskawy królu – odparł Svartálf. – Odejdzie z nim stąd, jeśli zdoła, opanowawszy jego szal o tyle, o ile będzie umiała. Hel walczy z Asgardem i Vanaheimem, nie z czcigodnym ludem Nidavelliru.

– Masz jeszcze coś do powiedzenia? – zagrzmiął król.

– Posłannictwo moje skończone, panie.

– Zatem precz z moich oczu i z mego królestwa! Nie chcę cię więcej widzieć!

Gdy Svartálf zniknął, skarcony, lecz nieskruszony, król po mnie posłał.

Pośpieszyłem paść przed nim na kolana.

– Runeskaldzie Fjalarze – przemówił – od dawna dla naszego dobra jako poeta i zaklinacz zbroi pracujesz. Teraz prosić cię muszę o usługę bohatera godną.

Wydobądź Całun Trupa i wdziej go natychmiast. Idź za hordami Hel i pojmiij ich zamiary, by w raporcie mi je przedstawić. Nie zabijaj nikogo, chyba że zmuszony do tego będziesz. Musisz przeżyć, by oddać całun i o planach Hel opowiedzieć.

– Tak uczynię, panie – przysięgłem i zapłakałem, gdym kłaniał mu się nisko.

Nigdy jeszcze nie powierzono mi tak poważnej misji.

Całun Trupa stworzony został wieki przed moim czasem przez największego ze wszystkich Runeskaldów, Mjotvangira, syna Rathsvitha, zwinnopalcego, miodoustego, niedoścignionego mistrza rzemiosła. Może być wdziwany tylko przez Runeskaldów, ale gdy już włożony zostanie, przekona umarłych, że noszący całun martwy jest. Nie ma kopii, gdyż nikt dzieła Mjotvangira powielić nie zdołał. Jego runy zobaczyć można, lecz tajemne słowa, które zaśpiewał, całun tworząc, na zawsze przepadły.

Otrzymaawszy rozkaz, do królewskiego skarbcza poszedłem i otrzymałem Całun Trupa, święty dowód zdolności przodka mego. Wziąłem moją skaldyczną tarczę, na ogień odporną, po czym kazano mi iść do pierwszego szeregu Braci Tarczy, gdzie wciąż walczone zawzięcie. Miał próbować przebijać się przez ścianę i narażać na ogień karabinów, ponad nią przeskoczyłem, tusząc, że gdy już wyląduję, ognia na siebie nie ściągnę, w całun otulony, przed oczami umarłych skryty.

Wylądowałem ciężko, ale szczęśliwie, tylko spojrzenia, nie strzały na siebie ściągając. Z ukrytą tożsamością, utajnionym celem, dołączyłem do strumienia martwych zalewających własne królestwo moje, własnego kraju najeżdźca.

Jakież arcydzieło Runeskald Mjotvangir stworzył! Maszerowałem niezauważony pośród rozkładu, podłości i nieznanymi mi zamiarów. Mijałem labirynty i domy, kopalnie i skarbcze. Strumień umarłych coraz głębiej mnie wciągał. I nagle, po zdawałoby się nieskończonych godzinach marszu, tak daleko, że już nie wiedziałem, gdzie jestem, draugry przede mną i draugry za mną zatrzymały się i do ściany tunelu przylgnęły. Zrobiłem to samo. Czekałem – oddech wśród bezdechu. Aż raptem obok nas przebiegł pies olbrzymi – pies Hel, imieniem Garn, pies o żółtych ślepiach i nieznanym mi celu. Nosem wylapywał zapach, którego nie czułem, zapach zła i siarki.

Trupy ruszyły zaraz za psem, a ja z nimi, wciąż w dół, wciąż głębiej w ciemności, których żaden krasnolud od lat nie odwiedzał. Gdy ciemność już nie do zniesienia dla moich oczu się stała, Całun drogę mi oświetlał, choć nikt tego nie zauważył.

Minęła jeszcze godzina wędrówki i do przepastnej komnaty pełnej już draugrów wszedłem. Tam, wysoko na półce, żarzyła się postać odpoczywającego Lokiego Ogniodychającego. Leżał na wznak i drzemał w spokoju, a tylko jego naga skóra niebieskim płomieniem pałała.

Garm przy nim siedział, potężny strażnik, czujny opiekun. Legiony Hel nie zrobiły nic, by go obudzić, a obróciły się gotowe stawić czoło wszelakiemu niebezpieczeństwu, w milczeniu na atak czekając, chroniąc sen Lokiego, ojca Hel, pana oszustwa.

Pospieszyłem do mego króla z tą wieścią, a on ponurego posłańca do Asgardu posłał, by Nidavellir o czynieniach Hel się dowiedział.

Jako że ojca Hel znalazła, cel swój osiągnęła, a i zastępy trupów przestały Nidavellir zalewać. Nadal jednak czekały w milczeniu pod naszymi miastami na pobudkę otulonego w gniew Lokiego.

Więcej niż dziesięć tysięcy draugrów tego dnia od krasnoludziej broni padło. Siedmiokroć siedemset Braci Tarczy poległo, swych domów broniąc, dzieci ich

osierocone, ich żony owdowiały. I po co? By bóg mógł sobie w głębinach spać! By druid mógł wygadywać, co mu ślina na język przyniesie! I oto widzicie mnie bez brody, w warkoczach, jako że w bitwie wuja i siostrzeńca straciłem! Czemuż nie miałbym wymierzyć sprawiedliwości i krwi za słowa rzucone bezmyślnie nie przelać? Tego wymaga moja poległa rodzina, tego chcą rodziny wszystkich krasnoludów, którzy tego dnia zginęli!

* * *

– Ani się waż – syknęła na Fjalara Frigg, a jej głos był tak zimny, jak jego słowa były gorące od gniewu. – Żadnej przemocy. To goście moi i twoi.

Krasnolud wyglądał, jakby miał dostać apopleksji.

– Leczn honor mój...

– ...poczeka jeszcze chwilę – dokończyła za niego Frigg. – Odyn ma plan, który zadośćuczyni twemu ludowi, a i srogo ukarze druida.

– Co to za plan? – zainteresowałem się.

– Znasz go już. Nadszedł czas – rzekła Frigg. – Teraz Loki i Hel są zajęci, Garm przebywa gdzie indziej. Czas zniweczyć ich plany rozpoczęcia Ragnaröku. Królestwo Hel jest na wpół opustoszałe. Idź tam i zabij pomiot Lokiego, zabij Fenrisa, przekleństwo Odyna, pożeracza bogów.

– Chcecie, żebym poszedł do Helu i zabił Fenrisa?

– Tak.

– Ale myślałem, że on ma być uwiązany gdzieś na jakiejś wyspie pośrodku czarnego jeziora, nie?

Frigg przewróciła oczami i machnęła ręką.

– Snorri Sturluson wysłał to z palca. Fenris jest uwiązany w Helu i tam obsługują go słudzy Hel.

– Nie umiem przenieść się do Helu. – Znałem punkty przenoszenia do Nidavelliru i Jötunheimu (pierwszy znajdował się w Islandii, a drugi na Syberii), ale nigdy nie udało mi się namierzyć punktu, który by przynosił na trzeci korytarz Yggdrasilu, ten prowadzący do źródła Hvergelmir i niższych światów nordyckich.

– Nie szkodzi. Zaprowadzi cię tam sama bogini Freja. Będzie twoim przewodnikiem i gwarancją twojego powrotu.

Aż prychnąłem.

– Wybacz, Frigg, lecz Freja na pewno nie będzie gwarancją mego powrotu. Nie po tym, co się stało w Oslo sześć lat temu. Powiedz raczej, że przyłożyłaś mi do głowy pistolet, a ona naciśnie spust.

– Tamtego dnia Freja splamiła honor Azów i swój. To jej pokuta. Tylko jeśli wrócisz bezpiecznie, Freja odzyska dobre imię.

– A jak już wrócę z Helu? Wtedy natychmiast mnie zaatakuję, bo już będzie miała to swoje dobre imię, co?

– Nie, oczywiście, że nie. Lecz nie idziesz tam sam. Król Aurvang przysięgł nam pomoc Czarnych Toporów.

– Czarnych Toporów?! – ryknął Fjalar. – Ilu?

– Wszystkich. By zabić jednego wilka, będziesz miał całą armię.

– To nie jest byle wilk i dobrze o tym wiesz – mruknąłem. – A co kombinuje

Loki?

– Zapadł w coś podobnego do snu odynowego – wyjaśniła Frigg. – Leczy się. Od wieków nie przespał ani jednej nocy. Jest wycieńczony i teraz przez bliżej nieokreślony czas będzie się regenerował.

– Czyli jak się obudzi, to będzie jeszcze silniejszy?

– Tak.

– A nadal będzie takim samym kurwiciołkiem?

– Zdrowie psychiczne Lokiego zawsze pozostawiało wiele do życzenia. Jeśli chodzi ci o to, czy będzie miał mniejsze skłonności do działania pod wpływem swych podłych impulsów, to śmiem wątpić.

– Czy Freja może nas zaprowadzić do Helu bez wdawania się w walkę z legionami draugrów?

– Tak. Przemkniecie się ścieżką używaną przez Azów.

Przez chwilę nikt nic nie mówił. Oczy wszystkich przesunęły się wokół stołu, próbując wy badać innych, a sły chać było tylko drewno trzaskające w kominku.

Żądanie Frigg pokrywało się z tym, o co już kilka lat temu poprosił mnie Odyn. Ponieważ byłem odpowiedzialny za śmierć wielu z tych, którzy mieli walczyć podczas Ragnaröku, miałem przejąć część ich obowiązków. Należało zabić Fenrisa i rzeczywiście nie będzie już lepszej okazji niż teraz, kiedy on był wciąż uwiązany gdzieś w Helu, a tymczasem część sił Hel była nieobecna.

– Mój pies zostaje tutaj – powiedziałem. – Ma być bezpieczny i nikt ma mu nie zawracać łba.

<Ale ja chcę iść z tobą!>

Nie. Nie ma dyskusji. Musisz być bezpieczny.

<Ale z tobą zawsze jestem bezpieczny>.

Nie w Helu.

– A twoja uczennica? – spytała Frigg.

– Nie jest już moją uczennicą. Jest druidką i sama podejmuje decyzje – powiedziałem. Odwróciłem się w stronę Granuaile i cicho dodałem: – Nie masz żadnego obowiązku mi tam towarzyszyć. Powinnaś zostać tutaj i zrobić w tym czasie coś superokropnego swojemu ojczymowi i jego naftowemu biznesowi. I niech Oberon ci pomoże.

Zielone oczy Granuaile wbiły się w moje, jej głowa drgnęła lekko, a ręka uniosła się, by pogłaskać mnie po brodzie.

– Idiota. Idę z tobą. Mój wybór.

– Okej.

<A ja też mogę, jeśli wyzwę cię od idiotów i pogłaszczę łapą po gębie?>

Nie.

Oberon zaskomlał.

<To nie fair!>

Choć jedno z nas musi to przeżyć. Zawsze lepiej, żebyś to był ty.

<Ale co jeśli nie wrócicie?>

Biegnij do Ouray i znajdź tam kogoś, kto lubi duże, kochane psiny.

<Ale ten ktoś by już na mnie nie wołał Oberon. Tylko Max. Czy ty masz pojęcie, ile dużych psów się nazywa Max? Właściwie to wszystkie! Atticusie, nie idź

tam. Po prostu wyślij temu wilkowi pudło zatrutych przysmaków. Typ nie widział żadnych filmów, to nic nie będzie podejrzewał>.

To nie jest w sumie taki zły pomysł.

<No ba. Kto tu ma wyższe IQ?>

Rozdział 27

Naprawdę rozumiem, dlaczego taką furorę robią bogowie wybaczący. Bywają chwile – jak ta na przykład – kiedy niczego nie pragnę tak jak wybaczenia moich przewin, a gdyby tylko ktoś mi to wybaczenie zaofiarował, przywarłbym do jego źródła niczym noworodek do piersi matki. Tylko że Odyn nie ma w zwyczaju wybaczać. I Tuatha Dé Danann też nie. Obie te drużyny zainteresowane są wszelką możliwą do wyegzekwowania restytucją i – jak mawiał mój archdruid – „cobyś przestał patrzeć na cały świat jak na dziurę, w którą możesz włożyć swojego kutasa”.

Z twarzy Frigg też nie wyczytałem żadnej nadziei na odpuszczenie moich grzechów, a to ona niby miała być wśród nordyckich bogów najbardziej łaskawa. Jej oczy były zimne. Nie zanosilo się na to, że powie: „Grzechy twoje wybaczone, idź z bogami”.

Szukanie rozgrzeszenia u ludzkości byłoby oczywiście czystą głupotą. Tu i ówdzie mówi się o wybaczeniu, czy nawet naprawdę ma się je na myśli, ale pozostają jeszcze te nieprzebrane zastępy istot ludzkich gotowych skazać umierającego z głodu człowieka na amputację za uszczknięcie skórki chleba. Jesteśmy stworzeniami małostkowymi, które lubią poczuć się lepiej kosztem honoru swych braci.

Nic nie da się zrobić. Płacz czy wściekłość nic tu nie pomoże. Mogę się tylko starać tak żyć, żeby zasługami przeważać winy. Żeby zadośćuczynić za niemal pięć tysięcy krasnoludów wymordowanych z powodu moich bezmyślnych słów, muszę teraz pokonać największego, najgorszego wilka spośród wszystkich pojawiających się w opowieściach całego świata.

Fenris nie da się nabrać na miskę zatrutej karmy dla psów. Pokręci też pewnie nosem na zatruty stek. Jest zbyt inteligentny na takie sztuczki. Gdyby Týr nie poświęcił swojego ramienia, pewnie w ogóle nie udałoby się nawet spętać Fenrisa Gleipnirem, arcydziełem przodków Fjalara, magicznym sznurem stworzonym z sześciu niemożliwych rzeczy. Fenris to wilk myślący i mówiący jak człowiek, znaczy się jak staronordycki człowiek, ale jednak. Na pewno nie zaufałyby niczemu, co by dostał z rąk jakiegokolwiek człowieka północy. Ale to jeszcze nie znaczyło, że nam się go nie uda otruć.

– Dasz nam trochę czasu na przygotowania? – spytałem Frigg. – Gdzie i kiedy mamy się spotkać z Freją i Czarnymi Toporami?

– Na samym końcu półwyspu znajdującego się na południowy wschód od Skoghallu w Szwecji. Östra Takene. Wiesz, gdzie to jest?

– Na północnym końcu jeziora Vänern?

– Tak. Powiedzmy o północy czasu szwedzkiego. Zdążysz?

– Chyba tak.

– Zatem tam się spotkasz z Freją. – Frigg wstała, a za nią pozostali.

Oberon zorientował się, że impreza dobiegła końca.

<To znaczy, że nie ma deseru?>

Fjalar spoglądał na mnie nienawistnie spod swoich imponujących brwi, ale nie wypadalo to zbyt przekonująco z powodu tej łysej brody. Frigg skinęła nam głową, a

my podziękowaliśmy jej i Fjalarowi za gościnę. Krasnolud warknął na nas, ale raczej nie miałem co się spodziewać po nim niczego lepszego.

<Chociaż go poproś o przepis, nie?>

Obawiam się, że w następnym swoim przepisie najchętniej usmażyłby nas, i to na wolnym ogniu.

Wyszliśmy z chaty sztygara i ruszyliśmy w górę wzgórza, do naszego domku.

– Zatem wybieramy się do Helu, co? Jak się do tego przygotowujemy? – dociekała Granuaile.

– Znów musimy skoczyć do sklepu sportowego. Tym razem jednak w Stanach i najlepiej takiego bez mrocznych elfów i wampirów w środku. Kupimy kilka łuków i parę strzał. A potem trzeba będzie uwarzyć sporą porcję trucizny.

– Niech zgadnę: wilczy mordownik?

– Ano. I dlaczego musimy mieć przy tym gumowe rękawiczki?

– Bo akonityna z liści wnika przez skórę.

– Ogma miał rację – stwierdziłem. – Dobrze cię wyszkolono.

Oczekiwałem zasłużonego kuksańca w ramię, ale zamiast tego Granuaile przykucnęła, podcięła mi nogi i powaliła na plecy, po czym poszła dalej i przez ramię rzuciła:

– Szkoliłam się u najlepszych.

Już miałem powiedzieć, że ją kocham, gdy dodała: – Nic z tego.

– Nic z czego?

Przystanąła i odwróciła się, czekając, aż wstanę.

– Nie zabijesz go z bezpiecznej odległości zatrutymi strzałami.

– Czemu nie?

– Bo gdyby to było takie proste, już dawno by to ktoś zrobił. Freja mogłaby tam sama skoczyć i zastrzelić go z byle snajperki. Kula w mózg i po kłopotcie. Odyn mógłby to zrobić swoją włócznią. Hobbit by mógł rzucić go kamieniem z taką dokładnością i prędkością, że nie chciałoby się wierzyć.

<Zadedykuję ci, Granuaile, parodię Ricka Jamesa: „To bardzo bystra dziewczyna, z tych, co nie zabiera się do domu Ogmy. Nigdy nie poda ci brukselki, jeśli może dać ci stek”>.

Granuaile pogłaskała Oberona i skomplementowała jego głos i talent muzyczny, a ja wstałem z ziemi, otrzepałem się i westchnąłem.

– Masz rację. To chyba było z mojej strony pobożne życzenie, a nie racjonalna analiza sytuacji. Ale nadal wydaje mi się, że truciznę powinniśmy zrobić. Zanurzę w niej ostrze Fragaracha. A ty możesz ją mieć na swoich nożach do rzucania, jeśli uda ci się ich użyć. A właśnie, może powinniśmy ci załatwić jakiś nóż bowie? Kij raczej na niewiele ci się tutaj zda.

– Da mi możliwość podejścia bardzo blisko – zauważyła, mając na myśli zaklęcie niewidzialności.

– To prawda. Ale i tak nie możesz sama do niego podchodzić. Ma świetny słuch i węch. Musielibyśmy jakoś odwrócić uwagę na czas twojego zakradania się do niego.

– Armia powinna raczej skutecznie odwrócić jego uwagę, nie?

– Miejmy nadzieję.

– Miejmy też nadzieję, że pójdzie nam lepiej, niż jak ostatni raz próbowałeś użyć trucizny.

– To też. – Robiła aluzję do mojego nieszczęsnego starcia ze skórokształtnymi w Arizonie.

Pożegnaliśmy się z Oberonem i ruszyliśmy pozałatwiać wszystkie sprawy. Wzięliśmy rękawiczki i kilka toreb i przenieśliśmy się do lasu w Niemczech, gdzie rosło mnóstwo mordownika – zwanego też tojadem. Kilka jego odmian rosło w Stanach, nawet w Kolorado koło naszej chaty, ale gatunki rosnące tutaj zawierały najwięcej trucizny.

Wybraliśmy się też do jednego z tych olbrzymich hipermarketów sportowych, gdzie sprzedaje się luksusowy sprzęt kempingowy i kaptcie wykładane barankiem oraz inne co bardziej praktyczne przedmioty. Nabyliśmy tam noże na tyle duże, że powinny zwrócić uwagę wilka nawet tak wielkiego jak Fenris. Potem wróciliśmy do chatki w Kolorado, żeby przygotować truciznę i nałożyć ją na ostrza. Oberon polował jeszcze na swoją kolację, więc nie przeszkadzaliśmy mu w tym, tylko poszliśmy razem pod prysznic wykonać różne ćwiczenia pomocnicze, które przysły nam do głowy po drodze. Potem stwierdziłem, że już zbyt długo męczę się z tą brodą. Byłem na nią poniekąd skazany podczas szkolenia Granuaile, a tym bardziej podczas jej splatania z ziemią, ale teraz już mogłem się ogolić i zostawić tylko kozią bródkę.

I nagle już się jakoś zrobiło blisko północy czasu szwedzkiego. Postanowiliśmy ubrać się na czarno, żeby wyglądać jak celtyckie ninja. Wygodne czarne dzinsy i czarne koszule z długimi rękawami, a do tego nawet czarne rękawiczki. Pod koszulami obydwójce mieliśmy schowane nasze żelazne amulety. Po obu stronach na udach przypięliśmy sobie nasze zatrute miecze. Zatrąłem też Fragaracha.

– Gotowa?

– No nie wiem. A nie powinniśmy mieć choć butelki z wodą czy coś?

– Chyba nie. Frigg nic nie wspominała o takich przygotowaniach. To powinna być błyskawiczna operacja. W razie czego podjemy coś u krasnoludów.

– A jeśli nie będą nas chcieli poczęstować?

– To im ukradniemy.

– Bogowie, Atticusie. Od teraz to ja przejmuję logistykę naszych wypraw.

– A właśnie. Wybieramy się w zimne kraje, więc powinienem ci pokazać ten splot, którego nauczyła mnie Morrigan. Podnosi temperaturę ciała. Możesz wtedy latać po śniegu w samych dzinsach i T-shircie i wcale nie dostajesz trzęsawki.

– Odłot!

Przenieśliśmy się na północny brzeg jeziora Vänern, a raczej całkiem blisko niego. Wylądowaliśmy w zimozielonym lesie, twarzami na południe, skąd w nocnym powietrzu docierał do nas zapach jeziora. Po minucie spaceru w tamtą stronę zobaczyliśmy duże ognisko z postaciami wokół. Włączywszy noktowizję, ujrzeliśmy ich znacznie więcej w ciemności na plaży. Wszystkie były uzbrojone i w hełmach. Krasnoludy. Cała ich armia, a jedno ognisko zapaliły pewnie tylko, by dało nam znać o ich pozycji.

Odwróciłem głowę i zamarłem. Tuż obok mnie, pomalowany na tak czarno, że w ciemności go nie zauważyłem, stał dziwny, masywny pojazd najeżony bronią. To

nie była ludzka robota. Mało się na niego nie nadziałem. Na szczęście nikt nie siedział w środku i nie uznał za stosowne wypróbować na mnie jednej z wielu broni.

Przykucnąłem pod lasem i zarzuciłem kamuflaż. Nigdzie nie widziałem Granuaile, pewnie więc zrobiła już to samo albo może włączyła swoją niewidzialność.

– Widzisz Freję? – szepnąłem.

– Nie wiem, jak wygląda. – Jej głos odpowiedział z lewej strony.

– No, jedyna wysoka.

– A. To stoi przy ognisku, ale nie bardzo blisko. Kilka szeregów obok. W rydwanie.

Popatrzyłem w tę stronę i wreszcie ją znalazłem.

– Dobra. Podkradnijmy się do niej i powitajmy ją. Jeśli nas zdradzi, bierzemy ją jako zakładniczkę, cofamy się do drzew i przenosimy gdzie indziej. Nie zrzucaj niewidzialności, póki nie będziemy bezpieczni.

– Okej.

Pożałowałem, że nie mogę rzucić tego zaklęcia, które Kojot nazywał „Sprytnym Podchodem”, a które wyciszało kroki. Pozostawało nam po prostu poruszać się jak najciszej się da po chrzęszczącym piasku i liczyć na to, że wiatr, rozmowy i chrzęst zbroi zagłuszą nasze przejście.

Czarne Topory były imponująco orężne – a raczej oręczne, że tak powiem. Ręce to miały przeolbrzymie. Ich ramiona i bicepsy były większe niż u niejednego budowlańca, a owłosione tak, że nawet Perun by to docenił. Włosy wyłaziły im spod szerokich złotych napierśników, poza którymi krasnoludy nie miały żadnej twardej zbroi, żeby łatwo im było zamachnąć się na cokolwiek. Nie miały też tarcz, tylko skaldyczne runy na napierśnikach i hełmach, które czyniły je pewnie kuloodpornymi. W lewych dłoniach trzymały coś na kształt obronnego topora o małym zakrzywionym ostrzu i rękawicy zasłaniającej im palce. Topory w prawych dłoniach miały większe, czarne, o ostrzach zagiętych jak kosy i także przyozdobionych wiele mówiącymi znakami skaldów. Obstawiałem, że przebiją się przez każdą zbroję. Była to po prostu armia Fragarachów.

Poza skaldycznymi złotymi napierśnikami i hełmami krasnoludy miały jeszcze na reszcie ciała czarne pancerze lamelkowe. „Hej, tu – mówiły ich stroje – strzelajcie tymi kulami i strzałami w te lśniące części. Reszty i tak nie widzicie zbyt dobrze, to ją zignorujcie”. Była to, innymi słowy, nader mobilna piechota zaprojektowana tak, by działać nocą.

Kilku krasnoludom spod hełmu wystawały brody, ale większości nie. A to oznaczało, że też miały włosy splecione w warkoczyki i też nie były raczej naszymi fanami, jeśli Fjalar już rozniósł wieść o moim udziale w wysłaniu Lokiego do Nidavelliru.

Udało nam się z Granuaile podejść do Frei, niemal nie zwracając niczyjej uwagi. Odgłosy naszego skradania się kazały kilku ciekawskim hełmom obrócić się w naszym kierunku, ale żaden nas nie zobaczył, więc każdy uznawał, że to jakiś krasnolud za nami.

Czarne Topory otaczały Freję i jej rydwan dość ciasno, nie udało więc nam się dotrzeć bliżej niż na dwa szeregi od niej. Jeśli to jednak była pułapka, wzięcie teraz

bogini jako zakładniczki mogło się okazać utrudnione. Nie mając wyboru, pozdrowiłem ją jednak. Jej głowa odwróciła się w stronę mojego głosu, a dłoń zacisnęła na toporze.

– Gdzie jesteś? – rzuciła. Płomień ogniska odbijał się w jej długich, jasnych włosach splecionych w warkocz, który opadał jej aż do talii. Była piękna, choć może nieco męska w szczęce. Spojrzała na mnie dumnie i miała po temu swoje powody. Jej rydwan, owszem, ciągnęły latające kociaki, ale tamtego dnia, gdy najechaliśmy na Asgard, Freja zabiła więcej olbrzymów mrozu niż jakikolwiek inny Az.

– Najpierw chciałbym wiedzieć, czy mam twoje słowo honoru, że nie życzysz nam żadnej krzywdy – zapytałem. – Frigg zapewniła mnie, że nie zamierzasz nam nic zrobić, ale na wszelki wypadek wolałbym to usłyszeć jeszcze od ciebie.

– Na mój honor nie zamierzam uczynić ci żadnej krzywdy – potwierdziła Freja. – A moje życzenia to już inna sprawa.

– To mi wystarczy – powiedziałem i zrzuciłem kamuflaż. – Ja ani nie zamierzam ci uczynić żadnej krzywdy, ani ci jej nie życzę.

Gdy tylko Freja mnie namierzyła, zaczęła szukać czegoś za moimi plecami.

– Nie miałeś przypadkiem przyprowadzić ze sobą jeszcze jednego druida?

– Jest tu. Ukaże się, kiedy uzna, że to bezpieczne.

– Macie jechać moim rydwanem. Czarne Topory jadą za nami własnym środkiem lokomocji. Gotowi?

– Tak.

Freja spojrzała w dół, na wyjątkowo hulkopodobnego krasnoluda stojącego przy rydwanie.

– Mistrzu Topora, widzimy się przy źródle Hvergelmir.

– Tak jest, pani. – Wywrzeszczał kilka rozkazów, które odwrzeszczano od razu dalej po całej plaży.

Hordy krasnoludów ruszyły w stronę drzew, gdzie majaczyły sylwetki ich pojazdów bojowych. Gdy wokół Frei zrobiło się luźniej, Granuaile ujawniła się i skinęła jej głową.

– Pani, to dla mnie zaszczyt. Jestem Granuaile.

Freja nie odpowiedziała równie miłymi słowami, ale w każdym razie też jej skinęła głową.

– Wsiadajcie. Polecimy wzdłuż korzenia Yggdrasilu do źródła Hvergelmir. Tam są bramy i mury Helu. Część Czarnych Toporów zaatakuję jeden kraniec muru, żeby ściągnąć na siebie uwagę, a my przelecimy ponad drugim, mniej chronionym, żeby odnaleźć Fenrisa.

Wsiadliśmy do rydwanu i doświadczyłem dziwnej niepewności, nim przypomniałem sobie, że nie, nie ma tu koni, wołów czy innych zwierząt pociągowych, tylko kilka szarych kotów domowych. Freja wydała przedziwny pomruk i ruszyliśmy, nieco raptownie, ale potem już gładko. Odbiliśmy się od ziemi i wznieśliśmy, by szybko przelecieć nad wodą, nim zawróciliśmy z powrotem w stronę lasu. Pomknęliśmy tuż nad drzewami podobnymi do zielonych szczotek, a gdy dotarliśmy do małego stawu, daliśmy nura w sam jego środek. Ja wiedziałem, co się stanie, ale Granuaile nie. Zacisnęła palce na krawędzi rydwanu i powiedziała:

– O – ale nic poza tym.

Woda – jak się okazało – nie była bardzo mokra. Był to tylko portal do nordyckiej krainy. Rozpoznałem go po wielkiej jodle z korzeniami zanurzonymi w stawie – zupełnie tak jak w stawie w Rosji, który prowadził do źródła Jötunheim. Nie chlupnęliśmy w niego, tylko poczuliśmy, że zmieniło się ciśnienie powietrza, pyknęło nam w uszach i już lecieliśmy wzdłuż korzenia Yggdrasilu, drzewa świata, do Niflheimu. Przez jakiś czas było widno, ale potem zanurzyliśmy się w mgłę, od której zresztą powstała nazwa tej krainy.

Zatęskniłem za Ratatoskiem. Choć Oberon pewnie by się ze mną nie zgodził, jako że z natury nie znosił wszelkich wiewiórek, miałem Ratatoska za wspaniałe stworzenie, które nie powinno było zginąć tak marnie z rąk Norn. Jego śmierć nastąpiła oczywiście z mojej winy. Zaczynałem myśleć, że naprawdę nigdy nie zdołam odkupić win, które nabierałem sobie dwanaście lat temu.

Korzeń Yggdrasilu zniknął w ciemnych, musujących wodach otoczonych potężnym kamiennym murem o jedenastu różnych łukach, z których wypływało jedenaście rzek. Jedna z nich, Gjöll, płynęła tuż przy bramie Helu i trzeba było ją przekroczyć, żeby się dostać do krainy. Jednak ponieważ krasnoludy wymyśliły sobie te latające maszyny, nie musiały teraz targować się ze strażnikiem mostu, żeby ich przepuścił. Nawet potężny mur nie stanowił przeszkody, ale Freja uznała za stosowne podtrzymywać fikcję, że owszem, nadal stanowi. Gdy krasnoludowe szybowce bojowe wylądowały na brzegach Gjöllu, połowa z nich oddzieliła się od armii i poszła bombardować mury Helu, licząc na to, że to ściągnie broniących go wojowników i odwróci ich uwagę od głównego ataku.

Gdy krasnoludy odlatywały z błogosławieństwem Frei, wykorzystałem tę chwilę, żeby się rozejrzeć po nieznanym mi krajobrazie Niflheimu. Wprost pożałowałem, że Freja nie ma przy sobie aparatu cyfrowego, żebyśmy mogli stanąć z Granuaile jak szanujący się turyści i cyknąć sobie fotkę na kamiennym murze otaczającym źródło. Wskazywalibyśmy rękami na wschód i uśmiechali się szeroko, a potem by się dopisało: „Nidhögg jest tam!”

W Niflheimie – nawet w słabym świetle gwiazd przytłumionym ciężką mgłą – widać błękity i miękkie róże odbite w lodzie. Zapowiadają jakiś lepszy, pogodniejszy świat, szepczą o ogniach szalejących w ich prymitywnym przeciwieństwie – Muspellheimie. Przy słabym oświetleniu i wystarczającym braku wyobraźni można by nawet wziąć te wielkie lodowe urwiska za czerwono-biało-niebieskie lody na patyku sprzedawane z białych samochodów lodziarzy.

Gdy znów poszybowaliśmy w górę i ruszyliśmy ponad mgłą w stronę Helu, ujrzałem w oddali fioletowe urwiska z rozrzuconymi po nich z rzadka czarnymi znaczkami – samotnymi drzewami szumiącymi o swoim odosobnieniu na mroźnym wietrze. A jednak nawet z tą lodową udreką panującą wkoło, wijąca się mgła była tak kolorowa, że dawała nadzieję na coś mniej zimnego. Wszystko to się skończyło, gdy przefrunęliśmy nad murem Helu.

W Helu nie ma błękitów ani w ogóle żadnych innych sugestii, że gdzieś tam może być słońce i pan lodziarz. Paleta barw ogranicza się do tych z ilustracji Gustave'a Dorégo – szarości, czernie i subtelne ich odcienie połączone w okropnych kreskowaniach i z rzadka rozświetlone nagłymi, ziejącymi obszarami nicości, plamami bielactwa mającymi prześladować umarłych wspomnieniami o tym, czym

było prawdziwe światło dla ich oczu. Powietrze pachnie pomyjami i pleśnią, a mgła złożona jest z wilgotnych, lepkich wyziewów stłumionych marzeń i beznadziejnych wzdychań, które zbierają się w płucach niczym gęsta śmietana.

W pewnym momencie Freja zanurkowała z nami w tę mgłę, choć nie widziałem żadnego znaku, który by sugerował, że ten akurat kawałek obrzydliwej mgły jest inny od reszty. Jak dla mnie było to coś w rodzaju zanurzenia się w powietrze pełne pajęczyn i glutów.

Za nami w upiornej ciszy leciały czarne szybowce krasnoludów napędzane pewnie ciekłą wściekłością lub innym równie innowacyjnym paliwem.

Granuaile zaczęła się krztusić i kaszleć całą sekundę wcześniej niż ja. Mgła wdierała się nam w nosy i płuca, oblepiając je niczym mokry śnieg. Spojrzeliśmy oboje na Freję, której ta mgła zupełnie jakby nie ruszyła. Najwyraźniej bogini wstrzymywała po prostu oddech. Pewnie przypadkiem „zapomniało jej się” poradzić nam, żebyśmy zrobili to samo. Obróciłem się, żeby moje plecy stanowiły ochronę od mgły, i udało mi się wziąć kilka czystszych oddechów, by przez chwilę nie oddychać. Granuaile zrobiła to samo.

Korciło mnie, by „przypadkiem” szturchnąć Freję, żeby musiała wypuścić powietrze, ale uznałem, że już lepiej niech ma swoją małą zemstę. W końcu zabiłem jej brata bliźniaka, więc to był tylko ułamek tego, co mi się należało.

Nie wyfrunęliśmy z mgły, póki nie wylądowaliśmy na lodowych skałach Helu. Mgła wisiała nad nami – niski sufit na wysokości trzech metrów – ciągnąc się aż po horyzont i wijąc się wokół powoli jak zwiedłe liście w strumieniu. Nic poza tym się tu nie poruszało. Za nami szybowce krasnoludów wylądowały w jednym szeregu i od razu uformowały ścianę. Ich karabiny przygotowały się za naszymi plecami do ataku.

– Czemu po prostu nie zastrzelą Fenrisa z tych karabinów? – spytała Granuaile.

– Hel kocha swego potwornego brata – niemal wycharczała Freja, wyszarpując z rydwanu włócznię. – Już dawno temu otoczyła go okręgiem kinetycznym. Nie dosięgnie go żadna kula czy strzała ani nawet włócznia Odyna. Musimy go zabić z bliska.

Zielone oczy Granuaile odnalazły moje. Uśmiechnęła się troszkę złośliwie i wyciągnęła pięść. Przybiłem z nią żółwika.

– To gdzie on jest? – zapytałem.

Freja wskazała włócznią gdzieś na mgłę przed nami.

– Tam. Niedaleko.

– Dlaczego nic nie widać?

– To ta mgła. Wydaje ci się, że widzisz horyzont, ale wcale go nie widzisz.

Widoczność funkcjonalna jest tak naprawdę ograniczona najwyżej do dwudziestu metrów.

– Pięknie. A on nas już słyszy i czuje, tak?

– Pewnie tak.

– Masz jakiś plan?

– Tak. Idziemy tam i go zabijamy.

Czekałem cierpliwie na więcej szczegółów.

– Przy czym dobrze by było skończyć, nim Hel się zorientuje, że

przekroczyliśmy mur – dodała bogini – i wyśle wszystko, co ma, przeciwko Czarnym Toporom. Jak już zaczną nas ostrzeliwać, od razu uda im się pokonać mur z szybowców i potem nasza pięciotysięczna armia nie ma już żadnych szans przy jej setkach tysięcy.

To zdanie Frei zyskało tajemniczy syczący akompaniament ze strony krasnoludzkich pojazdów bojowych.

– Co to za karabiny? – spytała Granuaile.

– To wyrzutnie pił tarczowych – odparła Freja, po raz pierwszy obdarzając nas uśmiechem. – Zwykle celuje się nimi w szyję, ale mogą też obcinać ręce i nogi. Czyż krasnoludy nie są wspaniałe?

– W rzeczy samej urocze – zgodziła się uprzejmie Granuaile.

– Ruszajmy – zarządziła Freja. – Czas leci. Ja przemówię do Fenrisa z przodu, a wy atakujcie z flanki. Uważajcie: jest bardzo szybki i umie zmieniać rozmiar.

– Jak to zmieniać rozmiar? – zaniepokoiłem się.

– To w końcu syn Lokiego Zmiennokształtnego zrodzony z olbrzymki. Tak jak Hel i Jörmungandr może rosnąć lub się kurczyć, zależnie od chęci.

– Bosko. Czyli jeśli natkniemy się na jakieś wilczątka, mamy się mieć na baczności.

– Otóż to.

Rzuciłem na siebie kamuflaż i wyciągnąłem Fragaracha, a potem jeszcze nóż z pochwy na prawym udzie. Trzymałem go w lewej ręce, żeby móc potem szybko wyciągnąć drugi, który miałem na lewym udzie. Granuaile w lewej ręce miała kij i wypowiedziała słowa zaklęcia niewidzialności, gdy prawą wyciągała duży nóż. Zniknęła nam z oczu.

– Ja biorę go z lewej, a Granuaile z prawej – powiedziałem.

– Zatem ruszajmy – rzekła Freja.

Pomknąłem cicho we mgle po nagiej skale, przy okazji sprawdzając połączenie z ziemią. Tak jak w Asgardzie magia wciąż była wyczuwalna, ale jednak słabsza i przerywana, tak jak gdy się ma tylko jedną kreskę zasięgu. Jeśli będę potrzebował naglego dopływu dodatkowej mocy, będę ją musiał pobierać z niedźwiedziego charmsa. Podkręciłem sobie siłę i prędkość, bo wiedziałem, że z potworem takim jak Fenris będę mi bardzo potrzebne.

Za nami odgłosy strzałów narastały, bo krasnoludy przeszły już do cięższych naboí. Pewnie ciągnie teraz na nas całkiem sporo draugrów. Hel nie była geniuszem strategii wojennych, bo i nie musiała – z taką masą żołnierzy do dyspozycji. Jeśli ma się armię jednorazowego użytku, jeśli nie trzeba pisać listów do rodzin, wypłacać rent dla wdów czy martwić się logistyką, nie ma potrzeby obmyślania jakichkolwiek taktyk wojennych. Po prostu zalewa się przeciwników ciałami. Freja miała rację. Nie mieliśmy czasu na cackanie się z tym wilkiem. Trzeba było skończyć jak najszybciej, jeśli w ogóle chcieliśmy się stąd wydostać.

Po dwudziestu metrach nadal go nie widziałem. Ani po następnych dwudziestu. W końcu usłyszałem głos Frei gdzieś na prawo i lekko za mną, a zaraz potem na prawo ode mnie dudniącą odpowiedź. Odwróciłem się w tę stronę, ale nic nie widziałem przez tę po trzykroć przeklętą mgłę. Mimo to ruszyłem w stronę chrapliwego głosu.

– Freju, czy to ty? Słyszałem od siostry, że straciłaś jakiś czas temu brata. Co za szkoda. Zapomniałem chyba wysłać ci kondolencje. Przyjmij je teraz.

Na co Freja powiedziała Fenrisowi, co sobie może zrobić z tymi kondolencjami. Gdzieś z góry dobiegł mnie chichot. Zadarłem głowę i spojrzałem na prawo, skąd wydobywał się głos. We mgle ciągnęły się w górę dwie olbrzymie nogi. Nad nimi widać było pół pyska – nos i otwartą paszczę Fenrisa. Nie ulegało wątpliwości, że postanowił przywitać nas w swoim Rozmiarze Ekonomicznym. Był o wiele większy niż Garm, który i tak miał ze dwa metry w barach. Może był nawet ponad dwa razy większy. Z takimi szczękami mógł nas zgryźć jak kości smakowe ze sklepu zoologicznego. Tylko bardziej byśmy przy tym chlupotali. Tak cicho i szybko jak się dało, ruszyłem na lewo, w poszukiwaniu jego tylnych łap. Freja nadal nawijała, żeby odwrócić jego uwagę, i nawet nieźle jej to szło, ale i tak nas wyczuł.

– Kogo mi tu przyprowadziłaś? – zagrmiał. – Czuję innych.

– Krasnoludów. Właśnie walczą z draugami – odparła bogini. – Wybijają ich, jak sądzę.

– Śmiem wątpić – rzekł na to Fenris, pociągając kilka razy głośno nosem. – Tak nie śmierdzą krasnoludy. To coś innego. Ludzie. Żywi. Gdzie oni się podziali?

Granuaile szybciej niż ja dotarła do tylnych łap, bo w tej samej chwili Fenris zawył, a jego pysk zniknął, gdy odwrócił łeb, by chwycić coś, co go ubodło z lewego boku. Jego prawa tylna łapa przesunęła się rozpaczliwie do przodu dla równowagi i znalazła się tuż przed moim nosem. Zobaczyłem na niej czerwoną wstążkę, która musiała być legendarnym Gleipniem, więc ze wszystkich (wzmocnionych) sił zamachnąłem się tuż nad wstążką i wbiłem Fragaracha w łapę, licząc na to, że to odwróci uwagę potwora. I zadziało! Tak jakby.

Fragarach przebił się przez całą nogę, amputując ją tym jednym uderzeniem, ale przy okazji uwolnił go z uwięzi. Fenris, zamiast obrócić się na prawo, gdzie już nie mógł przesunąć żadnego ciężaru, sunął dalej na lewo i w dół, kręcąc się przez to w kółko, a jego olbrzymi ogon trzasnął mnie w pierś, aż poleciałem daleko do tyłu. Upuściłem Fragaracha i nóż i rozłożyłem ręce, żeby nie walnąć głową w skałę. Nie walnąłem, ale i tak nie było to zbyt szczęśliwe lądowanie. Główny ciężar skupił się na mojej lewej ręce i w rezultacie skręciłem sobie nadgarstek. Uderzyłem się przy tym tak mocno w łokieć, że mimowolnie zawyłem. Tak pewnie musiał się czuć Bachus, gdy Granuaile zaatakowała go kijem. Moja lewa ręka była więc wyłączona z gry na jakiś czas – skręcenia nie leczą się same w kilka sekund, nawet przy magicznym wspomaganium. Moja kość ogonowa też mi się pewnie da potem nieźle we znaki, ale póki co poziom adrenaliny miałem na tyle wysoki, że czułem tylko tępy ból.

W uszach mi zahuczało od strzału z armaty i wilczego ryku, ale ponad wszystko chciałem usłyszeć głos Granuaile. Cokolwiek, byle wiedzieć, że żyje. Odkąd ruszyliśmy na wilka, nie słyszałem jej ani razu.

Zwlokłem się z ziemi, podniosłem Fragaracha i zobaczyłem, że Freja rzuca się na znacznie już mniejszego wilka, który nadal kręcił się odwrotnie do wskazówek zegara i próbował kłapać paszczą coś... niewidzialnego! Granuaile żyła! Też więc zaatakowałem potwora, choć nieco to dziwnie wypadło bez możliwości poruszania lewą ręką.

W przeciwieństwie do Granuaile bogini była w pełni widzialna i dość hałaśliwa. Bardzo chciała, żeby wilk zwrócił na nią uwagę, i w końcu zwrócił, ale nie tak chyba, jak by sobie tego życzyła. Gdy ja pędziłem na zwierza, ona skoczyła na niego z włócznią w dłoni i wycelowwała nią w jego łeb, kiedy rzucił się na nią, na chwilę odpuszczając Granuaile. Zauważył jednak oręż na czas i odwrócił łeb, a włócznia przeszła obok. Chwycił nogi bogini w zęby, ona wrzasnęła, a on cisnął nią daleko we mgłę, żeby móc się wreszcie skupić na niewidzialnym demonie, który go męczył z lewej. Granuaile wbijała mu pewnie wszystkie swoje miecze w zębra, bo był wściekły jak osa. Rzucił się na lewo i kłapnął paszczą na coś, czego nie widział, ale na szczęście zębiska złapały tylko powietrze. Ja też skoczyłem na Fenrisa – który nawet nie zauważył, że na niego lecę – ale on wciąż się kurczył, żeby jak najszybciej się kręcić i wreszcie złapać Granuaile. Kurczył się szybciej, niż przypuszczałem. Odbiłem się całkiem porządnie i teraz wyglądało na to, że go po prostu przeskoczę. Zamachnąłem się tylko w locie na jego głowę, co poskutkowało lekkim draśnięciem między uszami, więc nie uczyniło mu wiele krzywdy poza tą, którą być może czyniła mu trucizna. Dotąd jednak – choć już wielokrotnie raniliśmy go zatrutymi ostrzami – nie wykazywał specjalnej wrażliwości na naszą miksturę.

Moje draśnięcie zwróciło jednak jego uwagę. Łeb potwora śmignął, a szczeka zatrzasnęła się z hukiem w miejscu, gdzie ułamek sekundy wcześniej były moje nogi. Wylądowałem bezpiecznie, choć trochę niepewnie, po drugiej stronie, a on szczeknął wściekle, nim przemówił.

– Kto mnie atakuje? Kto kryje się przed moimi oczami jak ostatni tchórz?

Pokaż się!

Jeszcze czego. Już dawno temu przekonałem Granuaile, żeby podzielała w tej sprawie moje poglądy: jeśli walczysz o życie, nigdy, przenigdy nie martw się zasadą fair play. Honor i sportowe zachowania to bardzo piękna rzecz, ale w grach, które nie mają większego znaczenia. W prawdziwych bitwach to ci honorowi giną pierwsi. „Kiedy leje się krew – powiedziałem jej – zawsze wykorzystuj każdą przewagę, jaką masz, żeby mieć pewność, że to nie twoja krew, tylko przeciwnika. Jak przyjdzie ci potem ochota mieć wyrzuty sumienia, że nie zagrałaś fair, proszę bardzo, możesz czuć te wyrzuty, ile ci się żywnie podoba. Ale żeby je czuć, musisz przeżyć”.

Tym razem jednak, jeśli ja się pokażę, zwiększy się bezpieczeństwo Granuaile. Albo da jej szansę na jeszcze jedno, tym razem już skuteczne dźgnięcie Fenrisa. Łapa wciąż krwawiła mu obficie, a teraz dopiero zobaczyłem, że ma też kilka małych noży wbitych w skórę i jeden większy w lewej nodze. Wszystkie te rany plus brak prawej nogi powinny sprawić, że nie rzuci się w moją stronę tak znowu bardzo zwinnie. Może nam się udać.

Rozplotłem więc kamuflaż i gwizdnąłem na niego.

– Do nogi, piesku. Dobra psina.

Błysnął złowieszczą ślepiami, obnażył zębiska i warknął.

– Kim jesteś? – ryczał. – Jakimś nowym bogiem?

Mówił po staronordycku, więc odpowiedziałem mu tym samym.

– Niezupełnie. Jestem kimś, kto zabija bogów, jeśli mnie wkurzą. Frejra na przykład.

Fenris drgnął, jakby go ktoś trzepnął po pysku.

– Zabiłeś Frejra? I przybywasz tu z Freją?

– Nie chciało mi się płacić jej za brata własną krwią. Wołałem twoją. À propos, jak tam noga?

– Tak mniej więcej jak Frei, jak sędzę.

Próbował skoczyć na mnie samymi tylko przednimi łapami i zranioną lewą, ale wyszło mu to dość niezdarnie i bez żadnego impetu. Granuaile zamachnęła się drugim dużym nożem i wykorzystała jego własny rozpęd, żeby rozerwać mu prawy bok. Fenris zawył i próbował obrócić się na prawo, ale to tylko przeniosło ciężar na krwawiący kikut, zawył więc jeszcze głośniejszym głosem, stracił równowagę i runął na własne wypadające z brzucha wnętrzności.

Zarzuciłem z powrotem kamuflaż i pobiegłem ku wielgachnemu cielsku, w panice modląc się do Morrigan, żeby Granuaile nie utknęła pod wilkiem. Choć podczas walki Fenris bardzo się skurczył, wciąż był większy niż Garn. Jeśli jej głowa jest pod całym tym ciężarem, na pewno nie może oddychać.

Fenris próbował wstać, ale zdołał tylko pomachać łapami. Bez lewej nogi, która pozwoliłaby mu się podnieść, nie mógł stanąć, a rany w końcu zaczęły go wykańczać. Gdy uświadomił sobie, że to koniec, zaczęły mnie szukać jego ślepią.

– Bądź przeklęty, morderco bogów – wysapał przez zaciśnięte zęby. – Ty i wszyscy twoi...

Wbiłem mu ostrze w kark i przeciąłem kręgosłup.

– Zamknij się – powiedziałem.

Rozpaczliwie wymachując Fragarachem w wilczym futrze, zawołałem Granuaile. Zobaczyłem ją po drugiej stronie karku wilka. Uśmiechała się do mnie. Jej lewa ręka była cała we krwi.

– Ale cię nastraszyłam, co?

Odetchnąłem z ulgą.

– Trochę tak.

– Zabójcze pchnięcie.

– Dzięki. A to co? – Wskazałem brodą jej ramię.

– Wbił mi ząb czy dwa w którymś momencie. Ale jest okej. Nie miał wścieklizny.

Wyjątkowo głośna eksplozja w okolicach krasnoludzkich pojazdów przypomniała nam o tym, że trzeba się stąd jak najszybciej wydostać.

– Wiesz może, gdzie wylądowała Freja? – spytałem.

– Nie. Byłam zbyt zajęta uciekaniem przed śmiercią.

– Wydaje mi się, że to musiało być gdzieś tam – mruknąłem, wskazując za siebie.

Pobiegliśmy więc razem w tę stronę, z jakieś dziesięć metrów od siebie. Dopadła mnie lekka panika, bo niby jak się wydostaniemy z Helu bez pomocy Frei, jeśli okaże się, że zginęła. Byłem prawie pewien, że dałbym radę przejść po korzeniu Yggdrasilu z powrotem nad ten miły stawek w Szwecji, ale pokonanie murów i bramy Helu to zupełnie inna sprawa. I obawiałem się, że krasnoludy mogą nas nie podwieźć, jeśli im powiemy, że ich ulubiona bogini skończyła jako wilczy gryzaczek, a już na pewno koty nie posłuchają przecież nikogo poza Freją.

Granuaile pierwsza ją znalazła.

– Atticusie, tu jest! Ale w złym stanie.

Włócznia Frei leżała kawałek dalej od jej pogruchotanego ciała. Bogini miała nogi powyginane w bardzo dziwnych kierunkach i zalane krwią.

– Dobra, stymulujesz rekonstrukcję skóry i nic poza tym, jasne? Żadnej adrenaliny. Ja zatrzymam krwotok.

Położyliśmy dłonie na bogini i zabraliśmy się do pracy. Rany zadane jej przez Fenrisa doprowadziłyby do wykrwawienia na śmierć, gdybyśmy przybiegli choć chwilę później. Już i tak straciła przez to świadomość i zaraz jej mózg zupełnie by obumarł z braku tlenu. Potrzebowała natychmiastowej transfuzji, a tu jej nie było jak zrobić.

– Bogowie, co za bałagan – szepnęła Granuaile. – Gdybyśmy tylko mogli część tej krwi wpompować jakoś z powrotem do środka.

– Każdy chirurg polowy o tym marzy.

Prawa noga i prawa ręka były połamane, pewnie od upadku. Miała też chyba wstrząśnienie mózgu, choć na szczęście nie widziałem krwi pod głową. Tych kości bym jej nie dał rady nastawić.

– Będziemy musieli ją zanieść do rydwanu – powiedziałem. – Udałoby się być przy tym niewidzialnym?

Granuaile skinęła głową.

– Gdy już rzucę zakłęcie, potrzeba tylko kontaktu skóra do kija. Możemy wziąć ją pod ramiona po obu stronach, trzymać kij na karkach i w ten sposób ją zaciągnąć do rydwanu.

– Tak zrobimy.

– Tak jest, kapitanie.

Jeszcze kilka sekund zajęło mi ustabilizowanie krążenia, a potem unieśliśmy ją między sobą, Granuaile po lewej, a ja po prawej stronie. Nim zdołaliśmy przejść kilka kroków, usłyszeliśmy rozpaczliwy ryk tuż przy ciele Fenrisa. Rozpoznaliśmy go i znacznie przyśpieszyliśmy kroku – był to głos Hel. Skoro przedarła się przez Czarne Topory, strach pomyśleć, co zastaniemy przy rydwanie.

Niewidoczna Hel wyła, a my ciągnęliśmy Freję coraz bliżej odgłosów walki. Trudno było się nie wzdrygać, słysząc ryk Hel. W końcu połowę gardła miała martwą i zgniłą, więc nie mogła raczej wydawać normalnych odgłosów. Jeśli do tego dodać łzy, śluz i szczere uczucia z jej strony, to całość stawała się nieznośnie zwierzęca.

Tak rozmyślając o stopniach rozpacz, zacząłem się zastanawiać, czy Odyn w ogóle wziął pod uwagę, do czego ona może być zdolna, gdy wpadnie w szał. Czy to właśnie nie jest przypadkiem początek Ragnaröku? A może Hel powstrzyma się jednak od działania, póki nie obudzi się Loki?

Z jednej strony miałem Hel, a z drugiej jej armię, zdawało mi się więc, że każdy mój krok jest zbyt wolny. Chciałem już być w rydwanie i lecieć, ale czy latające kociaki Frei w ogóle jeszcze żyją?

Mgła niosła nam tylko odgłosy bitwy, jęki umierających krasnoludów i po raz ostatni padających draugrów. Gdy wreszcie zobaczyliśmy walkę, wiedziałem od razu, że lepiej, żebym nigdy więcej nie spotkał żadnego Czarne Topora.

Hel musiała się tu przepchać na niezatrzymującej się fali draugrów, ale większość ich ciał zaśmieciała teraz skały wokół, a niedobitki walczyły z

krasnołudami wręcz. Mistrzowie toporów wymachiwali sprawnie swoją bronią, odrabując nie tylko łby, ale czasem całe połówki ciała z siłą ich przerośniętych mięśni. Moje wcześniejsze podejrzenie, że ich ostrza przebijają zbroje, potwierdziło się, gdy ujrzałem, jak jeden z krasnołudów rozdziera stalowy hełm chodzącego trupa z taką łatwością, jakby to był mokry karton.

Moją uwagę zwróciła cała ich gromada stojąca do siebie plecami. Pilnowali rydwanu Frei.

– Jest nasza bryka – mruknąłem do Granuaile. – Widzisz rydwan?

– Ano.

Ziemia między nami a rydwanem nie była bardzo zaśmiecona draugami, jeśli nie liczyć ich porąbanych kawałków.

– Jeśli nagle pojawimy się wśród nich, zadżgają nas bez zbędnych pytań. Zdejmij z nas teraz zaklęcie, a ja ich pozdrowię.

– Zrobione.

– Czarne Topory! Do mnie! Do Frei! Chrońcie boginię! – krzyknąłem po staronordycku, mając nadzieję, że Hel nie usłyszy nas w zgiełku walki i własnej rozpacz.

Natychmiast otoczyła nas chmara małych wojowników, którzy eskortowali nas do rydwanu.

– Czy ona żyje? – burknął jakiś głos.

– Tak, ale ledwie. Wilk nie żyje.

– Domyśliliśmy się, że Hel by się tak nie darła, gdyby przeżył.

– Słuszne rozumowanie. Czas uciekać.

– Powiem Mistrzowi Topora – odparł krasnołud, a my zapakowaliśmy się do rydwanu. – Nie czekajcie na nas. Jedźcie!

Łatwo mu było powiedzieć. Gdy wychyliłem się z rydwanu i spojrzałem w kocie oczy, nie zobaczyłem w nich ani krztyny chęci do współpracy.

– Hej, koty – powiedziałem. – Jedziemy. Dawajcie czadu. No już. –

Wskazałem im palcem sufit z mgły. – Z powrotem przez ścianę. No dalej. – Gapiły się na mnie nieruchome. Jeden zaczął się lizać po dolnych częściach. – Ruszcie się! – krzyknąłem. – Wio! Jazda stąd! Sio! – To wywołało tylko jeszcze więcej spojrzeń i lizania, ale poza tym ani drgnęły. – Jedźcie, do cholery!

– Atticusie, to tak nie zadziała – zwróciła mi uwagę Granuaile.

– Ta? Sama spróbuj, jak jesteś taka mądra.

Granuaile uniosła Freję tak, żeby koty zobaczyły jej twarz.

– Słuchajcie – powiedziała – Freja jest ranna. – Koty z miejsca się zainteresowały. Ich tak jeszcze przed chwilą obojętne oczy skupiły się na Granuaile i Frei. – Wasza pani potrzebuje pomocy. Musimy stąd uciekać. Lećcie nad murem, z powrotem tam, skąd przyjechaliśmy. Zabierzcie nas do Frigg. Jak nas zabierzecie do Frigg, to kupię wam tuńczyka.

A przynajmniej wydaje mi się, że powiedziała „tuńczyka”, bo jej słowa utonęły w ryku Hel, która ukazała nam się nagle w swojej na poły gorącej, na poły śmierdzącej postaci, a jej włosy dotykały pułapu z zasmarkanej mgły. Wyraźnie chciała zażądać od nas wyjaśnień. Choć wciąż dzieliło nas od niej jakieś dwadzieścia metrów, już czuliśmy jej smród.

– Kto go zabił? – zawyła, a w jej lewej, szkieletowatej dłoni błysnął wielki nóż zwany Głodem. – Czy to Freja?

Rydwan szarpnął i unieśliśmy się wreszcie, gdy koty Frei też poczuły, że trzeba zwiewać.

– Nie. To ja! – odkrzyknąłem.

Oczy Hel zmrużyły się, gdy mnie rozpoznała.

– Ty! Ty powinieneś być już martwy!

– Ty powinnaś się uczyć na błędach Azów – odparłem. – I nie podskakiwać druidowi!

Trochę się zagalopowałem.

Gdy zanurzyliśmy się w opary mgły, wszystkie odgłosy bitwy pod nami przycichły w lepkości, ale olbrzymia ręka Hel podążyła za nami i chwyciła tył rydwanu, zatrzymując go w powietrzu. Wrzasnęliśmy z Granuaile, a koty wydały odgłosy złożone głównie z samogłosek.

Kociaki Frei były naprawdę silne i dzięki nim Hel nie dawała rady ściągnąć nas na dół, ale nie aż tak silne, żeby jej się wyrwać. Hel trzymała nas prawą ręką, więc tą od „gorącej” połowy, toteż była to śliczna i wypielegnowana dłoń, która w ogóle nie zdradzała żadnych oznak przynależności do czegoś paskudnego. Granuaile złapała się odruchowo za uda, szukając noży, ale wszystkie wbiła przedtem w Fenrisa. Podałem jej mój nóż.

Wyrwała mi go, zamachnęła się porządnie i wbiła go w sam środek wierzchu tej kształtnej graby – nie tak mocno, żeby ją przybić do rydwanu, ale jednak na tyle, że ostrze utknęło w ciele. Usłyszeliśmy pod sobą ryk i ręka zniknęła, a my ruszyliśmy w górę. Kotki chyba naprawdę dały gazu, bo jakoś znacznie krócej jechaliśmy teraz przez te glutę. Albo może w tamtą stronę Freja celowo jechała przez nie wolniej, niż było to konieczne.

– To ostrze też zatruteś, tak? – upewniła się Granuaile.

– Tak. Zawsze można mieć nadzieję, ale wątpię, żeby od tego padła.

Nadzieję to całą mi pochłonęło myślenie o Czarnych Toporach. Oby tylko dali radę się wydostać. Nie miałem czasu oszacowywać stanu ich armii. Obawiałem się też, że krasnoludy w Nidavellirze będą się musiały teraz liczyć z kontratakiem. Dobrze by było, gdyby tak Hel nieco się przejęła tym całym wydarzeniem i postępowała choć trochę ostrożniej.

– Hej, Granuaile – powiedziałem, gdy wylecieliśmy z mgły i frunęliśmy prosto w stronę muru. – Mogłabyś poprosić koty, żeby zostawiły portal do Midgardu otwarty dla krasnoludów?

– Jasne. Tylko nie wiem, czy one to umieją zrobić, ale nie zaszkodzi spróbować.

– Dzięki. Nie byłoby dobrze, gdybyśmy zostawili krasnoludy utknięte w Niflheimie.

Rude włosy miała rozwiane na zimnym wietrze, gdy pochyliła się w stronę naszych wierzchowców i poprosiła je, żeby zostawiły drzwi otwarte dla krasnoludów. Przysięgam, że miauknęły w odpowiedzi.

– Oberon miał rację – stwierdziłem. – Ty naprawdę jesteś kociarą.

Rozdział 28

Światło i dźwięk wróciły do normy, gdy tylko przelecieliśmy nad murem. Znowu pojawiły się kolory i zahuczały nam w uszach grzmoty artylerii dochodzące z drugiej strony fortyfikacji. Gdy rydwan skręcił, zobaczyłem, że mur uległ całkiem poważnym zniszczeniom i że Hel nie odpowiedziała na ten atak żadnym ogniem. Chyba nigdy jakoś nie upgradowała swojej obrony, zakładając pewnie, że to inni się będą bronić przed nią. Może teraz będzie się tym wreszcie musiała zająć.

Ktoś chyba nas wyglądał albo krasnoludy posługiwały się jakimś radiem czy czymś w tym stylu, bo atak natychmiast został przerwany i wystartowały szybowce bojowe, by lecieć za nami. Obejrzałem się i zobaczyłem, że więcej ich pojazdów przelatuje cicho nad murem. Nie miałem pojęcia, ile ich wróciło, ale wiedziałem, że honor to dla nich sprawa najwyższej wagi i że będą się czuły znacznie lepiej ze świadomością, że przyczyniły się do pokonania Hel.

Zakręciliśmy i poleciliśmy w górę korzenia pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, ale na szczęście nie wypadliśmy z rydwanu, tylko poczuliśmy lekki zawrót głowy od tego kompletnego braku grawitacji.

– Mógłbym się przyzwyczaić do takich kocich rydwanów – stwierdziłem.

Chlupnęliśmy w staw i po drugiej stronie niebo pełne było zupełnie innych gwiazd – gwiazd Ziemi. Potem krążyliśmy wokół, póki nie znaleźliśmy po ciemku tęczy. To wtedy właśnie odkryłem, że Granuaile nigdy nie słyszała o Ronniem Jamesie Dio. Mój szok był tak ogromny, że mało nie przeoczyłem, iż właśnie podróżujemy przez Bifrost, tęczowy most, do Asgardu. Dopiero kiedy dotarliśmy tam i zostaliśmy potraktowani dość podejrzliwie przez nieznanego strażnika mostu (jako że Heimdall przecież nie żył), zorientowałem się, że już nie jesteśmy na Ziemi. Koty miauknęły na marszczącego brwi typka i tęcza natychmiast zmieniła kierunek. Ulubieńce Frei podążyły jej torem znowu do Midgardu i wylądowaliśmy przed chatą sztygara w górach pod Ouray.

Granuaile nie mogła w to uwierzyć.

– Czyli co? Frigg się nawet stąd nie ruszyła?

– No wiesz. W sumie Fjalar tak się postarał z tą ciepłą dekoracją wnętrza.

Na werandzie mogliśmy wreszcie powierzyć Freję opiece Frigg i z wielką satysfakcją przekazać jej wieści o śmierci Fenrisa, sporych zniszczeniach helskiego muru i o tym, że co najmniej połowa Czarnych Toporów wróci do Nidavelliru. Frigg odwróciła głowę w stronę plamy cienia pod dachem z przodu werandy.

– Powiedzcie mu.

Dwa kruki odleciały w ciemność.

Nim Fjalar zdążył zadać nam jakiegokolwiek pytanie lub wyzwąć nas od czegośkolwiek, Frigg nakazała mu przygotować trochę rosółu dla Frei. Spojrzał na nas groźnie, ale bez słowa wypełnił jej rozkaz.

– Dziękuję wam, druidzi – rzekła. – Zadaliście Hel poważny cios i z pewnością pokrzyżowaliście jej plany. Będę was informować o rozwoju sytuacji.

Pochyliła głowę nad Freją, wyraźnie nas już odsyłając, więc pożegnaliśmy się

grzecznie.

W milczeniu poszliśmy do naszej chaty, gdzie czekał na nas Oberon, nażarty czymś, co sobie upolował, a przez to śpiący i nie bardzo zainteresowany tym, co porabialiśmy, jak nas nie było.

<Hurra, wrócili ludzie> powiedział i ziewnął, nawet porządnie nie zamachawszy ogonem. <Wiecie, tu, w górach, jest okropnie zimno, nawet latem. Weźcie się w garść i wypełnijcie wasz ewolucyjny cel: rozpalcie psu ognisko, co?>

Roześmialiśmy się, Granuaile podrapała go po brzuchu, a ja rozpałem mu małe ognisko w kominku. Gdy to go usatysfakcjonowało, przygotowałem gorącą czekoladę z piankami cukrowymi, a Granuaile przebrała się, bo miała już serdecznie dość zakrwawionej bluzki. Stuknęliśmy się kubkami w kuchni i pocałowaliśmy się.

– To co teraz? – spytała Granuaile.

– No, moglibyśmy w sumie dowiedzieć się wreszcie, kto w Tír na nÓg próbuje nas zabić – stwierdziłem – albo zająć się splataniem żelaznego amuletu z twoją aurą, albo może zbadać, czy wszystkie klauny na całym świecie są tak naprawdę mrocznymi elfami.

Granuaile dźgnęła mnie palcem w pierś.

– Mam lepszy pomysł. Może byś mnie tak przedstawił wszystkim żywiołakom po kolei? Poznałam dotąd tylko kilka.

– Taki Druid World Tour? Moglibyśmy sobie nawet sprawić odpowiednie T-shirty.

– No. Ale najpierw pojedźmy w jakieś takie miejsce, którego nazwy nawet nie umiem wymówić, i żeby tam było wielgachne łóżko.

– Bogowie niejedyni, jesteś genialna.

Na co w salonie natychmiast obudził się Oberon.

<O nie! To w takim razie mnie proszę zostawić na jakimś ranczu pełnym pudlic!>

Epilog

Wielgachne łóżko, które znaleźliśmy w Tlalpujahua, w Meksyku, okazało się wystarczająco duże do naszych celów, a wkrótce potem odebraliśmy Oberona z rancza pudli w Vermont i ruszyliśmy na Druid World Tour. Pokazywałem Granuaile różne bramy do Tír na nÓg, przez które w Starym Świecie mogli przechodzić także ludzie. Od czasu do czasu ktoś odkrywał je przypadkiem i trafiał do Tír na nÓg, a wtedy to musiał mieć kupę szczęścia, żeby znaleźć drogę z powrotem.

Próbowałem jej uświadomić, że takie stare bramy dobrze znać, bo choć było ich bardzo niewiele, działały nawet wtedy, gdy coś było nie tak z drzewami. Wbudowane były w jaskinie, które nie poddawały się takim kaprysom i siłom, jakim podlegały drzewa.

Po części było to po prostu fajowe zajęcie (bo jaskinie są zawsze fajowe), i tak to przedstawiłem Granuaile. Ale prawda była taka, że miałem też inny plan – chciałem, żeby Granuaile nie dało się złapać. Ze strategicznego punktu widzenia zakochanie się w niej było z mojej strony beznadziejnym błędem, takim, który by wykorzystał każdy makiaweliczny typ. Odtąd wszyscy moi wrogowie – czy to wampiry, czy mroczne elfy, czy jeszcze kto inny – będą postrzegać ją jako broń przeciwko mnie. Była już teraz całkiem niezłym skurczybykiem, zdolnym do rzeczy, których ja w życiu nie osiągnę, ale podczas naszych małżeńskich dni w Meksyku dotarło do mnie, że mamy raczej słabe szanse, żeby nie wychylać się i robić swoje. Nie będzie miała okazji naprawdę nacieszyć się swoimi mocami i poczuć harmonii ze światem. Wciąż nie dawała mi spokoju tamta rozmowa z Jezusem, kiedy powiedział, że gdybym był potulny, odziedziczyłbym Ziemię. Ale nie było już jak wrócić do tych sielankowych czasów, kiedy chciał mnie zabić tylko jeden bóg. Teraz chodziło już tylko o to, żeby uratować Ziemię, by jakiś inny potulny miał w ogóle co dziedziczyć. I miałem przy tym nadzieję, że nas dwoje też da się uratować. Jeszcze nie przeszło mi gapienie się na nią bez końca.

Wyłoniliśmy się z groty położonej w słynnej z setek jaskiń zachodniej części Karpat, zwanej teraz Górą Apuseni, a niegdyś – prowincją Transylwania. Widok, jaki rozpościerał się pod nami, sprawiał wrażenie raczej sielankowego niż wampirycznego. Owce i krowy walczyły pogodnie o bujną łąkę pod nami, tuż obok szumią przyjazny las, a słupki milowe nadawały okolicy dość wyczuwalną aurę ckliwości.

<Nie mówiłeś przypadkiem, że wyjdziemy w Transylwanii?> spytał Oberon.
Tak, mówiłem. I to jest Transylwania.

<Oczekiwałem raczej zdobionej zakrwawionymi palami drogi, która by prowadziła prosto do zamku Włada. I dymu... Dym to sprawa kluczowa. Bo jak jesteś czarnym charakterem, to twoja okolica musi niemal na okrągło stać w ogniu>.

Wampiry są w dzisiejszych czasach nieco bardziej dyskretne, Oberonie.

<No, ale mam przynajmniej nadzieję, że natkniemy się na kogoś, kto będzie się śmiał głośno i niestosownie z ludzkiego cierpienia, najlepiej jeszcze przed przerwą na reklamę, i żeby w tle był piskliwy soundtrack ze złowieszczym

crescendo. Hej. Czujesz to?>

Co czuję?

Gdy tylko wypowiedziałem to pytanie, już sam to czułem: drzenie ziemi, i to narastające. Natychmiast pospiesznie przywitałem się z żywiołakiem zachodniorumuńskim i od razu zadałem mu pytanie:

//Powitanie / Harmonia / Pytanie: Działania płyty?//

//Powitanie / Druidzi mile widziani / Rada: Uciekajcie / Nie działania płyty / Działania boga przeze mnie//

– Musimy uciekać – powiedziałem, a ziemia pod nami całkiem się rozbrykała. Usłyszeliśmy głośny trzask za nami. Jaskinia, z której właśnie się wyłoniliśmy, zapadała się na naszych oczach, zapełniając się kamieniami, które stały tu nieporuszone od wieków. Pobiegliśmy w dół zbocza, po kamieniach i łupkach, w stronę lasu. Małe osuwisko podążało za nami.

– Ktoś chce nas dorwać – wyjaśniłem Granuaile, która pewnie nie usłyszała mojej szybkiej rozmowy z żywiołakiem. – Jakiś bóg wywołał to przez żywiołaka. Przenosimy się do Kolorado.

– Dobra – odpowiedziała.

Gdy tylko dobiegliśmy do lasu na dole, położyliśmy ręce na drzewie, ale nie odpowiedziało. Nici łączące je z Tír na nÓg były odcięte.

– Pandemonium – zakrakał głos z gałęzi nad nami. Obejrzelśmy się, żeby znaleźć jego źródło. Gapiła się na nas wrona o czerwonych ślepiach.

Morrigan.

– Z kontynentu nie da się przenieść do Tír na nÓg – powiedziała, a ja wzdrygnąłem się odruchowo. Zawsze to dziwnie usłyszeć wronę gadającą po angielsku. – To pułapka. Neptun wywołał trzęsienie ziemi, a Faun nie przepuści cię przez żadną nić do Krainy Lata. Stare przejścia są zawałone albo strzeżone. Będziesz musiał biec na Wyspy Brytyjskie, Siodhachanie, i to dosłownie biec całą drogę. To jedyna ścieżka spośród tych, które widziałam, gdzie udaje ci się to przeżyć.

– Co przeżyć?

– Zobaczysz. Chłopcy ze skrzydłami na kostkach zaraz ci to wyjaśnią. – Wrona wskazała mi dziobem coś za nami. Obróciliśmy się i spojrzeliśmy w górę.

Z nieba zstąpili Hermes i Merkury – błada, dzika piękność i złota pompatyczność, a rzymski bóg zażądał, bym natychmiast powiedział mu, co zrobiłem Bachusowi.

– Spytaj Parki – poradziłem mu i wzruszyłem ramionami.

Piorun z jasnego nieba strzelił prosto w Oberona, który najpierw zaskomlał, a potem zaszczekał na niebiososa.

<Hej! Kto tu sobie, młoda foka, pozwala?!>

Oberonowi nic się nie stało, bo przy obroży miał fulguryt od Peruna, ale jednak: któryś z olimpijskich bogów nieba chciał mi go zabić. Miało mi to pewnie dać do myślenia, zmusić mnie do rozedrganej pokory.

Zadarłem głowę i głośno powiedziałem:

– To było cholernie niegrzeczne, Jowiszu. A ostatnim bogiem olimpijskim, który niegrzecznie się wobec mnie zachował, był Bachus.

– Gdzie on jest? – powtórzył pytanie Merkury.

– A czemu chcesz wiedzieć? Czyżby w rzymskich piwnicach skończyło się wino?

– Oddasz nam go lub spotkają cię straszne konsekwencje.

Przeniosłem wzrok na Hermesa i spytałem:

– A jaki Grecy mają w tym wszystkim interes?

Hermes wzruszył ramionami i przemówił swoim melodyjnym głosem:

– Oficjalnie: olimpijska solidarność. Ale prawda jest taka, że Artemida strasznie się zdenerwowała, że porwałś jej driady. Jak i Diana zresztą. Wszystkie nimfy drzew są dla nich święte. Ta afera z Bachusem daje im możliwość zemstczenia się za coś, co obiecały wybaczyć.

Niemal słyszałem, jak Granuaile myśli: „Mówiłam ci, że nie powinniśmy tykać driad”. Nie odrywałem więc wzroku od Olimpijczyków, żeby nie musieć wyczytać tego z jej twarzy.

– Winę za to ponoszą Bachus i Faun, a nie ja. To oni mnie do tego zmusili, a poza tym oddałem przecież driady całe i zdrowe, tak jak obiecałem.

Na co Merkury powiedział:

– Nie pozwolimy, byś postąpił z bogami olimpijskimi tak, jak postąpiłeś z nordyckimi, druidzie. Oddaj Bachusa albo zginiesz marnie.

– Oddać go albo zginąć? I gdzie tu wybór? Przecież jak wam go oddam, to mnie zabije.

Boscy posłańcy nawet nie raczyli wzruszyć ramionami. Tylko unieśli lekko brwi, jakby mówili: „I co z tego?”.

– Nie słyszeliście o *Paragrafie 22*? No nie bądźcie tacy, chłopaki. Skoro i tak zginę, to po co mam wam w ogóle oddawać Bachusa?

Puścili jednak moje pytanie mimo uszu i Merkury powiedział tylko:

– Wybieraj, śmiertelniku. Oddasz Bachusa czy nie?

Chrzanić ich.

– Nie – powiedziałem. – To kutas.

– Niech i tak będzie.

Unieśli się natychmiast w powietrze i odlecieli, ukazując dwa rydwany wiszące ponad ziemią na tyle daleko, że niemal skryte za wzgórzem. Dwie postacie w hełmach i z łukami wypuściły strzały w naszą stronę. Artemida i Diana. Czyli wiedzieli, że się nie zgodzę. Zaplanowali to sobie. Morrigan zeskoczyła, stając przed nami w swojej ludzkiej postaci, w pełni uzbrojona, a strzały wbiły się w jej potężną hebanową tarczę. Swoją drogą, nigdy dotąd nie widziałem, żeby w ogóle zaprzętała sobie głowę rynsztunkiem.

– Jestem tu, by wypełnić daną ci przysięgę, Siodhachanie Ó Suileabháinie. Biegnij – powiedziała. – Do Anglii. Goniać cię dwie nieśmiertelne boginie łowów. Wstrzymam je, ile zdołam, ale to nie będzie trwało wiecznie.

– Morrigan?

Artemida i Diana pędziły już na nas w swoich rydwanach. Morrigan obróciła się, wskazała mi zachód, a przez hebanowy hełm widać było blask jej czerwonych oczu.

– Biegnij, Siodhachanie! Nadciągają!

Chwyciłem Granuaile za ramię i pobiegliśmy z Oberonem przy boku w głąb

lasu, który nagle wydał nam się raczej złowrogi niż przyjazny.

Podziękowania

Dla mojej rodziny, przyjaciół i moich wspaniałych czytelników: uściski i wasze zdrowie!

Przenikliwość mojego krytycznego czytelnika, Alana O'Bryana, jak zawsze pomogła mi wprost niesamowicie. To on mnie namówił do wrócenia do gry w Magic: The Gathering i zniszczył mnie Boneyard Wurmem. Przyjaciele to coś wspaniałego.

Mam też szczęście mieć w wydawnictwie Del Rey redaktorów, którzy umieją zarówno geekować, jak i rockować, nierzadko w tym samym czasie. Dziękuję Tricii Narwani i Mike'owi Braffowi za rogi i za wsparcie przy całym tym budowaniu światów.

Odkryłem niedawno, że mój agent, Evan Goldfried, wie więcej na temat piwa niż ja. Jak dla mnie jest to równoznaczne z byciem Autorytetem w Prawie Wszystkim. Szanuję jego aftorytet!

Amalia Dillin (@AmaliaTD) wie więcej o mitologii nordyckiej niż większość istot ludzkich. Z przyjemnością rozmawiałem z nią, wypróbowałem na niej swoje pomysły, a i nawet błagałem ją o pomoc. Jeśli uważacie, że moje przedstawienie mitologii nordyckiej jest okropne, nie wińcie jej za to. To ja jestem typkiem, który pisze okropne rzeczy.

Dla zainteresowanych: *Eddę starszą* można przeczytać całą w internecie, i to kompletnie za darmo. Tam zobaczycie, skąd się wzięły wszystkie imiona krasnoludów, dowiedziecie się więcej o okolicznościach uwięzienia Lokiego i wielu innych sprawach. Jak już zaczniecie czytać różne źródła mitologii nordyckiej, zorientujecie się również, że przeczą one sobie nawzajem na wiele rozmaitych sposobów. (I nie ma się czego wstydzić; jest to cecha wrodzona większości systemów wierzeń). Jedną ze spornych kwestii jest nazewnictwo Dziewięciu Światów Yggdrasilu i ich lokalizacja. Mapa, którą zamieszczam na początku książki (narysowana przez Priscillę Spencer), opiera się na kilku źródłach i paru moich przekonaniach co do mitologii nordyckiej: 1) trzy to liczba magiczna, więc na każdym z trzech poziomów znajdują się trzy światy; 2) krasnoludy i elfy to nie to samo. Nie, no naprawdę to nie jest to samo, a to, że we wszystkich tych źródłach traktowane są tak, jakby były tym samym, to tylko dowód na to, że dobrały się do tych źródeł mroczne elfy; oraz 3) biorąc pod uwagę numer 2, krasnoludy mieszkają w Nidavellirze, a Svartálfy mieszkają w Svartálfheimie, a to są dwa zupełnie inne miejsca.

Jeszcze raz wielkie dzięki za to, że mnie czytacie! Jeśli chcecie zagadać, możecie mnie znaleźć na Twitterze @kevinhearne lub na Facebooku.

